

*Autor
bestsellerów*
**THE
KILLING**

DAVID HEWSON
**DOMEK DLA
LALEK**



DAVID HEWSON

**DOMEK DLA
LALEK**

Przełożyła

EWA PENKSYK-KLUCZKOWSKA

WYDAWNICTWO MARGINESY

Tytuł oryginału: THE HOUSE OF DOLLS

Przekład: EWA PENKSYK-KLUCZKOWSKA

Redaktor prowadzący: DOROTA KOMAN

Redakcja: ANNA KUBALSKA

Korekta: IRMA IWASZKO, DOROTA KOMAN

Projekt okładki, opracowanie typograficzne: PIOTR ZDANOWICZ

Łamanie: | manufaktu-ar.com

Ilustracje na pierwszej stronie okładki na górze Jacob Apel *Domek dla lalek* Petronelli Oortman – fragment obrazu na dole © Caryn Drexl / Arcangel Images

The House of Dolls Copyright © David Hewson 2014

All rights reserved. No part of this publication may be reproduced, stored in or introduced into a retrieval system, or transmitted, in any form, or by any means (electronic, mechanical, photocopying, recording or otherwise) without the prior written permission of the publisher. Any person who does any unauthorized act in relation to this publication may be liable to criminal prosecution and civil claims for damages.

Copyright © for the translation by Ewa Penksyk-Kluczkowska

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Marginesy,

Warszawa 2015

Warszawa 2015

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-64700-98-9

Wydawnictwo Marginesy

ul. Forteczna 1a,

01-540 Warszawa

tel./faks: 48 22 839 91 27, 48 696 451 127

e-mail: redakcja@marginesy.com.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

Dla Eddiego



I

Poniedziałek, 17 kwietnia

1

– Vos?

Laura Bakker zdążyła już przeszukać wszystkie sale Rijksmuseum.

– Pieter Vos?

Szczupły, niezbyt wysoki mężczyzna w bladozielonej kurtce zimowej, która pamiętała lepsze czasy. Gdy tak siedział na ławce przed największym domkiem dla lalek, jaki w życiu widziała, wydawał się jej młody i stary jednocześnie. Jego sylwetka, długie brązowe włosy, pomięta i zniszczona odzież pasowały do kogoś w średnim wieku. Ale na twarzy brakowało zmarszczek, malowało się tylko zaciekawienie i czujność. Była to twarz ulubionego nauczyciela albo troskliwego, cierpliwego kapłana. A w niebieskich oczach, których nie odrywał od domku dla lalek, dostrzegła jasny, twardy błysk niczym w ceramice stojącej na kominku u nich w Dokkum. Te oczy wpatrywały się uporczywie. Z inteligentnym wyrazem.

Zanim na polecenie de Groota wyruszyła rowerem z komisariatu znajdującego się niedaleko stąd, na Marnixstraat, przeczytała akta. Pieter Vos, lat trzydzieści dziewięć. Dwa lata temu, po bezowocnym śledztwie w sprawie zaginięcia jego córki Anneliese, odszedł ze służby. Teraz prowadził skromne, ekscentryczne życie na łodzi w Jordaanie, z trudem wiążąc koniec z końcem za marne grosze przedwczesnej emerytury.

Bakker wyciągnęła przyniesioną teczkę. Dokumenty, zdjęcia – wszystko się rozsypało. Zaklęła. Parę osób odwróciło się w jej stronę. Pozbierała rozrzucone rzeczy z podłogi i byle jak wcisnęła je z powrotem do teczki.

Teraz patrzył już na nią. Spojrzeniem, które znała. Spojrzeniem, które mówiło: „Ale niezdara”.

– Vos? – spytała, zerkając na zdjęcie z legitymacji służbowej, by upewnić się, że to właściwy człowiek. Za czasów pracy w policji Vos wyglądał jeszcze młodziej. Przeżycia dodały mu lat.

De Groot był jego szefem. A także bliskim przyjacielem, jak zrozumiała. Mocno przeżył odejście Vosa. Słynny amsterdamski policjant porzucił służbę i zajął się... czym?

Naprawianiem zniszczonej łodzi mieszkalnej na Prinsengracht, niespełna pięć minut piechotą od biurka, które kiedyś zajmował. Stare wycinki prasowe

wychwalały Vosa, mówiły, że jest jak bicz na przestępców, pisały, że nieco ospały, skromny detektyw ze wzruszeniem ramion i uśmiechem rozniósł miejskie gangi na strzępy. Co prawda niewiele tych wycinków znalazła. Detektyw Vos unikał zainteresowania mediów. Uciekł od niego, gdy zaginęła jego córka, zdruzgotany świadomością – w każdym razie zdaniem gazet – że może to jego zawodowa gorliwość doprowadziła do jej porwania. Potem nastąpiły bezowocne poszukiwania, a wreszcie Vos odszedł ze służby. Anneliese stała się jedną z wielu pozycji w kartotece osób zaginionych. Sprawą umorzoną, zarchiwizowaną, pokrywającą się cyfrowym kurzem.

Z kieszeni Vosa wychodził kabelek; od słuchawek, które miał w uszach. Pochyliła się, delikatnie mu je wyciągnęła i ze zdumieniem usłyszała dobiegający z nich blues-rockowy kawałek *Willie the Pimp*.

– Pieter Vos? – spytała ponownie i, nie wiedząc czemu, sięgnęła do jego ramienia. Długie, rozczochrane włosy i sfatygowane ubranie... w tym człowieku było coś kruchego. Z trudem dałoby się powiązać tę spokojną, zaabsorbowaną postać z brygadierem, który tyłu wsadził za kratki. – Nie ma pan czasu słuchać Zappy. Komisarz de Groot chce pana widzieć w swoim gabinecie. Proszę zabrać rzeczy. Idziemy.

– Co pani wie o Zappie? – spytał miłym, ubawionym głosem.

– Mój tata go lubił. Słuchał go całymi nocami, przy każdej możliwej okazji. Idziemy.

– Dlaczego Frank przysyła po mnie dzieci? – spytał i ponownie wsadził do uszu słuchawki.

Usiadła obok niego na ławce, skrzyżowała ramiona na piersi, zastanawiała się chwilę, po czym sięgnęła do jego kieszeni i wyszarpnęła kabelek od słuchawek.

Na jego twarzy odmalowało się jednocześnie zaskoczenie i oburzenie.

– Niezłe. – Bakker wskazała gablotę, przed którą siedzieli.

Domek dla lalek Petronelli Oortman był skomplikowaną konstrukcją o dobrą głowę wyższą od Pietera Vosa. Miniatura amsterdamskiego domu nad kanałem. Trzy piętra, na każdym trzy pomieszczenia i klatka schodowa. Kuchnia, salon, pokój dziecięcy, meble i obrazy, zastawa stołowa i delikatne, miniaturowe kotary. Wpatrywał się w niego bez końca, a ona wiedziała

dlaczego.

– Nazywam się Laura Bakker. Mam dwadzieścia cztery lata i zdecydowanie nie jestem dzieckiem.

Gdy obrócił na nią spojrzenie jasnoniebieskich oczu, nie miała już nic do powiedzenia.

– Tęsknisz, Lauro, za zielonymi polami Fryzji?

To przez akcent. Mieszkańcy Amsterdamu patrzyli z góry na wszystko, co niestołeczne. Ona pochodziła z prowincji. Tamtejsi ludzie byli prości, może nawet głupi.

– Fryzja to nie tylko zielone pola – odparła.

– Co robi twój ojciec, gdy nie słucha Zappy?

– Jest rolnikiem.

Była wysoka. Może nawet patykowata. Ładne rude włosy związała z tyłu głowy – fryzura praktyczna i idealna do pracy. Laura Bakker niezbyt się przejmowała swoim wyglądem. Miała pociągłą twarz, bladą i, we własnym mniemaniu, nieciekawą. Niewiele się zmieniła od czasów nastoletnich.

– Tęskni pani za nim? – spytał.

– Tak, ale on nie żyje. Mama też. Ale to nie ma znaczenia. Proszę zabrać swoje rzeczy, dobrze?

Ani drgnął.

Wyjęła z torby kolejną teczkę i niemal wysypała jej zawartość na podłogę. Spojrzał na nią, unosząc ciemną brew, a następnie wrócił do wpatrywania się w domek dla lalek.

– Kosztował Petronellę dwadzieścia, trzydzieści tysięcy guldenów. Prawdopodobnie tyle samo co jej dom na Warmoesstraat. A teraz pewnie jest tam coffee shop sprzedający napitym Anglikom kiepską marihuanę.

– Można by sądzić, że się pan mnie spodziewał. Jak to możliwe?

– Czary. Nie czytała pani akt?

– Nie ma tam nic o czarach. Za to dużo o innych...

– Petronella Oortman była bogatą wdową. Jej majątek pochodził z handlu jedwabiem. Powiększał się dzięki handlowi niewolnikami i korzeniami. Więc może... – pogładził się po brodzie, szukając właściwego słowa – może niewiele się zmieniło.

– Warmoesstraat? Czy tam właśnie kupuje pan zioło?
– Powiedziałem, że tamto nie jest dobre.
– Żadne zioło nie jest dobre, panie Vos.
– Pani jest młoda, Lauro. Co pani może wiedzieć?
– Wiem, że zaginęła córka zastępcy burmistrza. Katja Prins. Najwyraźniej nie po raz pierwszy. Ale...

– Frank do mnie dzwonił. Mówił, że wysyła nową aspirantkę. Prostą dziewczynę z prowincji, która najpierw chciała łapać pijanych kierowców w Dokkum, a potem uznała, że może zmieniać świat na lepsze w Amsterdamie. Podał mi pani nazwisko.

Jej policzki oblały się rumieńcem. Palce odruchowo chwyciły dyskretny srebrny krzyżyk na szyi, wyłożony na zwyczajny czarny sweter.

– Mówiąc „prosta”, niewątpliwie miał na myśli „skromna” – dodał Vos spokojnym i nieśmiałym głosem. – Nic niewłaściwego. Powiedział, że rozbiła pani radiowóz...

Ten trop jej się nie spodobał.

– Pańską córkę porwał człowiek, który miał obsesję na punkcie lalek. W wypadku córki Prinsa wygląda to podobnie...

Położyła mu zdjęcie na kolanach. Widniała na nim zabytkowa porcelanowa lalka w białym fartuszkach z doczepioną etykietką dowodową. W prawej ręce trzymała kosmyk blond włosów. Plama krwi zajmowała niemal cały przód fartuszka.

Bakker wymierzyła długi palec wskazujący w eksponat przed nimi.

– Wygląda jak lalka z domku Petronelli Oortman, prawda? Taką panu przysłał? Tylko że bez tych blond włosów.

Vos westchnął.

– W moim wypadku włosy znajdowały się w lewej ręce. I plama krwi była mniejsza.

– Katja ostatnio mieszkała w kamienicy w De Wallen...

– Córka człowieka, który stoi na czele rady miasta, mieszka w dzielnicy czerwonych latarni? Czy to nie jest wymowne?

– Nie widziano jej od tygodnia. Laboratorium sprawdza, czy krew i włosy należą do niej. Lalkę zostawiono minionej nocy pod domem jej ojca.

W miniaturowej trumience z tektury. Tak samo jak w pańskim przypadku, tylko że wtedy na Marnixstraat...

Żadnych oznak zaskoczenia. Tylko smutny, zrezygnowany uśmiech. Można by odnieść wrażenie, że to jego naturalny wyraz twarzy.

– Czy Frank mówił pani, że żona Wima Prinsa przez siedemnaście lat była moją partnerką? I matką Anneliese?

Policzki jej poczerwieniały.

– Nie.

– Amsterdam to małe miasteczko. Nie tak małe jak Dokkum...

Vos wrócił do oglądania pokoiczków, mebelków, laleczki porzuconej samotnie w pokoju dziecięcym czterysta lat temu.

– Katja to pokręcona mała ćpunka – powiedział niemal do siebie. – Jej matka też taka była. Popęliła samobójstwo. Dziewczyna nienawidzi swojej macochy. Co w tym nowego?

– Vos...

– Już wcześniej próbowała wyłudzić pieniądze od ojca. On nigdy nie wniósł skargi. Wygląda na to, że dziewczyna ma zwichrowaną wyobraźnię...

– A jeśli się pan myli? Jeśli to ten sam człowiek, który porwał pańską córkę?

Wzruszenie ramion.

– W takim wypadku oczekuję, że wykona pani swoje zadanie lepiej, niż ja to kiedyś zrobiłem. Przepraszam. – Podniósł się z ławki, przeciągnął się, wyjął klucze. – Muszę iść...

– Więc myśli pan, że go tutaj zobaczy? To będzie takie proste? On wejdzie, a pan go rozpozna?

Jej słowa chyba go rozczarowały.

– Nie – odrzekł. – Ale chcę, by on zobaczył mnie. Miłego dnia, pani aspirant. Życzę powodzenia w pracy zawodowej.

Wsadził wtyczkę z powrotem do telefonu, słuchawki do uszu i wyszedł.

2

Jimmy Menzo siedział w zimnej suterenie przy szarobrązowej bryle Oude Kerk. Przez wysokie okno ze szprosami przenikał cichy pomruk organów. Na zewnątrz, w cieniu przysadzistego kościoła, pierwsze poranne kurwy wyginały się za szybami swoich kabin, przywołując zachęcającym gestem turystów, którzy z szeroko otwartymi oczami przechadzali się ulicą.

Niektórzy przystawali. Inni wchodzili do coffee shopów. Naćpani czy zalani, tak czy owak sięgali do portfeli. To miasto było maszynką do robienia pieniędzy. Jego maszynką. I tak już zostanie.

W wieku dziewiętnastu lat Menzo uciekł z surinamskich slumsów, porzucając nędzę Ameryki Południowej na rzecz Holandii, okrutnego nowego świata, do którego zawitał wyposażony jedynie w garść guldenów, dwie potężne pięści pokryte bliznami i głowę pełną zawiści i ambicji.

Po dwudziestu latach wciąż mieszkał w domu nad wodą, niedaleko dzielnicy czerwonych latarni, gdzie działały jego coffee shopy i jego burdele, jego kabiny wynajmowane niezależnym prostytutkom i jego narkotykowa sieć dostaw oplatająca rejon przez miejscowych nazywany De Wallen. I ta sieć przynosiła mu największe zyski.

Od Dworca Głównego na północy po Spui na południu, od Nieuwmarkt do Damrak – serce Amsterdamu należało do człowieka, który opuścił szopy Paramaribo, za cały dobytek mając trochę łachmanów i kilkaset dolarów amerykańskich podprowadzonych z nieudanej dostawy koki.

Zasłużył sobie na tę nagrodę. Wywalczył ją. A dobry los sprawił, że jego ostatni rywal, Theo Jansen, trafił do więzienia.

Stało się to dwa lata temu. Minęły dwadzieścia cztery miesiące, podczas których Menzo walczył dniem i nocą o przejęcie każdego najdrobniejszego fragmentu imperium Jansena, manewrując poczuciem lojalności za pomocą pieniędzy, perswazji, ciężkiej pięści czy – w razie potrzeby – lufy pistoletu.

To była swego rodzaju wojna i jak większość dzisiejszych konfliktów nie miała się nigdy zakończyć.

Po drugiej stronie stołu wierciła się dwójka młodziaków. Mniej więcej w ich wieku Menzo przybył do Holandii, przechwalając się fałszywym paszportem i podrobionym pozwoleniem na pracę. Brzydki jak on, brutalni,

wypatrujący okazji. Pochodzili z Surinamu, dawnego spłachetka Holandii na skraju Ameryki Południowej. Niskie, krępe bandziory z aspiracjami, od niedawna w mieście; jeden ubrany w błyszczący niebieski dres, drugi w czerwony.

Cztery sztuki broni na zniszczonym drewnianym stole. Dwa pistolety maszynowe, dwa samopowtarzalne walthery P5s, takie same, jakich używa policja. I nie był to zresztą zbieg okoliczności, choć Menzo nie powiedział tego na głos.

Dwie przygarbione, przerażone postaci nie mogły oderwać wzroku od tego arsenału.

– Zamierzaliśmy zostać dłużej. – Niebieski. Ten dzielny.

Menzo rzucił na stół teczkę, otworzył ją. Umilkli wpatrzeni w masę zielonych banknotów.

– Pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Dwa paszporty z Antyli. Dwa bilety do Kapsztadu. Biznesklasą.

– Biznesklasą – powtórzył Czerwony, sięgając do aktówki.

Oskrzelowy kaszel palacza. Menzo był mniej więcej tej samej wielkości, krępy, zbirowaty, silny, nie z tych, co by się migali od bójki. Dziobata, gburowata twarz. Małe oczka. Śniada cera.

Podał im kartkę pokrytą schludnym kobiecym pismem Miriam. Adres na Prinsengracht.

– Miriam wam wszystko wyjaśni. Po robocie idziecie tu. To sklep. Stąd bierzecie pieniądze. I bilety.

Patrzyli na kartkę jak tępe uczniaki na niezrozumiałą pracę domową.

– Kiedy możemy wrócić? – spytał Niebieski.

– Nigdy. Bierzecie pieniądze i robicie to, co ja. Ruszacie własną drogą. Mam tam przyjaciół. Pomogą wam na początku.

Młodziaki spojrzały po sobie.

– Co to za sklep? – spytał Czerwony.

Menzowi podobały się ich kretyńskie pytania, przetrząsnął kieszenie marynarki. Czarny jedwabny garnitur, elegancki, dopasowany, opięty. Uszyty dla niego przez krawca w Bangkoku, dokąd jeździł w interesach i dla zażycia odrobiny rozkoszy.

Dwie wizytówki z tym samym ślicznym obrazkiem. Wykonana z drewna miniatura amsterdamskiego mieszczańskiego domu. Maleńkie różowe krzeselka, a na nich jeszcze mniejsze postaci.

Poppenhuis aan de Prinsengracht.

Domek dla lalek na Prinsengracht. Wizytówki rozdał chłopakom.

– Lalki? – spytał Czerwony.

– Nic się nie bój – odparł Menzo. – Już ich tam nie ma. Jakiś czas temu ktoś się pozbył tych wszystkich ładnych rzeczy.

– Mam tu siostrę – odezwał się Niebieski. – Dopiero zaczyna sobie radzić. Pracuje w jednej z pańskich restauracji. Potrzebuje mnie. Jeśli wyjadę...

– Zajmę się twoją siostrą. Zrobię z niej kierownika. Dam jej bar. Czy coś tam.

Szeroki przyjazny uśmiech.

– Spytajcie, kogo chcecie. Robisz, co każe Jimmy Menzo, i jesteś ustawiony na całe życie. Dbam o swoich ludzi. Nawet jeśli są gdzieś daleko.

– Mamy wybór? – spytał szybko Niebieski, a Menzo pomyślał, że może nie docenił tego surinamskiego smarkacza; nowego tutaj, z dwoma zabójstwami na koncie, ściganego przez policję na całym kontynencie i na Karaibach.

– Pewnie, że macie.

Zapalił papierosa, posłuchał astmatycznych tonów kościelnych organów. Choć teoretycznie nadeszła wiosna, wciąż było zimno i lało, tylko chwilami pojawiało się słońce.

Zdjął ze stołu teczkę, położył ją na podłodze. Tamci nie odrywali wzroku od broni.

Menzo wstał, uśmiechnął się do nich. Wtem rzucił się do stołu, w prawą garść chwycił pierwszy z brzegu pistolet maszynowy. Podsunął lufę pod nos najpierw Czerwonemu, potem Niebieskiemu. Śmiejąc się cały czas.

– Miriam! – wrzasnął.

Otworzyły się drzwi. Wyższa niż Menzo, o sylwetce koszykarki. Tuż przed trzydziestką. Długa twarz, w jednej czwartej chińska, jak kiedyś powiedziała, a on w to uwierzył. Dziewczyna z Trynidadu, prawie nie mówiła po niderlandzku. Tylko po angielsku.

– Co jest? – spytała.

Brązowe futro. Nie miał pojęcia, jakie dokładnie, a zresztą go to nie obchodziło. Dostawała każde pieniądze, ile tylko sobie zażyczyła. I dużo dawała w zamian.

– Ci chłopcy się do tego nie nadają – orzekł Menzo. – Zawieź ich na dworzec. Wsadź w jakiś pociąg. Wkurwiają mnie.

Surinamscy smarkacze wstali powoli, spojrzeli tępo po sobie.

Kobieta podeszła, obrzuciła ich wulgarnymi obelgami po angielsku, groźnie błyskając białkami wielkich, bacznych oczu.

– Pięćdziesiąt tysięcy dolarów? Ileście zarabiali w Paramaribo, gnojki?

Milczenie.

Pochyliła się nad nimi. Imponująca. Miała w sobie coś kuszącego i groźnego jednocześnie. Menzo uwielbiał to, że potrafiła przerazić mężczyznę i w tym samym momencie wzbudzić w nim pożądanie.

Młodziaki zadygotały. Bardziej niż wcześniej przed nim.

– Ile? – dopytywała się Miriam. – No ile?!

– Pieniądze to za mało, gdy człowiek nie żyje – wymamrotał Niebieski.

Długie palce wsunęła w jego rzadkie, tłuste włosy, potrząsnęła jego głową. Mocno. Menzo patrzył i chichotał.

– Ale przecież żyjesz, chłopcze! – wrzasnęła. – I to lepiej niż my, gdy tu przyjechaliśmy. Będiesz w jakimś niedrogim ciepłym i słonecznym miejscu. Gdzie nikt nie wie, kim jesteś. Czy to jest takie trudne do zniesienia?

Wpatrywali się w podłogę. Menzo odłożył na stół długi czarny pistolet.

– Ani trochę – powiedział, po czym znowu otworzył walizkę, wyjął zwitek dolarów, pomachał im nimi przed nosem.

– Co mamy zrobić? – spytał Czerwony.

Bitwa wygrana.

– To, co każe wam Miriam. O szóstej odlatuje samolot do Londynu. Śniadanie zjecie w Kapsztadzie. A potem zaczniecie nowe życie.

Poklepał czarny pistolet.

– Słyszycie? Nowe życie. Odrobina wdzięczności byłaby mile widziana.

Menzo czekał. Miriam Smith czekała, wyprostowana, z ramionami splecionymi na klatce piersiowej skrytej pod brązowym futrem.

- Dziękuję – odparł posłusznie Czerwony.
- Właśnie – dodał Niebieski, wpatrując się w zimną kamienną podłogę.

3

Sam jak zwykle siedział u kobiety z ochrony, z którą Vos się zaprzyjaźnił. Teraz odebrał psiaka, podziękował i wyszedł z nim na zewnątrz. Deszcz ustawał. Vos wsadził biało-brązowego foksteriera do przedniego koszyka rdzewiejącego czarnego roweru, poprawił zainstalowaną dla niego plastikową osłonę, wyjął z kieszeni kurtki dwie gumki i założył je na skraj nogawek szerokich, niemodnych, pogniecionych i wytartych dżinsów, żeby mu się nie wkręciły w łańcuch.

Zappę zastąpił Van Halen. Vos wyjął słuchawki i wsadził je do kieszeni. Jeszcze popatrzył na dżinsy, rozpadający się czarny rower, psa w koszyku. Następnie włączył się do porannego ruchu na dziesięciominutową przejażdżkę do łodzi przy Prinsengracht.

Rowerzyści i tramwaje. Samochody i motory. Wśród tego wszystkiego skołowani turyści, którzy nie wiedzieli, gdzie patrzeć.

Zapytał Franka de Groota wprost: czy są jakieś nowe informacje w sprawie Anneliese? Choćby cień dowodu, że coś ją łączy z córką Prinsa, oprócz lalki? Cisza, która mu odpowiedziała, była aż nadto wymowna.

Pies, zaledwie półtoraroczny, wykonał w koszyku trzy obroty, żeby się usadowić, a gdy rower nabrał prędkości na Leidseplein, przysiadł znudzony na tylnych łapach i wystawił długi nos i brodę na wiatr. Kręcił z rozkoszą łbem, otwierając pysk i odsłaniając białe zęby w ewidentnym uśmiechu.

Po pierwszej kropli deszczu schowałyby się pod osłonę. Ale spod szarego całunu zimy powoli przebijała się wiosna. Lipy obsiewały ulice swoimi lekkimi jak piórko łuseczkami niczym wysokie posągi rozrzucające zielonkawe konfetti przed oblubieńcami. Psu spodoba się drugie leniwe lato na wodzie, będzie się wygrzewał na pokładzie pośród zniszczonych donic z warzywami i kwiatami i rozkoszował się uwagą turystów trzaskających setki fotek. Choć bardziej anonimowo, Vos też będzie się cieszył tym latem. A nim rok dobiegnie końca, łódź będzie wreszcie wyremontowana. On zaś może pomyśli, co dalej.

Usłyszał za sobą wściekły brzęk dzwonka i kilka przekleństw po angielsku. Gdy wjechał na długą, prostą ścieżkę rowerową nad kanałem, u jego boku pojawiła się pedałująca energicznie Laura Bakker, złorzecząc

pod nosem na turystów.

Jechała pordzewiałym, oliwkowym babciowym jednośladem z wysoką kierownicą, sztywno wyprostowana, a niesforne pasma rudych włosów powiewały za nią na wiosennym wietrze. Szary kostium ze spodniami wyglądał jak żywcem wyjęty z lat siedemdziesiątych. Właściwie cała Laura Bakker tak wyglądała.

Zauważył, że trzyma w ręku telefon. Rozmawiała w czasie jazdy, przez co nie widziała, gdzie jedzie. Albo, co gorsza, esemesowała. Gdy tak patrzył, aparat omal nie wypadł jej z dłoni. Złapała go tylko dzięki nieporadnej, świadomej reakcji kogoś, kto wie doskonale, jaką jest niezdarą.

– Vos! Vos! – krzyczała, gdy już chwyciła pewnie komórkę. – Niech mnie pan posłucha! Proszę się zatrzymać! Komisarz de Groot chce to z panem omówić osobiście.

Łódka wycieczkowa płynąca po kanale zwolniła. Grupka ludzi na dziobie zaczęła robić im zdjęcia. Sam, z łapami na krawędzi koszyka, z łebkiem wystawionym na wiatr, potrząsnął grzywą. Wyglądał jak modelka pozująca do obiektywu.

– Po co, u diabła, de Groot cię wysłał? Akurat ciebie? – spytał Vos, nie odrywając oczu od drogi.

– A co ci we mnie nie pasuje? – Sprawiała wrażenie urażonej. – To, że jestem z Dokkum... nie znaczy, że jestem tępakiem. – Zerknęła w kierunku Marnixstraat. – Cokolwiek ludzie sobie myślą.

– Nic takiego nie powiedziałem – burknął Vos. Przebił się przez tłum turystów łąjących po ścieżce rowerowej i pomknął dalej.

– Twój piesek jest uroczy – zauważyła Bakker, gdy znowu go dogoniła. Tym razem uśmiech. Przez chwilę wyglądała jak naiwna studentka świeżo po college'u, która próbuje przekonać cały świat, by ją zauważył i potraktował poważnie.

– Nie znasz go – odparł Vos.

– Zawsze chciałam mieć zwierzątko.

Zesztywniał z oburzenia.

– Zwierzątko? Sam to nie jest jakieś zwierzątko.

Laura Bakker wyraźnie się zmartwiła. Nie chciała go urazić.

– Kim więc jest?

Zbliżali się do łagodnie wznoszącego się mostu. Vos mocniej nacisnął pedały, znowu zostawił ją za sobą, zdjął dłonie z kierownicy i w rozpaczy wyrzucił ręce w górę.

Turystom śledzącym ich z pokładu łodzi spodobało się to jeszcze bardziej. Klótnia miejscowych. Może nawet sprzeczka kochanków.

Szybko go dogoniła, teraz więcej pasm rudych włosów powiewało za jej plecami.

– To dziecinada – oznajmiła.

– To, że goni mnie nad kanałem jakiś żółtodziób, to dopiero dziecinada – jęknął i zdał sobie sprawę, że w jego słowach słyhać dąsy. – Aresztuj mnie i będziemy mieli to z głowy.

– Nie mogę nikogo aresztować. Nie wolno mi. Zdaniem komisarza de Groota Katja nie próbuje nikogo naciągać. On uważa, że to ma coś wspólnego ze sprawą pańskiej córki...

Dość. Wyciągnął rękę, żeby uspokoić psa, po czym gwałtownie zatrzymał rower. Piesek ujadał radośnie, jakby to wszystko było zabawą.

– Już mówiłem – powiedział, gdy Laura Bakker stanęła przy nim. – Frank dzwonił do mnie rano. Za moją córkę nie żądano okupu. Nie dano mi szansy ocalenia jej. Gdyby...

– Miał pan wtedy dużo pieniędzy?

– Zdobyłbym je. Gdyby zażądał. Ale nie zrobił tego. W ogóle niczego nie zrobił. Anneliese nagle, pewnego dnia...

W lipcu miną trzy lata. A można by pomyśleć, że to się działo wczoraj. Albo w ogóle w jakimś innym życiu. Tragedie rozgrywały się poza normalnym czasem, poza codziennością. Miały niewiarygodną zdolność przygasania i ożywiania jednocześnie. Nie zdarzyło się coś takiego jak domknięcie. To był pusty frazes na użytek terapeutów. Po prostu ból utrzymywał się tak długo, że stawał się znajomy, jak ból zęba czy ból fantomowy amputowanej kończyny.

– Mam dość klótni – ucięła energicznie. – Komisarz de Groot mówi, że potrzebuje pańskiej pomocy. Podobno jesteście przyjaciółmi. A ma na głowie mnóstwo innych spraw.

Vos warknął – zwyczaj ten zapożyczył od swego psa – a potem ruszył w dalszą drogę. Bakker nadażała za nim, jej nogi pracowały miarowo, powoli, od czasu do czasu uderzała o ramę ciężkimi butami. Niezdarna, spięta młoda kobieta. Takie niezborne prowincjonalne pierwsze naiwne miejscy twardziele z Marnixstraat pożerali na śniadanie.

– Oczywiście – odparł, starając się mówić rozsądnie. – Przecież to Amsterdam. Jakżeby inaczej?

Łódź Vosa niełatwo było zobaczyć z ulicy. Brzydki czarny kadłub cumował na Prinsengracht poniżej poziomu chodnika. Była najtańsza na rynku, gdy sprzedali z Liesbeth mieszkanie, podzielili pieniądze i poszli każde swoją drogą. Wymagała ogromnych nakładów, a on za nędzne grosze, jakie otrzymywał na wcześniejszej emeryturze, nie mógł sobie pozwolić nawet na połowę niezbędnych wydatków.

– Dzisiaj sąd apelacyjny rozpatruje sprawę oszusta, Thea Jansena – dodała. – Z tego, co słyszałam, raczej wyjdzie na wolność.

Kolejny nagły przystanek. Tym razem zapomniał przytrzymać psa. Sam szczerknął gniewnie, gdy rzuciło nim o przód wiklinowego kosza.

– Przykro mi, mały – mruknął Vos i pogłaskał go po sztywnej sierści. – Co takiego?

– Ten Jansen staje przed sądem dzisiaj po południu. Najpewniej zaraz wróci do...

Niemal przejechali cel. Sąd też znajdował się przy Prinsengracht, nieopodal Leidseplein. Jak większość życia zawodowego Pietera Vosa – komisariat, sąd, kawiarnie i puby Jordaanu, gdzie się zaszywał, by pogadać i pomyśleć, znajdowały się kilka minut spacerem od jego rozpadającej się łodzi.

– Jeśli ci kretyni wypuszczą Thea, to on w pierwszej kolejności rozpęta nową wojnę – powiedział. – Frank o tym wie tak samo jak wszyscy. Mam nadzieję, że jest na to gotowy. Co oni sobie myślą, na miłość boską?!

– Nie mają wyboru. Pan odszedł i nie dokończył swojej roboty, prawda? – Jeśli chciała, w jej bezbarwnym północnym głosie pojawiał się ton ostry i osądający. Zbyt dojrzały jak na jej wiek. – Tak to właśnie widzą na Marnixstraat. Pan odszedł, a ktoś, kto przyszedł na pańskie miejsce, wszystko

schrzanił.

Córka przewodniczącego rady miejskiej albo została porwana, albo usiłowała wyłudzić okup. Dawny boss miejskiego gangu miał wyjść z więzienia, by zemścić się na surinamskim bandziorze, który w czasie odsiadki tamtego przejął jego teren, coffee shopy, burdele, sieć dostaw.

Pieter Vos doskonale rozumiał, czym się martwi jego stary przyjaciel.

– Ma pani dużo do powiedzenia od siebie, pani aspirant. Choć niezbyt taktownie.

Pochyliła się bliżej. Długi palec wycelowała w jego twarz. Zauważył, że obgryza paznokcie. Żadnego lakieru. Żadnego makijażu na twarzy.

– Nie wstąpiłam do policji, by się uczyć taktu. De Groot kazał mi pana sprowadzić. – Jej oczy były zielone, bardzo okrągłe, jakby trochę za duże. Teraz płonęły w nich determinacja i gniew. – I to właśnie zrobię. Choćbym miała jeździć za panem cały dzień.

Zdusił uśmiech i ruszył powoli.

– Nie chciałym się powtarzać, ale przypominam, że nie jestem już funkcjonariuszem policji.

W jaskrawym wiosennym słońcu łódź wyglądała okropnie. Łuszcząca się czarna farba. Na pokładzie wysuszony ogródek. Pordzewiałe ogrodzenie. Drewno miejscami przegniłe. Na sąsiednim stanowisku cumował niewielki bączek zalany brudną wodą kanału. Tak samo jak dwa lata temu, w dniu, gdy Vos się wprowadził.

Dzięki tutejszemu zaniedbaniu i swoistemu zapomnieniu Vos czuł się swobodnie w tej spokojnej i leniwej części miasta. Bar Drie Vaten przy moście wychodzącym na Elandsgracht. Sklepiki i restauracyjki. A przede wszystkim ludzie. Jordaana był jego domem. Nie wyobrażał sobie, że mógłby żyć gdzie indziej.

Na Elandsgracht, na wysokości pomnika Johnny'ego Jordaana i członków jego zespołu pojawiła się tęga postać. Vos w swoich wytartych dzinsach nigdy nie myślał o sobie, że jest stary. Podobnie nie myślała tak o nim większość spotykanych ludzi, jak sądził. Wydawało mu się, że traktują go raczej jak cudaczny okaz, który żyje uwięziony w bursztynie swej łodzi, słucha starego rocka, od czasu do czasu odwiedza pobliski coffee shop, by

wypalić skręta, i przesiaduje nad piwem w Drie Vaten.

Na widok Franka de Groota musiał się chwilę zastanowić. Liczący sobie czterdzieści dziewięć lat szef Marnixstraat był o dekadę od niego starszy. Ale wyglądał jak człowiek w średnim wieku – pomarszczona twarz, starannie ostrzyżone ciemne włosy i schludny wąs, ale jedne i drugie zbyt czarne, by kolor ten uznać za naturalny. Jego blade, zażawione oczy wydawały się zmęczone i zmartwione. Dzielili ich przepaść. Odkąd Vos zamknął się w łodzi przy Prinsengracht, czas jakby się dla niego zatrzymał, może nawet cofnął. De Groot został na posterunku i było to po nim widać.

– Pieter! Pieter! – Komisarz dopadł Vosa pospiesznie i wcisnął mu do ręki niewielką paczuszkę. – Tak myślałem, że może cię tu złapię.

– Ja tu mieszkam, Frank. Gdzie miałbym być?

– Mógłbyś siedzieć w Rijksmuseum – odparł de Groot z błyskiem w oku. – Albo w Drie Vaten gapić się na ślicznotkę za barem. Na pewno nie zastałbym cię przy naprawianiu tej cholерnej łajby. A ten bączek...

Na podtopioną ruinę de Groot utyskiwał przy każdym ich spotkaniu.

Z klekotem i brzękiem nadjechała Laura Bakker, wyprostowała długie nogi i trzasnęła buciorami o ziemię.

– Właśnie zmierzam na Marnixstraat – powiedział Vos. – Aspirantka Bakker przedstawiła mi sprawę. – Zielone oczy wpatrywały się w niego zdumione. – Wykonała kawał dobrej roboty. Tak czy owak, nie mogę ci pomóc.

– Ser! – De Groot poklepał paczuszkę. – Z twojego ulubionego sklepu. Kaashuis. Podobno prosto od krowy. To limburgier...

Pies skwitował obecność paczuszki zmarszczeniem nosa.

– Chcesz mnie przekupić serem? To żalosne.

De Groot skinął głową potakująco.

– Rzeczywiście. Pogadajmy. Piętnaście lat pracowaliśmy razem. Nie proszę o wiele.

Twarzy komisarza nie opuszczał uśmiech.

– Wyglądasz... ekscentrycznie. Jeszcze ekscentryczniej niż kiedyś, powiedziałbym.

Vos zsiadł z roweru, wyjął Sama z koszyka, wyciągnął z kieszeni smycz

i torebkę foliową. Podał je Laurze Bakker.

– Chciała pani zwierzątko. Czas poznać, jak to jest. Niech pani po nim posprząta. Sam tego nie zrobi, a za niesprzątnięcie płaci się mandat.

– Nie wstąpiłam do policji, by wyprowadzać psy – zaprotestowała.

– Proszę to dla nas zrobić – warknął de Groot.

Jego głos w jednej sekundzie potrafił się zmienić z przyjaznego w groźny. Bakker chwyciła torebkę i smycz, po czym schyliła się, by zagadać do Sama.

– I niech nie żebrze o jedzenie – polecił Vos. – I proszę go trzymać z daleka od innych psów. On nie wie, że jest mały.

Patrzyli, jak Bakker przypina rower do barierki nad kanałem, a potem rusza wzdłuż jego brzegu za uszczęśliwionym, rozmerdanym ogonem dumnie drepczącego teriera.

– To była nieczysta zagrywka – powiedział Vos.

– Która? – spytał de Groot tonem chodzącej niewinności.

– Przysyłanie po mnie biurowego matołka w nadziei, że weźmie mnie na litość. – Vos wpatrywał się w trzymaną w rękę paczuszkę w woskowanym papierze. – Nie cierpię limburgera.

– Nie znam się na serach, prawda? Ona nie jest matołkiem, Pieterze. Urodziła się w Dokkum nie z własnej woli. Po prostu tu nie pasuje. – Po chwili namysłu dodał: – Wydaje mi się też, że wierzy w Boga. – Pokręcił głową. – Żebyś wiedział, co ona tu wyrabia... Przepraszam. Myślałem, że to też spieprzy. Jak sądzisz, dlaczego sam przyszedłem?

Vos wstawił rower na pokład łodzi.

– Muszę błagać? – spytał de Groot. Następnie wskazał podtopiony bączek obok łodzi Vosa, pusty kadłub zakryty brudnym brezentem. – Mówiłem ci już setki razy. Powinieneś coś z tym zrobić. To niezgodne z prawem.

Vos złapał się za głowę i westchnął.

– To. Nie. Jest. Moja. Łódka. Pamiętasz?

De Groot przestępował z nogi na nogę, ze skrucą, ale jedynie umiarkowaną.

– Skoro stoi przy twoim domu, wygląda jak twoja.

– Chodź do środka – rozkazał Vos, a następnie pokonał trap i otworzył maleńkie drewniane drzwi do swojego mieszkania.

4

– De Groot chce, żebyśmy przyjechali na Marnixstraat – powiedziała Liesbeth Prins. – Wim? Słyszysz mnie w ogóle?

Jego gabinet należał do najokazalszych w ratuszu przy Waterlooplein. Wysokie okna, widok. Za oknem blade wiosenne słońce oświetlało miasto: kanały, kamienice, rezydencje i siedziby korporacji, a dalej rozległa, chaotyczna dzielnica De Wallen. Ponad osiemdziesiąt tysięcy ludzi w ściśle określonym lennie w centrum Amsterdamu. Pół roku temu jego ugrupowanie Postęp zdobyło zaskakującą liczbę mandatów w wyborach, a potem utworzyło kruchy sojusz z maleńką, antyunijną Partią Niepodległości. W późniejszych ciężkich targach o stołki Prins wywalczył dokładnie to, czego chciał: fotel wiceburmistrza ze ściśle określonym zadaniem.

Był czterdziestoosmioletnim, wysokim, imponującym, poważnym mężczyzną. Liesbeth poznała go jeszcze jako nastolatka, chociaż większość swojego życia spędziła z Pieterem Vosem. Wim z bogatego prawnika stał się teraz pełnoetatowym politykiem, a ona mimowolnie się zastanawiała: czy do tego jej potrzebował? Do dopełnienia wizerunku?

– Nie mogę już marnować czasu na jej gierki – odrzekł Prins, wertując jeden z licznych raportów na biurku. – De Groot powinien mieć coś lepszego do roboty. Bóg mi świadkiem...

– Myślisz, że ona jest zdolna do takiego okrucieństwa?

Chwytał ją za rękę i posadził. Spojrzał w oczy. Wielki człowiek. I smutny pod pewnymi względami. Nigdy nie było między nimi poufałości, humoru, figlarniej bliskości, którą kiedyś dzieliła z Vosem.

– Znam ją lepiej niż ty. Zawsze tak się zachowywała, od śmierci Bei.

– Katja jest chora. – Głos jej zadrzał. Poczwała zimno. Może źle się czuła. Czarna sukienka, którą rano zdecydowała się włożyć, zwisała luźno z jej chudego ciała. – Boże, Wim... Wiem, że zawsze cię bolało, że nie jest za bystra. Że nie jest prymusem. Nie jest geniuszem, który pewnego dnia przejmie po tobie schedę. Ale to jednak twoja córka...

Prins odłożył raport na biurko. Na okładce zobaczyła nazwę wypisaną dużymi czarnymi literami: *De Nachtwacht*.

Straż Nocna. Tytuł zapożyczony z najsłynniejszego amsterdamskiego

obrazu, wielkiego dzieła Rembrandta wiszącego w Rijksmuseum. Grupa strażników miejskich wyruszających na patrol po mieście, by strzec jego spokoju. Zeszłej jesieni Prins nazwał tak kluczowy element swojej kampanii wyborczej. Obietnicę, że raz na zawsze zrobi porządek z De Wallen. Koniec z półśrodkami. Żadnych kompromisów. Od początku przyrzekał, że obrzydzi życie dilerom, coffee shopom, burdelom, sutenerom i kurwom zajmującym tę dzielnicę od dziesięcioleci.

Nikt nie spodziewał się wygranej Prinsa. Ale wobec niekończącej się recesji i trudności gospodarczych ludzie gorączkowali się i robili się nieprzewidywalni. Szukali odmiany. Jakiegokolwiek. Potem Partia Niepodległości zaczęła zbierać głosy na fali nieufności wobec Brukseli i Unii Europejskiej. Wyczuli okazję i dołączyli do wrzawy. De Nachtwacht przerodziła się z mrzonki pomniejszego polityka w bliżej nieokreśloną misję, zapewniając mu pozycję drugiego w hierarchii. Miał nad sobą tylko jedną osobę, burmistrza z Partii Pracy, który z radością trzymał się z dala od De Nachtwacht i obserwował z boku coraz większe poruszenie związane z uruchomieniem projektu.

– To – rzekł Prins, stukając palcem w raport. – To jest teraz ważniejsze niż Katja. Jej już nie pomogę. Próbowałem. Ale może jakieś inne dziecko...

– Policja chce z nami rozmawiać.

– Powinnaś przyjść do mnie, zanim zadzwoniłaś na Marnixstraat.

Pokręciła głową. Trzema kościstymi palcami przeczesła rzadkie, krótkie blond włosy.

– Ktoś podrzucił nam pod drzwi kartonową trumnę. Z lalką w środku. Z pasmem włosów. I plamą krwi...

– To kolejna z jej gier...

– Lalka! Kosmyk włosów. Krew.

Prins przymknął na chwilę oczy.

– Kiedy ona chce pieniędzy na prochy, nie cofnie się przed niczym. – Spojrzał na biurko i leżące na nim raporty. – Oni wszyscy tacy są.

– Katja nie jest bez serca. Nie... nie zadrwiłaby ze mnie w ten sposób.

– Ty zawsze dopatrujesz się w ludziach jakiegoś dobra. – Puścił ją. – Zwłaszcza jeśli go tam nie ma. Trzymaj się od tego z daleka.

– Jak mam to zrobić? To niemożliwe.

Nie słuchał. Na jego twarzy pojawił się grymas. Uśmiech przeznaczony dla publiczności.

W drzwiach stała Margriet Willemsen, ambitna młoda kobieta, która przewodziła Partii Niepodległości. Za nią zaś Alex Hendriks, szef biura rady miejskiej. Drobnutki, spokojny mężczyzna, którego całe życie zdawało się toczyć w wielkich gabinetach ratusza znajdującego się obok Opery Narodowej przy rozległym placu niemal w sercu Amsterdamu.

– Mamy spotkanie w sprawie De Nachtwacht – powiedział Prins głośno i wyraźnie. – Zadzwoń do mnie później...

– Możesz znaleźć czas, jeśli zechcesz – nie ustępowała. – Dla dobra Katji...

Wciąż się uśmiechając, objął ją ramieniem i wyszeptał:

– Powiedz de Grootowi, że nie chcę, by to trafiło do gazet. Nie chcę jej widzieć w sądzie, nie chcę jej widzieć, jak będą ją zgarniać z rynsztoka. Niepotrzebne to ani nam, ani jemu. – I lekkim tonem dodał: – Margriet. Alex.

– Wszystko w porządku? – spytała kobieta. – Nie chcielibyśmy przeszkadzać...

– Nie przeszkadzacie. Usiądźcie, proszę. – Znowu uśmiech. – Liesbeth właśnie wychodziła.

5

Areszt sądu na Prinsengracht. Pomieszczenia piwniczne. Żadnych okien. Żadnych świateł. Zatechłe, zimne powietrze.

Theo Jansen siedział przy zwyczajnym szarym stole, czekając na swoją córkę Rosie i na wolność. Pięćdziesięciodziewięcioletni wielki człowiek z gęstą siwą brodą upadłego Świętego Mikołaja. W wieku dziewiętnastu lat zaczął pracować jako wykidajło dla jednego z burdeli przy Spui, do którego stałych klientów należeli bogaci cudzoziemcy, zdeprawowani mieszkańcy i od czasu do czasu przygasła hollywoodzka gwiazda. Lata siedemdziesiąte przyniosły zmiany. Depenalizacja narkotyków, wynikająca z niej turystyka narkotykowa i rozwój interesów powiązanych z prostytutką sprawiły, że prozaiczne przychody z pilnowania burdelu wydawały się mało oszałamiające.

Jansen szybko się uczył, był silny, wysportowany i na właściwym miejscu. Sprawnie pokonywał kolejne etapy przestępczej kariery dzięki zręcznym pięściom, spokojnemu temperamentowi, bystrej inteligencji i niezachwianej lojalności. Potem jego szefa zarżnięto na ulicy w czasie jednej z wendet, które regularnie targały półświatkiem Amsterdamu. Z braku oczywistych następców Theo Jansen, syn słabo opłacanego robotnika z browaru Heinekena, zgłosił swoje prawa do sukcesji.

Kolejne trzy egzekucje, lawina szczodrych łapówek dla polityków lokalnych i ogólnopaństwowych, trochę brutalnej perswazji na ulicy i oto stał się właścicielem całej sieci. Aż pojawił się Pieter Vos.

Jansen nie darzył policjantów nienawiścią. Robili, co do nich należy. Niektórych można było kupić. Innych zastraszyć. Jeszcze inni przymykali oko dzięki łagodnym środkom przymusu. Vos, człowiek nieustępliwy, choć czasami niewidoczny, okazał się odporny na wszelkie naciski. Cicho, zawzięcie, pracowicie realizował swój plan, obłupywał kolejne kawałki przestępczego królestwa, wyławiając płotki i dając im do wyboru więzienie albo współpracę z policją.

Większość wybierała więzienie, co było rozsądną decyzją. Ale nie wszyscy.

Obaj panowie spotykali się od czasu do czasu. Jansen lubił Vosa –

niekonwencjonalnego, skromnego człowieka, powściągliwie szczerego i nieustraszenie, może nawet głupio, upartego. Miasto zawsze będzie miało swoich policjantów. Tak samo jak zawsze będzie w pewnym stopniu kontrolowane przez przestępców. Cóż to szkodzi, żeby któryś sływał z nieposzlakowanej uczciwości.

Potem świat spokojnego detektywa rozpadł się na kawałki w sposób wciąż dla Jansena niepojęty. A tym samym jego świat również. Trzy lata temu policjant przeżył osobistą tragedię, której następstwem było jego odejście ze służby. Stał się zniszczonym, złamanym człowiekiem. Niedługo później, pod naciskiem Klaasa Muldera, następcy Vosa, drobny kanciarz, niejaki Jaap Zeeger, płotka ledwie Jansenowi znana, złożył w sądzie zeznania przeciwko swemu bossowi.

– Kłamca – warknął głośno Theo Jansen na samą myśl o tych tygodniach spędzonych na ławie oskarżonych, gdy słuchał jednego wymysłu za drugim. Za sprawą Zeegera, którym sterował Klaas Mulder, Jansen trafił do więzienia i do dziś nie rozumiał dlaczego.

– Kłamca – powtórzył już ciszej, i wtedy otworzyły się drzwi. Stała w nich Rosie, a u jej boku Michiel Lindeman, prawnik, z którego usług Jansen korzystał od ponad dekady.

Uśmiechnął się do swojej córki. Trzydzieści dwa lata, jej matka dawno temu zniknęła z ich życia, wyjechała z Holandii, w każdym razie tak wszyscy uważali. Rosie nigdy go nie opuści. Trwała przy boku swojego staruszka nieustępliwie, i to od czasów, gdy była nastolatką. Ze wszystkich sił starała się utrzymać to, co zostało z jego imperium, korzystając z połączenia siły i perswazji, której latami uczyła się od niego. Odziedziczyła po nim ciężką budowę ciała i poglądy. Wielka, uśmiechnięta, głośna kobieta, która nigdy nie przebierała w słowach. W przeciwieństwie do Michiela Lindemana, szczupłego, ponurego amsterdamskiego adwokata w średnim wieku, który dorobił się sławy i majątku, reprezentując bandziorów, których nikt inny nie ośmielił się tknąć.

– Michiel, wyjdę dzisiaj? – spytał Jansen, patrząc, jak siadają.

– Tyle już nas to kosztowało... – wtrąciła Rosie, zerkając na prawnika. – Jeśli tata dziś nie zje kolacji w domu, poproszę o wyjaśnienia.

Lindeman zajął twarde krzesło delikatnie, jakby się bał, że mebel może uszkodzić jego szczupłą, rachityczną postać. Gra. Ten twardy, pamiętliwy człowiek był niezniszczalny. Wielu już się o tym przekonało.

– No? – ponaglił Jansen, nie uzyskawszy odpowiedzi.

– To zależy od sądu. Nie ode mnie.

Sądząc z głosu, Lindeman zawsze był znudzony. Dziwne, jeśli wziąć pod uwagę pieniądze, które inkasował za każdą minutę swego czasu.

– Mamy oświadczenie Jaapa Zeegera – powiedziała Rosie. – Podpisane pod przysięgą. Klaas Mulder wymusił na nim te wszystkie bzdury. Groźbami. Biciem.

– Za czasów Vosa żadne takie gówno by się nie zdarzyło – burknął Jansen. Lindeman się roześmiał.

– Vos by cię po prostu dopadł. Ciesz się, że zwariował, zanim zdążył to zrobić.

Theo Jansen kiwnął głową. Zanim Michiel Lindeman poszedł na swoje, był starszym partnerem w jednej z największych w mieście kancelarii. Wraz z samym Wimem Prinsem, nowym wiceburmistrzem. Człowiekiem, który zajął ten fotel, obiecując porządek w Amsterdamie. To czyniło Lindemana jeszcze wartościowszym.

– Wyciągnij mnie stąd – powiedział Jansen. – Umów mi spotkanie ze swoim starym kumplem Prinsem. Możemy uporządkować to i owo. Wypracować kompromis. On wie, że nigdy nie ustąpimy. Powiedz mu, że Holendrowi może zaufać. Razem wypędzimy z miasta tego surinamskiego gnoja. I znowu będzie spokój.

Lindeman pokręcił głową i westchnął.

– Jesteś przestępcą, Theo. Wim Prins nie może strzelić palcami i wyciągnąć cię z więzienia. Nawet gdyby mógł...

Zamilkł.

– To co?

Lindeman spojrzał na Rosie Jansen.

– Powiedz mu – polecił.

Rosie, nie wiedzieć czemu, sprawiała wrażenie skrzępowanej.

– Zaszło wiele zmian, tato. To, co należało do nas... w niektórych

wypadkach już do nas nie należy. Staralam się, jak mogłam. Nie jestem tobą. Połowa naszych ludzi to teraz ludzie Menza. A ci, którzy do niego nie przeszli, nie żyją albo zniknęli.

– Nie wszyscy. Muszę pogadać z ludźmi w więzieniu. Nie siedzę tam sam.

– Ludzie w więzieniu to kłamliwe dziwki – syknęła. – Ich plugawe usta mówią to, co każe im Menzo.

Jansen czuł, że wzbiera w nim wściekłość.

– Odzyskam to, co straciliśmy. Co to dla mnie?

Adwokat rozejrzał się po pomieszczeniu, wskazał palcem ciemne kąty.

– Widzisz, Theo. Cały ty. Najpierw gadasz, potem myślisz. A jeśli tu jest podsłuch?

Jansen poruszył się na krześle, poczuł, że jego wielkie ramiona szykują się do walki jak przed laty.

– Jeśli nawet podsłuchują prywatną rozmowę obywatela z jego adwokatem, to i tak nie zrobią z tego użytku. Nie po to ci płacę, żebyś mnie obrażał.

W pomieszczeniu nie zainstalowano oczywiście żadnego podsłuchu. To był Amsterdam. Sąd. Tu wszystko odbywało się jak należy. Pełna ostrożność. Wszystko zgodnie z prawem. Po holendersku.

– Płacisz mi za to, żebym cię stąd wyciągnął – odparł adwokat. – I żebyś tu nie wrócił. Jeśli choćby przez myśl im przejdzie, że wybuchnie jakaś wojna, nie wypuszczą cię.

– Jestem niewinny! – Jansen walnął ciężką pięścią w stół. I ciszej dodał: – W każdym razie nie zrobiłem tego, za co mnie uwalił ten dupek Mulder.

Rosie Jansen wyciągnęła rękę i delikatnie dotknęła jego zaciśniętych palców.

– Wiemy, tato. Oni też wiedzą. Chcę, żebyś wrócił do domu. Żebyś tam został. Twój czas minął...

– Minął?

Już kiedyś to omawiali. I zawarli umowę. Teraz to zrozumiał.

– Legalnych interesów masz tyle, że możesz resztę życia spędzić w dobrobycie – powiedział Lindeman beznamietnym, zmęczonym głosem. – Bogato i bezpiecznie. Oświadczenie Zeegera nie czyni cię niewinnym. Szczyt

naszych możliwości to zwolnienie za kaucją z powodu bezpodstawnego wyroku, nic więcej nie osiągniemy. Musisz im dać coś, co pozwoli nam wygrać apelację. Chcę móc powiedzieć od siebie, że wycofałeś się z De Wallen. I tak Menzo przejął większość biznesów, które tam prowadziłeś...

– Ukradł! – wrzasnął Jansen. – Wykradł je za moimi plecami, gdy ja gnilem w więzieniu na podstawie sfigowanych...

– To nieważne – przerwała mu córka. – To już się stało. Nie możesz cofnąć czasu. Nikt nie może.

– Rosie, jestem twoim ojcem. Nie znasz mnie?

Jej ciepła dłoń zacisnęła się na jego palcach. Ciemne oczy lśniły, patrząc na niego błagalnie.

– Nie możesz. Jeśli spróbujesz, wrócisz za kratki. I niewykluczone, że ja też. Teraz mamy na karku nie tylko Wima Prinsa. Rząd też daje nam po głowie. Już nie odpuszczą tak jak kiedyś.

– Daj im trochę kasy. To zwykle działa.

Lindeman pokręcił głową.

– Przez te dwa lata wiele się wydarzyło. Odkąd poszedłeś siedzieć, zmieniła się partia. Zmieniły się nastroje. Nie tylko w radzie miasta. Świat, w którym dorastaliśmy, przestał istnieć. Jesteś dinozaurem, Theo. Lepiej zejść z drogi komecie, zanim uderzy.

Jansen zamrugął oczami.

– Myślisz, że się tak po prostu zwinę i zostawię wszystko Jimmy’emu Menzowi?

Lindeman wzruszył ramionami.

– Jeśli chcesz iść do domu i mieszkać ze swoją córką. Cieszyć się swoimi pieniędzmi... Zapomnij, jak było kiedyś. Te czasy minęły raz na zawsze.

Rosie uśmiechnęła się do niego, a wyglądała przy tym tak samo, jak w wieku pięciu czy dziesięciu lat. Jego córka zawsze umiała owinąć go sobie wokół palca i doskonale o tym wiedziała.

– To przyszłście mi powiedzieć? Że jestem stary i wypadłem z interesu?

– Mniej więcej – przyznał Lindeman. – Jestem adwokatem. A nie cudotwórcą.

Czekali, aż coś powie.

– Zastanowię się.

Rosie już się nie uśmiechała.

– Powiedziałem, że się zastanowię – powtórzył Jansen.

– Tato, dzisiaj przed południem odbywa się posiedzenie sądu. Zanim się zaczniesz, chcę usłyszeć twoją odpowiedź.

– Sąd musi wiedzieć teraz – dodał Lindeman. – Oświadczenie. Do...

– Jakiś kawałek papieru? – warknął Jansen. – Mam to podpisać? Ja, Theo Jansen, zrzekam się wszelkich praw...

– Nie mamy żadnych praw. – Rosie mówiła teraz surowym, podniesionym głosem. – Nic nie mamy. Spieprzyliśmy sprawę. Postarajmy się wyjść z tego chociaż z odrobiną godności.

Jej poważne ciemne oczy wypełniły się łzami, a z tym Jansen nigdy sobie nie radził.

– Chcę, żebyś wrócił do domu – powtórzyła raz jeszcze, łagodnie i miękko, co stało w sprzeczności z jej wyglądem. – Chcę, żebyśmy razem cieszyli się tym, co mamy. Domem w Hiszpanii, który kiedyś kupiłeś. Nigdy tam nie pojechaliśmy. Ani razu. Na tyle rzeczy nie mieliśmy nigdy czasu...

Jansen opadł na oparcie krzesła, spojrział w sufit, potem na ponure ściany bez okien. Oczyma wyobraźni ujrzał miasto na zewnątrz. Kwiecień. Niedługo będą młode śledzie. Mógłby kupić piwo w barze, pójść na stragan nad kanałem, pomajtać nad ustami kawałkiem surowej ryby, przełknąć ją jak pelikan, tak jak to robił, gdy Rosie miała kilka lat, a on chciał ją rozbawić. W Amsterdamie nikt się tak nie zachowywał. Tak pospolicie. Ale on już taki był. A ona wtedy zawsze się śmiała. I niczego więcej nie potrzebował.

Wolność jest czymś namacalnym. Ma swój smak. Można jej dotknąć, powąchać ją. Piętnastoletni wyrok, dziesięć lat za kratkami, jeśli szczęście dopisze, to nie jest po prostu kara – to swego rodzaju egzekucja, okrutna i rozmyślna.

– Musisz odpowiedzieć teraz – nie ustępowała Rosie. – Michiel musi im to przekazać. Jeśli się tam nie pojawi, nie będzie posiedzenia. Wrócisz do więzienia. A ja wrócę do domu sama. Tato, jeśli nie dla siebie, zrób to dla mnie, dobrze?

6

Łódź liczyła sobie trzydzieści lat, miała podłączony prąd, linię telefoniczną, wodę i kanalizację. Nieruchomy, gnijący drewniany kadłub na kanale, którego nazwę miejscowi skracali z Prinsengracht do Prinsen, nieopodal mostu Berenstraat.

– Ja bym nie mógł tak mieszkać – powiedział de Groot, schylając głowę, by wejść pod pokład. Za oknami widział róże, chryzantemy i trochę warzyw w doniczkach i podniesionych grządkach. Żadna z roślin nie olśniewała kondycją.

– Co u Marii? – spytał Vos, przypomniawszy sobie cichą, nieśmiałą żonę szefa.

– Świetnie. Zastanawia się, czemu już nie przychodzisz.

Tłumaczył mętnie, że jest zajęty. De Groot rozejrzał się po chaosie panującym we wnętrzu łodzi. Popatrzył na pudła z narzędziami na podłodze, plakaty rockowe zasłaniające łuszczącą się farbę na drewnianych ścianach i uniósł brew. Następnie podążył za Vosem do starego sosnowego stołu i usiadł przy nim.

– Czym dokładnie zajęty? Nieważne. Chcę, żebyś wrócił. Możesz być znowu brygadierem. Płacą teraz odrobinę lepiej. Niewiele...

– Co się stało?

Skąpe szczegóły. Poprzedniego wieczoru przed domem Wima Prinsa zostawiono miniaturową kartonową trumnę. Dom znajdował się w jednej z droższych *hofjes* kilometr na północ, w pobliżu Willemstraat. Zabytkowa porcelanowa lalka. Kosmyk włosów. Plama krwi.

– Jak chcą odebrać pieniądze? – spytał Vos, mimowolnie zainteresowany.

De Groot wyjął z kieszeni płaszcz zdjęcie.

– Prawdę mówiąc, nie chcą pieniędzy. Lalka miała w ręku kartkę. Napisana na komputerze, żadnych odcisków palców.

Jedna linijka, wielkie litery, duża czcionka.

„Miłość kosztuje, Wim. Czas na rozliczenie”.

– Co jeszcze? Dzwonili?

De Groot pokręcił głową.

– O to właśnie chodzi.

– Wim Prins nie kocha swojej córki. To ćpunka. Powód do wstydu. Gdyby chcieli pieniędzy, porwaliby dziecko, którego rodzice by się przejęli.

– Wiem, że go nie cierpisz. To, co zrobił z Liesbeth...

– Nie w tym rzecz. Katja jest młodszą wersją swojej matki, a Bóg jeden wie, ile ona przysporzyła mu kłopotów. – Strasznie było to mówić. Nawet tak myśleć. Ale tak przedstawiała się prawda. – Bea Prins popełniła samobójstwo, prawda? Przynosiła mu wstyd, i córka też. Prins to człowiek z ideami. Człowiek z misją. Dzisiaj sprząta Amsterdam. Jutro cały kraj. Martwa żona i zaginione dziecko dodałyby mu wiarygodności.

De Groot zabrał zdjęcie.

– To nie w porządku. I nieprawda. Z tego co słyszałem, De Nachtwacht nie radzi sobie najlepiej. Łatwo być świętoszkiem, kiedy nie masz władzy. W praktyce trudniej. Jego koalicja drży w posadach. Własna partia jest pełna obaw. Moim zdaniem przed jesienią to wszystko się sypnie.

– Gównu mnie obchodzi polityka. A dlaczego nie ma go teraz na komendzie? Dlaczego na ciebie nie krzyczy, żebyś coś zrobił?

– A kto mówi, że go nie ma?

Vos się roześmiał.

– Wim Prins nie chciałby mojego powrotu. Nie on cię tu przysłał.

Na to nie padła żadna odpowiedź, co było wystarczająco wymowne.

– Nie możesz ignorować tych podobieństw.

Vos pokręcił głową.

– Jakich podobieństw?

– Lalka! Prins dostał lalkę!

– A dostał zdjęcie domku Petronelli Oortman?

De Groot wyrzucił ręce do góry w desperacji.

– Na miłość boską, ty ciągle o tym? To była tylko grafika, którą ten łajdak przysłał jako dowcip czy coś w tym rodzaju. Dlaczego marnujesz tyle czasu, gapiąc się na jeden eksponat w muzeum? To przecież się dzieje naprawdę. Córka Prinsa zaginęła. Nie jakaś gablotka, tylko żywy człowiek.

Vos zaczął przesiadywać w Rijksmuseum, kiedy wyleciał z roboty. Taki rytuał. Wypełniacz dnia. De Groot miał rację. To był tylko rysunek, który przysłano z lalką, z krwią Anneliese i kosmykiem jej włosów. Kolejny

niepowiązany trop pośród tylu innych. Z jakiegoś powodu – najprawdopodobniej z powodu załamania – Vos nie mógł się pozbyć z głowy obrazu tego domku z jego maleńkimi pomieszczeniami i uwięzionymi w nich delikatnymi postaciami.

Tysiące razy wałkował sprawę córki. Krótco pracował nad nią jako funkcjonariusz policji, a później, w zaciszu łodzi w Jordanie, analizował ją bez końca. Chyba coś – sen, wódka albo skręt – ucięło niekończące się pasmo analiz i zagadek. Przy długim oknie na przyulicznej burcie stało jej zdjęcie. Obok plakatów paru koncertów, na które poszedł do Melkwegu.

Sięgnął po zdjęcie.

Anneliese sama, jedząca lody w parku. Odrobina spadła na jasnoniebieską sukienkę. Wyglądała ślicznie, jak to dziecko. Trochę jak lalka. Ale teraz jej oczy wydawały mu się puste. Uśmiech trochę wymuszony. To właśnie czas robił z człowiekiem. Podobne myśli w ogóle nie przychodziły mu do głowy wtedy, gdy zdjęcie zostało zrobione, w ciepły czerwcowy dzień niedługo przed jej zniknięciem.

Vos odstawił zdjęcie na półkę. De Groot chyba poczuł się zakłopotany.

– Nie wiemy, co się stało. Nigdy...

– Wysłał ci taką samą lalkę!

Przeblysk wspomnień: siedział przy biurku na Marnixstraat po ciągnącym się w nieskończoność tygodniu pracy po szesnaście godzin dziennie. Musiał odbierać szalone telefony od Liesbeth pytającej, gdzie może być Anneliese. Właśnie skończyła szesnaście lat. Nigdy nie spóźniała się po szkole do domu, w każdym razie nie bez uprzedzenia.

Jeden z ówczesnych aspirantów, nieśmiały młodzian o imieniu Oscar, przyszedł z kartonowym pudełkiem. Na wierzchu czarnym mazakiem niezdarne narysowano wieko trumny. Na pokrywce znajdował się wydrukowany rysunek przedstawiający domek Petronelli Oortman i nic więcej. Vosteraz niemal widział, jak otwiera pudełko. W środku lalka. Włosy. Plama krwi. Pod fartuszek wsunięto zdjęcie jego córki, przerażonej, na czarnym tle, z ustami zaklejonymi srebrną taśmą.

– Wtedy nie wiedziałem, co się dzieje – powiedział Vos. – Nie miałem pojęcia, czy to szaleniec, czy jakiś gangster w rodzaju Thea Jansena przysyła

mi ostrzeżenie...

– Jansen nie zabijał dzieci. – De Groot pokręcił głową.

– Nie znalazłem ciała, Frank. Niczego nie znalazłem.

De Groot zamknął oczy.

– To prawda – szepnął. – Przepraszam.

Słabiutka nadzieja, próżne marzenie. Przez trzy miesiące przetrząsali miasto, tereny Menza, tereny Jansena, nękali handlarzy żywym towarem, każdego, kto przyszedł do głowy Vosowi. Anneliese zniknęła bez śladu. Vos czuł, że jakiś wewnętrzny głos, jakiś instynkt powinien mu powiedzieć, czy ona żyje, czy nie. Ale tego też nie było. Po prostu... po prostu zniknęła.

– Menzo mógł to zrobić – podsunął Vos, mało przekonująco.

– Wtedy Jimmy Menzo za mało znaczył, żebyśmy na niego zwracali uwagę – odparł de Groot. – To musiał być... jakiś szaleniec. Nie twoja wina, że go nie dopadłeś. Niczyja wina.

Vos skrzyżował ramiona na piersi i milczał.

– Dobra – przyznał de Groot. – Tego też nie wiem. Kompletnie się wtedy pogubiliśmy. Wszyscy.

Tamten ponury okres zostanie w nim na zawsze. Liesbeth z każdym dniem pogrążająca się coraz bardziej w szaleństwie. Oskarżająca go, że to jego wina, że to przez jego nękanie miejskich gangów. Wyrzucała z siebie tajemnice, których nie chciał poznać.

Vos tyle razy prosił ją o rękę. Ona zawsze odpowiadała: „Po co? Czego nam brakuje do szczęścia?”.

Kiedy Anneliese zniknęła, w końcu się wyjaśniło. Liesbeth nigdy naprawdę do niego nie należała. Co gorsza, on nigdy nie należał do niej, i to ciągle bolało.

Nikt nawet się nie zbliżył do wyjaśnienia sprawy. Oni dwoje się rozstali, każde poszło swoją drogą, każde w swój rodzaj szaleństwa. Ona szybko wyszła za Wima Prinsa. Vos pogrążył się w apatycznej, skromnej samotności na zaniedbanej łodzi w Jordaanie, przerywanej tylko wyprawami do Rijksmuseum, by wpatrywać się w domek dla lalek Petronelli Oortman, jedną bezsensowną godzinę po drugiej, czasami szedł na ogłuszający koncert w Melkwegu, wieczory zaś zwykle spędzał samotnie w Drie Vaten.

A w posępne noce zapijał się do nieprzytomności na łodzi, wciągając gęsty ciemny dym najmocniejszego zioła, jakie zdołał zdobyć. Próbował wymazać z pamięci coś, czego nawet nie umiał nazwać.

– Katja nienawidzi Liesbeth za to, że wyszła za jej ojca – chciał przekonać sam siebie. – Że zajęła miejsce jej zmarłej matki. Z tego co pamiętam, jest uzależniona od heroiny. To kolejny numer, by wyciągnąć od niego pieniądze.

– Narkotyki – powiedział de Groot głucho, rozglądając się po łodzi. – Straszna rzecz. A jeśli nie masz racji?

Vos się skrzywił.

– No, to nieważne, prawda? Ja już nie pracuję w policji, pamiętasz? To nie moja sprawa.

– Niech to będzie twoja sprawa. Przyjdź na komisariat i pogadamy. Trzeba tylko przejrzeć trochę dokumentów. Do jutra się z tym uwiniesz. Nie oszukujmy się. – Rozejrzał się po zapuszczonej łodzi. – Pieniądze ci się przydadzą. Marnujesz tu życie.

Vos pomacał pudełko z limburgerem. Cuchnęło.

– Zastanawiałem się, czy aby nie otworzyć sklepu z serami.

Frank de Groot ryknął śmiechem.

– Ty? Sklep z serami? Jakby na Jordaanie potrzebowali kolejnego. Błagam...

– Frank. – Vos wyciągnął rękę i dotknął ramienia de Groota. – Mało się nie wykończyłem. Przez jakiś czas nie wiedziałem, kim jestem. Gdybym nie znalazł jakiegoś azylu... Takiego jak tu...

Na twarzy komisarza nagle pojawił się gniew.

– Myślisz, że nie zauważyłem? Że lekko mi przychodzi taka prośba? Nie byliśmy jakimiś tam kolegami z pracy. Byliśmy...

– Gdyby Liesbeth zadzwoniła do ciebie z gabinetu wiceburmistrza, zrobiłbyś, co by ci kazała. Nie miałbyś wyboru.

Frank de Groot zaklął. A potem uśmiechnął się szeroko.

– Bystrzacha jak zawsze. A ja myślałem, że może jaranie całkiem cię ogłupiło.

Cisza.

– To żadna tajemnica, Pieter. Ludzie cię widzieli w tym coffee shopie tu

przy ulicy.

– Jestem mieszkańcem Amsterdamu. Pełnoprawnym. Wszystko odbywa się zgodnie z zasadami. Ale jeśli chcesz znać prawdę... – Vos nie cierpiał tego zubożenia, jałowości, którą czuł po trawie. – Nie pomaga.

– Jeśli do nas wrócisz, nie chcę, żebyś palił to gówno. Chcę... – Pochylił się do przodu, postukał Vosa w czaszkę przykrytą długimi brązowymi włosami. – Wszystkiego, co tu jest.

– Nie.

– Błagam.

– Za godzinę na Marnixstraat – ustąpił Vos. – Ta twoja dziewczyna. Bakker...

– Co z nią?

– Wydaje mi się jakaś spięta. Czemu?

– A ty w pierwszej robocie nie byłeś spięty?

Vos pokręcił głową.

– Nie. A czemu miałbym być?

– Pół nocy czytała akta sprawy Anneliese na komisariacie. Czytała o tobie. Jak na mój gust, przepełnia ją nabożny podziw. – Stęknął. – I martwi się. Jej okres próbny dobiega końca. Czekają ją ocena służby. – Wzruszenie ciężkich ramion. – Nie zostanie.

Vos czekał.

– Amsterdam to nie jest miejsce dla niej – dodał de Groot. – Dziecko rolnika z Fryzji, które pojawiło się tu z walizką fatalnych ciuchów i z osobliwym nastawieniem.

Czegoś brakowało.

– Dlaczego więc przyjechała?

De Groot jęknął, niskim, znużonym głosem.

– Straszna historia. Jej rodzice... zginęli w wypadku samochodowym. W Boże Narodzenie, w drodze z kościoła... Pewnie jechałyby z nimi, ale odbywała bezpłatny staż na posterunku w Dokkum. – De Groot wzruszył ramionami. – Pijany kierowca. Była w radiowozie, który przyjął wezwanie. Widziała ich.

– Jezu – szepnął Vos.

– Potem powiedziała w Dokkum, że chce wstąpić na służbę. Tutaj, nie tam. Myślę, że to dziecko ma poczucie misji, a to nigdy nie jest dobry pomysł.

Vos jęknął i przyłożył rękę do czoła.

Kroki w ciężkich butach na schodkach prowadzących pod pokład. Wiedział, co zobaczy. Laurę Bakker i Sama dyszącego na smyczy. Rozmyślnie tupiała w deski. Tego był pewien. Wcześniej zdołała przemknąć na łódź tak, że jej nie zauważyli. Vos nie miał pojęcia, jak długo tu stała i ile udało jej się usłyszeć.

– Nie jestem dzieckiem – oświadczyła swoim monotonnym, nadąsanym głosem z Północy.

– Pewnie, że nie – odparł Vos. – Zaprowadzimy Sama do Drie Vaten. Do baru na rogu. Tamtejsza gospodyni się nim zajmie. I...

Podniósł się i znalazł torbę z praniem.

– ...i zostawię jej to.

– W barze robią panu pranie? – spytała Bakker.

– To tylko tymczasowe rozwiązanie – odrzekł Vos. Wstał i uśmiechnął się, zauważył, że to odrobinę skruszyło lód. Ruchem rąk zagonił do wyjścia de Groota, a potem ją. – Spokojnie. Przyjdę. Rzucę okiem na tę twoją lalkę.

Miriam Smith wyprowadziła młodziaków z De Wallen na spokojniejsze, zamożniejsze ulice Grachtengordel – rejonu opleczonego kanałami. Mijali imponujące rezydencje, obecnie zaadaptowane na mieszkania albo hotele dla bogatszych gości. Był zwyczajny amsterdamski wiosenny poranek. Chłodno. Na niebie blade słońce ustępowało przed niemrawym deszczem. Mieszkańcy na rowerach, z pochylonymi głowami pedałowali miarowo w drodze do swojego celu. Turyści zwiedzali – na piechotę, na wynajętych rowerach – włączając pod nogi.

Zapach chleba i ciastek z piekarni. W barach piwo podawane pierwszym spragnionym klientom. Od czasu do czasu ostry organiczny zapach trawy w powietrzu.

Kazała im nieść broń w czarnej torbie podróżnej, i teraz szli i szli, minęli Herengracht, Keizersgracht i Prinsengracht, weszli na tłoczny plac Leidseplein, gdzie pierwsi turyści już wylegli raczyć się swoimi heinekenami i skrętami.

– Moglibyśmy pojechać tramwajem – jęknął Czerwony.

Kopnęła wielką torbę, którą niósł.

– Doskonały pomysł, synu. Gliny od czasu do czasu sprawdzają takie torby. Czy wy się jakoś nazywacie?

Nie odpowiedzieli, a gdy się im przyjrzała, zrozumiała dlaczego. Nie znali się przed spotkaniem u Menza dzisiaj rano. I za sprawą dziwnej męskiej dumy żaden nie chciał spytać o imię pierwszy.

Przy wąskiej ulicy znajdowały się indonezyjskie restauracje i bary sushi, knajpki i maleńkie coffee shopy ozdobione rastafariańską flagą i wizerunkiem liści konopi.

Weszli do trzeciego z kolei. Wysoki Antylczyk za barem, na głowie afro, włóczkowa czapeczka. Nic nie powiedział. Tylko przyciszył reggae. Wyprowadził ich na Prinsengracht, nad jeden z trzech miejskich wielkich kanałów otaczających De Wallen; nad zewnętrzny, zamykający pas Amsterdamu, przecinający wszystko, co miasto miało do zaoferowania, bogactwo i ubóstwo, brud i przepych.

Po drugiej stronie wznosiły się wysokie domy z żurawiami na szczytach

gotowymi wciągnąć meble. Po płytach bezsensownie dreptały gołębie. Na wodzie unosiły się łodzie mieszkalne i statki turystyczne. Oraz kilka mniejszych jednostek.

Mężczyzna sprowadził ich po schodkach do zniszczonego bączka, zdjął niebieską plandekę i gestem polecił im wsiąść. Sprawdził silnik zewnętrzny, pokazał im, jak go uruchomić. Szarpnął za linkę i chwilę nasłuchiwał miarowego terkotu, po czym wyłączył maszynę.

Wyjął starą nokię i plan miasta z zaznaczonymi wzdłuż kanału punktami.

– Kiedy zadzwonię pierwszy raz, podpłyniecie tutaj i zaczekacie. Łódka jest mała, woda nisko. Nikt was nie zobaczy. Kiedy zadzwonię drugi raz, ruszacie. – Podał im telefon i plan. – Trzymajcie. – Dwie pary tanich rękawiczek ze skaju. – I założcie to. Broń wrzucacie do kanału. Potem idziecie do miejsca, o którym powiedział wam Jimmy. Tam będzie na was czekała Miriam.

Niebieski wyciągnął wizytówkę z wizerunkiem Poppenhuis.

– No właśnie, bystrzacho. – Miriam Smith uśmiechnęła się szeroko. – Spodoba ci się w Afryce. Stamtąd przecież pochodzimy.

Czerwony coś burknął.

– On stamtąd pochodzi – stuknęła Antylczyka w klatkę piersiową. – Ja. I ty też.

Nie podobało im się to. Surinamskie zakapiory. Z Ameryki Południowej, nie z Karaibów.

– Gównu wiesz o historii – warknął mężczyzna.

– Za to wiem, że jestem głodny – odparł Czerwony.

– Zaczekajcie – poleciała Miriam Smith.

Kilka minut później wróciła z dwiema porcjami frytek sownie polanych majonezem, dwiema puszkami coli i dwoma tanimi składanymi parasolami.

– Trzymajcie – powiedziała, podając im to wszystko. – Nie chciałabym, żebyście zmokli. I zerknijcie tutaj.

Podąa im zdjęcie krzepkiego mężczyzny w średnim wieku, z siwą brodą.

– Kto to? Święty Mikołaj? – spytał Czerwony.

Miriam Smith roześmiała się ubawiona.

– Właśnie. Ale to wy macie prezent dla niego.

8

Na pomysł De Nachtwacht Wim Prins wpadł przed rokiem, kiedy myślał o mandacie radnego i szukał chwytliwych haseł. Do głowy mu nie przyszło, że zdobędzie większość, nie mówiąc o fotelu przewodniczącego. Ale nastroje się zmieniły. Surowość i powszechna niechęć do starych partii dały się ugrupowaniom mniejszościowym wcześniej skazanym na pokrzykiwanie na marginesach.

On robił za Pana Propera. Nową miotłę, która miała uprzątnąć miasto. Własna przeszłość – żona, którą zabrały narkotyki, córka, która popadła w to samo uzależnienie – raczej mu wizerunkowo pomagała, niż szkodziła.

Oto ktoś, kto poznał cenę liberalności Amsterdamu. Dzięki hasłom walki z przestępczością i z narkotykami natychmiast trafił na pierwsze strony gazet. To połączenie uderzało we właściwą strunę. A teraz był u władzy, i to dzięki umowie z Partią Niepodległości Margriet Willemsen.

Nie. Nie z partią, z nią samą. Trzydzieści dwa lata, skwapliwy uśmiech, krótkie czarne włosy ostrzyżone na eleganckiego boba, czujne kobaltowe oczy, jasna, uważna twarz, może nie piękna, ale przykuwająca uwagę. Urodzony przywódca. Najpierw Prins nie pojmował, dlaczego nigdy nie dołączyła do żadnej większej partii. Dzięki temu już dawno znalazłaby się w parlamencie. Później, gdy już pracowali razem, by dopiąć koalicję, zrozumiał. Pod beznamietną powłoką polityka płonęły żelazne, osobiste ambicje.

Oczywiście De Nachtwacht natrafiała na przeszkody. Zaliczał się do nich Alex Hendriks, szef biura rady miejskiej.

Spędził z Margriet Willemsen godzinę przy stole konferencyjnym w gabinecie Prinsa, analizując początkową fazę planu.

– Mamy zastrzeżenia od sprzedawców, stowarzyszeń restauratorów, kilku grup miejscowej społeczności – powiedział Hendriks. – Niektórzy nasi radni mają wątpliwości.

Był niskim, niespokojnym, podejrzanie zachowującym się mężczyzną, zawsze bawił się laptopem albo iPadem, albo którymś z trzech telefonów, które wiecznie nosił przy sobie, nieustannie je sprawdzając.

– Im mniej pieniędzy ludzie wyrzucają na narkotyki i kurwy, tym więcej

mają, by wydać na coś innego. – Margriet Willemsen nie przestawała się uśmiechać.

Hendriks pokręcił głową.

– Nie wszyscy tu przyjeżdżają obcować z kulturą. Przyjeżdżają po...

– To są ludzie, bez których możemy się obejść – przerwał Prins.

– Nie jestem tego pewien – ciągnął Hendriks. – Organizacje handlowe obawiają się, że liczba turystów spadnie o dwadzieścia, trzydzieści procent. To wielkie pieniądze. Ludzie nie kupią jedzenia, napojów. Ubrań. Pamiątek. Nękać swoich radnych. Waszych radnych.

– Pomyśl o tych wszystkich, którzy przyjadą zamiast nich – odparł Prins. – O lepszych ludziach. Bogatszych.

Hendriks nie ustępował.

– Oni nie pójdą do De Wallen. Po co? Pooglądać zamknięte coffee shopy? Puste kabiny bez dziewczyn? Mówimy o centrum miasta. Możesz je wykończyć...

– Jeśli ty tego nie zrobisz, znajdziemy kogoś innego – przerwała Margriet Willemsen. – Wygraliśmy wybory...

– Nikt wam nie dał prawa wszystkich wkurzać – warknął Hendriks. – Zróbcie to, a was wykończą. O ile Theo Jansen czy ten łajdak Menzo nie zrobią tego pierwsi.

Uśmiech nigdy nie schodził z jego twarzy.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Że musimy się oglądać na bandytów?

Hendriks nie odrywał wzroku od Wima Prinsa.

– Stanowisz zagrożenie dla ich imperium. Jak to sobie wyobrażasz? Nie będą siedzieć z założonymi rękami.

– Nie będą mieli wyboru – odparł Prins. – Dzisiaj rano rozmawiałem z Marnixstraat. Po południu wypuszczają Jansena. Rzucają się sobie z Menzem do gardeł. O nas w ogóle nie pomyślą. Rozstrzygną to między sobą, a my posprzątamy ciała, jak już będzie po wszystkim. To idealna, niepowtarzalna okazja, żeby się pozbyć śmieci...

– A co z twoją córką? – spytał Hendriks.

Blada twarz urzędnika po raz pierwszy nabrała koloru.

– Nie tylko ty rozmawiasz z Marnixstraat – dodał Hendriks. – Martwią się

jak cholera twoimi żadaniami. Mówią...

– Moja córka to moja sprawa. Nie twoja. Margriet ma rację. Jeśli uważasz, że nie możesz realizować uzgodnionej polityki rady, powinieneś zrezygnować. Jeśli chcesz, przygotujemy odprawę.

Zdaniem Prinsa Hendriks w głębi duszy był tchórzem. Teraz nadszedł moment, by to sprawdzić.

– Płacą mi, żebym służył wam poradą, bez względu na to, czy chcecie jej wysłuchać, czy nie.

– Dziękuję – odparł Prins. – Wysłuchaliśmy jej. A teraz zechcesz może zrobić to, o co prosiliśmy?

Pierwsza faza była niemal gotowa. W ciągu miesiąca miasto nada urzędnikom, którzy zwykle zajmują się wykroczeniami, uprawnienia, na mocy których będą mogli wkraczać do coffeeshopów i dokonywać aresztowań. Będą mogli wyłapywać sutenerów, dziwki i dilerów, wzywać policję i przekazywać ich funkcjonariuszom.

Hendriks wciąż stukał w stół swoim piórem. Ale nie zaczął jeszcze notować, i to było znaczące.

– To nieuzbrojona armia ludzi, którym płacimy za wręczanie mandatów za parkowanie. Wy chcecie, żeby nękali przestępców na ulicach.

– To teraz ich nowy zakres obowiązków – nie ustępował Prins.

– A jeśli któryś z nich zostanie poturbowany? Albo zabity?

– To zabierzemy się za problem bardziej stanowczo – odparła Willemsen.

– Czy tu w ogóle jest jeszcze o czym mówić? – spytał Prins, zerkając na zegarek.

Margriet Willemsen pokręciła głową.

Alex Hendriks zgarnął swoje trzy telefony, wsadził iPad pod pachę i wyszedł.

9

Na Marnixstraat nic się nie zmieniło. Gabinety, przestrzenie biurowe. Wreszcie wydział zabójstw ze swoimi rzędami biurek, raportami i zdjęciami na ścianie, detektywami, w większości płci męskiej, nieustannie pracującymi komputerami i telefonami.

Znajome twarze. Koeman ze smętnym brązowym wąsem, zerkający na przechodzącą Laurę Bakker, tak samo jak na każdą policjantkę, czy to ślicznotkę, czy nie. Chudy, żalony Rijnder silący się na uśmiech. Van der Berg, towarzyski biurowy pijak, na widok Vosa wzniósł w toaście wyimaginowaną szklanę.

Pełen werwy, odważny człowiek, niedoceniony.

– Witaj, szefie! – krzyknął, gdy Vos podszedł bliżej. – Ty stawiasz.

Vos uśmiechnął się, podniósł wyimaginowane piwo, nic nie powiedział.

Dalej Klaas Mulder, z rękoma na biodrach, oparty o drzwi sali odpraw.

Starannie ułożone cienkie blond włosy zrzedły. Twarz pokryła się zmarszczkami, kości policzkowe bardziej wystawały, szare oczy wydawały się bardziej zmęczone. Kiedy Vos był brygadierem, Mulder miał tę samą rangę. Zawsze uważał, że konkurują ze sobą. Nie nadawał się do mozolnego zbierania informacji. Po odejściu Vosa awansował na nadinspektora, zastępcę de Groota; wziął się za wątpliwą sprawę przeciwko Jansenowi i rozdmuchał ją tak, że boss największego gangu w Amsterdamie trafił do więzienia na podstawie niejasnych i chyba naciąganych zarzutów o pranie pieniędzy.

W owym czasie Vos tkwił w swoim szaleństwie. Ale pewnego dnia, kiedy czuł się na siłach, minął coffee shop oraz bar i poszedł do biblioteki, żeby przeczytać wszystkie doniesienia prasowe na ten temat. Władze miasta pewnie zachwyciły się każdym zarzutem, dzięki któremu Jansen trafi do więzienia. Ale jemu to się nie podobało. A teraz główny świadek wycofywał zeznania. Nic dziwnego, że uśmiech Muldera wyglądał nieszczerze.

– Pieter. Dobrze, że wróciłeś na swoje miejsce. – Nadinspektor wyciągnął rękę i dotknął niechlujnej czarnej kurtki Vosa. – I w tym samym stroju służbowym.

Zanim wstąpił do policji, Mulder mało nie został zawodowym piłkarzem. Grał w Ajaksie. Karierę udaremniło mu niesprawne kolano, a w każdym razie

tak wszystkim mówił. Nie przeszkadzało mu to natomiast w niemal codziennych wizytach w pobliskiej sali gimnastycznej. Twardy, bezkompromisowy samotnik. Chyba cudem tylko unikał do tej pory postępowania dyscyplinarnego w sprawie wyskoków z podejrzanyimi.

– Ja tylko na chwilę – powiedział Vos, po czym minął go i wszedł do sali.

Tam dwie rzeczy zaparły mu dech w piersiach. Duża porcelanowa lalka na stole, dwa razy większa od tej, którą dostał przed prawie trzema laty. I Liesbeth Prins, blada, chudsza niż kiedykolwiek, stojąca w kącie, z ręką przy ustach, wpatrzona w niego.

– Cześć – rzucił. – Gdzie Wim?

– Zajęty. – Jej głos też brzmiał krucho. – Przyjedzie, jeśli będziemy go potrzebować.

– Tu chodzi o jego córkę – wtrąciła się Laura Bakker. – Powinien być tu w tej chwili. Co...?

Vos uśmiechnął się do niej, przyłożył palec do ust, zczekał, aż umilknie.

Podszedł do biurka, wyjął z szuflady rękawiczki jednorazowe i je włożył.

Lalka ciągle znajdowała się w kartonie o kształcie trumny. Zostawiono ją przed domem Prinsa w jednym z piękniejszych jordaanowskich *hofjes* – zacisznym, ustronnym kompleksie domów wzniesionych wokół wspólnego zielonego dziedzińca w pobliżu Noordermarkt. Kamery nagrały postać w kapturze przemykającą do wejścia około dziewiętnastej. Na kartonie nie znaleziono niczego przydatnego. Ani też na lalce, jeśli nie liczyć kosmyka włosów, poplamionego krwią fartuszka i dziwnego liścika: „Miłość kosztuje, Wim. Czas na rozliczenie”.

Karton był prosty i zwykły. Żadnej grafiki przedstawiającej domek Petronelli Oortman.

– Gdzie włosy? – spytał Vos.

– W laboratorium – odrzekł Mulder. – Pół godziny temu przysłali wyniki, potwierdzają, że to włosy córki Prinsa. Podobnie jak krew. – Wysoki detektyw spojrzał na de Groota. – Pracuję nad tą sprawą czy nie?

– Nawet jeszcze nie wiemy, czy jest jakaś sprawa – odparł komisarz. – Spokojnie.

List znajdował się w plastikowej torebce dowodowej. Vos spojrzał na nią

i ściągnął brwi.

– Co? – spytał Mulder.

– Już mówiłem. – Spojrzał na Liesbeth. – Prins nie kocha swojej córki. Prawda?

Przysunęła się o krok. Czuł zapach jej perfum. Tych samych co zawsze.

– To nieprawda – powiedziała. – Katja od paru lat jest dla niego nieustającą udręką. Wim stara się, jak może. Płaci za lekarzy. Płaci, żeby trzymała się z dala od kłopotów. To nie...

– Kocha ją? – powtórzył pytanie.

– Na swój sposób. – Wpatrywała się w niego tymi samymi smutnymi brązowymi oczami. – Nie zrozumiesz. Jeśli coś tu trzeba zrobić...

Urwała.

– Takie lalki sprzedają we wszystkich sklepach z pamiątkami w De Wallen – stwierdził Mulder. – Może pochodzić zewsząd. Dziewczyna pewnie chce mu dokuczyć.

Vos kiwnął głową, spojrzał na figurkę w pudełku. Niezbyt przypominała tę, którą on kiedyś dostał. Ręce w rękawiczkach podłożył pod spód i podniósł ją. Okazała się zdumiewająco ciężka.

– Latarka! – Vos wyciągnął rękę.

Bakker zareagowała natychmiast. Wyjęła długiego policyjnego maglite'a z kieszeni szarych spodni i położyła mu go na dłoni. Vos podniósł fartuszek lalki i poświecił latarką przez półprzezroczysty korpus. Zobaczyli słabo widoczny ciemny kształt.

De Groot zaklął i spojrzał groźnie na Muldera.

– Technicy tego nie sprawdzali? – spytał.

– Ja zdobyłem DNA. Powiedziałeś, że ściągasz Vosa i Prinsa! Czekałem...

– Świetny pomysł – przerwał im Vos i wyłączył latarkę.

Ostrożnie, kawałek po kawałku, rozebrał lalkę. Na karku, obok napisu „Made in China” znajdowało się coś, co wyglądało na mały głośniczek, a obok otwór, który mógłby służyć za mikrofon. Lalka umiała mówić. I odtwarzać zindywidualizowany nagrany komunikat.

Vos delikatnie nacisnął jej brzuch.

Coś chrypnęło. Rozległ się chaotyczny elektroniczny jazgot. A potem

wrzask.

Lalki.

Liesbeth Prins.

Ich obu.

Vos przyłożył ucho do plastikowej głowy i starał się słuchać.

– Tatusiu! Tatusiu! Jezu...

Głos dziewczyny w udręce i bólu. Krzyk. Wrzask bólu.

Powtarzający się refren.

– Pomóż mi! Pomóż mi! Pomóż...

Liesbeth doskoczyła do niego i uderzała go w ramię, krzycząc:

– Wyłącz to, na miłość boską!

Nagranie odtwarzało się w kółko. Teraz znowu było na początku.

Laura Bakker zakrywała dłonią usta, twarz miała niesamowicie bladą. De Groot stał zagubiony i bezradny. Nawet Klaasowi Mulderowi odebrało mowę.

– To Katja? – spytał Vos.

– Tak – odpowiedziała Liesbeth. – Jezu, Pieter, wyłącz to...

– Nie wiem jak.

Rozejrzał się po pokoju, rozkładając ręce.

– Może ktoś z was?

Lalka ciągle skrzeczała.

Mulder podszedł, dotknął czegoś przy uchu. Krzyki ucichły.

– Tam był przełącznik – stwierdził oschle. – Też go widziałeś. Nie udawaj...

– Nie. – Vos powoli kiwnął głową. – Nie widziałem. Wyszedłem z wprawy. Jestem ociężały i głupi. Nie wiem, co tu robię. – Spojrzał na Liesbeth Prins. – Musisz poprosić męża, żeby przyszedł na komisariat. Nieważne, czy to sprawka Katji, czy kogoś innego. Powinien tu być.

Zerwał z dłoni rękawiczki.

– Co teraz? – spytała Bakker.

– Muszę odebrać psa z Drie Vaten. Muszę naprawić łódź. W Melkwegu gra dzisiaj kapela, której chciałem posłuchać...

Ręka na jego ramieniu. Smutne oczy Liesbeth patrzyły na niego.

– Ta lalka jest większa od tamtej, którą ja dostałem – powiedział Vos, rozdrażniony. – Do tej dołączono wiadomość. Do mojej nie. To mógł zrobić każdy, kto przeczytał o tej sprawie w gazetach.

Na jej twarzy nagle odmalował się gniew.

– I zostawił ją przed moimi drzwiami? To ten sam człowiek...

– Tego nie wiesz. Nie możesz...

– Zaginęła młoda dziewczyna. Jezu. Nie słyszysz jej? Nie rozumiesz? Anneliese...

– Anneliese nie ma. Próbowałem, starałem się. Podobnie jak wszyscy policjanci w Amsterdamie. Nie potrafiliśmy jej odnaleźć. Przepraszam. Zrobiłem co w mojej mocy. Nie udało mi się.

W jego głosie pojawił się ostry ton i natychmiast go pożałował.

Kobieta, z którą spędził większość swojego dorosłego życia, którą kochał i po której nigdy się nie spodziewał, że go opuści, wsadziła chudą dłoń do torebki i wyciągnęła zdjęcie. I jeszcze jedno. Vos spojrział na nie. Ich córka na przyjęciu z okazji ostatnich urodzin. Jasne oczy, długie blond włosy, uśmiech na twarzy. A przed nią cała przyszłość.

Na drugim zdjęciu widniała Katja Prins. Rozpoznał ją, chociaż nie widział jej nigdy na żywo, tylko na zdjęciu z jakiejś kolumny plotkarskiej w gazecie.

Martwe oczy, nieruchoma twarz. Ale włosy były prawie takie same i uśmiech... może taki właśnie miałyby Anneliese, gdyby wiedziała. Zrezygnowany, niemal ubawiony, że życie sprowadza się do tego i niczego więcej.

– Jeśli zostawisz Katję, to tak, jakbyś zostawił naszą córkę.

Wszyscy patrzyli.

– Skoro nie zdołałem ocalić Anneliese – Vos słyszał, jak jego własny głos zaczyna pałać gniewem – dlaczego sądzisz, że uratuję kogoś innego?

Interweniował Frank de Groot, wciskając Vosowi do ręki legitymację służbową. Stare zdjęcie. Ta sama ranga. I jakąś kartkę.

– Pozwól, że ja to osądzę – powiedział. – Ściągnę tu Prinsa, choćbym miał go wlec całą drogę. To ostatni znany adres Katji. Jakaś nora w pobliżu Warmoesstraat. Powiedz, kogo mam ci przydzielić do współpracy. Mamy tu dużo roboty, ale wybieraj.

Laura Bakker stała sztywno i nerwowo w swoim niekształtnym szarym ubraniu, smutnymi zielonymi oczami wpatrując się w podłogę.

– Wezmę aspirantkę Bakker.

De Groot zamrugął powiekami. Mulder się roześmiał.

– To poważna sprawa, Pieter – zastrzegł komisarz szorstkim, poirytowanym tonem.

– To prawda – odparł Vos. – Poważna.

Po czym złapał Bakker za ramię i wyprowadził z pokoju.

10

Gdy Hendriks wyszedł ze swoimi dokumentami i gadżetami, Margriet Willemsen wstała i podeszła do okna.

– O co chodzi z twoją córką? – spytała, gdy Prins do niej dołączył.

– O nic.

– Nie wciskaj mi kitu, Wim.

Powiedział jej. Wyraźnie się zmartwiła.

– A jeśli Hendriks ma rację? Jeśli Menzo albo Jansen, albo któryś inny bandzior dobierze się nam do skóry?

– Jansen wychodzi na wolność dziś po południu. Ci dwaj natychmiast rzucą się sobie do gardeł. My dzięki temu będziemy mieli więcej amunicji, by robić to, na czym nam zależy.

– Jaka ona jest? Jaka jest Katja?

– Jeszcze dwa, trzy lata temu była w porządku. Zwyczajna nastolatka. – Wzruszył ramionami. – Trudna. Niezbyt bystra. Nigdy nie mówiła, gdzie idzie. Co robi. Potem... To znowu kwestia jej matki. Bóg mi świadkiem, że się starałem. Jakiś czas temu wysłałem ją do ośrodka...

Żółty Dom. Zapłacił za niego jak za zboże, przez jakiś czas myślał, że jej się poprawia. Potem wróciła do nędznego mieszkanka wynajmowanego przy Warmoesstraat i żyła jak włóczęga.

Willemsen wzięła do ręki jakieś dokumenty, które zostawił Hendriks.

– Nie chcę, żeby nam to przeszkodziło. Już i tak stąpamy po cienkim lodzie.

– Co?

– Hendriks ma rację. Ludzie tchórzą. Może będziemy musieli trochę spuścić z tonu...

– Nie. – Prins nie ustępował. – Nie pozwolę na to.

Uśmiechnęła się.

– Robimy dekonstrukcję dwudziestego wieku. Tworzymy coś na jego miejsce. Nie możesz oczekiwać, że wszyscy bez wahania do nas natychmiast dołączą. Dlaczego mieliby to zrobić?

– Bo mamy rację.

– Racja nie oznacza wygranej...

Prins przymknął oczy. Nadchodził atak migreny.

– Chcę, żebyś pomyślał o swojej córce – powiedziała. – Ta historia wypłynie, nie dziś, to jutro. I nie chcę cię wtedy widzieć takiego jak teraz. Masz sprawiać wrażenie zboląłego. Zatrokanego.

– Jestem zboląły. I zatroskany.

– No więc to pokaż. Jeśli Katja zeszła na złą drogę, to dowodzi, że my podążamy właściwą. Kiedy ona wróci, wykorzystamy to.

Margriet Willemsen podeszła bliżej, dotknęła jego klatki piersiowej bardzo lekko i na ułamek sekundy.

– Znajdą ją. A wtedy zabierz ją z Amsterdamu. Umieść na odwyku w Ameryce czy gdziekolwiek. Żeby miała święty spokój. I my też.

Milczał.

– Rozumiesz mnie?

Dzwonił jego telefon. Spojrzał na ekran: Liesbeth.

– Przestałem się przejmować – mruknął i odebrał.

11

Vos nalegał, żeby na Warmoesstraat udali się rowerami. Jeszcze nie był policjantem, cokolwiek mówił Frank de Groot. Legitymacja spoczywała w jego kieszeni ze względów praktycznych, wyłącznie z tego powodu. Ona też chyba wolała unikać samochodów. W poprzednim tygodniu prowadziła radiowóz, który wszedł w zatarg z tramwajem.

– Tramwaj wygrał – powiedziała z szeroko otwartymi oczami, jakby to ją zaskoczyło. – Komisarz de Groot nie był zadowolony.

– W Dokkum nie ma tramwajów? – spytał Vos.

– Dokkum to najdalej na północ położone miasto Holandii. Wiedziałeś o tym?

Znaleźli zaułek skręcający nad kanał.

– Tramwaje, Lauro. Pytałem o tramwaje.

– Tramwajów nie ma. – Wzruszenie ramion, króciutki chichot, stłumiony przez długie palce przyłożone do ust. – W przeciwnym razie nie walnęłabym w tramwaj tutaj. On po prostu we mnie wjechał! Mówiłam de Grootowi. To nie była moja wina.

Vos zsiadł ze swojego starego roweru. Bez psa mały koszyk na przodzie wydawał się pusty. Zastanawiał się, kiedy przegnie z Sofią Albers, kobietą, która prowadziła Drie Vaten. Piwo i kawa od czasu do czasu wydawały się słabym wynagrodzeniem za opiekę nad psem i pranie.

– Dlaczego wybrałeś mnie? – spytała Bakker. – Nie jestem jeszcze prawdziwym detektywem.

– Odniosłem wrażenie, że jesteś zainteresowana. – Uśmiechnął się. – No i ja też nie jestem prawdziwym detektywem.

Ten żart jej nie rozbawił.

– Jestem aspirantką, Vos. W przyszłym tygodniu mnie zwolnią.

– W takim razie wykorzystajmy ten czas jak najlepiej.

Wyglądało na to, że lubiła szczere odpowiedzi. Podniosła wzrok na tabliczkę z nazwą ulicy i powiedziała:

– Stąd się wziął, prawda?

– Co?

– Twój domek dla lalek. Petronella Oortman mieszkała na Warmoesstraat.

Rzeczywiście, pomyślał Vos. Co prawda nikt nie wiedział, gdzie dokładnie. On kiedyś próbował się dowiedzieć.

– To ważne? – spytała Bakker.

Rysunek zabytkowego domku dla lalek. Słynnego. Przyklejony do miniaturowej trumny. Poza tym nic. Tylko czarna i bezkresna studnia wątpliwości i bólu. Kiedyś w nocnej kłótni Liesbeth wykrzyczała: „Chcesz, żeby ona nie żyła, prawda? Chcesz zobaczyć jej ciało?”.

Zupełnie nie. Pragnął zobaczyć ją idącą ulicą w Jordaanie, tak jak kiedyś, szczęśliwą, wolną, uśmiechniętą, czasami figlarną. Po takich przerażających, potwornych wiadomościach zniknięcie wydawało się gorsze niż śmierć. Obojgu im została rana, która nie chciała się zaleczyć. Dręczyło ich pytanie, na które nie padała żadna odpowiedź.

– Tak mi się wydaje – odrzekł Vos, wracając do terażniejszości. – Tylko że nie...

Nie rozumiem. Wydawało mu się, że to niewłaściwe określenie. Niektórych rzeczy nie dawało się pojąć i może zniknięcie Anneliese jest jedną z nich.

Bakker skręciła za róg, w wąską uliczkę prowadzącą nad wodę, sprawdzając numery domów. Tutaj budynki były bardziej zapuszczone. Znalazła zniszczone czerwone drzwi. W popękanych i brudnych oknach wisiały plakaty. Muzyczne, filmowe i narkotykowe. Ze środka dobiegała muzyka.

Najnowszy rock. Brzmiał jak nędzna podróba. Vos wolał oryginały.

– Ta lalka, którą tobie przysłano... – odezwała się Bakker, przypinając rower do barierki – skąd pochodziła?

– Chcesz powiedzieć, że nie zaglądałaś do akt?

Skrzyżowała długie ramiona na piersi.

– Nie czytałam wszystkiego.

Nie miał szans wykręcić się od odpowiedzi. Nie wtedy, gdy pytała Laura Bakker.

– Nigdy się nie dowiedzieliśmy – powiedział. – Była droga. Wyglądała na zabytkową, ale to tylko pozory. Zrobiono ją w Niemczech. W Amsterdamie nikt takich nie sprzedaje. Nie jak ta taniocza, którą macie teraz na

Marnixstraat. Ktoś wydał na nią spore pieniądze. Może...

Czekała, aż dokończy, i wreszcie go ponagliła:

– Może?

– Może ten ktoś miał ją już wcześniej. Był kolekcjonerem. Suknia z krynoliną. Niewiele się różniła od tej, którą Petronella mogłaby umieścić w swoim domku dla lalek.

– Dołączył jej włosy?

– Tak.

– I jej krew?

– Tak. – Ogarnęło go zimno, czuł się żałośnie, chciał znaleźć się na swojej łodzi z psem i piwem. I może ze skretem, gdyby zrobiło się jeszcze gorzej.

– Myślisz, że już wtedy nie żyła? – pytała Bakker. – Że się znęcał nad tobą? Nie nad twoją córką?

Kiedy śledztwo jeszcze trwało, rzadko prowadził takie rozmowy, nawet z Frankiem de Grootem. To zbyt bolesne i zbyt osobiste.

– Nie wiem – przyznał. – Nie był szaleńcem, wbrew temu, co mówi de Groot. To zbyt...

Słowa. Czasami ich brakowało.

– Zbyt proste? – podsunęła Bakker.

– Właśnie.

– Przykro mi. – Stała tak smutna, ale śliczna w niewinny, młodzieńczy sposób.

Ludzie wstępowali do policji z różnych powodów. On chciał należeć do formacji, która pomaga. Zmienia świat na lepsze. Laura Bakker... Ciekawe. Frank de Groot był bystrym, przenikliwym człowiekiem, znał się na ludziach jak nikt inny. Tamta uwaga, jak to ona stara się realizować misję...

Policja nie zmieniała świata na lepsze. Szybko się o tym przekonał. Najwyżej zapewniała pocieszenie. Panowała nad najgorszymi elementami społeczeństwa tak chorego, że samo się już nie mogło uleczyć. Mądrze było nie robić sobie za dużych nadziei, nie mierzyć za wysoko. Koszty porażki mogły się okazać druzgocące.

– Przepraszam, że mówiłem te wszystkie głupie rzeczy – powiedział Vos.

– O pijanych kierowcach. Ostatnio nie za dużo rozmawiam z ludźmi. To

trudne.

Po raz pierwszy wyglądała na rozgniewaną jego słowami.

– Wcale nie miałeś wiedzieć – odparła, po czym ominęła go i wcisnęła guzik dzwonka. Ponieważ nic nie usłyszała, załomotała do drzwi pięścią.

12

Dziewczyna, która im otworzyła, miała krótkie, tłuste, jasne włosy, twarz tak bladą, że wydawała się jak z pergaminu, ciało chude i wynędzniałe. Nosiła długą indyjską sukienkę z bawełny i przetarty sweter, który ścisnęła nieustannie, trzymając się za łokcie, gdzie przeświecała brudna bluza.

Wysoka na cztery kondygnacje kamienica cuchnęła trawą, potem i kanalizacją. Wspólna kuchnia, ani śladu jedzenia. W salonie dwóch apatycznych mężczyzn przekazywało sobie fajkę wodną.

Ona nazywała się Til i pochodziła z Limburga na południu kraju. Z ojczyzny sera de Groota. Bakker poprosiła ją o dokumenty. Mathilde Stamm. Lat dziewiętnaście. Tyle właśnie lat miałyby dzisiaj Anneliese. Tyle samo co córka Prinsa.

Próbowali rozmawiać z nią o Katji. Zrezygnowali i podeszli do mężczyzn jarających w salonie. Też nic. Wrócili do dziewczyny, przycisnęli ją i czekali, aż skapitułuje.

Nie trwało długo, nim zrozumiała, że Vos nie wyjdzie, dopóki nie uzyska odpowiedzi. Katja mieszkała w squacie z przerwami od roku. Til nie wiedziała, co się z nią działo w czasie tych przerw. Nigdy się tu nie pojawił żaden jej chłopak. Ani żadna dziewczyna.

– A więc w ogóle ani jeden znajomy? – spytała Bakker, zanim Vos się odezwał.

Dziewczyna objęła się ciaśniej.

– O co chodzi?

– Katja zaginęła. Podejrzewamy, że ma problemy.

Til Stamm wybuchnęła śmiechem.

– To, że nie umiecie kogoś znaleźć, nie oznacza jeszcze, że zaginął. Katja umie sobie zorganizować towar. I uchodzi jej to na sucho. Jej stary jest dziany. Rządzi Amsterdamem, no nie?

– Tak uważa – odparł Vos, rozglądając się po domu. Wydawał się tak samo przejściowy jak Dworzec Główny. Takie miejsce, w którym ludzie się pojawiają i z którego znikają. I raczej nic poza tym.

– Jej tata umie naprawiać wszystko – dodała dziewczyna. – Wysłał ją na odwyk. – Sięgnęła między fałdy brudnego pulovera, wyjęła paczkę

papierosów i drżącymi palcami zapaliła. – Jakby Katji na tym zależało.

– Gdzie? – spytał Vos.

– Do Żółtego Domu. Za targiem kwiatowym. Ja nie mam takiej kasy. – Roześmiała się raz jeszcze, a śmiech wywołał u niej kaszel. – Ani potrzeb.

Laura Bakker otaksowała ją wzrokiem.

– Chcesz powiedzieć, że Katja jest w jeszcze gorszym stanie niż ty?

Vos westchnął. Dziewczyna wyrzuciła rękę w powietrze, zaczęła miotać przekleństwa na Bakker, na niego. Papieros wypadł z drżących palców.

Bakker, zaskoczona gwałtownym wybuchem, cofnęła się. Mężczyźni z fajką wodną ani drgnęli. Nikt się nie ruszył oprócz Pietera Vosa, który podniósł papierosa z brudnej podłogi, wyciągnął rękę do Til Stamm, zaczekał, aż dziewczyna się uspokoi, po czym wsadził papierosa między jej palce.

– Lubisz ją? – spytał.

– Katja jest w porządku. Nie zadziera nosa. Wydaje mi się... – zakręciła palcem przy skroni – że ona ma chyba coś z głową. Ale nigdy nie szpanowała swoim starym. Słyszeliśmy o nim tylko wtedy, gdy czegoś potrzebowała.

– Na przykład czego? – spytał Vos.

– Na przykład pieniędzy. Albo karty „Nie idziesz do więzienia”.

– Po co jej potrzebowała, Til?

Zachowywał się przyjaźnie, mówił spokojnym głosem.

Dziewczyna popatrzyła na Laurę Bakker. Dzielilo je tylko kilka lat, ale pochodziły z dwóch różnych światów.

– Zwyczajnie – odparła Til. – Nie widziałam jej chyba od tygodnia. Mówiłam już. Czasami chodzi gdzieś sama.

Podeszła do drzwi wejściowych i cisnęła niedopałek w chłodny dzień. Z kieszeni swetra wyjęła skręta, cienkiego i nadpalonego. Palce dygotały jej tak mocno, że nie mogła odpalić. Vos wziął zapalki i wyręczył ją.

– To ważne – powiedział. – Musi kogoś mieć. Jakiegoś przyjaciela, którego lubiła bardziej niż wszystkich. Czy to ty?

Młodzieńcze wzruszenie ramion.

– A co z mężczyznami?

– Nie opowiadam bajek.

Laura Bakker jęknęła. Ucichła, gdy Vos na nią spojrział.

– My chcemy tylko ją znaleźć – mówił. – Sprawdzić, czy nic jej nie grozi. A potem znikniemy. Wtedy – wskazał skręta – możesz sobie znowu robić, co ci się podoba.

– A co miałoby jej grozić konkretnie? – spytała.

– Porwanie – odpowiedziała Laura Bakker.

Til Stamm spojrziała na nich oboje, ściągnęła brwi, po czym powolnym krokiem ruszyła do zniszczonych drewnianych schodów w holu. Podążyli za nią, wspinali się coraz wyżej. Dziewczyna przemieszczała się wolno jak stara kobieta. Kwaśna, cierpka woń niewietrzonych pomieszczeń przybrała na sile.

Cztery kondygnacje. Na górze Til Stamm stanęła zasapana. Ciężko dysząc, zaciągnęła się skrętem.

– Przyszliśmy podziwiać widoki? – spytała Bakker, wyglądając przez okno. Zobaczyła tylko jeszcze posepniejsze kamienice po drugiej stronie.

– Ona jest do dupy w tej robocie. – Til nie spuszczała wzroku z Vosa. – Dziwię się, że pan to znosi.

Vos się uśmiechnął.

– Jeszcze się uczy. Pochodzi z prowincji, z Fryzji. Ale ja jestem z Amsterdamu. Czyli jestem pobłażliwy z natury.

Drzwi stały otworem. Pokój z pojedynczym łóżkiem. Pościel częściowo na materacu, częściowo na gołej drewnianej podłodze. Zapach brudnych ubrań i żywicy.

– Jakiś czas temu przyprowadziła tu jednego takiego. Był stary. I dziwny.

Vos wszedł do środka i rozejrzał się.

– Jak się nazywał?

– Jaap. Zawsze tylko tak się do niego zwracała.

Podeszła do komody z wyłamaną nogą, wspartą na cegle.

– Nigdy nie płacił za siebie czynszu. Za nic nie płacił. Za jedzenie. Za trawę. No w ogóle. – Znowu ścisnęła się w pasie. – Kto porwał Katję?

– Nie wiemy – odparł Vos. – Dlatego szukamy. Ten Jaap...

– Nigdy za dużo nie gadał.

– Oni są parą? – spytała Bakker.

– Opowieści łóżkowych też nie powtarzam.

Vos podniósł brew.

Til Stamm skrzyżowała ramiona.

– Nie wiem. I koniec. Myślę, że są tylko kumplami. Katja czasami tu kogoś przyprowadza. Jeśli sądzi, że nie ma się gdzie podziać. To miłe dziecko. Trochę proste.

Podszedł do komody, przejrzał leżące tam papiery. Niektóre były oficjalnymi dokumentami. Raporty od kuratora. Nakazy sądowe. List od adwokata. Ten wziął do ręki i przeczytał.

– Katja powiedziała, że mamy go przyjąć – dodała dziewczyna. – Jaap miał jakieś problemy. Wszystko powinno się wyprostować. Pewnego dnia dostaniemy pieniądze...

Ruchem ramienia ogarnęła pokój.

– Dostaniemy pieniądze, które jest nam winien.

– Kiedy się wyniósł?

– Jakiś tydzień temu.

– Mniej więcej w tym czasie widziałaś Katję po raz ostatni?

Ściągnęła brwi.

– Pewnie tak. Nie śledzę jej. Bo po co?

– Czym się zajmuje Jaap? – spytał Vos.

– Zajmuje? Wychodził rano i wracał wieczorem. Nie pytałam.

I tyle. Vos machnął dokumentem, który podniósł z komody, stwierdził, że go zabiera, i całą trójką zeszli na dół.

Powietrze na dworze było trochę bardziej rześkie. Laura Bakker wyglądała nieswojo. Vos się nie odzywał.

– A więc – powiedziała – dziewczyna rozmawiała z tobą, a ze mną nie. Jaki popełniłam błąd?

– Taki sam, jaki ja popełniałem w twoim wieku.

– Muszę wiedzieć.

Vos z namysłem raz jeszcze popatrzył na dokument.

– Ona ma dziewiętnaście lat. Wyleciała ze szkoły. Wyleciała z domu. Wyleciała z tego czegoś, co my uważamy za życie. Jak sądzisz, na ile rozmów rekrutacyjnych ją zapraszano?

Bakker oparła ręce na biodrach. Powoli już rozpoznawał ten manifest

irytacji.

– A jak sądzisz, na ile mnie zapraszano?

– Na tyle, ile trzeba. Jesteś bystra. Wykształcona. Chciałaś zostać policjantem. W małym spokojnym prowincjonalnym mieście Dokkum.

– Nic o mnie nie wiesz.

Kiwnął głową.

– To prawda. Ale o Til Stamm wiem. Zachowałaś się w sposób, którego ona się spodziewała. Czasami jest łatwiej, jeśli postępujesz wręcz przeciwnie. Kiedy sądzą, że będziesz ostra, staraj się być czarująca. Jeśli cię mają za miłą...

– Zawsze miły. Cały ty. Dobry ten towar, który palili?

– Nagle rozmawiamy szczerze?

– To jest w aktach, Vos – wyjaśniła, trochę zawstydzona. – Adnotacja przy informacji o zwolnieniu chorobowym. Myślałam...

Nie dokończyła.

– Co myślałaś?

– Myślałam, że wyglądasz starzej. Że jesteś bardziej zniszczony.

– Nie powinnaś wierzyć we wszystko, co czytasz w aktach. – Roześmiała się.

– Czy to trafi do moich?

Zanim odpowiedział, zadzwonił jej telefon. Odebrała. Zmieniła ton. Na pełen szacunku, ale nie skruszony.

– Coś nowego u Franka? – spytał, gdy się rozłączyła.

– Nie rób mi tego – odparła.

– Chodzi o to, jak mówisz. – Vos odpiął swój rower. – Z agresywnej robisz się... – Miał powiedzieć „potulna”, ale to by się nie zgadzało. – Musisz się nauczyć słuchania ludzi, Lauro. Zwłaszcza gdy to, co mówią, nie wydaje się ważne.

– Ta dziewczyna kłamała.

– Owszem – przyznał. – I co z tego?

Okrągłe zielone oczy otworzyły się szeroko.

– I co z tego? Kłamała!

– Til Stamm robiła to, co przychodzi naturalnie w obecności takich

ludziach jak my. To ważne?

Zakłęła pod nosem.

– Wim Prins w końcu się zebrał i przyszedł na Marnixstraat – powiedziała.
– De Groot chce, żebyśmy wrócili i pogadali z nim. Prins najwyraźniej jest zajęty. Musi iść na spotkanie. Nie może zostać.

Vos wyciągnął rękę po jej telefon. Podała mu. Oddzwonił. Zadał de Grootowi kilka pytań. Nie uzasadnił ich. Następnie oddał komórkę Bakker i wskazał jej rower.

– Czas na nas, aspirantko Bakker.

– Jedziemy na Marnixstraat?

– Do sądu. Frank mówi, że za godzinę mają wypuścić Thea Jansena. Obiecał, że będzie grzeczny. Obyśmy zdążyli.

Ani drgnęła.

– Komisarz de Groot wyraźnie mówił, że mam cię przyprowadzić na Marnixstraat. Jeśli nie...

– Frank może pogadać z Wimem Prinsem. Nie chcę się minąć z Jansenem. Dawno go nie widziałem.

– Zechcesz mi powiedzieć, co się dzieje?

Pokazał jej kartkę, którą zabrał z pokoju.

– Przyjaciół Katji to Jaap Zeeger. Niepotrzebny mały ćpun i drobny oszust, który przez jakiś czas był głównym podejrzanym w sprawie zniknięcia mojej córki. Okazało się, że to pomyłka. W każdym razie tak sądziłem.

Przeczytała dokument. Wezwanie do sądu na dzisiejsze popołudnie.

– Zeeger znajdował się na liście płac Theo Jansena – ciągnął Vos. – Może nie tylko on. Klaas Mulder zmusił go do współpracy, a on posłał swojego szefa do więzienia. – Wsiadł na rower. – Teraz wszystko wycofał. Pomoże Jansenowi wyjść na wolność.

Z pisma wynikało, że Zeeger ma się stawić w sądzie na przesłuchanie.

– Dlaczego zmienił zdanie?

– Spytajmy go. Jak już się dowiemy, co wie o Katji Prins. Skoro jesteś taka wielozadaniowa, możesz zadzwonić do Franka i powiedzieć mu, gdzie jedziemy.

Vos ruszył wąską uliczką w stronę Warmoesstraat.

Podążyła za nim, wołając coraz bardziej piskliwie:

– Vos! Vos! Dlaczego ty nie zadzwonisz...?

Jej głos odbijał się od brudnych murów. Ślady deszczu. Za plecami słyszał wykrzykiwane prośby. I coś o nim, że jest wkurzający.

Vos tak nie uważał. Raczej powiedziałby, że... ma dużo na głowie.

Odwrócił się, uśmiechnął, pomachał, po czym skręcił w zatłoczoną ulicę, gdzie trzysta pięćdziesiąt lat wcześniej Petronella Oortman mieszkała ze swoim małym drewnianym domkiem i rodziną lalek.

Vos wyciągnął z kieszeni gumkę elastyczną, schylił się, by włożyć ją na dżinsy.

Natychmiast go dopadła, położyła mu rękę na ramieniu.

– Nie, Vos. Już raz to widziałam i nie chcę więcej oglądać. Proszę, prezent dla ciebie. Mam zapasowe.

Lśniące czarne klipsy rowerowe. Nowiutkie. Spojrzał na jej szerokie szare nogawki. Miała takie same.

– Dzięki – mruknął.

13

Godzina czternasta, Marnixstraat. Koeman siedział w milczeniu na krześle i głaszcząc smętny brązowy wąs, czytał strony sportowe w „Telegraafie”.

Liesbeth Prins tuliła się do męża, przyglądając się wyzywająco ubranej kobiecie rozmawiającej z Klaasem Mulderem przed pokojem przesłuchań.

– To głos Katji – powiedziała. – W tej lalce. Jej krew. Jej włosy.

Gdy Prins wreszcie dotarł na komisariat, de Groot odtworzył nagranie. Piętnaście sekund udręczonego krzyku. Na koniec jedno słowo, powtarzane raz za razem.

Vader. Vader.

– Nigdy nie mówiła do mnie „ojcze” – stwierdził Prins.

– To jej...

– Wiem, że jej. Nigdy nie mówiła do mnie „ojcze”. Pomyśl o tym. Proszę...

Ujął jej ręce. Próbował zajrzeć jej w oczy.

– Wiem, że to moja wina. Nie poradziłem sobie z tym, co się działo z jej matką. Powinienem być coś zrobić...

Liesbeth zaczynała się złościć.

– Katja nie mogła tego zrobić sama. Nie jest do tego zdolna.

– No to któryś z jej zaćpanych przyjaciół.

– Ktoś ją porwał, Wim! Ten sam człowiek, który porwał Anneliese. Wiem, jak to jest. Nie chcę znowu przez to przechodzić. Nie chcę, żebyś ty przez to przechodził. Musimy coś zrobić...

– Na przykład co? – spytał, a to pytanie ją uciszyło.

Zerknął w głąb korytarza. Margriet Willemsen prowadziła poważną rozmowę z Mulderem.

– Nie lubię tej kobiety – wyszeptała Liesbeth.

– Mulder to nasz łącznik w projekcie De Nachtwacht. Mamy spotkanie.

– Czy aby Katja nie przeszkadza ci w jakichś planach?

– Na miłość boską! – Rzadko kiedy podnosił głos. – Zrobię wszystko, co będą chcieli. Tylko nie oczekuj, że...

– Co?

– Że w to uwierzę. W to gównno, które funduje mi ten dzieciak. O połowie

w ogóle nie masz pojęcia.

Zdała sobie sprawę, jak bardzo zraniła go swoim wybuchem. Nie wiedziała, co powiedzieć.

– Widziałem, jak jej matka traci rozum – ciągnął cichym, rozżalonym głosem. – Dzień po dniu. Potem Katja poszła tą samą drogą i nie mogłem nic, zupełnie nic zrobić, żeby ją powstrzymać. Nie praw mi morałów, Liesbeth. Nie zasługuję na to. Jak sądzisz, dlaczego stworzyłem De Nachtwacht? Chciałem raz na zawsze pozbyć się z ulic tych szumowin i ich trucizny.

– Tu nie chodzi o politykę.

– Nie zdawałem sobie sprawy, że jesteście z Katją tak blisko – powiedział z goryczą.

– Co zrobimy?

– Jeśli chcesz, możesz tu zostać. Jeżeli ktoś będzie w kontakcie...

– Poprosiłam, żeby włączyć w to Pietera. Jest lepszy niż którykolwiek z...

Patrzył na nią zdumiony, z otwartymi ustami.

– Myślisz, że twój pokręcony były facet sobie z tym poradzi? Już ma na koncie podobne sukcesy, prawda?

To stało się tak szybko, że nie zdążyła pomyśleć. Liesbeth Prins spoliczkowała męża. Jednym szybkim, mocnym ruchem, otwartą dłonią.

Nigdy wcześniej go nie uderzyła. Ale nieraz o tym myślała.

Chwycił się za policzek. Twarz mu czerwieniała, z wściekłości czy od uderzenia, trudno powiedzieć.

Otworzyły się drzwi. Wszedł Klaas Mulder. Willemsen została na zewnątrz, wpatrując się w puste ściany.

– Chcecie państwo jeszcze o coś spytać? – spytał Mulder, patrząc to na jedno, to na drugie.

Prins poprawił krawat.

– Pieter Vos wrócił do policji?

Na kamiennej twarzy Muldera nie odmalowała się żadna reakcja.

– W tej chwili nam pomaga. Zdaniem komisarza to dobry pomysł. Jeśli istnieje jakieś powiązanie...

– Kiedy czegoś potrzebują, robią się bardzo przebiegli – przerwał Prins. – Narkomani nie mają zasad. Nie mają uczuć. Zrobią wszystko. Choćby nie

wiadomo jak ranili tym swoich przyjaciół... rodziny. Siebie samych...

– Nie wykluczamy żadnej wersji – odparł Mulder, kiedy Koeman głośno zaszeleścił składaną gazetą i położył ją sobie na kolanach. – Skontaktujemy się, gdy tylko się czegoś dowiemy.

– Pan czy Vos? – spytał Prins.

– On tylko pomaga – wtrącił Koeman zza swojego biurka. – Nie słyszał pan?

Prins, w swoim szykownym szarym garniturze, zjeżył się.

– Nie życzę sobie słuchać żadnych głupot na temat naszych działań. Wygraliśmy wybory. Mamy prawo...

– Jak mówiła pańska żona, chodzi o pańską zaginioną córkę – przerwał Koeman. – Nie o to, żeby mógł pan odgrywać nieustraszonego szeryfa na Dzikim Zachodzie. – Wstał. Przeciągnął się. Wbił wzrok w Prinsa. – O Katję.

– Zapamiętam cię – warknął Prins i wyszedł.

Mulder wpatrywał się w Liesbeth Prins. Ubawiony.

– Co mam robić? – spytała.

– Jechać do domu. Czekać. Uważać na wszystko – odparł Mulder. – Jeśli zobaczy pani coś dziwnego, proszę nas zawiadomić.

Nie wyglądała na zadowoloną.

– Sprawę waszej córki opisano we wszystkich gazetach – dodał Mulder. – Każdy może skopiować tamte metody. Nie pojawiło się nic nowego. Ktoś mógł zrobić po prostu kiepski kawał.

– Miło widzieć, że się staracie – powiedziała.

Policjanci odprowadzili ją wzrokiem.

– Kiedy była z Pieterem, nigdy jej nie lubiłem – zauważył Koeman. – Ta suka cały czas się nim bawiła. Nie do wiary, że znowu go w to wciągnęła.

– Mówiłem ci. Vos tylko pomaga – powtórzył z naciskiem Mulder. – Tylko jeden dzień.

– Jasne – zgodził się Koeman z uśmiechem. – Na pewno.

14

Czerwony gówniarz. Niebieski gówniarz. Z nudów kopią torbę z bronią. Na dziobie puste tekturowe tutki upačkane majonezem i tłuszczem po frytkach.

Telefon trzymał Niebieski. Rozległ się dzwonek. Niebieski odebrał, znowu zerknął na mapę.

Czarny głos. Jamajski akcent. Wielki facet z coffee shopu robił to, co obiecał. Mówił im, dokąd mają się udać.

– Dobra – odrzekł Niebieski i wsunął starą nokię do kieszeni błyszczącego dresu.

Kanał przypominał mu szeroką, leniwą rzekę przepływającą przez Paramaribo. Surinam. Od niej wziął nazwę cały kraj. Ona też była powolna i szara. Mętna. Miejsce, w którym można coś ukryć. On tak robił. Zastanawiał się, czy Czerwony też i czy powinien go spytać o imię. Co prawda nie odzywał się za często. Ani też nie sprawiał wrażenia chętnego do pogawędki.

Za kilka godzin obaj znajdą się na pokładzie samolotu lecącego w jakieś nowe miejsce. Zabrakło mu czasu na jakiegokolwiek rozrywki w Amsterdamie. Jedna dziwka, parę skrętów. Potem zadzwonił Jimmy Menzo.

Jego wuj miał łódź na rzece Surinam. Kiedy był młody, a rodzina jeszcze stanowiła całość, wyjeżdżali z miasta na pikniki na wieś. Dobre czasy. Wszystko minęło. Na takich jak on w ojczyźnie nie czekała przyszłość. Po przyszłość musieli wyjeżdżać za granicę, do Wenezueli, na Karaiby, wędrować przez kontynenty.

Minął ich statek wycieczkowy. Pasażerowie wstawali, by zrobić zdjęcia. Głównie Japończycy, z aparatami zawieszonymi na szyi. Ci ludzie różnili się od niego. Mieli pieniądze i prawdziwą pracę. Stać ich było na przyjazd do Amsterdamu, a potem wyjazd. Nie miał o to żalu. Tak już był świat urządzony. Nie mogli nic poradzić na to, że urodzili się w Tokio, Los Angeles czy Londynie. Tak samo jak on nie mógł nic poradzić na to, że dorastał w jednej izbie z czwórka rodzeństwa w slumsach Paramaribo.

– Idziemy? – spytał Czerwony, po czym ziewnął, jakby to był zwyczajny, nudny dzień.

Chyba się ochłodziło. Podniósł się wiatr. Z ponurego, ciężkiego nieba lał się deszcz. Drzewa rosnące nad kanałem sypały jasnozielonymi łuszczkami. Pochwycone przez podmuch kręciły się jak małe łódeczki w nagłym sztormie.

Gdy trochę podrósł, wujek pozwalał mu sterować łódką z przyczepianym silnikiem. To były dobre czasy.

Niebieski przeszedł na rufę, szarpnął za linę, uruchomił silnik i sterował niewielką łódką pomiędzy innymi jednostkami powoli sunącymi wodami Prinsengracht. Inny rzut kością i stałby się jednym z handlarzy pływających po tych wodach, dostarczałby towary, przewoziłby je. W ogóle by go nie obchodzili ludzie w rodzaju Jimmy'ego Menza. W ogóle nie musiałby dotykać broni.

Ale tak nie będzie. Nazajutrz znajdzie się w Kapsztadzie, u dołu Afryki, z Czerwonym u boku. Naprawdę musi go spytać o imię. No, ale nie teraz.

Przepłynęło z pięć szybszych łodzi turystycznych, a z wszystkich robiono zdjęcia, co go martwiło, chociaż i tak nie mógł zrobić nic więcej, tylko naciągnąć kaptur na głowę. Potem zerknął na mapę i stwierdził, że o mały włos minęliby punkt zaznaczony przez Antylczyka. Skręcił łódką, wyłączył silnik, podpłynął do przerdzewiałej drabinki prowadzącej na ulicę.

Czarny się nie mylił. Nikt nie zobaczy łódki. Zaczekają na telefon. Od kogoś w środku, powiedziała Miriam, po tym jak przyniosła im tłuste frytki.

To nie za bardzo mu się podobało. Ważne było, żeby samemu dobrze się zorientować.

Menzo pewnie miał w pobliżu innych ludzi. I ci ludzie zobaczą ich, jak wspinają się po przerdzewiałych szczeblach i rozglądają się po szerokiej brukowanej ulicy przed sądem.

I co z tego? Jeżeli zrobią, co chciał Menzo, nic im się nie stanie. Jeśli nie zrobią...

Nie zamierzał o tym myśleć. Kochał swoją siostrę. Żałował, że przyjechała aż do Amsterdamu z odrobiną nadziei i rozpaczliwymi modlitwami.

– Zostań tu – polecił Czerwonemu. – Zaraz wracam.

Wyskoczył z łódki na podest u stóp drabinki, przycumował łódkę tak, jak pokazał mu wujek. Wspiął się na ulicę.

Tu jeszcze więcej drzew sypało zielonymi liśćmi w wilgotny, powolny dzień. Radiwozy. Ludzie, prawnicy i klienci, jak się domyślał, palili przed poważnym kamiennym budynkiem.

Gdy tak patrzył, dziwny mężczyzna o długich włosach i młodej, interesującej twarzy podjechał rowerem do głównego wejścia i zaczął rozmawiać ze strażnikiem. Miał na sobie stare, podniszczone rzeczy, niemal łachmany. Za nim, mocno pedałuując, by dotrzymać mu tempa, nadjechała wysoka ruda kobieta, ładna, ale zdenerwowana, w równie osobliwym ubraniu.

Jeszcze raz zerknął na tani zegarek cyfrowy, jedną z niewielu rzeczy, które przyjechały z nim z Paramaribo. Dochodziła trzecia.

Przeszedł nad wodą, odszukał drabinkę, wrócił do łódki.

– Jestem głodny – jęknął Czerwony.

– Musisz poczekać – odparł. – Mamy robotę.

Po raz ostatni Vos widział Thea Jansena dwa tygodnie przed zniknięciem Anneliese. Spotkanie to przebiegło dość przyjaźnie. Godzina w niewielkim, nierzucającym się w oczy domu szefa gangu niedaleko Waterlooplein; uczestniczyła w nim jego córka. Bez prawnika. Jansen uważał, że go nie potrzebuje, i miał rację. Vos łowił. Jansen nie chwycił przynęty. Michiel Lindeman nie wziął żadnej sprawy kryminalnej, dopóki Klaas Mulder nie przejął wydziału do walki z przestępczością zorganizowaną na Marnixstraat.

Teraz, podobnie jak wtedy, Jansen siedział obok swojej przysadzistej, ponurej córki Rosie. Kiedy Vos jeszcze był na służbie, próbował zapoznać się ze wszystkim, co się dało znaleźć na temat człowieka, który przez jakiś czas był najpotężniejszym rodzimym zbirzem w Amsterdamie. Dowiedział się, że Jansen miał skromne dzieciństwo i że darzył autentyczną miłością swoją jedynaczkę. Że bezwzględnie traktował tych, którzy go zdradzili, a oczywiście był bezgranicznie lojalny wobec każdego, kto został u jego boku.

Z tego, czego dowiedział się Vos, powstał portret zwyczajnego amsterdamczyka, który został przestępcą przypadkiem, na skutek zbiegu okoliczności, a nie przez świadomy wybór. Theo Jansen postrzegał siebie jako zło konieczne. Ktoś musiał prowadzić biznes narkotykowy, kontrolować kabiny i burdele w dzielnicy czerwonych latarni, pilnować porządku po ciemnej stronie, utrzymując wygodne status quo, w którym przestępczość była jak najbardziej oddzielona od zwyczajnego życia. Z punktu widzenia Jansena funkcję tę powinien pełnić Holender. Lepiej on niż któryś z obcokrajowców od trzydziestu lat walczących o panowanie w półświatku.

Dzisiaj sędzia przesłuchał już Lindemana i postanowił, że Jansen może wyjść za kaucją do chwili ponownego procesu. Musiał się tylko zobowiązać, że będzie się trzymał z daleka od dawnych towarzyszy i meldował się regularnie na policji. Na te dwa warunki ochoczo przystał. Sprawa będzie rozpatrzona latem. Do tego czasu – i prawdopodobnie później – miał być wolny.

Posiedzenie wydawało się tak proste, że Jaap Zeeger, człowiek, którego zeznanie kiedyś skazało Jansena na więzienie, a teraz zwróciło mu wolność,

nie musiał przychodzić do sądu.

– Nie zrobiłem żadnej z tych rzeczy – powiedział Jansen, gdy usiedli w pokoju przesłuchań w podziemiach gmachu sądu. Zdaniem Vosa gangster wyglądem jeszcze bardziej przypominał teraz Świętego Mikołaja. – Wiesz o tym. – Zerknął na kobietę u boku Vosa. – Kim jest twoja koleżanka?

– Policjantką – odparł Vos, zanim Bakker się odezwała.

Jansen się roześmiał. Ochrypli, przyjazny dźwięk. Potem poczochnął się po siwej brodzie dwoma grubymi palcami.

– Policja naprawdę się odmładza, co? Przykro mi z powodu twojej córki. Szczerze. Gdybym coś usłyszał, powiedziałbym ci. Takie sprawy są niewybaczalne.

Vos pomyślał chwilę.

– Ciągle się zastanawiam – rzekł – dlaczego nic nie słyszałeś. Te wielkie uszy...

Jansen pociągnął je pod siwymi włosami, ze smutnym uśmiechem na szerokiej twarzy.

– To nie był nikt z naszej strony ulicy. Żaden Holender. Ani nawet ci obcokrajowcy.

– Jaap Zeeger...

– On też nie. Jaap to mały głupek. Ktoś go zrobił, Vos. Wiesz to tak samo jak ja. My się zajmujemy interesami. A to nie był interes. Przykro mi.

Dwa dni po zniknięciu Anneliese po anonimowym telefonie przeszukali mieszkanie Zeegera. Znaleźli dziewczęcą spódniczkę, bluzkę. Takie same, jakie miała Anneliese w chwili zniknięcia. I lalkę podobną do tej przysłanej na Marnixstraat, z włosami i z krwią. Vos zaciągnął rozdygotanego drobnego złodziejzka na komisariat, krzyczał na niego, co nie leżało w jego naturze. A przerażony Zeeger też odpowiadał krzykiem.

Coś od początku nie pasowało. Jaap Zeeger to obibok, drobny przestępca, kurier w interesach narkotykowych i w burdelach Jansena. Brakowało mu intelektu i dyscypliny, by bawić się w takie gry.

Potem technicy ustalili, że ubrania były nowe, nieużywane. Na lalce też nie znaleziono niczego, co by ją łączyło z Anneliese. Ktoś ją przysłał do Zeegera kilka godzin przed tym, gdy policja odebrała anonimowy telefon. Jeszcze

jeden zwrot w okrutnej grze, która miała na celu tylko drwinę i udrękę.

– Gdzie on teraz jest? – spytał Vos.

Jansen sprawiał wrażenie zdumionego.

– Nie wiem. Lindeman powiedział, że może przyjdzie do sądu. Sędzia uznał, że go nie potrzebuje. Porozmawiajcie z Michielem. Może on wam pomoże. Nie macie adresu?

– Gdybyśmy mieli, nie pytalibyśmy, prawda? – odezwała się Laura Bakker.

– Ojej. – Jansen się roześmiał. – Koleżanka chyba przyjezdna, nie? Po co wam Jaap? To żałosny mały ćpun. Ten błazen Mulder za mocno go przycisnął. Nie noszę urazy. Mam nadzieję, że są wdzięczni.

– Jedziemy do domu – włączyła się Rosie Jansen. – Mój ojciec dość już wycierpiał z waszej strony. Nie będę...

Ojciec uciszył ją gestem.

– Nie mów do Vosa w ten sposób. Nie zasługuje na to. Miastu potrzebni są dobrzy policjanci. Już o nim nie usłyszymy. – Wychylił się do przodu i popatrzył po nich. – Nie dam wam powodu. Macie moje słowo...

Bakker rzuciła notes na stół, postukała długopisem w kartkę. Jansen podniósł brew, umilkł. Spojrzał na nią. Spojrzał na Vosa.

– Zeeger pomieszkuje w melinie przy Warmoesstraat – powiedziała policjantka. – Z Katją Prins. Wie pan coś o tym?

– Ostatnie dwa lata spędziłem w więzieniu. Skąd miałbym wiedzieć?

Rosie Jansen wstała, pochyliła się nad stołem, wzięła od Bakker długopis i napisała coś w jej notesie.

– Pogadajcie z Lindemanem. To jego numer. On załatwił oświadczenie. On gadał z Jaapem. Nie my. A teraz wychodzimy. Tato?

Jansen wstał, uściskał ją, uśmiechnął się i poklepał ją po plecach.

Zgodnie z nakazem sądu stary gangster musiał pójść prosto do domu i tam zostać, a potem meldować się codziennie na Marnixstraat. Ta perspektywa najwyraźniej go zadowalała.

– Załatwiliśmy ci wóz, Theo? – spytał Vos.

– Nie ma potrzeby – odparła Rosie Jansen. – Tata chce się przejść.

– Może po drodze wypiję sobie piwko – dodał Theo z rozmarzeniem.

Vos ściągnął brwi.

– Nadal obowiązuje cię nakaz sądowy. Powinniśmy cię zawieźć. Laura?

Bakker zamknęła oczy i odchyliła głowę do tyłu.

– Teraz prowadzę firmę przewozową dla bandytów?

Jansen wybuchnął śmiechem.

– Ona mi się podoba, Vos! – Uśmiechnął się promiennie do dziewczyny. – Nie potrzebuję taksówki, dziecko. Ale jeśli twój szef chce, może z nami pójść na piwo. Oboje możecie, jeśli będziecie usługiwać...

Nie czekając na odpowiedź, pewnym krokiem ruszył na górę, minął strażników i prawników, twarze, na których malowało się zdenerwowanie, i takie, na których dostrzegał ulgę.

Vosowi w sumie podobało się to miejsce. Częściej tu wygrywał, niż przegrywał. To nie była kwestia szczęścia. Tylko przygotowania, pracy i dobrej oceny. Gdyby Klaas Mulder wykazał się tym samym, gdy stawiał zarzuty Jansenowi, miły stary gangster nigdy by nosa nie wystawił za próg więzienia.

Wejście zamykało dwoje wielkich drewnianych drzwi pilnowanych przez strażników. Nad nimi szklane okna. Za nimi na ponurym deszczowym niebie pojawiło się słabe wiosenne słońce. Jansen uśmiechnął się do światła.

– Widzicie? – powiedział. – Tak właśnie wygląda wolność.

Święty Mikołaj, znowu pomyślał Vos. Broda w więzieniu urosła mu i zbielała.

Nie pojmował, dlaczego w sądzie nie ma oddziału policyjnego. Gdyby to on wypuszczał Jansena, stary bandzior pojechałby do domu w radiowozie, z asystą mundurowych.

Bakker jeszcze na schodach zadzwoniła do prawnika. Skrzywiła się i zameldowała, że włączyła się poczta głosowa. I że zostawiła wiadomość.

– Nie zostawiamy wiadomości – powiedział Vos.

– Czemu nie?

– Bo Pieter Vos lubi widzieć twoją twarz, gdy z tobą rozmawia – wtrącił się Jansen. – Słuchaj tego człowieka, młoda damo. Może się czegoś nauczysz.

Vos nie zwracał na nich uwagi. Gmach sądu się zmienił. Wyremontowano

go. Zniknęła patyna kurzu i lat. Teraz sąd był funkcjonalny, nowoczesny i równie nudny jak wszystkie inne urzędy w mieście.

Jeden z umundurowanych strażników rozmawiał przez telefon, kryjąc się w ciemnym kącie.

Vos zawsze zwracał uwagę na wszelkie tajemnice, budziły wręcz jego ciekawość. Przyglądał się więc mężczyźnie. Jak zasłania ręką telefon. Jak szybko, nerwowo rzuca spojrzenia na boki. Jakby chciał stać się niewidzialny.

Takie potajemne rozmowy prowadzono w gmachu sądu nieustannie, prowadzili je adwokaci i klienci. Mężczyźni w mundurach rzadko.

– Cześć – zawołał Theo Jansen i Vos usłyszał znajome skrzypnięcie starych drewnianych drzwi. Zawiasów ostatnio na pewno nie oliwiono.

Laura Bakker właśnie skończyła krótką rozmowę z komisariatem. Była wściekła.

– To tylko strata czasu. Prins już wyszedł z Marnixstraat. De Groot jest na nas wściekły. Co my mamy...?

– Ćśśś... – Vos położył palec na jej ustach.

Patrzyła na niego oniemiała.

Vos odwrócił się do drzwi. Theo Jansen stał na progu, wdychał świeże powietrze, uśmiechał się do bladego, martwego nieba, a córka próbowała go nakłonić, by zszedł wreszcie po schodach.

– Nie podoba mi się – powiedział Pieter Vos nie wiadomo do kogo.

– Co? – spytała Bakker.

– Wszystko.

Metaliczny grzechot znad kanału; jak odgłos mechanicznego potwora. Jansen odwrócił głowę w stronę źródła dźwięku. A Pieter Vos już biegł, machając rękoma, krzyząc do wielkiego mężczyzny stojącego w progu, do strażników, do wszystkich.

16

Wspięli się po przerdzewiałej drabince i ruszyli ulicą, z bronią w każdej ręce. Czerwony dygotał, nakręcony, przerażony. Przeszedł kilka kroków i zobaczył, jak zbłąkany gołąb leci prosto na niego, trzepocząc mu przed nosem szarymi skrzydłami.

Machnął ręką w powietrzu, chwycił spust.

Grzechot wystrzału poszybował w posępne niebo, a dokoła nich opadł deszcz piór i krwi.

– Ptak – powiedział Niebieski. – Cholera.

Byli już na tyle blisko, że rozpoznawali mężczyznę ze zdjęcia, jak stoi u szczytu schodów, jak uśmiecha się głupio do bladego dnia.

Przysadzisty. Siwa broda, Święty Mikołaj, ale z gatunku tych, z którymi lepiej nie zadzierać.

Towarzyszyła mu potężna kobieta, która teraz krzyczała i usiłowała zasłonić go własnym ciałem.

Za daleko. Byli kretynami w zbyt jaskrawych ubraniach, zdążającymi nad kanałem z ciężką bronią Jimmy’ego Menza w rękę, jak kiepscy statyści z kiepskiego filmu.

– Cholera – powtórzył Niebieski, zatrzymał się i pomyślał: „Wszystko przez ptaka”.

Pewne rzeczy można było zaplanować. A inne się po prostu wydarzały.

Podszedł nad kanał, wrzucił broń do mętnej, szarej wody, zrobił w tył zwrot i rzucił się do ucieczki.

Vos wypadł na zewnątrz, wrzasnął na Jansena, który stał jak skamieniały, ujrawszy po raz pierwszy od dwóch lat świat zewnętrzny, niemal nie zauważając jaskrawoczerwonej postaci biegnącej ku niemu z bronią w każdej ręce.

Drugi wystrzał. Z szyb kilku samochodów zaparkowanych przy kamiennych schodach sądu prysnęło szkło, ze ścian wzbił się pył.

Wtedy Theo Jansen się poruszył. Odwrócił się powoli, odrzucił ręce Vosa, odrzucił ręce swojej córki, wepchnął ją z powrotem do budynku, wepchnął też Vosa i sam wpadł za nimi.

– Drzwi! – krzyknął Vos, gdy już znaleźli się w środku.

Podbiegło do nich czterech, pięciu mężczyzn w mundurach strażników.

Ciężka żelazna sztaba spadła na dwie drewniane płyty i unieruchomiła je. Vos kazał ludziom się cofnąć, przenieść się na dziedziniec.

Okna znajdowały się za wysoko, by stamtąd coś im groziło. Ale z zewnątrz dobiegały odgłosy strzelaniny. Dwie sztuki broni. Samopowtarzalnej. Ręcznej. Vos patrzył, jak szkło pęka, jak odłamki rozdierają powietrze i spadają na wzorzystą posadzkę.

Ktoś wykrzykiwał coś wysokim głosem z obcym akcentem.

Nie wiadomo skąd pojawiło się dwóch policjantów w mundurach. Z bronią w ręku gotową do strzału. Uwięzieni jak cała reszta.

Kolejne pociski przedarły się przez wytłuczone okna, rozsypując szkło na wszystkie strony. Ludzie w środku siedzieli cicho, patrzyli po sobie. Kolejna salwa. Jeszcze więcej szkła. Nikt się nie odzywał.

Po krótkiej chwili świat za drzwiami ucichł. Potem skądś dotarło zawodzenie syren, jakieś głosy. Postać w czerwieni na pewno zniknęła.

Theo Jansen siedział na ławce, przy nim córka, z twarzą pociemniałą z gniewu.

Vos podszedł, siadł obok gangstera i wzruszył ramionami.

– Nie możesz iść do domu, Theo. Nie w tej sytuacji. Boję się o twoje bezpieczeństwo. – Przerwał na chwilę, nim dodał: – Boję się, co możesz zrobić.

– Jestem wolnym człowiekiem... – zaczął Jansen.

– Może jutro. Nie teraz. Laura?

Wyglądała bladziej niż zwykle. W Amsterdamie niezbyt często słyszy się strzelaninę. Ona pewnie była jej świadkiem pierwszy raz w życiu.

– Dobrze się czujesz? – spytał Vos.

Kiwnęła głową.

Zadzwoił do de Groota, stwierdził, że muszą wrócić do aresztu.

– Nie jesteś już gliną, Vos – warknął Jansen, gdy ten się rozłączył. – Jesteś wypalonym wrakiem, który żyje jak hipis, jak włóczęga w jakiejś brudnej łodzi. Słyszałem to i owo. Nie będziesz mi mówił, co mam robić.

– To prawda – przyznał Pieter Vos. – Ale Frank de Groot ciągle jest komisarzem i podziela moje zdanie. Zostaniesz na noc w więzieniu, dopóki się nie dowiemy...

Salwa przekleństw. Jansen zerwał się z ławki i stanął nad nim. Dwóch mundurowych podeszło bliżej.

Nagle córka położyła mu dłoń na krzepkim ramieniu.

Vos nigdy nie był z nią w dobrych stosunkach. Z ojcem szło mu o wiele łatwiej.

Ale ona pocałowała zarośnięty policzek Jansena i powiedziała:

– Tato. Możemy poczekać dzień dłużej.

Vos podziękował jej za to, po czym poszedł szukać strażnika sądowego, którego widział rozmawiającego przez telefon.

Mężczyzna uciekł z budynku tylnym wejściem. Vos kazał Bakker sprawdzić listę personelu. Tymczasowego, wynajętego przez agencję na ten konkretny dzień.

– Jego nazwisko... – zaczęła.

– Nieważne – przerwał jej.

– Mam jego nazwisko!

Wątpię, pomyślał. To właśnie ostatnio stracił. Zdolność, dzięki której umiał na coś spojrzeć i stawiać pytania tak długo, aż uzyska odpowiedź.

– Nieprawda – odparł. – Nie masz.

Margriet Willemsen mieszkała w niewielkim, schludnym mieszkaniu w dyskretnym budynku niedaleko doków, nieopodal Muzeum Morskiego. Prins po raz pierwszy odwiedził ją z Alexem Hendriksem dwa miesiące wcześniej, by omówić interesy. Lubiła odbywać prywatne spotkania w domu, z dala od wścibskich spojrzeń miejskich urzędników. Zastanawiał się, ilu innych mężczyzn znajdowało się na liście odwiedzających.

Teraz, spleceni w uścisku, nadzy, spoceni wili się w jej niskim, szerokim łóżku; kształty obrysowane bladym światłem z trudem przedostającym się przez zaciągnięte zasłony. Ujeżdżała go, ciemne włosy przesuwają się delikatnie wraz z równym nieprzerwanym rytmem jej bioder. Mówiła mu, co ma robić, kiedy się poruszyć. Gdy tak się splatali, zamieniali się w jedno zdyszane, wzdychające stworzenie, nic innego się nie liczyło. Mógł otworzyć okna na oścież, żeby świat ich zobaczył. Chciał to zrobić. Ryzyko też podsycalo podniecenie. Ale głównie wzbudzała je ona.

Bea, jego pierwsza żona, postradała zmysły. Liesbeth okazała się niemal równie trudna. Lubił ich szaleństwo, to że umiał nim kierować, kontrolować je. Miał władzę, która go nęciła. Ale Margriet była inna. Inna niż wszystkie kobiety w jego życiu. Gwałtowna, dominująca, zdecydowana. I tak dzika, gdy zaciągała go do łóżka, że zastanawiał się, czy Liesbeth zobaczy ślady jej zębów na jego skórze. Co prawda wcale już na niego nie patrzyła. Ani też się z nim nie kochała, a jeśli już, to w ciemności, w krótkim, praktycznym akcie powinności, nie w takim dzikim, bezmyślnym pokazie siły.

Gdy Margriet go ujeżdżała, Prins próbował położyć łagodnie dłoń na jej twarzy. Odrzuciła ją, chwyciła jego palce, wepchnęła go mocno w wilgotne poślanie, szarpnęła za włosy. Skłoniła głowę, gorący oddech owionął jego policzek. Usłyszał w uchu potok plugawych słów. A potem poczuł jej język, wilgotny i ciepły. I zaskowyczał w zatraceniu.

Przerwa. Roześmiała się, polizała jego policzek. Odsunęła się, chwyciła go i przytrzymała prezerwatywę. Bez słowa ściągnęła zeń śliski kawałek tworzywa, wyszła z łóżka, ruszyła do łazienki. Usłyszał, jak spuszcza wodę. Potem radio. Wiadomości. Prysznic.

Prins leżał na plecach, słyszał, jak jego oddech odzyskuje powolny,

naturalny rytm.

Kiedy wróciła, miała na sobie biały szlafrok i ręcznik na głowie. W rękę trzymała książkę. Nie widział, żeby ją brała. W tym mieszkaniu było tyle książek. Trzy ściany sypialni zastawiła półkami. Beletrystyka i biografie. Polityka i poezja. Ze słowami radziła sobie świetnie.

Z nim też.

– Musisz to przeczytać – rozkazała.

Spojrzał. Paperback. Autor, o którym nigdy nie słyszał.

– Dlaczego? – spytał, wstając z łóżka.

Podeszła do niego, dotknęła go, uśmiechnęła się.

– Bo ja tak mówię.

– Nie przeginaj.

Jej palce zacisnęły się, szarpnęła go.

– Auć.

– Odrobina bólu czasami pomaga.

Odsunął jej rękę.

– Ty nigdy nie masz dość, co? – spytał.

Pochyliła się, powąchała jego dłoń, wsadziła prawy palec wskazujący do swoich ust issała go, a potem wybuchnęła śmiechem, odrzucając głowę do tyłu.

– Jedno życie, Wim. Mamy tylko jedno życie. Nic więcej. – Przyglądała mu się. – Ciągłe ją posuwasz, co?

Prins rozejrzał się w poszukiwaniu swojego ubrania. Musiał wziąć prysznic. Czekало go jeszcze jedno spotkanie, terapia par, zanim będzie mógł wrócić do domu.

– Nie odpowiedziałeś...

– Liesbeth przeżyła traumę. Myślałem, że zdołam ją uratować. Nie mogłem tego zrobić dla Bei. Ani dla Katji.

Żadnych telefonów z Marnixstraat. Ani z domu.

– Skoro ciągle ją kochasz, po co skamlesz, żebym cię wpuściła?

Nie lubił, gdy zadawano mu pytania. Nie lubił, gdy przyciskano go do muru.

Prins położył jej rękę na karku, pocałował lekko w usta.

– Pół roku. Kiedy już De Nachtwacht zacznie przynosić owoce. Jeśli teraz z tym wyjedziemy, nazwą nas hipokrytami.

Spojrzała na łóżko.

– Chwila. – Położyła palec na ustach. – Już rozumiem. Bea i córka cię zawiodły. Więc się ich pozbyłeś i znalazłeś sobie nową żonę. Nowe zadanie. A kiedy ona zniknie?

– Pół roku – powtórzył. – Trzeba uważać. Będę musiał też załatwić tę sprawę z Katją.

– Czasami mnie zastanawiasz. Bo wiesz... ja może i jestem suką. Ale... ciebie to dziecko naprawdę gównu obchodzi, nie?

Pokręcił głową.

– Gdybyś przeszła tyle co ja... Nieważne. Idę pod prysznic.

Próbował zamknąć drzwi do łazienki. Wepchnęła się do środka, usiadła na sedesie i przyglądała mu się. Prins zachmurzył się, odkręcił wodę i wskazał drzwi.

– Mogę mieć odrobinę prywatności? – spytał.

– Ależ z ciebie świętoszek. Najgorszego sortu. Plugawy świętoszek.

Margriet Willemsen wróciła do sypialni i słuchała szumu wody.

Rozejrzała się. Regały zapełnione książkami. Niektóre jeszcze ze szkoły i z Harvardu, gdzie robiła MBA.

Zorganizowana kobieta. Odrobinę obsesyjnie. Wszystko miało swoje miejsce. Powinno mieć. Jedna półka książek historycznych. Druga ekonomicznych. Potem polityka. I sztuka.

Fotografie Mana Raya przedarły się do działu podróży. Niedobrze. Spojrzała raz jeszcze. Ktoś nabałaganił w jej książkach. I to nie był Wim Prins, człowiek, który nigdy nic nie czytał, jeśli nie liczyć dokumentów.

Powoli, metodycznie przeglądała każdy rząd, porządkując je, zastanawiając się, jak to się stało.

Dwie półki nad podłogą, na poziomie łóżka, znalazła coś, co w ogóle tu nie pasowało. Gruby paperback. Na grzbiecie widniało nazwisko autora, którego nie знаła. Tytuł też nic jej nie mówił.

Wyciągnęła książkę spośród innych, o tematyce biznesowej, zważyła ją w dłoni. Spojrzała na maleńkie szkiełko u szczytu grzbietu. Otworzyła

okładkę i zobaczyła mikrokamerę przyklejoną taśmą do komórki i przymocowaną do czegoś, co wyglądało jak pakiet baterii zajmujących resztę miejsca.

Na tyle dużych, by pracowały przez tydzień. Może dłużej.

Pomyślała o mężczyznach, którzy ją ostatnio odwiedzali.

Prins wyszedł z łazienki zawinięty ręcznikiem, kapiąc wodą na wykładzinę. Popatrzył na nią.

– Co to jest?

– Nic – odparła Margriet Willemsen, wsuwając fałszywą książkę na półkę grzbietem do ściany. – Możesz już iść. Zobaczymy się rano.

19

Wizytówka. Rysunek przedstawiający miniaturowy dom.

Poppenhuis aan de Prinsengracht.

Dom dla lalek na Prinsengracht. Tylko że to w ogóle nie było miejsce, jakiego się spodziewał.

Kolejne kłamstwo Jimmy'ego Menza. Niebieski schował się za kilkoma samochodami i obserwował wejście. Dom wyglądał na opuszczony, porzucony, na norę. W oknach widział tylko taśmę sklejącą popękane szyby.

Nie wiedział, po co sobie w ogóle zadał ten trud. Tylko że... dokąd miałby pójść?

Trzydzieści pięć euro w kieszeni. Fałszywe dokumenty. I to wszystko. Nie dostanie pieniędzy w walizce. Może nigdy nie miał ich dostać.

W Surinamie, w domu, w takich chwilach jak ta miał gotowe kryjówki. Rodzinę i znajomych. Członków gangu, którzy pomagali za pewną cenę. Ale Amsterdam był innym światem pełnym obcych ludzi.

Oprócz jednego.

Spojrzał w wąską ulicę i zobaczył, że nadchodzi ten drugi. Czerwony lśniący dres, chuda twarz z grymasem strachu i agresji. Spocony. Przerażony.

Szkoda, że nie zapytał go o imię.

Czerwony też był szybki. Zanim Niebieski zdołał się ruszyć, tamten idiota dotarł do zniszczonego domu i otwierał drzwi.

Nie, pomyślał Niebieski. Nie rób...

Ale już widział, jak tamten wchodzi.

Nie wiedział, czemu ruszył za nim, biegiem, z krzykiem.

Gdyby znał jego imię, byłoby łatwiej.

Za drzwiami ukazał się salon pełen staromodnych mebli pokrytych kurzem i pajęczynami. Wielka łukowata sofa. Obrazy na ścianach.

Pary w staromodnych strojach, mężczyźni i kobiety na przechadzce. I kolor tego miejsca. Różowy jak pokój dziecka. Różowe tapety, różowy dywan, różowe meble.

Czerwony szedł w głąb, wołając Miriam Smith.

Niebieski podążał za nim, coraz bardziej zafascynowany. Patrzył na

zakurzone szczątki świata, o którym tylko słyszał. Niegdyś bogatego. Ciepłego i zmysłowego. W takim miejscu pewnego dnia wylądaje.

Po obu stronach znajdowały się małe pokoje, w każdym dwuosobowe łóżko i wszystko różowe, aż po głupie abażury.

Obrazy na ścianach. Młode kobiety w kostiumach. Jak lalki. Może ta nazwa jednak była prawdziwa.

Przed nim Czerwony pstrykał nieczynnymi wyłącznikami światła i krzyczał.

– Hej! Jest tu kto?

Niebieski dogonił go w ciemności, chwycił czerwoną bluzę, tamten spojrział na niego wściekły.

– Nie ma ich tu – powiedział. – Wrobili nas. Tu nie jest bezpiecznie. I...

Tamci w ogóle nie zamierzali tu przyjść, pomyślał. Bez względu na to, co by się stało przed gmachem sądu.

Cuchnęło gazem. Słyszał, jak z sykiem wydostaje się gdzieś w pobliżu.

– Musimy stąd spadać – wyszeptał.

– Chcę swoje pieniądze! Chcę, kurwa, swoje pieniądze!

– Nie zabiliśmy go. Nie zrobiliśmy nic, co nam kazali.

Gaz tak śmierdział, że zbierało mu się na wymioty. Czemu miałby się tu ulatniać gaz?

Tylko jeden powód przyszedł mu do głowy, a na tę myśl krew zastygła mu w żyłach.

– Wychodzimy! – rozkazał, ciągnąc Czerwonego w stronę otwartych drzwi za kołnierz taniej bluzy.

– Dokąd idziemy?

Do diabła, pomyślał Niebieski. Tak czy inaczej. Bezimiennie.

Wybuch nastąpił w chwili, gdy znajdowali się już tak blisko drzwi, że poczuł krople amsterdamskiego deszczu na swojej nastoletniej twarzy. Tymczasem Czerwony zdołał mu się wyrwać i wrócić do miejsca, które kiedyś nazywało się *Poppenhuis aan de Prinsengracht*.

Kretyn wołał Miriam Smith, wykrzykiwał próżne groźby i przekleństwa z dalekiego Paramaribo, których ona nie miała szans zrozumieć.

Ogień, gruz i pył pochłonęły ich obu. Kiedy się ocknął, leżeli przed

domem wraz z resztkami zabytkowej sofy i stosami śmieci oraz potłuczonego szkła. Na czerwonej bluzie zobaczył krew, a prawa ręka młodego zwisała bezwładnie ze stawu potrzaskana w łokciu.

Niebieski zakrztusił się i zadławił chmurą brudu opadającego wokół nich, po czym się pomacał: nic sobie nie połamał.

Przy nodze tamtego leżał pistolet. Walther, który Menzo dał im rano. Musiał go wsadzić do bluzy, gdy wyrzucił pistolet samopowtarzalny.

– Idziemy – rozkazał Niebieski i wyciągnął go za zdrowe ramię na ulicę.

Syreny wyły coraz bliżej. Ludzie wpatrywali się w nich, bardziej ubawieni niż przerażeni. Takie rzeczy nie powinny się wydarzać w ich miłym, cywilizowanym mieście. To wina tych młodych Surinamczyków. No, może nie tylko.

– Do Afryki? – spytał Czerwony, ściskając swoje krwawiące ramię.

Ciągnął go wąską ulicą. Zatrzymał pierwszą taksówkę, srebrnego mercedesa. Przystawił kierowcy broń do policzka jak przy napadach w ojczyźnie. Stary grubas wysiadł, a on wepchnął Czerwonego na miejsce pasażera, po czym sam zajął miejsce za kierownicą.

– Jasne – odparł, zawracając i starając się wykombinować, w którym kierunku jechać, by wydostać się z miasta. – Do Afryki. Gdzieżby indziej?

Theo Jansen wrócił do celi w areszcie. Dwadzieścia minut po pojawieniu się de Groota napłynęły informacje o wybuchu w opuszczonym domu jakiś kilometr dalej. Nastrój gangstera pogarszał się z każdą chwilą.

– Jimmy Menzo dzisiaj rano o dziesiątej odleciał do Ostendy – powiedział komisarz. – Ze swoją dziewczyną.

– Możemy poprosić Belgów, żeby go zwinęli – podsunęła Bakker.

Vos pokręcił głową.

– Za co? Nic na niego nie mamy. Jimmy wróci. Potriumfować. Nie będzie żadnych oczywistych powiązań. Jak zawsze. Ten szczeniak, którego widziałem na zewnątrz...

– Dwóch – przerwał mu de Groot. – Przyłączyli łódkę. Jeden z nich zwiął, gdy zobaczył, co się dzieje.

– Musimy ich dopaść, Frank. Jimmy ma plany...

– Tak! Wiem!

Stan wytrącenia z równowagi zupełnie nie pasował do de Groota.

– Wybuch ma jakiś związek z tymi szczeniakami? – spytał Vos.

De Groot nie sądził. Strażacy powiedzieli, że dom był opuszczony. Ich zdaniem eksplozję spowodował wyciek gazu.

Zakrawało na cud, że bandyta, który strzelał z broni samopowtarzalnej przed sądem na Prinsengracht, nikogo nie zranił. Jedyne szkody ograniczyły się do paru wyłuczonych okien i uszkodzonego tynku.

– Dowiedziałeś się czegoś nowego o Katji Prins? – spytał Vos.

– Nie. Jej ojciec nadal uważa, że to jakaś gra. Może ma rację. Zna ją lepiej niż my. Muszę wracać na Marnixstraat. Ty zajmiesz się sprawami tutaj.

Zeszli na dół, do celi. Bakker podążyła za nimi. Theo Jansen siedział na ławie. Vos znowu spytał go, gdzie może być Zeeger.

Wielki bandzior wyrzucił ręce w górę.

– Już mówiłem! – wrzasnął. – Nie wiem. Spytajcie Lindemana...

– Pytałam – przerwała Bakker. – Mówi, że nie ma pojęcia. Ostatni jego adres, jaki miał... Zeeger zniknął.

– Jaap nie jest moim człowiekiem – odpowiedział Jansen. – Nie mam nic do dodania. Chcę iść do domu.

– Katja Prins mieszkała pod tym samym adresem, Theo – dodał Vos. – Ona wprowadziła tam Zeegera. Teraz zniknęła. Przypomina to sprawę mojej córki. Widać tu podobny schemat.

Jansen poruszył się na ławie, po czym zmrużył oczy.

– Co takiego?

– Mamy lalkę z jej krwią, z jej włosami. Tak samo jak w moim przypadku.

– Ja nie mam z tym nic wspólnego – zastrzegł Jansen. – Bo i jak? Od dwóch lat siedzę w więzieniu. Chcę iść do domu. Sędzia powiedział, że mogę.

– To zwolnienie warunkowe – zauważył Vos. – Możemy je uchylić w dowolnym momencie bez podania powodu. Rozmawiałem z sędzią. Załatwione.

– Do diabła z tym gównem...

– Nie – odrzekł Vos stanowczo, wstając. – Nigdzie nie pójdziesz. W ciągu godziny przyjedzie po ciebie furgonetka i odstawi cię do więzienia. Obawiam się, że będziesz musiał trafić do jedyńki. Maksymalne środki ostrożności. Dla twojego własnego bezpieczeństwa...

Jansen z rykiem zerwał się na nogi, wymachując pięściami. Bakker się cofnęła. Pieter Vos stał nieruchomo i wpatrywał się we wściekłą twarz Jansena. Czekał, aż burza ucichnie.

– Jutro możesz porozmawiać z Michielem Lindemanem o krokach prawnych – dodał. – Dzisiaj już nie. Ktokolwiek chce cię zabić, umieścił kogoś w budynku sądu. Nie wiemy, kto to jest. Ma fałszywe dokumenty. Skoro to potrafią zrobić, może są w stanie dopaść cię w więzieniu. Wolałbym cię trzymać na uboczu.

To powiedziawszy, odwrócił się i ruszył na górę. Bakker za nim, cmokając z dezaprobatą. Zaczekał na nią u szczytu schodów.

– Vos! Nie rozmawiałeś z żadnym sędzią. Nie zamówiłeś transportu do więzienia. Nie...

– Pogadaj z Frankiem. On to załatwi.

Zerknął na zegarek.

– Muszę iść na piwo. Muszę zobaczyć, czy Sam je jak należy. Jest wybredny, jeśli chodzi o karmę.

– Mamy robo...

Uśmiechnął się, i to ją uciszyło.

– Z mojego punktu widzenia nie mamy. Powiedziałem, że zajrzę do dokumentów. I nic poza tym. Nie należę już do Marnixstraat. To twoja sprawa.

Następnie wyszedł z gmachu sądu na Prinsengracht, przyjrzał się bacznie wytłuczonym oknom, śladom po kulach na fasadzie, wziął swój stary rower i ruszył do domu.

21

Czerwony trzymał się za potrzaskane ramię i krzyczał. Niebieski ścisnął mocno kierownicę, a miasto szybko zmieniało się za szybą.

Syreny. Ślepe zaułki. Piesi uskakujący im sprzed maski. Rowerzyści wygrażający im pięściami.

To było dla nich obce, złe miejsce, a on nie miał pojęcia, jak uciec, dokąd iść.

Skręcił w wąską uliczkę, modląc się o chwilę do namysłu.

Zawsze zostawała policja. Chociaż wiedział, jaką zapłaciłby za to cenę. Ktoś by ją zapłacił, nawet jeśli nie on.

– Cholera! – Walnął dłonią w kierownicę, zatrzymując samochód z piskiem.

Ślepy zaułek. Przed nimi był tylko chodnik, oczywiście ścieżka rowerowa, a dalej spokojna, wolno płynąca woda.

– Nikogo nie zabiliśmy – powiedział Czerwony, ściskając zakrwawione, potrzaskane ramię.

– Zauważyłem. Menzo też zauważy.

Budynek po prawej wyglądał na magazyn. Ten po lewej na opuszczoną kamienicę. Niebieski nie miał pojęcia, do jakiej części miasta ich zawiózł.

– Nikogo nie zabiliśmy – powtórzył Czerwony i wtedy odezwała się stara nokia.

Wiedział, kto dzwoni.

– To ty jesteś ten, co ma siostrę? – spytał Jimmy Menzo.

– Tak – odparł bez wahania.

– Siostra chce z tobą rozmawiać.

Jakieś kliknięcia, gdy łączyli ją z miejsca, w którym się znajdowała. Odsunął aparat od ucha, wiedząc, co teraz nastąpi.

Rok młodsza. Śliczna. Jak z obrazka. I tak by się pewnie kurwiła, nie prowadziłaby coffee shopu ani baru. Rozumiał to. Uświadamiał sobie ich miejsce w świecie.

– Dość! – Nie mógł znieść jej krzyków.

Trwały jeszcze przez minutę czy dłużej. Czerwony ucichł. Nawet nie jęczał nad swoimi ramieniem.

– Powiedziałem, żebyście skończyli!

Na linii znowu pojawił się Menzo.

– Wszystko w twoich rękach, młody. Wiesz, co robić.

Mówił głosem tak spokojnym, jakby zamawiał pizzę.

– Powiedz, że nie zrobisz jej krzywdy.

Głupie słowa. Bezsensowne.

– Nie zrobię jej krzywdy. No.

Niebieski otworzył okno i wyrzucił telefon na brudny chodnik.

Czerwony, patrząc na to, spytał:

– Dokąd jedziemy, skoro nie do Afryki?

– Jak masz na imię?

Chwila ciszy.

– Etienne.

Niebieski wytarł nos rękawem.

– Wybacz, Etienne – rzekł.

Wziął pistolet, który leżał między nimi, i przestrzelił mu głowę, tak jak się tego uczył na bezwzględnych ulicach jeszcze w domu.

Kanał mu się przyglądał. Słuchał. Czekał.

Mercedes miał nie więcej niż pół roku. Czysty i lśniący. Ładne czarne skóry. Jeszcze pachniał nowością. W domu by sobie takie coś zorganizował. Zwinąłby w mgnieniu oka. Może w Kapsztadzie by sobie taki kupił.

Ale manuala. Jeden jego znajomy Amerykanin tak mówił na samochody z ręczną skrzynią biegów. A ten tu to automat.

Niebieski objął kierownicę, jakby chciał się do niej przytulić. Następnie wcisnął prawą stopą pedał gazu i nie cofnął jej, gdy srebrny mercedes przedarł się przez zamknięty koniec ulicy, przez ścieżkę rowerową, przez niski ceglany murek na końcu i z rykiem poszybował w ołowianą, mętą wodę w dole.

Wim Prins wrócił do domu dopiero po dwudziestej. Liesbeth siedziała w salonie ze szklanką szkockiej w ręku. Telewizor był włączony. Za głośno.

Usiadł i obejrzał wiadomości wieczorne. Pełne wydanie. Mówili o wojnach gangów, o przemocy na ulicach Amsterdamu.

– Dzwonił Mulder z Marnixstraat. – Nie patrzyła na niego. – Chciał wiedzieć, czy ktoś się kontaktował w sprawie Katji.

– Oczywiście, że nikt się nie kontaktował. Powiedziałbym mu. Katja pewnie jutro do mnie zadzwoni i powie, że to był kiepski żart. A potem o coś poprosi.

Wstała i naląła sobie kolejnego drinka.

– Nie przesadz z tym – rzucił.

– Dlaczego?

– Muszę mówić? – Patrzył, jak na jego słowa wychyla szklankę, zerkając znad niej groźnie. – Jest bardzo mocna.

– Mocniejsza niż koka i hera? Naprawdę? Czy Bea również wysłuchiwała pouczeń?

– Tak. I Katja też. Ale nie pomagały. Choć... – Wstał i nalął sobie odrobinę. – Próbowałem. – Podniósł szklankę. – Przykro mi.

– Co zrobimy?

– Już mówiłem. Czekamy. Ona zawsze w końcu się pojawia.

Telewizor gadał głośno. Dziennikarz mówił, że wojna gangów może być odpowiedzią na planowaną przez władze miasta rozprawę. Że to akcja De Nachtwacht wywołała tę wojnę pomiędzy gangami. Nawet podał nazwiska Jansena i Menza jako głównych sprawców.

Prins przysunął się do żony, wziął od niej szklankę, ujął jej dłonie, próbował zajrzeć w wilgotne, zmartwione oczy. Skojarzyła mu się z Beą, i ta myśl go przeraziła.

– Kiedy wszystko ustawię z radą miasta, weźmiemy sobie wolne. Pojedziemy na Arubę. Zostaniemy tam przez jakiś czas, jeśli chcesz. Wezmę ze sobą jakąś pracę. Przepraszam. Teraz jestem trochę... roztargniony.

Podniosła się, pocałowała go przelotnie w policzek i powiedziała:

– Musisz iść pod prysznic. Śmierdzisz po całym dniu w garniturze.

Zdjął marynarkę, powiesił ją na oparciu najbliższego krzesła.

– Dlaczego Katja miałyby to zrobić? – spytała Liesbeth. – Tobie? Mnie? Czym sobie na to zasłużyliśmy?

– Myślisz, że potrzebny jej powód?

W sypialni piknął jego telefon. Mejl z adresu, którego nie znał. Wielki załącznik, za duży, żeby ściągnąć go przez komórkę.

Prins westchnął, poszedł do sąsiedniego gabinetu i uruchomił program pocztowy.

Następnie wziął prysznic. Drugi w ciągu trzech godzin. Mnóstwo wody. Zastanawiał się, czy tyle wystarczy.

23

Z psem to było kłamstwo. Sam wcale nie wybrzydzał przy jedzeniu. A Sofia Albers karmiła go w Drie Vaten wystarczająco często. Czasami, gdy Vos tracił rozum i całymi dniami nie mógł funkcjonować, trzymała Sama w barze. On chyba to uwielbiał.

Trzy przystanki po drodze. Znajome puby na Jordaanie. Miejsca, w których mógł usiąść i pomyśleć. Albo usiąść i nie myśleć. Tylko popijać piwo, patrzeć na twarze, słuchać muzyki. Czasami pośpiewać. Stare piosenki. Głupie piosenki. Refreny o mieście i okolicach. Mieszkańcach i rodzinie. Postaciach z przeszłości.

O martwych ludziach.

Vos widział ich już za dużo. Jako policjant miał zapobiegać tym tragediom. Aż nazbyt często był jedynie chorym podglądaczem. Nawet jeśli ostatecznie odkrywał prawdę, ból nie mijał. Vos nic im nie mógł dać. Nic nie mógł zaoferować Liesbeth, a ona się pogubiła i wpadła w gościnne ramiona Wima Prinsa. Zostawiła go, by cierpieć, krzyczał i pomstował w nędznej łódce pod lipami, gdzie nikt go nie słyszał, gdy spędzał kolejne wieczory w oparach wódki albo narkotyków.

W tej mgle nie znalazł odpowiedzi. Ale pytań też nie.

Do Drie Vaten dotarł dopiero po dwudziestej. Laura Bakker siedziała samotnie przy barze, z niedopitą szklanką coli. Zgromiła go wzrokiem, gdy podszedł do kontuaru i zamówił piwo. Smar z łańcucha rowerowego pobrudził jej nogawki spodni. Szary garnitur wisiał na niej jakby jeszcze bardziej niezgrabnie.

– Skąd ty, na Boga, bierzesz te ciuchy? – spytał.

– Ciocia Maartje mi je szyje. – Zmierzyła go wzrokiem. – A ty skąd bierzesz swoje? Ze sklepu charytatywnego dla nastolatków?

– Ciocia Maartje z Dokkum?

– Ma maszynę do szycia. Kupuje wykroje. Są tanie. – Wzięła serwetkę, potarła smar, tylko pogorszyła sprawę. – Praktyczne.

– Jak buty – powiedział, wpatrując się w ciężkie czarne buty z cholewami.
– Słysząc cię dwie ulice dalej.

– Gdy weszłam na twoją łódkę, jakoś mnie nie usłyszałeś. Zagadałeś się

z de Grootem.

Vosowi trochę kręciło się w głowie. Miał na sobie to, co zwykle. Prążkowany niebieski sweter. Granatową ciepłą kurtkę. Dżinsy. Wszystko stare. Może trochę zniszczone. Ale czyste. Dbała o to Sofia Albers, która teraz im się przyglądała.

– Przyganiał kocioł garnkowi, Vos. Masz na sobie skarpetki nie do pary. Jedna jest szara. Druga zielona. Nie zauważyłeś?

– To tylko skarpetki, na Boga – jęknął, sięgając po piwo.

– Sam już jadł. Pytałam.

Na to Sofia za barem wykonała salut jak do towarzysza broni.

Vos dołączył do niej, podniósł szklanekę, zamknął się. Mały terier przydreptał zza baru i siadł u stóp swojego pana. Bakker wskazała plakat na ścianie: *Casablanca*. Bogart i piękna, smutna Ingrid Bergman, w tle uśmiechnięty pianista.

– Dałeś mu imię z tego plakatu?

Skrzyżowała długie ramiona.

– A jeśli nawet, to co? Jemu wszystko jedno.

– De Groot jest wściekły. Nie możesz tak sobie po prostu odchodzić.

– Bo co?

– Menzo ciągle jest w Ostendzie. Znaleźli tych chłopaków. W każdym razie jednego z nich. Ukradli samochód.

To było coś nowego. Umysł mimowolnie trochę mu się przejaśnił.

– Co się stało?

– Wygląda na to, że jeden z nich zastrzelił drugiego. Potem wjechał do kanału. – Pokręciła głową. Długie rude włosy spływały na ramiona. – Znaleźli jedno ciało. Drugiego ciągle szukają.

Vos skinął głową.

– To straszne – dodała. – To były jeszcze dzieci.

– Może się za nich pomodlisz, a potem wrócisz do Dokkum? – spytał.

Nagły wybuch gniewu.

– Nic lepszego nie masz?

Napił się piwa i pożałował, że nie trzymał gęby na kłódkę.

– Pomodłę się? Dlaczego? Bo jestem głupią wieśniaczką? O to chodzi?

– Tego nie powiedziałem. – Vos odsunął szklankę. Wcale nie chciał, żeby tak wyszło. – To jest wielkie miasto, Lauro. Kiedy się robi złe, staje się też... niemilosierne. Nie wybiera. Pomiedzy dziećmi a dorosłymi. Pomiedzy dobrem a złem. Winnym a niewinnym...

– Jestem tu, bo tego chcę. De Groot może mnie zwolnić. Ty nie możesz. Dlaczego ci chłopcy musieli tak umrzeć?

– Taka tradycja – odparł. – Jimmy Menzo. Surinamscy bandyci sami to załatwiają. To kwestia honoru. Pewnie też rodziny. I wątpię, czy mieli jakiś wybór. Gdyby się nie rzucili na swoje miecze, spotkałyby ich reperkusje.

Jego odpowiedź chyba jeszcze bardziej ją rozzłościła.

– Rozumiem. Dlatego właśnie de Groot cię potrzebuje.

– A co z Katją Prins? – spytał, próbując zmienić temat. – Znaleźli Jaapa Zeegera? Ten ośrodek odwykowy, w którym ojciec ją umieścił... trzeba go sprawdzić.

– Po co pytasz? Nie jesteś policjantem. Żadna z tych spraw cię nie dotyczy. Ja jestem tylko aspirantką, która zaraz wyleci z roboty. Dlaczego mi to wszystko mówisz?

Jej głos był stanowczy i wściekły. Pies kręcił się pod stołem.

– To nie jest moje zadanie – przerwał jej. – Ani mój obowiązek.

– Rzeczywiście. Teraz już to rozumiem.

Wzięła torebkę. Klucz do blokady roweru. Spojrzała na zewnątrz, na czarną noc, na sylwetkę łodzi Vosa widoczną za chodnikiem.

– Czujesz się tu bezpiecznie? – rzuciła, gdy zebrała swoje rzeczy. – Uodporniony na to wszystko?

– Do cholery, nie jestem dobry! – ryknął Pieter Vos, niepewnie wstając na nogi. – Nie rozumiesz? Nie zdołałem ocalić własnej córki. Dlaczego, do diaska, Frank sądzi, że zdołam pomóc komukolwiek innemu?

Sam zamienił się pod stołem w skulony kłębek białej sierści. Na ten widok Vos poczuł się paskudnie. Laura Bakker też, sądząc po tym, że przyklęka i pogłaskała psa po drżącym grzbiecie.

– Ja rozumiem dlaczego – odparła. – Szkoda, że ty nie. Masz... może ci się przyda.

Naskrobała na tekturowej podkładce numer telefonu, rzuciła mu, wyszła

z baru, wzięła rower i ruszyła w ciemność i deszcz.

Vos dopił piwo, podszedł do kontuaru i zamówił oude jenevera.

– Nie bądź głupi. – Sofia Albers stała, skrzyżowawszy ramiona, i patrzyła na niego ze złością. – Krzyki w moim barze? Straszanie Sama? Idź do domu, Vos. Wstydzilibyś się.

– Mam za sobą nie najlepszy dzień. Więc jeszcze jedno piwo.

Stał, aż uległa. A potem, przez prawie godzinę żałośnie je celebrował, popijając po łyku.

Powiedział Sofii prawdę. To nie był najlepszy dzień. Świat zewnętrzny przedarł się znowu do jego życia, wpychany tam przez ostre, natarczywe łokcie Laury Bakker.

Widział Liesbeth. Stwierdził, że jest tak samo żalosna, przygnębiona i zamknięta w sobie jak w chwili, gdy go opuściła. Zajął się sprawą, nawet jeśli tylko przez chwilę. To z kolei przywołało wspomnienia o pracy. Do tego doszła świadomość, że w pewnym sensie tę pracę lubił i tęsknił za nią.

Wziął podkładkę z numerem telefonu Laury Bakker, wsadził ją do kieszeni, przyczepił do obroży małą smycz i podszedł do drzwi.

Wtedy zauważył coś, co wcześniej mu umknęło. Na jego łodzi paliło się światło. Słabe, w pobliżu stołu kuchennego.

Bakker, pomyślał. Pewnie włamała się do środka, zanim poszła do baru. Na łódź łatwo było się dostać.

Padał delikatny, zimny deszcz.

Gdy Vos się zbliżył, usłyszał muzykę. Smutnym, złamanym głosem Chet Baker śpiewał *My Funny Valentine*.

Znowu trupy.

Słabowity amerykański jazzman zmarł na burdelowej ulicy Zeedijk w 1988 roku po upadku z okna hotelu Prins Hendrik. Vos lubił różnorodną muzykę. Sędziwy hard rock, mało znany nowoczesny jazz. Nawet paru nowszych artystów. Ale uwielbiał też wystudiowaną, pełną rezygnacji melancholię Cheta Bakera. Śpiew i grę na trąbce. Miał płytę CD. Ostatnio jej słuchał. Leżała na wierzchu stosu.

Przed łódką piesek zaczął czekać. Vos nie dostrzegł żadnego ruchu na pokładzie. Co prawda przez okna nie wszystko było widać.

Przeszedł przez trap, pociągnął za drzwi. Klódka leżała na ziemi, obok wyłamany zameczek.

Vos wyjął telefon i tekturkę, którą dała mu Laura Bakker. Zadzwoił do niej.

Zaklął, gdy włączyła się poczta głosowa.

– Zapłacisz za wszystkie szkody – powiedział po usłyszeniu sygnału. – Nigdy więcej nie wchodź na moją łódź bez pytania. Po prostu...

Otworzył drzwi, wsunął telefon do kieszeni i zszedł po schodkach do kabiny. Sam ujadał jak szalony. Skowyczał i wył. Takie dźwięki wydawał u weterynarza, kiedy pojawiała się strzykawka z igłą.

Takie dźwięki wydawał, gdy był przerażony.

24

Liesbeth objęła Prinsa w łóżku, wsunęła dłoń pod górę jego pizamy, pogłaskała go po klatce piersiowej.

– Miałem trudny dzień – westchnął. – Jestem zmęczony.

Jej palce nie chciały słuchać. A potem się poddały.

– Chodzi o mnie? – spytała.

Oczy zamknięte, głowa wróciła na poduszkę.

– Nie. To tylko praca. I to całe... zmartwienie z Katją.

– Nie sprawiałeś wrażenia zmartwionego.

– Mam krzyczeć i płakać? Wyobrażasz sobie, jak to robię? Żyję z Katją i jej demonami od chwili śmierci Bei. W którymś momencie człowiek się poddaje.

Odsunęła się od niego i schowała pod kołdrę.

– Rano przychodzi Mulder – powiedział Prins. – I tak musimy się spotkać. W sprawie De Nachtwacht...

– Niedobrze mi już od słuchania o tym gównie. – Wsparła się na jednym ramieniu, spojrzała na niego. – To nie zda egzaminu, wiesz przecież. Ludzie tacy nie są. Nie możesz przełączyć guzika i zmienić wszystkiego.

Przeciągnął się, źle się czuł.

– Musimy coś zrobić. Gdybym przełączył guzik trochę wcześniej, może zdołalibyśmy uratować twoją córkę...

– Pieter mówił inaczej. De Groot też. Powiedzieli... – Zamrugła powiekami, założyła maskę tragedii, którą nosiła cały czas, odkąd rozstała się z Vosem. – Powiedzieli, że to był jakiś szaleniec.

– Nie mają zielonego pojęcia, kto to był.

– A ty masz? Nawet szef Amsterdamu nie wie wszystkiego, prawda?

– Nie – odrzekł z ponurym śmiechem. – Wiem o wiele mniej niż większość ludzi. I z każdym dniem coraz mniej.

– Nie zostawiaj mnie – wyszeptała, znowu blisko niego, z rękoma w jego siwiejących włosach. – Nie odchodź.

– Co?

– Czasami myślę...

Ból zawsze na niego działał. Pocałował ją. I zanim zdążył pomyśleć, ona

już zdejmowała z niego piżamę, chłonęła go cała, zdesperowana.

To było krótkie. Smutne. Dziwne. Gdy skończyli, żadne z nich nie wypowiedziało ani słowa. On czuł jej twarz przy swoim policzku, łzy płynące po jego skórze.

– Muszę sprawdzić pocztę. – Wstał z łóżka, by pójść do gabinetu.

To była wymówka. Słaba. Ale wcześniej pojawił się ten dziwny mejl, z załącznikiem, który się nie ładował.

Stanął przed komputerem i spojrzął na niego. Wiadomość przysłał ktoś, kto podpisał się jako Pop Meester. Może to przezwisko. Władca lalek. To samo w temacie. Żadnego tekstu, tylko załącznik, film o objętości osiemdziesięciu mega.

Prins podszedł do drzwi, zamknął je i dopiero wrócił do komputera.

Podświadomie wiedział, co zobaczy. Nawet podano godzinę i datę, żeby mu ułatwić zadanie. Sprzed trzech godzin. Ziarnisty obraz, bez dźwięku. Nagie ciała w półmroku. Margriet Willemsen wygięta nad nim w sypialni swego małego mieszkania. Prins z odchyłoną głową. Bezgłośny ryk.

Wyłączył film, skasował plik, nieodwracalnie. Jakby dzięki temu miał go usunąć na zawsze.

Wrócił do łóżka i próbował zasnąć.

25

Na pokładzie nikogo nie było. Vos podszedł do odtwarzacza CD i wyłączył muzykę.

Pies ciągle szczekał, węszył, skowyczał.

Vos się rozejrzał. I jeszcze raz. Przyjrzał się wszystkiemu.

Nie chodziło o to, że jest pijany. Nie do końca. W pewien sposób w głowie miał większą jasność niż w ostatnich miesiącach. Widział, że to się nie uda. Łódź nigdy nie zostanie naprawiona. Ani jego życie. Nie w ten sposób.

I jeszcze Frank de Groot ciągnący go z powrotem w dawny koszmar. Znajome piekło.

Podszedł do okna na rufie, otworzył je. Wyjął legitymację, którą dostał od de Groota. Już miał ją wyrzucić do wody.

– Sam... – jęknął – Na miłość boską.

Szczekanie psiaka przybrało na sile o kilka decybeli w chwili, gdy do środka wtargnęło zimne nocne powietrze. Teraz przeszło w wycie.

Zwierzęta wszystko dostrzegały szybciej niż ludzie. I wcześniej czuły zapachy.

Brezent na podtopionym bączku został nieco zsunięty.

Vos poczuł, jak brakuje mu tchu, jak ogarnia go zgroza. Te wszystkie stare uczucia. Nie dało się ich uniknąć.

Zapiął na powrót smycz Sama, odprowadził go do Drie Vaten, powiedział Sofii Albers, że będzie musiała się nim zająć przez całą noc. Coś w jego twarzy powstrzymało ją od protestów.

Dobra kobieta. Pewnie się w nim podkochiwała.

– Słyszałaś coś? – spytał. – Widziałaś kogoś przy mojej łodzi?

Spojrzała w ciemną noc.

– Nic zupełnie, Pieter. Co się...?

Chwycił kilka papierowych serwetek z kontuaru, wyszedł na zewnątrz, dotarł do bączka, popatrzył. Osłaniając dłonie serwetkami, ostrożnie odsunął brezent.

A potem zadzwonił do Franka de Groota. Stwierdził, że jest w stanie rozmawiać prawie tak jak kiedyś, gdy jeszcze był na służbie. Logicznie, spokojnie, jasno, mimo że kręciło mu się w głowie.

De Groot słuchał i w końcu spytał:

– Jezu, Pieter, to nie jest córka Prinsa?

Vos zebrał się, by spojrzeć raz jeszcze.

Kobiece ciało leżące bokiem na dnie łódki. W głowie rana postrzałowa. Ciemna plama sącząca się w dół, w kierunku piersi. W zgięciu prawego ramienia porcelanowa lalka w staromodnej sukience, teraz nasiąkniętej krwią. Taką samą mogłaby pewnie mieć Petronella Oortman.

– Przyjedź tu po prostu, dobra? – powiedział Vos, po czym usiadł na kamiennym brzegu i czekał.



Wtorek, 18 kwietnia

1

Ranek. Ulica wzdłuż Prinsengracht wciąż była zamknięta. Podobnie jak most i skrzyżowanie przy pomniku kapeli Johnny'ego Jordaana. Vos przyglądał się wcześniej, jak powoli zjeżdża się ekipa z wydziału zabójstw, jak przeszłość wynurza się z nad zimnych zatechłych wód kanału.

Policjanci w białych kombinezonach ochronnych. Wyposażeni w aparaty fotograficzne i wymazówki. Przyciszone głosy, ludzie szepczący do telefonów, rozmowy przecinane cyfrowymi zakłóceniami. Wszędzie pojazdy. Długi czarny sedan komisarza. Tańsze oznakowane radiowozy z mundurowymi, którzy mieli trzymać na dystans gapiów i prasę. Las rowerów. W końcu to Amsterdam.

I nosze. Rozłożone pod palącymi reflektorami, wyniesione z podtopionego bączka sześć godzin po tym, gdy ją tam znalazł. Teraz ciało spowijał całun kostniczy. Czarny plastik zasłaniał jej martwe oczy i zakrwawioną skórę.

Szczegółowy, mozolny rytuał rozkręcał się powoli i Vos musiał wziąć w nim udział. Około piątej, gdy oczy mu się już zamykały, spędził niespokojną godzinę w wolnym pokoju nad barem. Obudził się o wpół do siódmej, wypił kolejną kawę, zjadł ciastko. Wyprowadził przygnębionego, zdumionego Sama na krótki spacer wzdłuż kanału i zostawił go z Sofią Albers, nie mówiąc ani słowa.

Teraz była już siódma. Na miejsce dotarł de Groot z ekipą techników i detektywów. Laura Bakker trzymała się na obrzeżach tłumu, nie do końca do niego należąc, dygocąc w chłodzie nad kanałem. Rude włosy związała z tyłu głowy, oczy miała jasne i czujne. Nowy garnitur. Tym razem granatowy, niemal w tym samym kolorze, co jego wytarta kurtka, spodnie i sweter. Wyglądała jak tyczkowata uczennica po zarwanej nocy.

De Groot napotkał wzrok Vosa, strzelił palcami i wskazał wóz centrum operacyjnego. Vos uśmiechnął się do młodej aspirantki, zagubionej i ignorowanej. Dał jej znak, by dołączyła, chociaż de Groot zareagował na to długim westchnieniem. W trójkę weszli do środka i usiedli na zimnych siedzeniach. De Groot kazał Bakker wertować raporty na laptopie, dzwonić i sprawdzać znaki zapytania.

Vosowi całkiem się przejaśniło w głowie. W zasadzie umysł mu się

wyostrzył. Minęły dwa lata, odkąd ostatni raz prowadził śledztwo, szukając światła w ciemności. Po części mimowolnie cieszył się na to wyzwanie.

– Powiedziałeś już Jansenowi? – spytał, gdy podsumowali informacje zebrane w nocy.

Frank de Groot, wpatrzony w laptop, odrzekł cicho:

– Nie. Musimy to przemyśleć. Dzisiaj ma wyjść. Co mam mu powiedzieć? Że jego córka nie żyje, a my nie mamy pojęcia, jak to się stało? Jimmy Menzo nie wystawił nosa z Ostendy. Nie możemy wyśledzić tego kogoś, kogo przysłał pod sąd. Theo oszaleje.

– Dlaczego to musi być Menzo? – spytała Bakker, odrywając się od komputera.

Komisarz wbił w nią wzrok.

– A któż by inny?

Vos nie podzielał tej pewności.

– Naprawdę zlikwidowałby córkę tylko dlatego, że nie udał się zamach na ojca? Te szczeniaki przed sądem były zorganizowane. To nie wygląda na spontaniczne działanie. Powiedziano im, co mają robić. Zaatakowali prostacko, brutalnie i publicznie. On chciał coś obwieścić. Zabicie Rosie Jansen...

Spojrzał na Bakker.

– Co nam mówi? – spytał.

– Nic – odparła. – Zabił ją i tylko pogorszył sprawę, prawda?

Vos uśmiechnął się, spojrzał na de Groota i kiwnął głową.

– Właśnie – rzekł. – Jeszcze większa wojna. Straszniejsza wojna. Nie jakieś tam porachunki. Wendeta. Może to i był Menzo. Ale ja myślę, że on jest na to za sprytny.

– Znowu zaczynasz gadać jak jeden z nas – zauważył de Groot z uśmiechem.

Vos wziął wydruki z komputera, poprosił Bakker, by jeszcze raz przeszukała laptop.

Przeanalizował wszystko, co mieli do tej pory.

Dwóch nastoletnich surinamskich zbirów próbowało zabić Thea Jansena. Nie udało im się i zginęli: jeden został zastrzelony, drugi najwyraźniej

popęłił samobójstwo. Co prawda nurkowie nie znaleźli jeszcze drugiego ciała. Obaj przybyli do Holandii legalnie, tydzień wcześniej wylądowali na lotnisku Schiphol i zatrzymali się w tanim hostelu w centrum miasta. Zero powiązań z Menzem czy z którymkolwiek innym znanym amsterdamskim przestępcą.

Ciągle nie znaleźli Jaapa Zeegera. Nie dowiedzieli się niczego nowego o Katji Prins. W prasie i telewizji w kółko wałkowano temat wojny gangów i zamachu na życie Jansena. W żadnych mediach nie pojawiła się na razie tożsamość ofiary morderstwa na Prinsengracht ani informacja o zaginięciu córki Prinsa.

Zadzwoił telefon Bakker. Bezgłośnie powiedziała „kryminalistyka” i słuchała w napięciu rozmówcy, a na jej bladej twarzy odmalowało się żywe zainteresowanie.

– Czemu dzwonią do ciebie? – spytał de Groot, gdy skończyła.

– Bo ich o to prosiłam – odparła, jakby ta odpowiedź była oczywista. – Znaleźli coś na lalce. Na tej, którą zostawiono przy ciele Rosie Jansen. Odkryli tam...

Podeszła do laptopa, przejrzała wiadomości.

– Małą kamerę. Przyklejoną od spodu, w plastikowej torebce, żeby się nie zamoczyła.

Znowu palce na laptopie. Sięgnęła ręką do twarzy i odgarnęła pasmo włosów.

– Są zdjęcia. I film. Już się ściągają.

Czekali we trójkę. Pojawiła się seria zdjęć. Vos przyglądał się im bardzo uważnie.

– Co to za miejsce? – spytał.

– Mieszkanie Rosie Jansen – odrzekł de Groot. – I tak wiedzieliśmy, że to tam ją zabito.

W sumie osiem zdjęć. Córka Thea Jansena martwa na podłodze jakiegoś eleganckiego pokoju. Jasny dywan. Na ścianach nowoczesne obrazy. A obok krew. Rozprysnięta. Jeden strzał.

Rozrzucone meble. Potłuczone naczynia. Na dywanie odłamki szkła.

– Broniła się – stwierdziła Bakker.

– Jak lew – dodał Vos. – Cała Rosie.

– Jest coś nowego? – spytał de Groot z widoczną niecierpliwością. – Jak on się dostał do środka? Co znaleźli technicy?

– Nie było śladów włamania – odparła, po czym jeszcze raz postukała w klawiaturę. – Nic poza tym. Ciągłe szukają. To pewnie wymaga czasu.

Vos wpatrywał się w swoje buty. Brązowe, zamszowe. Kiepskie. W biegu wyjął czyste ubranie z torby z praniem od Sofii. Różne skarpetki. Nie do pary, jasnoszara i ciemnoszara. Nie zauważał takich rzeczy. Ten sam granatowy sweter wełniany. Pod spodem tania bluza z C&A. Strój na koncert w Melkwegu. Nie na śledztwo w sprawie morderstwa.

– Nie macie czasu – powiedział. – Ktoś tu sobie pogrywa. Podpuszcza Jansena. – Popatrzył na de Groota. – Podpuszcza ciebie. Może nawet podpuszcza Jimmy’ego Menza.

Komisarz mówił coś o powrocie na Marnixstraat i omówieniu tam sprawy.

Vos pokręcił głową.

– Wczoraj to była przysługa. Odpracowałem już twój cuchnący ser.

– Jezu, Pieter! – krzyknął de Groot. – Ten drań podrzucił ci ciało Rosie Jansen pod drzwi. Wszedł do twojego domu. Bierzesz w tym udział, czy ci się to podoba, czy nie.

– Jeszcze jeden powód, by się trzymać od tego z daleka – odparł Vos. Wstał i spojrział na bezbarwny dzień na zewnątrz.

Mógłby wrócić do Drie Vaten. Przespać się chwilę. Odzyska swoją łódź, gdy tylko technicy zakończą na niej pracę. Potem posprząta. Przebierze się w inne stare, znoszone ciuchy. Wróci do pracy, która w sumie nie była pracą. Do życia, które w ogóle nie trzymało się kupy.

Może znowu usiądzie w Rijksmuseum, godzina po godzinie będzie się wpatrywał w domek dla lalek Petronelli Oortman i szukał jakiegokolwiek sensu.

Potem wypije kilka piw. Może zajara po raz pierwszy od tygodni.

Pomarnuje czas. Bo co innego może jeszcze z nim zrobić?

– Technicy wysłali film – poinformowała Bakker. – Też był na kamerze. Nie zrobiono go razem z pozostałymi zdjęciami. Ktoś go rozmyślnie dołączył.

– Ilu zdjęć potrzebujecie? – spytał Vos rozdrażniony. – Rosie Jansen nie żyje. Zaczniście szukać.

– On nie dotyczy Rosie Jansen – powiedziała Bakker ostrożnie.

A potem uruchomiła nowy plik na ekranie.

2

Wim Prins siedział w kuchni ich spokojnego domu w pięknym *hofje*. Parę minut po ósmej. Na stole kawa i tosty. Klaas Mulder, nadinspektor z Marnixstraat, pojawił się przed dziesięcioma minutami.

Ku rozdrażnieniu Prinsa, nie chciał rozmawiać o De Nachtwacht. Tylko o Katji.

– Jeśli to nie jest jakaś gra... – zaczął.

– To nie jest gra – warknęła Liesbeth. – Cokolwiek to jest, to na pewno nie gra.

Mulder zgromił ją wzrokiem. Wycierała kuchenny stół ścierką, chociaż wcale tego nie potrzebował.

– Jeśli Katję porwano – powiedział policjant – musicie być przygotowani na to, że ktoś się do was zgłosi. Pewnie dzisiaj. Niewykluczone, że ma to jakiś związek z zamachem na Jansena.

– Jakim cudem? – spytał Prins.

Mulder wzruszył ramionami. Wziął swoją kawę, pobawił się donatem na stole.

– Obiecał pan, że się za nich weźmie. Może Menzo uważa, że to doskonały moment, by na dobre pozbyć się Jansena i jego ludzi. Nie uporządkujecie wszystkiego. To, co zostanie... On zgarnie więcej.

– Tu chodzi o Katję – wyszeptała Liesbeth. – Nie o politykę. Nie o jakieś głupie prawo...

Cisza. Mulder dolał sobie kawy. Czekał.

– Chodzi o moją córkę – zgodził się Prins. – Znowu mnie nabiera. Nie mam co do tego wątpliwości. To nie pierwszy raz. I nie ostatni. Ale musimy sobie z tym poradzić.

Policjant wzruszył ramionami.

– Tak czy owak, to poważna sprawa. De Groot mówi, że nie będzie już przymykał oczu. Jeśli to tylko gra, ona stanie przed sądem za wprowadzenie policji w błąd. Jeśli ktoś ją porwał... Menzo na przykład...

Liesbeth Prins przyłożyła do czoła drżącą rękę.

– Jezu, Wim. Czemu wpakowałeś nas w to gówno? Jaki to ma sens...?

– Przestań! – wrzasnął Prins. – Wiesz dlaczego. – Kiwnął głową na

Muldera. – On też wie. Całe to cholerne miasto wie. Aż za często było to wałkowane w gazetach. Miałem żonę, która rozpadła się na moich oczach. Miałem córkę, która poszła tą samą drogą. To tylko...

– A więc chodzi o ciebie, tak? – spytała cicho, z goryczą.

– Jeśli tak chcesz to ująć – odparł spokojniej. I dodał do Muldera: – Powiedz mi, co mamy robić.

– Musimy sporządzić listę jej wszystkich znajomych. Jej kontaktów...

– Katja dwa lata temu wyprowadziła się z domu – przerwał mu Prins. – Wy wiecie o niej więcej niż my.

Mulder schował notes do kieszeni marynarki, zjadł jeszcze trochę donata, zerknął na zegarek i powiedział:

– Jeśli jest pan za bardzo zajęty...

– Ona ciągle ma tu swój pokój – odezwała się Liesbeth. – A w nim są jej rzeczy. Niektóre z czasów, gdy była małą dziewczynką. – Chwila ciszy. – Wtedy była szczęśliwa.

– Przeglądała je pani? – spytał policjant.

– Nie za bardzo. Zastanawiałam się, czy można część z nich wyrzucić. Ale ilekroć ją o to pytałam, dostawała szału. – Liesbeth Prins ciaśniej owinęła się cienkim szlafrokiem. – Nawet już po swojej wyprowadzce. To niełatwe.

– Co takiego?

– Bycie macochą. Pewnie bycie pasierbicą też nie. Chce pan tam zajrzeć?

Dokończył donata, pokręcił głową.

– Niekoniecznie – odparł. Wstał, strzepnął okruchy z marynarki. – Gdyby ktoś dzwonił, proszę dać mi znać.

– Nie rozmawialiśmy o De Nachtwacht – przypomniał Prins

– To prawda. Szczerze mówiąc, teraz jestem trochę zajęty. Ważnymi rzeczami. – Szeroki uśmiech. – Osobami zaginionymi. Martwymi.

– Wprowadzimy to w życie, Mulder. Wy na Marnixstraat tego nie powstrzymacie.

– Nie – przyznał. – Nie powstrzymamy. Ale z tego co słyszałem, nie będziemy musieli.

– Słucham?

Mulder wstał, rzucił swoją wizytówkę Liesbeth Prins.

– Gdyby się pani czegoś dowiedziała, proszę do mnie zadzwonić.
Koniecznie do mnie, do nikogo innego.

3

Laura Bakker przeglądała film przysłany przez techników z Marnixstraat. Drżące klatki. Jasny słoneczny dzień z przeszłości.

Znajdował się na tej samej karcie pamięci co zdjęcia, ale pochodził z innej kamery. Data wskazywała na niespełna trzy lata wcześniej. Kilka dni przed zniknięciem Anneliese.

– To twoja córka, prawda? – spytała.

Frank de Groot zasłonił twarz dłońmi, zaklął pod nosem.

Dopiero po dłuższej chwili Vos powiedział „tak”.

Próbował skojarzyć, co to za miejsce. Trawa. Rodziny z dziećmi. W tle blady budynek przypominający latający spodek.

Vondelpark. Herbaciarnia Niebieska. Spokojne miejsce, żeby się czegoś napić czy zjeść kanapkę. Kiedy Anneliese była malutka, a świat sprawiał wrażenie całości, wozili ją tam w wózku.

Tutaj wyglądała tak, jak tuż przed zniknięciem. Młoda, piękna i szczęśliwa. Na progu dorosłości, życia poza domem rodzinnym. Chodziła boso po trawie, śmiejąc się i uśmiechając do kogoś, kto trzymał kamerę. Vos pamiętał ją taką. Pamiętał wyraźnie, jakby to było wczoraj. Przypomniał sobie też, że się martwił. A jeśli coś – osa, kawałek szkła – czai się w bujnej trawie Vondelpark, a on nie zauważy tego pierwszy?

– To Anneliese? – spytała Bakker znowu.

Tańcząca na zielonej trawie, jakby miała żyć wiecznie.

Laura Bakker chyba nie przejmowała się tym, że nie dostaje odpowiedzi. Tylko mówiła nadal:

– Oglądał to człowiek z nocnej zmiany, Vos. Rozpoznali ją. Przykro mi. Powiedzieli, że to ważne.

– Oczywiście, że to ważne – odrzekł, nie odrywając wzroku od filmu. – Ktoś chce, żebym wziął udział w tej sprawie. Co jeszcze ci powiedzieli?

– Nic.

Wyciągnął rękę i zastopował film.

Zniknęła w trzecim tygodniu lipca. Tamto lato było gorące. Nie padał deszcz. Miasto sprawiało wrażenie pogrążonego w letargu. Vos całymi dniami harował nad przekonywaniem jakichś drobnych płótek z miejskich

gangów do współpracy z policją. Ani śladu nadchodzącej katastrofy.

Wychylił się do przodu i przyjrzał się uważnie trawnikowi, ludziom wokół niej. Miała na sobie błękitną bluzkę i dzinsy odcięte pod kolanami. Pamiętał, że kupowała je razem z nim. Prezent urodzinowy. Nudził się, gdy się długo zastanawiała.

Liesbeth nie mogła pójść, nie pamiętał już dlaczego.

Potrząsnął głową, próbował uporządkować myśli. Wcisnął play.

– Vos... – zaczęła Bakker.

Anneliese kierowała się w stronę herbaciarni. Podskakując jak dziecko. Potem usiadła na trawie, objęła rękoma kolana, twarz miała pełną zachwytu. Pełną...

Pełną szczęścia. A nie zawsze była szczęśliwa. Teraz zdawał sobie z tego sprawę.

Obraz podskoczył. Ten, kto trzymał kamerę, też próbował usiąść, cały czas kręcąc.

Vos przysunął się tak blisko, że niemal dotykał ekranu. Przyglądał się postaci, która pojawiła się w kadrze. Takie same ubrania. Pastelowa koszulka, tym razem różowa. Długie niebieskie dzinsy.

I twarz.

Blond włosy. Jasnoniebieskie oczy. Mogłyby być siostrami.

– Jezu Chryste – wymamrotał de Groot. – To jest...?

Bakker wyciągnęła rękę, zatrzymała film i wygrzebała z akt kilka zdjęć.

– To córka Prinsa, prawda?

Vos nadal wpatrywał się w ekran: dwie blondwłose dziewczyny, mniej więcej piętnastoletnie. Mogłyby być kuzynkami. Siostrami. Nie bywał w domu zbyt często, ale znał kilka koleżanek Anneliese. Katja Prins nigdy się do nich nie zaliczała.

– Katja teraz tak nie wygląda – powiedziała Bakker.

Trzy zdjęcia. Pewnie z policyjnej kartoteki. Arogancka, wymizerowana twarz przedwcześnie postarzałej nastolatki. Vos odwrócił fotografie, spojrział na daty. Najstarsze pochodziło sprzed dwóch lat.

– Więc dziewczyny się znały? – spytał de Groot.

– Nic o tym nie wiedziałem – odparł Vos. – Pracowałem, pamiętasz?

Diabli wiedzą, ile godzin dziennie...

Marnixstraat pochłaniało go bez reszty od chwili, gdy przekraczał jego próg. Liesbeth sprawiała wrażenie zadowolonej. Anneliese dorastała, w czasie wakacji była ciągle zajęta. Ojciec nie miał się czym martwić.

De Groot przesuwiał palcem po kolejnych dokumentach.

– Po zniknięciu Anneliese Katja Prins zupełnie nie mogła się pozbierać. Trzy miesiące później po raz pierwszy ją aresztowano. Pijaną. Naćpaną. Prins pociągnął za właściwe sznurki i wyszła za kaucją.

Vos sięgnął do klawiatury i wcisnął play. Przez czterdzieści sekund Anneliese i Katja Prins uśmiechały się do kamery jak przyjaciółki z dzieciństwa uwiecznione pewnego gorącego, słonecznego lata, które nigdy nie miało się skończyć.

Nagle ekran zrobił się czarny. Vos już zamierzał wyłączyć nagranie, gdy Bakker wskazała, że film jeszcze trwa. Zostało dwadzieścia sekund. Czekali.

Po krótkiej przerwie pokazało się światło. Ciemny, obrzydliwy pokój. Przerazona blada twarz.

Znowu Katja Prins. Wymizerowana buzia. Chudsza. Żałosna z powodu, którego Pieter Vos nie potrafił się domyślić.

Krzyczała z szeroko otwartymi ustami, wylatywały z nich krople śliny.

„Vader, Vader, Vader. Pomóż mi...”.

Nikt inny nie pojawił się w kadrze. Nic poza ciemnością i pustymi jasnymi ścianami.

– Ktoś trzyma tę kamerę – powiedział de Groot. – Ktoś to dziecko porwał.

Przez długą chwilę siedzieli w milczeniu.

Pieter Vos zamknął oczy i usiłował myśleć. Czasami człowiek podejmuje decyzje. Czasami życie podejmuje je za niego.

Odwrócił się i spojrzał na Laurę Bakker.

– Gdzie byłaś ostatniej nocy?

– Co?

– Kiedy wróciłem na łódź i zobaczyłem, że ktoś na nią wchodził, myślałem, że to ty. Próbowałem się do ciebie dodzwonić. Włączyła się poczta głosowa.

Nawet nie mrugnęła okiem.

– Byłam tak wściekła na ciebie, że nie odebrałam. Myślałam, że jesteś pijany.

– Jeśli masz ze mną pracować, odbieraj telefony.

Pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Pracuję z tobą?

Vos zwrócił się do de Groota:

– Chcę Koemana, Rijndera i Van der Berga. Mogą zacząć od ściągnięcia wszystkich akt dotyczących Katji Prins. A także Menza i Jansena. – Zastanawiał się chwilę. – Potem zostają ze mną, podobnie jak Bakker.

– Mamy bardzo mało ludzi, Pieter – powiedział de Groot.

– Nie obchodzi mnie to. Mulder może pracować nad sprawą Rosie Jansen. Nie chcę, żeby wtykał nos w tę sprawę.

Kiwnięcie głową i cień skargi.

Vos wstał.

– Dokąd idziesz? – spytał de Groot.

– Muszę zadzwonić. – I zwracając się do Bakker, dodał: – Jedź na Marnixstraat. Niech przywiozą tu Jansena.

Spojrzeli na niego.

– Trzeba zidentyfikować ciało, prawda? – spytał Vos.

– Oczywiście – przyznał de Groot.

Vos wymierzył w nich palec.

– Niech nikt nic nie mówi Jansenowi. Zostawcie to mnie.

– A co potem? – spytał de Groot.

– Potem go zamkniemy. Nie chciałbyś, żeby on się pojawił na ulicach. Nie po tym, co ode mnie usłyszysz.

4

Pod koniec kolejnego spotkania w sprawie De Nachtwacht. Przy stole Hendriks i Margriet Willemsen.

– Mieliśmy telefon z jednej z gazet – powiedział Hendriks. – Dziennikarka nie chciała powiedzieć, o co chodzi. Tylko że musi z tobą pogadać. Sprawa osobista.

Prins uderzył długopisem w stół i zaklął.

– Mówiłem jej, że to nie wystarczy – dodał Hendriks.

Margriet Willemsen ledwie podnosiła wzrok znad dokumentów od chwili, gdy zaczęli.

– Chodzi o twoją córkę – dodał urzędnik. – Słyszeli, że znowu zniknęła.

Wtedy na niego spojrziała.

– Co się dzieje, Wim? – spytała. – Są jakieś wiadomości?

Przyzwyczał się już do myśli, że wszystko się zmieniło, odkąd zajął gabinet w siedzibie rady miasta. Że nic sobie nie robił ze świata zewnętrznego, że stał się innym człowiekiem. Ale to nie była prawda. Całe to gównem przyszło za nim, wspięło się wraz z nim na szczyt drabiny, do gabinetu, z którego rozciągał się widok na kanał i De Wallen.

– Myślałem, że to Katja sobie ze mną pogrywa – stwierdził. – Może się myliłem. Niewykluczone, że to ma coś wspólnego z wczorajszymi wydarzeniami. Z zamachem na Thea Jansena.

– Jak to? – spytała.

– Nie wiem! Policja jak zwykle nic nie mówi.

Milczała.

– Nie dam się szantażować – podjął Prins. – Nie dam wygrać tym draniom.

– Lepiej nie komplikować spraw – odparła Willemsen.

– Co to znaczy?

– Możemy poczekać z De Nachtwacht – zasugerował Hendriks. – Powinieneś się skupić na córce. To nie wygląda dobrze, że się zachowujesz tak, jakby się nic nie stało. Jakby to nie miało znaczenia.

Prins uderzył pięścią w stół.

– Nie wycofamy się. Nie...

– Posłuchaj mnie. – Wyciągnęła rękę i położyła na jego dłoni. – Jesteś

zdenerwowany. To zrozumiałe. Alex ma rację. Wydajmy oświadczenie. Że chcemy dopilnować, by wszyscy pracowali...

– Do diabła! – krzyknął Prins. – Ja tu dowodzę. Ja decyduję, co robimy. Mamy wszystko ustalone, cały plan. – Wziął do ręki projekt, przesunął go po stole w stronę Hendriksa. – Trzymamy się go.

Milczeli.

– Są jakieś pytania?

– Jak sobie życzysz – odezwała się cicho Willemsen. – Powinniśmy poprosić Marnixstraat o zakaz publikacji materiałów na temat Katji. Zrobią to dla nas, Alex?

Hendriks patrzył niechętnie. Nigdy nie lubił, gdy podnoszono głos.

– Jeśli to porwanie, to sądzę, że tak – powiedział.

Następnie wziął swoje telefony oraz iPada i umknął.

– Nie powinieneś tracić panowania nad sobą przy pracownikach – powiedziała Willemsen po jego wyjściu. – To może ci się odbić czkawką.

– Odbić czkawką? – spytał. A potem poinformował ją o mejlu i filmie.

Nawet okiem nie mrugnęła, tylko słuchała z kamienną twarzą.

– Masz go jeszcze? – spytała.

– Czy ja wyglądam na kretyna? Gdyby Liesbeth zobaczyła...

– Co mówił? Czego chciał?

Prins próbował sobie przypomnieć.

– Niczego. Był tylko podpis. Pop Meester. I plik. To wszystko. Na miłość boską! Skąd oni coś takiego, do cholery, wzięli?

Wstała i podeszła do okna. Ciemny prążkowany kostium. Każdy z czarnych włosów na swoim miejscu.

– Skąd? – spytał ponownie. Nie mógł spojrzeć jej w oczy. – No wiesz... bez twojej wiedzy?

– Słucham?

Podeszła do niego, położyła dłonie na stole, spojrzała mu w twarz. Margriet Willemsen nigdy się nie wściekała. Robiła się tylko zimna i właśnie w tej chwili stała się lodowata jak jeszcze nigdy.

– Pytasz mnie, czy nagrałam, jak się pieprzymy? I czy potem przekazałam ten film jakiemuś... szantażyście?

- Nie...
- Dlaczego miałabym to robić? Z jakiego powodu...?

– Gdyby prasa go dostała. Gdyby Liesbeth...

– Nie bądź takim mięczakiem, do cholery.

– Jak to się stało? – spytał raz jeszcze. – Mieli coś w twoim pokoju.

Sięgnęła dłonią do jego siwych włosów. W geście czułości. Albo kontroli. Nie był pewien.

– Poradzę sobie z tym. Poradzę sobie z De Nachtwacht. Może chwilę poczekać.

– Nie. Tego właśnie chcą ci dranie, prawda?

Zadzwoił telefon na biurku. Zawahał się, czy odebrać. Odebrała więc ona.

Alex Hendriks. Marnixstraat weźmie się za prasę. Będzie blokada na materiały związane z Katją. Ani w prasie, ani w pozostałych mediach nie może się ukazać żadna wzmianka na jej temat. Nikt nie mógł się zbliżyć do rodziny.

– Ktoś ją naprawdę porwał, tak? – wyszeptał Prins.

Willemsen przysiadła na skraju biurka.

– Może lepiej by było, gdybyś poszedł do domu.

– I co mam tam robić?

– Pobyć z żoną? – zasugerowała. – To by dobrze wyglądało.

5

Vos był w domu Prinsa. Niezręczne spotkanie przerywane trudnym milczeniem.

– Czy powinienem o czymś wiedzieć? – spytał.

– Na przykład?

Liesbeth wyglądała potwornie. Jakby nie spała od wielu dni. Niemal tak fatalnie, jak po zniknięciu ich córki.

– Anneliese i Katja Prins się przyjaźniły – powiedział. – Nie miałem o tym pojęcia. A ty?

Siedzieli przy kuchennym stole w wygodnym, eleganckim domu ukrytym przy ekskluzywnym podwórku niedaleko Willemstraat. Zupełnie nie przypominało to życia, które prowadzili kiedyś razem. On pracował do późna, wspinając się po szczeblach kariery na Marnixstraat, podczas gdy ona wychowywała Anneliese, podejmując prace dorywcze. Nigdy niczego im nie brakowało. Nie przejmowali się meblami ani wystrojem. Wszystkie te rzeczy wydawały się nieistotne. Byli rodziną i chociaż Vos chciał, żeby Liesbeth za niego wyszła, to rozumiał i akceptował, że tego nie robi. Po co? Mieli Anneliese, piękne dziecko, cenniejsze i znaczące więcej niż jakaś złota obrączka.

– To niemożliwe – rzuciła za szybko. – Wiedziałabym coś o tym.

Przez jakiś czas pracowała w kancelarii świadczącej pomoc prawną. Krążyło tam wielu prawników.

– Kiedy pracowałaś w Damrak, Wim przychodził do twojego biura? Może przyprowadził ze sobą Katję?

Podeszła do zlewu, wzięła paczkę papierosów, wróciła i zapaliła. Ręka jej się trzęsała tak jak kiedyś.

– O co chodzi, Pieter?

Powiedział jej o zamordowaniu Rosie Jansen i że jej ciało znaleziono koło jego łodzi.

– Wygląda na to, że nie tylko ty chcesz, bym się zaangażował w tę sprawę.
– Pokazał jej legitymację służbową. – Wróciłem do pracy, a nie chciałem tego robić. Znaleźliśmy nagranie wideo. Anneliese i Katja w Vondelpark. Były przyjaciółkami. Niedługo przed jej zniknięciem. Nie ma wątpliwości.

Zastanowiła się.

– Może Wim ją przyprowadził. Nie pamiętam. W sumie nie znałam Katji, dopóki nie zaczęłam się z nim spotykać. To było po śmierci Liese. My już nie istnieliśmy.

Nie po śmierci, pomyślał. Tylko po zaginięciu.

– Nastolatki lubią tajemnice – powiedział Vos. – Wręcz je celebrują.

– W tym okresie, gdy ona zniknęła, ciebie nie było dniami i nocami. Ja już wtedy odeszłam z tego biura prawnego. Tamtego lata pracowałam dorywczo. Ciągle odstawiałam ją do szkoły. Przyprowadzałam do domu. O ile wiem, nie spotykała się z Katją. Naprawdę jesteś pewien?

– Widziałem nagranie.

– No cóż... – Wzruszyła ramionami. – Nie umiem tego wyjaśnić.

Czekał.

– Po co właściwie tu przyszedłeś? Wcześniej był tu Mulder. Powiedzieliśmy mu wszystko, co wiemy. Kiedy ktoś zadzwoni, zawiadomimy was.

– Jeśli – poprawił. – Jeśli zadzwoni.

– Więc uważasz, że Katja znowu sobie pogrywa? Teraz, gdy trwają te gówniane wojny gangów? Mulder mówi, że może oni ją porwali.

– Może i porwali.

– No i?

– Nie wiem. Ja tylko zadaję pytania. Czekam na odpowiedzi. Nic poza tym.

Patrzył, jak kaszle, zakrztusiwszy się dymem, wyjął jej papierosa z palców, zdusił w popielniczce.

– Nie jesteś moim aniołem stróżem – powiedziała.

– Nigdy nie byłem, zgadza się? Jakżeby inaczej? Stale nieobecny. Praca...
– Cała prawda, żałował tego. – Przepraszam.

Liesbeth zawsze lubiła przeprosiny. Oznaczały jej wygraną.

– Ona ciągle ma tu swoje rzeczy. Swoją dawną pokój. Mówiłam Mulderowi. Myślałam, że to go zainteresuje.

– Nie zainteresowało?

– On i Wim drą koty w związku z tą bzdurną De Nachtwacht. Nikt od was

jej nie chce, prawda?

Vos westchnął.

– Jestem policjantem od jakichś sześćdziesięciu minut. Nie każ mi się wypowiadać w imieniu Marnixstraat. Chciałbym zobaczyć jej pokój, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Znajdował się od frontu, wychodził na prywatny park pośrodku dziedzińca. Niewielkie, jednoosobowe łóżko i wystudiowany porządek, niewątpliwie dzieło skrupulatnych rąk Liesbeth, a nie nastolatki.

Na ścianie krzykliwe plakaty gwiazd popu. Garderoba załadowana ubraniami. Komoda mniej więcej tak samo. Biurko ze śladami zabranego stąd laptopa na blacie.

– Komputer...

– Wim mówił, że sprzedała go, żeby mieć na narkotyki.

Przejrzał ubrania w garderobie. W głębi całe torby butów. Mnóstwo.

– Dużo rzeczy zostawiła.

– Moda, Pieterze. Wczorajsze ciuchy są bezwartościowe. – Otaksowała go wzrokiem, na chwilę położyła dłoń na znoszonym pulowerze. – Ty nigdy tego nie rozumiałeś. Wyglądasz, jakbyś się w ogóle nie postarzał. Jak ci się to udaje?

– Może dlatego, że ostatnio nic nie robiłem – odrzekł ze wzruszeniem ramion.

Liesbeth usiadła na łóżku. Wyglądała na bliską płaczu.

On podszedł do komody. Tylko bielizna, skarpetki, bluzki, kilka książek: steampunkowych i o wampirach.

– Nienawidzisz mnie? – spytała.

Biurko z jedną szufladą. Pełną długopisów, zużytych biletów na koncerty, spinaczy i kredek. W głębi leżał duży blok rysunkowy. Vos wyjął go i przejrzał kilka rysunków.

– Dlaczego miałbym cię nienawidzić?

– Bo uciekłam, kiedy mnie potrzebowałeś.

Vos podszedł i usiadł na łóżku.

– Oboje byliśmy zbyt złamani tym, co się stało. Nie mogliśmy rozmawiać. Nic nie zostało.

Nigdy nie odbyli tej rozmowy, a to było okrutne i smutne zaniedbanie.

– Ty mnie nie potrzebowałaś – dodał. – Co prawda ja tego nie widziałem.

– Ja...

Zamknęła oczy i nie dokończyła zdania.

– Kiedy pojawił się Wim, wyglądało na to, że pozwolił ci zapomnieć o problemach. O bólu. – Ruchem ręki wskazał pokój. – Zabrał cię do takiego miejsca jak to...

Vos roześmiał się, nie czuł zazdrości ani zawiści. Nawet żał jakby przygasał.

– W sumie nie miałem z czym startować, prawda?

Sięgnęła do jego dłoni i uścisnęła ją. Nie puściła. Zupełnie jakby chciała coś powiedzieć, ale się nie odważyła.

Vos ciągle wpatrywał się w biurko.

– Katja i Anneliese się znały – powiedział. – Były sobie bliskie. Niedługo przed jej zniknięciem. Wtedy...

Nie mógł wyrzucić z głowy tych obrazów. Dwie dziewczyny, piękne i beztroskie w parku. Czy to możliwe, żeby przyjaźń, która sprawiała wrażenie tak bliskiej, pozostała tajemnicą?

– Wtedy Katji też jeszcze nic nie dolegało. – Wysunął dłoń z jej ręki. – Kiedy zaczęła świrować?

– Nie wiem. Spytaj Wima. To jej ojciec.

– Spytam.

– Na pewno sytuację pogorszył ślub ze mną. Nigdy nie byłem dość dobra. Bea zachowywała się ekspansywnie. Znała wszystkich. Robiła, co chciała, i to bez oporów. A potem dopadły ją narkotyki. I zabiła się. Katja jest dość prostym dzieckiem. Uwielbia odrobinę dramatyzować. Jak miałam z tym rywalizować, do cholery?

Kiedy pracował na Marnixstraat, głowa działała mu jak należy. Miał pamięć do dat i zdolność do narracji linearnej. Teraz...

– Kiedy Bea umarła? – spytał. – Nie pamiętam.

– To dlatego, że wtedy też na okrągo chlałeś i ćpałeś – powiedziała w nagłym przypływie gniewu. – Mniej więcej w tym czasie, gdy się rozstaliśmy.

– A dokładnie? – spytał.

Zgromiła go wzrokiem.

– Zastrzeliła się. Ty naprawdę byłeś tak zamroczony, że to do ciebie nie dotarło?

Znowu podszedł do biurka, by się rozejrzeć. Pod jednym z narożników przylegających do ściany coś utknęło. Vos wszedł na czworakach pod spód i znalazł to coś: pendrive.

Z uśmiechem podniósł go w górę.

– Mulder jest debilem – stwierdziła Liesbeth.

– Masz komputer? Chciałbym do tego zajrzeć.

Wprowadziła go do gabinetu. Pecet Prinsa był uśpiony.

Obudził go, podłączył pendrive.

– Mogłabyś jeszcze raz sprawdzić jej pokój? – spytał. – Zobacz, czy czegoś nie przeoczyłem.

Posłała mu gniewne spojrzenie, ale wyszła.

W skrzynce wiadomości przychodzących Wima Prinsa znajdował się jeden mejl, przysłany dosłownie przed paroma minutami. Od niejakiego Popa Meestera.

W tych okolicznościach – interesujące nazwisko. Vos namyślał się chwilę, otworzył wiadomość. W środku znajdował się zzipowany plik. Miejsce na USB, czasu wystarczająco, by skopiować na nie plik, zanim Liesbeth wróci z pustymi rękoma. Potem zastanowił się jeszcze raz i zaznaczył wiadomość jako nieprzeczytaną.

– No i? – spytała.

Kliknął na pierwszy z plików Katji. Z głośników komputera popłynął pop. Na pendrivie znajdowały się same empetrójki.

– Piractwo jest złe – powiedział i wyjął pendrive. – Ale chciałbym to jednak zatrzymać.

– Może zrobię jeszcze kawy? – spytała z nagłą nadzieją.

– Mam spotkanie.

– Zawsze masz spotkania. Może innym razem?

Wsadził pendrive do kieszeni i się pożegnał.

6

Prosektorium znajdowało się na tyłach komisariatu przy Marnixstraat na parterze. Jego okna wychodziły na parking dla personelu i wiaty rowerowe. Przez okna widać było szeregi oznakowanych radiowozów. Opary diesla mieszały się z odorem autopsji, chemikaliów i krwi.

Na podwórku jeden z asystentów palił papierosa oparty o ścianę. Szary zawijas wpłynął przez otwarte okno.

Theo Jansen stał w pobliżu wyjścia, patrząc przez szybę na pustkę. Ze łzami w oczach.

– Przykro mi – powiedział Vos. – Chciałem ci to przekazać osobiście.

– Dlaczego? – wybuchnął tamten. – Myślisz, że teraz jesteśmy sobie równi?

Ciało Rosie Jansen leżało na stalowym stole sekcyjnym na środku niewielkiego pomieszczenia. Jej twarz wystawała nad krawędzią prześcieradła. Ranę postrzałową oczyszczono i zasłonięto bandażem.

Jeszcze w nocy de Groot powołał zespół dochodzeniowy do przeprowadzenia śledztwa w sprawie tego morderstwa. Większy niż przydzielił do dwóch młodych Surinamczyków, którzy próbowali zabić Jansena przed sądem. Minęło niewiele czasu. I tak jednak powinni już coś znaleźć. Ale nie znaleźli.

– Nie, równi nie – odparł Vos.

Siwa broda sterczała na wszystkie strony, nieuczesana. Jansen wyglądał o wiele starszej niż poprzedniego dnia.

– Ale to nas łączy. Jej ciało pozostawiono obok mojego domu. W ramionach trzymała lalkę. Podobną do tej, którą mi wysłano po zaginięciu Anneliese...

– Nie mam z tym nic wspólnego!

– Wiem. Już mi to powiedziałaś i wierzę ci. Ale kimkolwiek jest ten człowiek... ci ludzie... Chcą, żebym się włączył do tej sprawy, Theo. Zostawili przy ciele Rosie zdjęcia mojej córki.

Wściekły, skołowany Jansen zapytał:

– Chcesz mi powiedzieć, że ona miała coś wspólnego z morderstwem twojej córki?

– Nic takiego nie mówię. Ktoś chce, żebym się w to wszystko włączył. Nie wiem dlaczego. Wolałbym, żeby to się nie wydarzyło. Ale się wydarzyło. – Wzruszył ramionami. – Nam obu.

Jansen podszedł do krzesła przy wyjściu na podwórko, opadł na nie ciężko. Laura Bakker spytała, czy czegoś nie potrzebuje. Szklanki wody. Kawy. Pokręcił głową. Vos załatwił bezpieczny transport z powrotem do więzienia.

– Jak ją zabili? – spytał Jansen.

Vos opowiedział mu to, co do tej pory ustalono.

– Sama otworzyła drzwi. Musiał to być ktoś, kogo znała, prawda? Albo go zaprosiła.

– Rosie nie żyła w strachu – zauważył Jansen. – Nie bała się nikogo. Bo i dlaczego? Nikt przecież nie chodzi i nie zabija ci dzieci, na miłość boską.

Zdał sobie sprawę z tego, co powiedział. Wzruszył ramionami. Powędrował wzrokiem na srebrny stół. Bakker zawołała jednego z asystentów. Mężczyzna podszedł i zakrył obrzękniętą martwą twarz Rosie Jansen.

– Na jakim świecie my żyjemy? – spytał Jansen nie wiedzieć kogo.

– Czy dostawała jakieś groźby? – zapytał Vos.

– Nie. – Oparł ramiona na kolanach, wpatrywał się w ziemię. – Ja w więzieniu jakieś dostawałem. Ale nic szczególnego. Rosie zajmowała się po prostu interesami do mojego wyjścia.

– Nie za dużo miała pracy – powiedział Vos cicho.

– Gdzie on jest? – spytał Jansen. – Ten surinamski gnój. Jezu... Że chciał dopaść mnie, to rozumiem. Mogłem się tego spodziewać. Ale że Rosie... Nigdy...

– Ciągle jest w Ostendzie. Poleciał tam wczoraj rano. Prywatnym samolotem.

Jansen wyprostował się na krześle, oparł się o ścianę, spojrzał na Vosa.

– Wróci – rzucił detektyw. – A kiedy to zrobi, przesłuchamy go.

Cisza.

– Obaj wiemy, że ma niepodważalne alibi – ciągnął Vos. – Wiemy, że jeden z tych młodych nie żyje. Drugi najpewniej popełnił samobójstwo. Będziemy więc potrzebowali kogoś, kto będzie gadał. Masz jakieś pomysły?

– Przez tego łajdaka Muldera ostatnie dwa lata spędziłem w celi. Dlaczego ty mi w kółko zadajesz te głupie pytania?

Vos kiwnął głową.

– Bo muszę – odrzekł.

– Wypuścisz mnie teraz?

– A jak sądzisz?

– Cholera jasna! Sędzia powiedział...

– To zwolnienie warunkowe – przerwała Laura Bakker. – Niech pan przeczyta orzeczenie. Za kaucją do chwili apelacji. W tych okolicznościach...

Jansen spojrzał na nią groźnie, potem na Vosa.

– Pracujecie razem nad tą sprawą? Stanowicie zespół?

– Szukamy córki Prinsa – odrzekł Vos. – O Rosie chciałem ci powiedzieć osobiście. Czuję, że jestem ci to winien. De Groot zbiera ekipę. Będzie nią dowodził Mulder...

Wielki gangster wymierzył w niego palec.

– Ty masz dowodzić. Nie ten błazen. Gdyby mnie nie wsadził do pierdła, to wszystko by się nie zdarzyło.

Vos ściągnął brwi.

– Nie możesz tak myśleć, Theo. Nie możesz w kółko analizować „co by było gdyby”. Oszalejesz. Wiem to z własnego doświadczenia. Znalazłem ci jednoosobową celę w Het Schouw. Najbardziej luksusową, jaką zdołałem zdobyć.

Kompleks więzienny w Bijlmerbajes nieopodal rzeki Amster składał się z sześciu wieżowców. Jansen spędził dwa lata w Demersluis, oddziale dla niebezpiecznych przestępców.

– Het Schouw to obóz letni w porównaniu z twoim poprzednim miejscem pobytu. Tak czy owak, musi to być jedyńka – dodał Vos.

Jansen znowu wpatrywał się w stół.

– A Rosie? Kiedy się zajmę pogrzebem?

– Damy ci znać. Są jacyś krewni, z którymi możemy się skontaktować? Jej matka...

– Odeszła przed laty. Nawet nie wiem, gdzie jest. – Znowu nic nie widział przez łyzy. – Po co mnie o to pytasz? Masz akta. Wiesz, co jadam na

śniadanie. Kiedy sram. Rosie była wszystkim, co miałem.

Vos zerknął na zegarek.

– Co jeszcze? – spytał.

– Czy mogę zadzwonić do kilku osób? Przyjaciół. Muszę też pogadać z Michielem Lindemanem.

– Adwokat pana nie wyciągnie – dołączyła Bakker.

– Oczywiście – odrzekł Vos. – Na korytarzu jest automat publiczny.

– I toaleta – dodał Jansen.

Telefon i łazienka znajdowały się spory kawałek dalej. Vos ruchem głowy nakazał młodemu policjantowi, by się tym zajął. Kiedy Jansen zniknął, porozmawiał spokojnie z technikiem pracującym w prosektorium i poprosił o sprawdzenie pewnych danych.

Bakker została i czytała akta.

– Co teraz wiemy? – spytała.

Podał jej wizytówkę w plastikowej torebce dowodowej.

– Mieli to przy sobie ci dwaj chłopcy Menza. Poppenhuis aan de Prinsengracht. Opuszczony budynek. Ruina. Cokolwiek to było, na pewno nie domek dla lalek.

– To ten wybuch gazu? – spytała, zerkając na wizytówkę.

– Koeman właśnie się tam rozgląda. Sam chcę rzucić okiem.

Bakker ani drgnęła.

– To zdjęcie domku Petronelli Oortman, prawda? Takie jak to, które dostałeś na pierwszym pudełku z lalką?

– Tak się wydaje – przyznał.

– Takie zdjęcie można znaleźć wszędzie, Vos. – Oddała mu torebkę. – To gotowy rysunek. Ściągasz go sobie z sieci.

– Może.

– Szukanie zaginionego dziecka? Na odwrocie wizytówki? To... – Skinieniem głowy wskazała srebrne drzwi prosektorium. – To jest morderstwo. Jansen chce, żebyś się nim zajął. De Groot na pewno się zgodzi, jeśli go poprosisz.

– Mam tego świadomość.

Skrzyżowała ramiona na piersi. Szyty przez ciocię garnitur wisiał na niej

jeszcze gorzej niż poprzedni.

– Lauro, żadne z nas nic już nie zrobi dla córki Thea Jansena. Katja Prins może żyje. Przy odrobinie szczęścia mamy szansę ją znaleźć. Jeśli wolisz tu zostać i bawić się komputerem...

– W takim razie załatwię nam transport.

Vos zerknął za okno.

– Nie pada, prawda?

7

Dziesięć minut po tym, jak Vos i Bakker opuścili komisariat, Frank de Groot zszedł na parter budynku. Prosektorium sprawiało wrażenie opuszczonego. Ciało Rosie Jansen wróciło do chłodni. Asystentka koronera siedziała przy komputerze z pochyloną głową.

Żadnego patologa.

Żadnych policjantów.

Ani Thea Jansena.

Podszedł do asystentki, eleganckiej młodej kobiety, holenderskiej mużmanki w różowej chuście. Ze słuchawek w jej uszach dobiegały trzaski muzyki.

– Gdzie są wszyscy?

Wyjęła słuchawki i podniosła wzrok znad monitora. Musiał powtórzyć pytanie.

– Wszyscy wyszli.

– To widzę.

Spojrzała w górę.

– Szefostwo ma spotkanie w sprawie dwóch młodych Surinamczyków, którzy próbowali zabić Thea Jansena. Zdaje się, że jest jakieś powiązanie pomiędzy nimi a tym domem na Prinsen, gdzie wybuchł gaz. Bo najpierw byli tam.

– Jakie powiązanie?

– Wydaje mi się – powiedziała powoli – że właśnie to próbują ustalić. Ten miły nowy dokąds pojechał.

Komisarz zaklął pod nosem. Kobietą najwyraźniej to wstrząsnęło. Przeprosił.

– Pieter Vos nie jest nowy.

– Dla mnie jest.

– A ten gangster z aresztu?

Rozpromieniła się.

– Ten wielki? Przyjechało po niego dwóch strażników z więzienia. – Pokręciła głową. – Boże, jak ja tego nie cierpię. Kiedy przyjeżdżają na rozpoznanie. Musisz patrzeć i sam siebie nienawidzisz. – Zerknęła na równy

rząd chłodni. – Nadal nie wyobrażam sobie, jakie to musi być uczucie. Członek twojej rodziny...

– Theo Jansen wielu wysłał na tamten świat – burknął de Groot.

– To nie znaczy, że nie ma uczuć, prawda?

Ostatnio jakoś wszyscy się odszczekiwali.

Próbował zadzwonić do Vosa, ale włączyła się poczta głosowa. Potem do Laury Bakker. Złapał ją gdzieś na ulicy. Domyślił się, że jedzie rowerem. Zdołała tylko powiedzieć mu, że jadą do wysadzonego domu na Prinsengracht, i straciła zasięg.

– Jezu – burknął de Groot, a młoda kobieta w różowej chuście znowu spojrziała na niego ze złością.

Łazienka znajdowała się w oddzielonej części na końcu długiego korytarza, blisko parkingu. Poszedł tam niespiesznie, stanął przy pisuarze, jak zwykle posłuchał autobusów na przystanku przed budynkiem, zaczął sikać. W duchu podziękował Vosowi, że wrócił do służby i zaczął trochę przypominać dawnego bystrego Vosa.

Wojna gangów. Zaginięcie Katji Prins. De Groot miał dość kłopotów z rozpracowywaniem, jak sobie poradzić ze skutkami oszalałego planu porządkowego Prinsa. Większość tego problemu zrzucił na Klaasa Muldera i nie był pewien, czy to mądra decyzja.

Gdy zapinał rozporek, usłyszał stłumiony odgłos. Mężczyzna. Cierpiący.

Spojrzał na kabiny. Ostatnie drzwi były uchylone. Na zewnątrz wystawała ugięta noga w czarnym bucie.

– Jezu – jęknął ponownie i podszedł.

Jeden z młodszych mundurowych, niewiele starszy od Laury Bakker, z twarzą zakrwawioną, przerażonymi oczami. Wciśnięty w kąt obok sedesu, z rękoma zawiązanymi na plecach, zakneblowany ręcznikami papierowymi przewiązanymi kawałkiem płótna.

De Groot doskoczył, wyjął mu knebel z ust, zaczekał, aż policjant, krztusząc się, wypluje ręczniki.

Trwało to chwilę. Potem młody odwrócił głowę nad sedes i wymiotował, łkając i dławiąc się.

W jego kaburze nie było broni.

Tymczasem odezwała się centrala. Kiedy de Groot zaczął mówić, młody policjant znowu stracił równowagę, zatoczył się i przewrócił. Komisarz przerwał rozmowę, podniósł mundurowego, opuścił deskę na sedesie, podtrzymał go pod ramię i kazał mu tam zostać.

– Theo Jansen jest w więźniarce w drodze do Bijlmerbajes – powiedział do centrali.

– Miałam takie zgłoszenie – odparła kobieta. – Już odebrany. Jedzie do Het Schouw.

– Połącz mnie z kierowcą.

Zerknął na zegarek. Trzydzieści sekund. Tyle zamierzał czekać.

Ale nie musiał. Odezwała się ponownie kobieta z centrali:

– Coś tam się stało. Ogłaszam alarm.

8

W więźniarce jadącej do Bijlmerbajes Theo Jansen bez trudu wyobraził sobie szczegółowo całą trasę. Wyjazd na Marnixstraat, potem prosto aż do rojnego placu Leidseplein. Dalej już nic nie robi. Wjadą na ruchliwe otwarte drogi publiczne. Marne szanse na ucieczkę. Musiał działać szybko, jak wtedy, gdy był młodym amsterdamskim bandziorem, który nieustannie starał się przeżyć i prosperować w niebezpiecznych czasach.

Na razie łatwizna. Pobił chudego gliనిarza na Marnixstraat, zabrał mu broń. Wyszedł niespiesznie i znalazł więźniarkę czekającą na podwórku. Dwóch strażników wyglądało na odrobinę zaskoczonych, gdy się pojawił, kaszłac i sapiąc. Powiedział, że nie czuje się najlepiej i że chce jechać.

Sprawdzili zgłoszenie. Theo Jansen teoretycznie był wolny. Może to nic dziwnego, że sam przyszedł na podwórko. Patrzyli więc, jak siada na ławce, prosi o chwilę na odzyskanie oddechu, potem kassze i na próżno prosi o papierosa.

Wreszcie z ich pomocą wsiadł do środka.

Kilka sekund po wyjeździe z komisariatu wstrzymał oddech tak, żeby się spocic. Minutę później zaczął mocno walić w metalową ścianę, która oddzielała część dla więźnia od kierowcy i towarzyszącego mu strażnika.

Trzy uderzenia. I jeszcze trzy. Wreszcie małe okienko się otworzyło.

Jansen przysunął do niego czerwoną twarz.

– Źle się czuję – jęknął.

– Na miejscu obejrzy pana lekarz.

Theo Jansen pokrztusił się jeszcze chwilę, po czym padł na bok.

Furgonetka się uniosła. Domyślił się, że to most nad Leidsegracht. Znajdowali się teraz na najwęższej ulicy na trasie. Tory tramwajowe, ścieżki rowerowe, po każdej stronie rzędy sklepów i domów z czerwonej cegły. Puby z szyldami Heinekena. Po prawej majaczył niski jasnobrązowy budynek American Hotel.

Przed trzydziestu laty, gdy osobiście zajmował się brudną robotą, Jansen zabił tam w holu angielskiego gangstera. Postrzelony trzykrotnie nie umarł szybko.

Przypomniał to sobie, gdy leżał na podłodze, jęcząc, i poczuł, że

furgonetka się zatrzymuje.

Nie zostawią go tak. W każdym razie chociaż zajrzą. Policja ma procedury. Muszą wykonywać rozkazy.

Otworzyły się drzwi i zobaczył ich. Jeden wielki, jeden mały. Przy pasku pałki i radia. Bez broni. Byli w sumie tylko kierowcami, sprawiali wrażenie znudzonych i nieszczęśliwych.

Wsiedli. Mały pochylił się nad nim i spytał:

– Co się dzieje?

Jansen wymierzył dużemu kopniaka w krocze, wyciągnął broń i przystawił ją małemu do twarzy.

Wielki padł z jękiem na podłogę. Drugi zamarł przerażony.

– Kluczyki! – krzyknął Jansen, wstając i mierząc z broni to do jednego, to do drugiego.

Nic.

Podszedł do drzwi i zatrzaskał je. Teraz dochodziło do nich tylko przyćmione światło. Nikt nie mógł zajrzeć do środka.

– Kluczyki albo cię zastrzelę – powiedział cichym, pewnym, spokojnym głosem. – Nie zmuszaj mnie do tego. To jednak byłaby strata.

Jansen spojrzął po sobie. Płowe bawełniane spodnie. Biała koszula. Płowa marynarka.

– I nie cierpię krwi na ubraniu.

To duży pierwszy wyciągnął kluczyki.

– I to – dodał Jansen, wskazując radio na pasku małego. – I wasze portfele.

Kiedy wykonali jego polecenia, kopniakiem przemieścił radia, portfele i kluczyki do drzwi. Sprawdził z małym, jak zamknąć furgonetkę. Odblokował klamkę, podziękował i wyrzucił ich rzeczy na zewnątrz.

Wsadził pistolet za pasek, wysiadł i zamknął na klucz drzwi więźniarki.

Od razu zaczęli walić w ściany, ale się tym nie przejął.

Ulica była niemal pusta. Podniósł z ziemi portfele, wyjął gotówkę, a resztę wrzucił pod samochód wraz z radiami i kluczykami.

Łagodny szary dzień. Za zimno na taki strój, jaki on miał na sobie. Theo Jansen oddalił się ku bocznym uliczkom przy Leidseplein.

Małeńki zakład fryzjerski, małeńkie jednoskrzydłowe drzwi, małeńkie

okno i szyld: U Maartena. Jansen wszedł pewnym krokiem, skinął na mężczyznę obsługującego jedyne go klienta przed lustrem, udał się na zaplecze i zaczekał.

Po kilku minutach dołączył do niego fryzjer.

– Nic się nie zmieniłeś – powiedział Jansen. – Masz piwo?

Fryzjer podszedł do lodówki, wyjął dwie butelki.

– Jezu, Theo. Właśnie się dowiedziałem. O Rosie. Co się dzieje, u diabła?

– Nie wiem – odrzekł Jansen.

Fryzjer kiwnął głową w stronę wyjścia.

– Czy ty jesteś na wolności? W radiu mówili...

– To moje miasto. Gdzie miałbym być?

Jansen pomacał się po gęstej białej brodzie, potem po długich białych włosach. Był po trzydziestce, gdy zmieniły kolor. Wydawało mu się, że zawsze tak będzie wyglądał. Ale czasy się zmieniły.

– Możesz mi to zlikwidować? – spytał. – Wszystko. Ostrzyż mnie na zapałkę jak młodziaka. Nigdy się tak nie nosiłem.

Maarten podszedł do drzwi, obrócił tabliczkę na zamknięte, opuścił rolety. Kiedy wrócił, Theo Jansen dopijał piwo, więc fryzjer wyjął z lodówki kolejne i mu podał.

– Zapraszam na fotel – powiedział.

Do Poppenhuis mieli z Marnixstraat daleko – stał na spokojnym odcinku Prinsengracht naprzeciwko placu Amstelveld. Wzdłuż budynku rozciągnięto taśmy policyjne. Budowlańcy mocowali plastikowe płachty do rusztowań od frontu. Przy drzwiach wejściowych robotnik zamiatał potrzaskane szkło.

Koeman, szczupły mężczyzna średniego wzrostu, o pociągłej twarzy zdominowanej przez smętny brązowy wąs, siedział na masce radiowozu nad wodą i palił papierosa. Popiół spadał na jego brązowoszary krótki zimowy płaszcz, a on tego nawet nie zauważał. Machnął im ręką na powitanie, przyjrzał się Bakker, ale nie odezwał się ani słowem.

Vos i Bakker podążyli za nim do wejścia. Wzięli trzy kaski, po czym ominęli budowlańców.

– Burdel – powiedział Koeman, gdy ruszyli na obchód zrujnowanych pokoi na parterze. – Chcecie poznać madame?

Vos przystanął w pomieszczeniu, które musiało służyć za recepcję. Dym i woda z węży strażackich zmieniły kolor wnętrza, ale domyślił się, że kiedyś było różowe. Koeman przeszedł za biurko i otworzył coś, co wyglądało na wysoki kredens. Za drzwiczkami wisiał szeroki obraz: dom Petronelli Oortman, niemal dokładna kopia. Ale w każdym pokoiku znajdowało się co innego niż w oryginale: akty płciowe, wszelkiej maści. Mężczyźni o twarzach odwróconych od malarza. Kobiety, nie nagie, lecz ubrane jak lalki. Na plecach. Na kolanach. W jednym pokoju kobieta rozłożona na drewnianym ustrojstwie, z ugiętymi nogami.

– Pewnie można by to nazwać kartą dań. Przynajmniej trzeba było poprosić, żeby to zobaczyć. – Koeman jakby się zawahał, nim dodał jeszcze: – To właśnie doprowadzało cię do szaleństwa, gdy zniknęła twoja córka, co? Ten domek z muzeum?

Vos kiwnął głową.

Koeman ściągnął brwi.

– Jeśli nazwali burdel Domkiem dla Lalek, to dość oczywiste, że wykorzystali ten wizerunek, Pieter. Jest sławny. To jeszcze nie oznacza powiązania.

– Wiem – odrzekł Vos. – Czy mamy ten burdel w ewidencji?

– Sprawdziłem adres pod kątem działalności przestępczej. Jest zarejestrowany jako prywatna rezydencja. Brak jakichkolwiek zgłoszeń o skargach. I wizytach. – Wzruszył ramionami. – Nic.

– Muszą być jakieś papiery – powiedziała Bakker.

– Nie pracowałaś w tym rewirze, co? – odciął się Koeman. – To się nazywa *privehuis*. Prywatny dom.

Bakker spojrzała na niego zdeprymowana.

– To przypomina wytworne małe przyjęcie. – Ruchem ręki wskazał pokój. – Tu sobie siedzisz z dziewczętami. Rozmawiasz trochę. Napijesz się czegoś. Uśmiechniesz do którejś. Potem...

– Chyba dużo wiesz na ten temat – zauważyła.

Koeman się uśmiechnął, ale nie był to uśmiech miły.

– Pracowałem w tym mieście jeszcze jako osiemnastoletni kadet. Zdziwiłabyś się, co widziałem. Ale to... – Pokręcił głową. Spojrzał na Vosa. – Coś tu się nie zgadza. Powinniśmy o tym wiedzieć. Sądząc po tym, co widziałem na górze, był to całkiem prężny interes. Aż nagle, jakieś trzy lata temu... – strzelił palcami – zniknął. Wszystko pozamykali.

Wyszli na niewielkie brudne podwórko. Na przerdzewiałym krześle ogrodowym siedziała jaskrawo ubrana Azjatka i paliła papierosa. Kiedy się pojawili, nawet na nich nie spojrzała.

Nazywała się Amm. Vos znalazł jeszcze jedno zniszczone krzesło, przysunął je i usiadł przed nią.

– Masz spore kłopoty, Amm – powiedział.

Spojrzała na niego groźnie.

– Nieprawda.

– Dlaczego zamknęłaś interes? – spytał.

– Wyjechałam na wakacje. A gdy wróciłam, dziewczyny zniknęły.

– Wszystkie? – spytał Koeman.

– Mówiłam mu – odparła, wymierzając w policjanta palec. – Każda jedna. Suki. Niektóre z tych młodych sama sprowadziłam. Załatwiłam im papiery. A tak mi się odpłaciły.

Bakker obejrzała się na dom.

– Ile miały lat? – spytała.

– Ile trzeba – padła natychmiastowa odpowiedź.

– Ile? – Bakker nie ustępowała, pochyliła się, by spojrzeć kobiecie w oczy.

– Po dziewiętnaście.

Koeman odrzucił głowę i się roześmiał.

– Och, cudownie. A czemu nie po osiemnaście? To też legalne. Na razie. – Mrugnął do niej okiem. – Ale jeśli ten nowy facet z rady postawi na swoim, legalne będzie od dwudziestu jeden. I takie burdelmamy jak ty wpadną w gówna po pachy.

– To był *privehuis* – odparła. – Mieliliśmy miłe dziewczyny i miłych klientów. – Spojrzała na niego groźnie. – Może niektórych pan zna.

– To znaczy? – spytała Bakker.

Koeman spojrzał na nią i mrugnął okiem.

– Dobra gospodyni nie rozmawia o interesach – odparła Tajka niemal pruderyjnie. – Co to się dzieje z tym światem?

Vos wstał.

– Dlaczego nie zaczęłaś od początku, Amm? Mogłabyś zdobyć nowe dziewczyny. Ten dom... – obejrzał się na czarny od sadzy korytarz, na obrazy na ścianach – musiał dużo kosztować.

Wierciła się na krześle.

– Nie chciałam. Nie musiałam. Mam dość pieniędzy...

– Ta zasrana dziura w De Wallen, w której cię znalazłem, nie wyglądała zbyt imponująco – przerwał jej Koeman. – Pracujesz jako kelnerka w badziwiastej knajpie. A ten dom jest wart... Bo ja wiem? Trzy czy cztery miliony. Może więcej.

Milczała.

– Do kogo trafi odszkodowanie? – dodał. – Do Jimmy’ego Menza?

Nie odpowiedziała.

Vos wyjął z kieszeni zdjęcie. Katja Prins. Pokazał jej. Nic. Zawahał się chwilę i wyjął kolejne. Anneliese. Też jej pokazał.

Tajka spojrzała na niego zdumiona.

– Nie zajmuję się białymi dziewczętami. Dlaczego miałabym się zajmować? Te suki z Rosji i te burdele... tam ci poderzną gardło za pięć euro.

– Machnęła ręką. – W życiu nie widziałam tych dzieciaków. – Jeszcze raz

spojrzała na zdjęcia. – Dla mnie są za młode.

– To Holenderki – dodał.

Roześmiała się. W ustach błysnął jej złoty kieł.

– Pan zwariował. Co by tu robiło holenderskie dziecko? Nas interesują tylko holenderscy mężczyźni.

Vos kiwnął głową na Koemana.

– Pojedzie pani na komisariat z moim kolegą. Będziemy musieli sprawdzić pani dokumenty. I dokumenty związane z tym budynkiem. – Przeklęła pod nosem. – To zajmie trochę czasu.

10

Vos zaczął od ostatniego piętra. Sprawdzał wszystkie pomieszczenia po kolei.

Bakker podążała za nim, rozglądając się.

– Co mam robić? – spytała.

– A jak są sędzisz?

– Wracać na Warmoesstraat i szukać Jaapa Zeegera. Tamta dziewczyna... jak ona się nazywała...

– Til Stamm.

– Nie powiedziała nam wszystkiego.

Vos ściągnął brwi.

– Rozejrzyjmy się najpierw.

– To pusty dom. Nie powinniśmy raczej rozmawiać z ludźmi?

Na górnych kondygnacjach niewiele zostało do roboty. Tylko puste pokoje z jaskraworóżowymi meblami, umywalką i prysznicem w rogu. Łóżko. Kilka krzeseł.

Wreszcie dotarli do pierwszego piętra. Wielki pokój, który sprawiał wrażenie innego niż pozostałe. Tylko małe, umieszone wysoko okno. Gruby dywan, wyblakła różowa tapeta, szerokie łóżko z zakurzoną narzutą uwalaną sadzą. Dwa krzesła. W kącie standardowy prysznic. Zakurzony żyrandol, jakby ten pokój był wyjątkowy.

Vos próbował wyrzeć przez okno. Znajdowało się tak wysoko, że nie dałoby się zajrzeć do środka nawet z drugiego brzegu kanału.

Zaczął przeglądać najbliższą komodę. Głównie ręczniki. Każdy miał w rogu wyszyty wizerunek domku dla lalek Petronelli Oortman. Wyciągnął kilka prześcieradeł ozdobionych w ten sam sposób.

– To jest burdel? – spytała Bakker. – Z drogą pościelą?

– Czuć tu pieniędzmi. Co jeszcze wiemy?

Skrzyżowała ramiona na piersi.

– Dlaczego pokazałeś jej te zdjęcia?

Wzruszył ramionami.

– Czemu nie? To się nazywa Poppenhuis, domek dla lalek. Co sugeruje, że dziewczyny tu pracujące były młode. Nie miały dziewiętnastu lat. Ani

osiemnastu. Gdyby to był zwyczajny *privehuis*, wiedzielibyśmy o nim, jak mówi Koeman. Może oni tu szkolili dzieci. Może... Nie wiem.

Zrozumiała wskazówkę, zaczęła przeglądać drugą komodę pod oknem. Bakker była na tyle wysoka, że gdy stanęła na palcach i wspięła się na krzesło, wyjrzała przez pękniętą, osmaloną szybę. Kanał, plac naprzeciwko z kościołem przemienionym w restaurację i bar. Dwie jednostki, barka i łódź wycieczkowa, płynęły powoli po wodach kanału.

– Czego szukamy? – spytała, przejrzawszy kolejne partie ręczników i pościeli, a wszystkie z logo Poppenhuis. – I dlaczego oni nie zabrali swoich rzeczy?

– Była przestraszona, prawda? – odrzekł. – Ta Tajka. Nawet nie chciała wejść do środka.

Podrapał się po głowie.

Bakker nadal przetrząsała szuflady.

– Nie wiem, czego szukamy – powiedział Vos przygnębionym tonem. – Trzy lata temu też nie wiedziałem. Nie wiem. Frank będzie musiał się tym zająć. Ja nie mogę...

Urwał. Bakker otworzyła właśnie ostatnią szufladę, na samym dole, i wyraz jej twarzy zdradził, że coś znalazła.

Vos podszedł czym prędzej, niemal ją odepchnął. Palcami w rękawiczkach przegarnął zawartość. Cztery porcelanowe lalki. Blond włosy. Martwe twarze, usta zastygłe w słodkim grymasie. Wyglądały na drogie.

Szufladę powyżej wypełniały kartonowe pudełka prezentowe na lalki. Na każdym wieku widniał rysunek domku Petronelli Oortman. Gdyby Vos miał przy sobie mazak, mógłby nakreślić zarys trumny. Co prawda nie musiał.

– Taki właśnie ci przysłano? – spytała Bakker.

Podszedł do łóżka, usiadł na nim bez słowa.

– Tych lalek jest cała szuflada, Vos. Zupełnie... zupełnie jakby je sprzedawali jako pamiątki czy coś...

Zadzwoił na komisariat, połączył się z de Grootem.

– Potrzebuję pełnej ekipy – zażądał, zanim ten się odezwał. – Znaleźliśmy coś.

– Co? – spytał de Groot. Vos opowiedział, a gdy skończył, komisarz

jeszcze spytał: – To wszystko?

– To wszystko.

– Możesz dostać paru techników. Brakuje mi ludzi. Tych, których ci dałem, przenoszę.

– Nie, nie. Posłuchaj, Frank, to ważne...

– Theo Jansen właśnie spylił – przerwał mu komisarz. – Nie mam czasu na zamknięte sprawy. Bieżących mam aż w nadmiarze.

– Daj mi tylko szansę...

– Czy coś w tym domu łączy się ze sprawą córki Prinsa?

– To właśnie próbuję ustalić.

– Uznaję odpowiedź za przeczącą. Możesz dostać paru ludzi z kryminalistyki. I tak chcą się z tobą zobaczyć.

– Po co?

– O coś ich prosiłeś.

– Potrzebuję detektywów – nie ustępował Vos.

– Możesz zatrzymać Van der Berga. Przypilnuj, żeby był trzeźwy, jeśli potrafisz. – De Groot się rozłączył.

11

Wim Prins wertował leżące na biurku dokumenty De Nachtwacht, gdy weszła asystentka z wiadomością, że reporterka rubryki kryminalnej jednego z dzienników czeka przed drzwiami i chce z nim rozmawiać.

– Powiedz jej, że jestem zajęty. Następnym razem może się umówi.

– Nie sądzę, żeby odeszła. – Asystentka była jędzą w średnim wieku, odziedziczył ją po poprzedniku. Niezbyt go lubiła. – Mówi, że to dotyczy pańskiej córki.

Prins zamknął oczy.

– Co z nią?

– Nie mówiła. Tylko że ma coś, co pan musi zobaczyć.

– A konkretnie?

Asystentka westchnęła.

– Nie byłoby łatwiej, gdyby ją pan sam zapytał?

Dziennikarka nazywała się Anna de Vries. Przed trzydziestką, bystra, przenikliwa twarz, uśmiech pełen samozadowolenia. Nie wydawała się ani trochę zmieszana jego obecnością.

– Jestem bardzo zajęty, proszę się streszczać – powiedział Prins.

Wyciągnęła dyktafon.

– A to niech pani schowa.

Wzruszyła ramionami, uśmiechnęła się i zrobiła, co kazał. Asystentka przyniosła kawę. Wychodząc, zamknęła za sobą drzwi. Anna de Vries poprawiła się na krześle przed nim. Krótka spódniczka. Śliczna kobieta. Wiedziała, jak tego używać.

– Postanowiłam przyjść najpierw do pana – zaczęła. – A dopiero potem udać się na policję. Chcę, żeby to była pańska decyzja. Nie moja. – Wpatrywała się w niego otwarcie. – Jeszcze nawet nie mówiłam o tym swojemu redaktorowi, więc... – Położyła dłonie na biurku. – Cokolwiek zechce pan zrobić, ja się zgadzam.

Następnie sięgnęła po swoją teczkę i wyjęła zwykłą brązową kopertę i iPada.

– Naprawdę zabawne. Człowiek ugania się całymi tygodniami za tematem i nic. Aż tu nagle pojawiają się dwie okazje jednego dnia.

Położyła przed nim kopertę.

– Najpierw powinien pan spojrzeć na to. Ja już widziałam. Takie załączniki dostałam dzisiaj mejlem. U góry jest pańskie nazwisko. Ja już wszystko obejrzałam. To wydrukowałam dla pana.

Siedem arkuszy papieru. Wydruki laserowe. Wiadomość o treści: „Wsadź tysiąc pięćsetek do walizki wielkości bagażu podręcznego. Czarna skórzana tumi. Masz jeden dzień. Potem się skontaktujemy”.

I kilka zdjęć. Katja, co do tego nie miał wątpliwości. Na pierwszym przerażona, w zwykłej brudnej koszulce, oszołomione narkotykami oczy patrzące uporczywie w kamerę. Na policzku smuga od cienia do oczu albo siniak. Na drugim wyczerpana, martwy wzrok, tłuste włosy. Na trzecim...

Prins potarł skroń. Chciało mu się wyć.

Katja w bieliźnie, przywiązana do krzesła, krzycząca, gdy coś – może bicz, może metalowa rurka – spadało na nią tak szybko, że na zdjęciu ten przedmiot był zamazany.

– Pół miliona euro – powiedziała cicho reporterka. – Jezu.

– To musi trafić do policji.

Prins sięgnął po telefon. Ona wyciągnęła rękę i powstrzymała go.

– Jeszcze nie skończyłam.

Wyjęła iPad.

– Muszę powiedzieć – dodała Anna de Vries – że moja praca rzadko wprawia mnie w zakłopotanie. Człowiek się przyzwyczaja. Ale tym razem...

Teatralnym gestem przesłoniła oczy i kliknęła play. Westchnęła i przyciszyła, gdy jęki stały się zbyt głośne.

Wim Prins wyciągnął rękę i wyłączył film.

– Polityka koalicji. – Miała na ustach bezwstydnym uśmiech. – To naprawdę zbliża ludzi, prawda? W pewnym sensie jest to budujące. Chociaż pańska żona...

– Czego pani chce?

Zamrugła powiekami.

– Pyta pan na serio? Jestem reporterką. Chcę materiał. Mój materiał. Tylko mój. – Stuknęła się palcem w pierś. – Mój.

Czekał.

– Gdybym mogła pisać, zrobiłabym to – dodała. – O pańskiej córce. O tym, że pieprzy pan swoją zastępczynię. Czegóż chcieć więcej?

Szeroki uśmiech zniknął.

– To na pańską prośbę Marnixstraat zarządził zakaz publikacji, prawda? Mam dość materiału, by wypełnić pierwsze sześć stron. Tyle że nie mogę napisać ani jednego słowa. Dzięki.

– Czego. Pani. Chce? – spytał raz jeszcze.

Postukała palcami w brązową kopertę.

– Chcę, żeby odzyskał pan córkę. Całą i zdrową. Naprawdę. Co pan robi z tym – ruchem głowy wskazała iPad – zależy od pana. Nie pokazałam tego nikomu, jak mówiłam. Nawet swojemu szefowi. Tylko ja i pan, Wim. Te zdjęcia i list muszą trafić na policję. To – musnęła palcem ekran – może chyba w tej chwili zostać między nami. – Przerwała na chwilę i uśmiechnęła się szeroko. – Jeśli to panu odpowiada.

– Proszę kontynuować.

Zmrużyła oczy.

– Pan udaje takiego tępego? Niech pan robi w sprawie Katji, co trzeba. A jak sprawa się skończy... kiedy zniosą blokadę... porozmawia pan ze mną. Ze mną i nikim innym. Wielki materiał. – Gestem ogarnęła cały gabinet. – Jak to pan odbił swoją zaćpaną córkę. Jak to pańska rodzina przetrwa. Stanie się silniejsza.

Prins czekał.

– Jak to na chwilę się pan zapomniał. Stracił głowę. Margriet Willemsen to modliszka. Pan jest jedynym frajerem w tym mieście, który o tym nie wie? To chodzi o jej karierę. Nie pańską. Chyba że się pan przyzna. I załatwimy to jak należy.

Wzięła iPad i wsadziła do opakowania.

– Wiem, że wszyscy mamy być dobrymi protestantami. Ale w każdym z nas tkwi odrobina katolika. Nieźle umiemy wszystko wybaczać. O ile winny się wypowiada. To dobre dla duszy. Nie sądzi pan?

Prinsowi zrobiło się niedobrze.

Wstała, wyjęła wizytówkę, napisała coś na odwrocie i rzuciła ją na biurko.

– To mój prywatny numer. I adres. Mieszkam niedaleko. Gdyby wolał pan

pogadać tam... – Zerknął na wizytówkę. Okolice Spui. – Pański wybór. Proszę dzwo...

– Nikt inny tego nie widział? Niczego?

– Chyba właśnie to powiedziałam. Chcę mieć ten materiał dla siebie. Nie pokazuję go wszystkim. W każdym razie dopóki nie nadejdzie właściwy moment.

Po jej wyjściu zadzwonił na Marnixstraat. De Groot się ożywił.

– Jak zamierzają się skontaktować? – spytał.

– Skąd mam wiedzieć?

Komisarz milczał przez chwilę.

– Przyślę kogoś po te rzeczy – postanowił wreszcie. – Oddamy je do laboratorium, żeby sprawdzili, czy to aby nie podróbki.

– To są zdjęcia. Znam swoją córkę.

– Mam na myśli rzeczywiste porwanie. Czy to nie jest wyłudzenie. Tak czy owak, odezwą się do pana. Wyznaczą spotkanie. Muszę wiedzieć...

– To wszystko?

Chwila ciszy.

– Nie, nie wszystko. Mamy teraz również inne sprawy. Czy może pan nie słyszał?

Prins wysłuchał informacji o ucieczce Jansena. Przez chwilę czuł radość, co wzbudziło w nim poczucie winy. Przynajmniej policja nie zarzuci go trudnymi pytaniami.

Następnie zadzwonił do Margriet Willemsen.

– Musimy pogadać.

12

Begijnhof, amsterdamski beginaż, znajdował się niedaleko rojnego Spui. Szeregi wysokich domów otaczających podwórko składające się na siedzibę założonej setki lat temu katolickiej wspólnoty dla kobiet, stanowiły osobliwy anachronizm w ruchliwym, nowoczesnym centrum miasta. Cisza, spokój i odosobnienie, jeśli nie liczyć rzeki turystów wpływającej przez niewielkie łukowate drzwi prowadzące tu z ulicy. Jeszcze nie klasztor, ale blisko.

Starannie przystrzyżona trawa, drzewa, gołębie pożywiające się na środku podwórka. Paru przechadzających się turystów. Theo Jansen siedział w mieszkaniu na ostatnim piętrze blisko okna, gładząc się po szorstkim podbródku i policzkach.

Broda zniknęła dzięki starannej pracy Maartena. Podobnie jak długie siwe włosy. Skóra była zaczerwieniona i nadwrażliwa. Podjął decyzję.

Kobieta w pokoju była o dwa lata młodsza od niego. Miała farbowane brązowe włosy – za długie jak na nią – i miłą, pokrytą zmarszczkami twarz. Nosila szarą staromodną suknię i zwykły brązowy sweter. Tylko wyblakły tatuaż na prawym nadgarstku zdradzał istnienie innego życia.

– Ostatnio często się z tobą widywała? – spytał Jansen.

– Stałam się wrogiem, prawda? Kobieta, o której należało zapomnieć. Kobieta, która cię porzuciła.

– Miałaś swoje powody. Nie każdy może wieść takie życie. Nigdy... – Jansen usiłował sobie przypomnieć, jak się rozstali. Świat pędził wtedy tak szybko i niespokojnie. On kontrolował handel narkotykami i nocne kluby, a to zajęcie trudno nazwać bezpiecznym. Mógł zginąć na ulicy równie łatwo jak każda z jego ofiar. – Nigdy nie sądziłem, że odejdiesz. A kiedy odeszłaś...

Następne zdanie było prawdą. Musiał w to wierzyć.

– Nigdy nie chciałem rozdzielać cię z Rosie. Miałem nadzieję...

– Na co, Theo? Że zostaniemy przyjaciółmi?

Poznali się, kiedy była uczennicą, pracowała w jednym z jego barów, rozpaczliwie potrzebowała pieniędzy. Bystra dziewczyna. Zawsze skora do pyskowania. Nigdy się go nie bała, w przeciwieństwie do wszystkich innych w tamtych czasach.

– Suzi. Taką miałem robotę. Nadal mam. Nie znałem niczego innego. – Spojrzał na nią, dostrzegł w niej wojowniczo nastawioną piękną młodą kobietę, w której się zakochał. – Nie mogłem uciec. Zmienić się. Nie mogłem – ruchem ręki wskazał świat za oknem – zrobić się bogobojny czy coś w tym rodzaju.

Podrapał się po ogolonej głowie i stwierdził, że to boli.

– I nie wiedziałem też, że jesteś katoliczką. – Pogroził jej palcem. – Gdybyś mi powiedziała, może to wszystko by się nie...

Płakała. Wstał, objął ją. Pocałował jej farbowane włosy i stwierdził, że nie pachną tak jak kiedyś, dymem skrętów i kwiatami.

– Przepraszam – szepnęła Suzi. – Ciągle myślę, że to tylko zły sen. Ciągle mam nadzieję...

Objęła go rękoma w pasie, lecz nie zdołała ich połączyć tak jak kiedyś. Był gruby i stary. Ale stali tak przez chwilę. Potem ona otarła oczy rękawem, a on wrócił na swoje krzesło i sięgnął po letnią już kawę. O śmierci Rosie usłyszała w radiu. Nie miał jej do powiedzenia nic, czego już nie wiedzieliby wszyscy. Ich córka nie schodziła z pierwszych stron gazet. Trzydzieści sekund w głównym dzienniku wraz z opowieścią o zajściu przed gmachem sądu na Prinsengracht. Wojna gangów stała się rzeczywistością. Ludzie bali się o siebie, nie przejmowali się gangsterami.

– Dziękuję, że mnie przyjąłeś – powiedział. – Nie wiem, gdzie bym się podział.

– A jeśli o mnie wiedzą? To beginaż. Instytucja dla kobiet. Mogę cię tu jakiś czas przetrzymać jako swojego gościa. Powiem im, że jesteś... moim kuzynem. Ale nie na długo.

Znowu otarła twarz rękawem. To miejsce stanowiło swego rodzaju azyl. Niemal więzienie, ale o łagodnym rygorze. Suzi mieszkała w Houten Huys, drewnianym domu podzielonym na mieszkania jak pozostałe. Tabliczka nad drzwiami informowała, że dom zbudowano na początku szesnastego wieku. Jansen widział ją, wchodząc, i zastanowił się, jaki wówczas był Amsterdam. Jak bardzo różnił się od dzisiejszego.

– Kiedy ją pochowają? – spytała. – Mogę pójść na pogrzeb?

– Nie wiem. To zależy od śledztwa. Gdyby zajmował się nim Pieter Vos,

tak jak prosiłem, to może... niedługo. To porządny człowiek. – Jansen przypomniał sobie wyraz twarzy Vosa, gdy się kłócili. – Zna ten ból. Ale ten gnojek Mulder...

– Dlaczego? Dlaczego Rosie? – spytała i to pytanie było dla niego najtrudniejsze ze wszystkich.

Po chwili Jansen zwiesił głowę, przetarł oczy i rzekł:

– Nie pojmuję tego. Ja? Czysta gra. Czemu nie? – Odsunął kawę i pożałował, że nie ma flaszki jenevera. – Rosie nigdy nie brała udziału w interesach.

Wpatrywała się w niego.

– W każdym razie nie za bardzo – dodał.

Nie sposób było tego wyjaśnić. Przepraszając za to. Mógł tylko spokojnie zabrać się do planowania akcji, która zapewne zbulwersuje tę kochaną kiedyś przez niego kobietę. Idea zemsty przerastała ją nawet w czasach, gdy stanowili parę. Tutaj, w zacisznej pobożności Begijnhof, gdzie modliła się dwa razy dziennie...

– Nie zostanę długo – obiecał.

– Dokąd pójdziesz?

– Do Maartena. Pamiętasz go? – Jansen potarł się po ostrzyżonej krótko czaszce. – Teraz jest fryzjerem. Załatwiłem mu zakład, gdy chciał się wycofać z interesów. Całkiem, całkiem. Może pogadać z paroma osobami. Wywiozą mnie z miasta. Jeśli zdobędę skądś paszport, pewno pojedę do Hiszpanii. Mam tam willę.

Próbował się do niej uśmiechnąć.

– Możesz mnie odwiedzić, jeśli chcesz. To niedaleko Malagi.

Patrzyła z kamienną twarzą, pełna wątpliwości.

– Miałem tam pojechać razem z Rosie – dodał – jak już mnie wypuszczą. Tak się umówiliśmy. Tak powiedziałem sędziemu. Zrezygnowałem ze wszystkiego. – Zasalutował jak harcerz. – Stałem się grzecznym chłopcem, wreszcie.

– Więc dlaczego uciekłeś, Theo?

Zawsze była taka bystra, podczas gdy jego wrodzony spryt w więzieniu znacznie się przytępił.

– Bo gdyby mnie wsadzili do Bijlmerbajes, Jimmy Menzo by mnie tam zabił.

Zimne, osądzące spojrzenie. Spojrzenie, które mówiło: kłamca. Teraz już sobie przypomniał, dlaczego się rozstali, nie głośno ani też wrogo. To przez zwyczajny i obustronny brak zaufania.

– Czego chcesz ode mnie? – spytała.

– Łóżka na kilka nocy. Piwa, może trzech...

Roześmiała się i ten widok go uradował.

– Paru świeżych śledzi i kiełbasy. I sera. I... – wstał i znowu pocałował ją w głowę – twojego towarzystwa.

Nagle łzy utworzyły dwa migoczące strumyczki na jej bladych policzkach. Wolałby, żeby ich tam nie było, chciałby coś na to poradzić.

– Bóg mi świadkiem, że bardzo za tym tęskniłem i szkoda, że nie ma tu Rosie, by też się tym cieszyła.

– Piwo i śledzie – powiedziała, wstając. – Ser mam.

Była sztywna. Wyglądała staro. Nie postarzała się jednak brzydko tak jak on. Jej starość była dobra. Inny rodzaj piękna, zdecydowanie bardziej imponujący niż kokieteryjny urok, który go kiedyś uwiódł.

– Zrobię, co się da – dodała. Wyciągnęła rękę i dotknęła jego szorstkiego policzka. – Ładnie wyglądasz bez tej głupiej brody i hipisowskiej grzywy. Jakbyś stał się nowym człowiekiem.

– Miło mi to słyszeć.

– Ale nie jesteś nowym człowiekiem, Theo, prawda?

Wyjrzał za okno, by nie spojrzeć jej w oczy.

– Muszę się później zobaczyć z Maartenem. W sprawie pieniędzy i paszportu.

Kiwnęła głową, spodziewając się tego.

– Nie wplączę cię w to – obiecał. – Nie zrobię niczego, co mogłoby ci przysporzyć kłopotów. – Zastanowił się chwilę. Wiedział, że mówi ze śmiertelną powagą. – Bóg mi świadkiem, że dość ci ich już narobiłem i nie zasługuję na twoje wybaczenie. Prawda?

– Prawda – przyznała. Podeszła do swojego płaszcza, wyjęła portfel i przeliczyła pieniądze. – Ale gdybyśmy wybaczaali tylko tym, którzy na to

zasługują... jaki miałyby to sens?

13

Van der Berg przyjechał razem z ekipą techników. Przysadzisty czterdziestopięcioletni mężczyzna o dziobatej twarzy i rzednących, przyprószonych siwizną włosach. Pachniał użytą w nadmiarze wodą po goleniu, którą starał się zagłuszyć woń piwa. Stara nieskuteczna sztuczka.

– Szaleństwo – powiedział, gdy już włożyli białe kombinezony ochronne.
– Theo Jansen wrócił do miasta. – Znajdowali się na pierwszym piętrze, w pokoju z wielkim łóżkiem, żyrandolem, pościelą i ręcznikami. Całość różowa, okopcona. – To wszystko... co się dzieje, do cholery?

Vos spytał, w jaki sposób Jansen uciekł.

– Działał sam – odparł Van der Berg. – Pobił w kiblu jakiegoś mundurowego młokosa. Zabrał mu broń.

Technicy robili zdjęcia. Vos podszedł do ich szefa i wskazał nagie deski podłogowe.

– Zapomnijcie na razie o zdjęciach – powiedział. – Dajcie luminol.

Następnie podszedł do wysokiego okna i zaczął ciągnąć ciężką zasłonę.

– Na to trochę za wcześnie – odparł technik.

– Katja Prins może jeszcze żyje. Nie mam czasu.

Detektyw w białym kombinezonie szykował się do sporu, ale najwyraźniej zmienił zdanie.

– A więc zrobmy to, jak należy – rzekł.

Odsunął zasłonę. Pogadał ze swoimi ludźmi. Kazał trzem policjantom czekać na zewnątrz, gdy oni będą wykonywać swoją robotę.

Na podeście Van der Berg podał Vosowi raport, o który ten wcześniej prosił.

– Zajrzałeś do niego? – spytał Vos.

– Po co miałbym to robić?

Vos wzruszył ramionami, poszedł do kąta i zaczął czytać.

Przyglądali mu się. Patrzyli, jak idzie na dół, jak wychodzi na zimny, posępny dzień. Zatopiony w czymś, o czym nie mieli pojęcia.

– Co to było? – spytała Bakker.

– Prosił o coś w związku ze sprawą swojej córki. Raport z laboratorium. Nie wiem. – Van der Berg się skrzywił. – Nie obchodzi mnie, co mówi Frank

de Groot. Pieter nie powinien tego robić. Tamto śledztwo niemal go zabiło.

– Sądysz, że powinien siedzieć na tej durnej łódce, kręcąc młynka? Albo w Rijksmuseum, gapiąc się na domek dla lalek?

Spojrzał na nią groźnie.

– Poszedłem tam kilka razy. Próbowałem go stamtąd wyciągnąć. Na piwo czy coś. Myślisz, że co on tam robił? Gapił się na kawałek drewna?

– Coś jeszcze?

Stary detektyw posłał jej dobrotliwe spojrzenie, niemal protekcyjne.

– On się nie gapił na domek. Tylko na lalki. Nie wiem, czy myślał, że tam znajdzie odpowiedź. Czy kojarzyły mu się z córką. Że taka była czy coś... – Oparł się o okopconą ścianę. – Nie gadał ze mną o tym. Słuchaj... jeśli to wszystko coś da, to dobrze. A jeśli nie? Jeśli córki Prinsa też nie uratujemy? Jeśli i tak się nie dowiemy, o co tu, do cholery, chodzi?

Miał smętną twarz, taką, która łatwo się uśmiecha, ale nie na długo. Spojrzał na ścianę, narysował w sadzy długą linię. Spod spodu wyłoniła się różowa tapeta.

– Coś tu jest nie tak.

– Pracowałeś nad sprawą Anneliese?

– No pewnie, że pracowałem. Każdy z nas próbował pomóc. Ale to... – Odsunął się, by przepuścić dwóch techników niosących pojemniki z rozpylaczami i lampy fluorescencyjne. – Wcześniej ten koleś jedynie drażnił się z Pieterem. Nigdy o nic nie poprosił. Chciał tylko zrobić mu z życia piekło. Ona pewnie od samego początku nie żyła. Wiedzieliśmy o tym. On też.

– On uważa, że Katja Prins żyje – wyjaśniła Bakker.

– Jasne. A Pieter Vos zwykle ma rację. Koniec końców. – Kiwnął głową w stronę schodów. – Podejrzenia takiego tępaka jak ja to zupełnie co innego niż jego pewność. Wie też o wiele więcej, niż mówi. Zawsze nas tym doprowadzał do szału.

Bakker zeszła na dół, znalazła Vosa przed domem. Siedział na murku z papierosem w dłoni.

– Nie wiedziałam, że palisz – powiedziała. – W każdym razie normalne papierosy.

Oczy miał błyszczące. Przyglądała mu się uważnie.

– Nie palę – odrzekł i wrzucił niedopałek do kratki kanalizacyjnej.

– Nic ci nie jest?

Wpatrywał się w raport, jedną kartkę na kolanach. Kiedy usiłowała na nią zerknąć, wsadził ją z powrotem do koperty.

– Powinnam coś wiedzieć? – spytała.

– Til Stamm powiedziała nam, że Katja była na odwyku. Jej ojciec go opłacił. Ten ośrodek nazywa się Żółty Dom. To organizacja dobroczynna. Prowadzą terapię regresywną. Konfrontujesz się ze sprawami z przeszłości.

Bakker oparła się o plastikową płachtę i rusztowanie spalonego frontu.

– Dlaczego laboratorium miałoby ci przysłać raport o organizacji charytatywnej?

– Nie przysłali. – Wyjął banknot dwudziestoeurowy. – Za rogiem jest naprawdę dobry *friteshuis*. Przynieś nam trochę frytek, dobra? – Zrobił minę, jakby się zastanawiał. – Z jakim sosem...? Z jakim sosem...?

Skrzyżowała ramiona.

– Jeśli mają, to z curry. I przynieś też Van der Bergowi, tylko że on lubi z majonezem. Coś dla ciebie. I napoje. Ja wodę. Niegazowaną. Nie cierpię...

– Nie cierpisz gazowanej.

– Skąd wiesz?

Laura Bakker spojrzała na pieniądze.

– Zgaduję. Nic z tego nie rozumiem. W jednej chwili traktujesz mnie niemal jak równą sobie. A w następnej jestem twoją służącą. O co chodzi?

– Satay – powiedział, machając banknotem. – Zmieniłem zdanie. Jeśli będzie satay, to poproszę zamiast frytek.

14

W gabinecie, gdy siedzieli we dwójkę przy biurku, Prins powiedział Margriet Willemsen o reporterce. Wyglądała na odprężoną i opanowaną. Niemal jakby to wszystko jej nie zaskoczyło. Potem wzięła do ręki wizytówkę Anny de Vries i obejrzała ją.

Rozsiadł się w skórzanym fotelu przy oknie, starając się zachować spokój.

– Znasz ją? – spytała.

– Ta kobieta jest reporterką kryminalną. Dlaczego miałbym ją znać? Coś ty nawyczyniała?

Młoda policjantka odebrała zdjęcia i list w sprawie okupu. Prins zatrzymał kopie. Powiedział jej, że dokumenty wsunięto rano do skrzynki na listy w urzędzie.

– Gratulacje, Wim. Policja zażąda nagrań z monitoringu w budynku. Kiedy stwierdzą, że na żadnym nie ma nic takiego... to co im powiesz?

– Jansen uciekł dzisiaj rano. De Groot ma na głowie większe problemy.

Wzięła kopie, przewertowała zdjęcia, zatrzymała się na tym przedstawiającym Katję w bieliźnie, zakrywającą się przed kimś niewidocznym w kadrze.

– Niewykluczone, że nadal mamy do czynienia z jej gierką. Co zamierzasz zrobić?

– Mogę tylko zacząć zbierać pieniądze. Jeśli muszę. Chcę... – Przyłożył dłoń do skroni, czuł narastające ciśnienie. – Chcę odzyskać Katję. Może tym razem zdołamy zrobić coś skutecznie...

– Jak często to powtarzasz? Ta de Vries... pokazała film jeszcze komuś?

– Mówiła, że nie – odrzekł i zastanowił się, jakim cudem Margriet Willemsen z taką łatwością zepchnęła go do defensywy.

– Wierzysz jej?

Sam już zadawał sobie to pytanie.

– Jest ambitna. Chce dobić targu. I tak nie może opublikować artykułu, bo de Groot zarządził blokadę. Jeśli pójdę jej na rękę i dam wyłączność, to... okaże wyrozumiałość.

Willemsen kiwnęła głową, analizując jego słowa.

– Co oznacza, że przyznajesz się, że masz ze mną romans, wracasz do

Liesbeth, ręka w rękę z córką, i prosisz miasto o wybaczenie?

– Na razie...

– Podczas gdy ja dostaję etykietkę cudzołóżnicy. Rozbijaczki małżeństw. Nierządniczy. Myślisz, że sobie poradzę?

Pokręcił głową.

– Myślę, że możemy coś wynegocjować...

– Ona ma nagranie, dowód, że sypiamy ze sobą, Wim. Naprawdę sądzisz, że go nie wykorzysta?

Nie wiedział, co odpowiedzieć.

Margriet Willemsen wyjęła telefon, zadzwoniła do Alexa Hendriksa. Następnie spojrzała na Prinsa.

– Posłuchaj. Oboje sobie z tym poradzimy. Może nawet wyjdziemy z tego silniejsi. Ale musisz mi zaufać. Musisz zrobić to, co każe. Zaakceptować wszystko, co się teraz stanie. Nie zamierzałam poruszać tego dzisiaj. Ale ta suka z gazety chyba nas przycisnęła.

Chciał się roześmiać. Ale nie mógł. Czuł, że coś mu się wymyka.

Spojrzała na zegarek. Nie odezwała się, dopóki nie pojawił się Hendriks. A wraz z nim Danny Smit, zastępca przewodniczącego ugrupowania Prinsa Postęp, nerwowy, chudy młody księgowy z przedmieścia. Zbyt nieśmiały i zbyt głupi, by wychodzić z jakąkolwiek inicjatywą.

– Danny – zagadnął Prins, gdy usiedli. – Alex. O co chodzi?

Willemsen wbiła w niego wzrok.

– Zaufałam Danny’emu. Opowiedziałam mu o Katji i śledztwie policyjnym.

– Dziękuję – rzekł.

– Byłeś pod dużą presją w związku z De Nachtwacht – ciągnęła. – To oczywiste dla nas wszystkich. Prawda?

Smit posłusznie kiwnął głową.

– Cóż... jeśli chodzi o śledztwo...

Prins zaczął pojmować.

– Zaczekaj. Nie możecie tego omawiać beze mnie...

– Możemy – przerwał Hendriks. – I musimy. Ty masz obowiązki wobec rodziny. Rozumiemy to. Ale my również mamy obowiązki, wobec rady

miasta. Trzeba te problemy zdusić w zarodku. To ważne. Bo potem może być za późno, Wim. To się wymyka spod kontroli. Wszyscy sobie z tego zdawaliśmy sprawę w ostatnich dwudziestu czterech godzinach.

Prinsowi zapaliła się czerwona lampka.

Wskazał Willemsen.

– Ona wczoraj próbowała mnie przekonać, że mam cię zwolnić. Co, do...

– Nie pamiętam takiej rozmowy – przerwała mu. – Gdzie ją odbyliśmy?

Kiedy?

Prins zamknął oczy i wybuchnął śmiechem.

– Och, na miłość boską. To jakiś przewrót pałacowy czy co?

Hendriks miał ze sobą teczkę na dokumenty. Wyjął z niej kartkę, położył na biurku.

– To najlepsze wyjście – naciskała Willemsen. – Z powodów osobistych ustępujesz ze stanowiska wiceburmistrza. Zachowujesz mandat. Możesz się skupić na rodzinie. Kiedy się wszystko uspokoi, wrócisz. Znajdziemy ci dobre miejsce...

– A De Nachtwacht?

Danny Smit odzyskał wreszcie głos.

– Stanowisko ugrupowania jest takie, że może posunęliśmy się trochę za daleko. Pomysły, które forsowałeś, były ambitniejsze, niż pierwotnie uzgodniliśmy.

– Kto cię kupił, Danny? – warknął Prins. – Menzo? Jansen? Jakiś inny gangster, który zalewa De Wallen kurwami i dilerami?

Smit się zachnął.

– To także dla twojego dobra. Wszyscy uważamy, że najlepiej będzie, jeśli na jakiś czas się usuniesz. Margriet przejmie funkcję przewodniczącego.

Prins roześmiał się na głos.

– Ja będę nowym zastępcą – dodał Smit. – Pół roku później, kiedy już zdobędę doświadczenie, zostanę przewodniczącym. Chyba że poczujesz się na tyle dobrze, by wrócić.

– Chyba żartujesz? – spytał Prins.

Smit poczuł się urażony.

– Powinieneś pomyśleć o swojej rodzinie. My o niej myślimy.

Hendriks przysunął bliżej stos papierów.

– To formalność – powiedział. – Decyzja już zapadła. Nie potrzebujemy twojego podpisu. W interesie wszystkich leży uniknięcie afery. De Groot czeka na ciebie na Marnixstraat. Tam jest teraz twoje miejsce. Wszyscy będziemy myślni z tobą. Modląc się...

– Pierdol się – warknął Prins. – Wszyscy się pierdolcie, wszyscy co do jednego.

– Możemy dać ci chwilę na zebranie myślni – dodał Hendriks.

– Nie możemy – wtrąciła się natychmiast Margriet Willemsen. – Musisz odejść, Wim. Nie rób afery, proszę. Od tej chwili my się zajmujemy mediami.

Siedzieli, wpatrując się w niego.

– Wolałabym nie wzywać ochrony – dodała Margriet po chwili. – Nie pogarszaj sytuacji, bo i tak jest trudna.

Roześmiał się. Wstał. Popatrzył na każdego z nich.

– Chcę go odzyskać. – Walnął pięścią w fotel.

Kiwnęła głową.

– Później będzie mnóstwo czasu, żeby o tym pogadać – odparła. – Jak już wszystko się uspokoi.

Danny Smit wyglądał, jakby tłumił śmiech. Prins bez słowa szybko wyszedł z pokoju.

Długa cisza.

– Mogę już zająć twój gabinet? – spytał Smit. – Jeszcze dzisiaj?

Podeszła do wielkiego skórzanego fotela przy oknie, usiadła na nim. Obróciła się.

– Nie. Jutro. Teraz możesz wyjść. – Smit rozważał, czy nie zacząć się spierać, ale ostatecznie wstał. Hendriks też. – Ty zostań, Alex.

Margriet Willemsen zaczekała, aż młody polityk zamknie za sobą drzwi.

– Nie zdawałem sobie sprawy, że tak szybko użyjemy tego przeciwko niemu – powiedział Hendriks. – Myślałem też, że będzie się bardziej bronił.

– Naprawdę?

Szukała czegoś w aktówce.

– Co z jego terminarzem? – spytał. – Spotkania w sprawie De Nachtwacht. Handlowcy. Związki. Mam to podwoływać?

– Zajmę się nimi. Nic się nie zmieniło. Dopilnuj, żeby informacja o zmianach dotarła do wszystkich. Wim chwilowo zawiesił obowiązki z powodów rodzinnych. Zdarza się.

Wyjął iPad, sprawdził pocztę.

– Naprawdę uwielbiasz te swoje zabawki, co? – spytała z uśmiechem.

Hendriks się roześmiał.

– Owszem, można tak powiedzieć.

Wyciągnęła małą kamerkę, którą znalazła w sypialni.

– A co powiesz o tej? Jak ją ocenisz?

Wziął do ręki mały czarny gadżet, obrócił go w dłoniach. Zawahał się. Spojrzał na nią. Uśmiechnął się szeroko.

– Całkiem niezła – rzekł. – A tobie jak się podoba?

15

Przed Poppenhuis. W białych kombinezonach ochronnych. Nad frytkami w papierowych tutkach.

Van der Berg w kółko zerkał na bar po drugiej stronie kanału. Zerknął też na Vosa, a ten odrzekł:

– Nie ma mowy.

Kiedy skończyli, detektyw wziął od nich tutki i serwetki, wrzucił je do śmietnika i zapalił papierosa. Nie za bardzo zwracał uwagę na Bakker, która odganiała od siebie dym.

– Dobre frytki, Vos – powiedziała.

Wzruszył ramionami.

– Znam lepsze. Jeśli ci się chce stać w kolejce, to we Vleminckx Sausmeesters...

– Nie chce mi się gadać o frytkach. Na co czekamy?

– Czekanie... – rzekł Van der Berg. – Czymże byłoby życie bez niego?

– Czymś bardziej interesującym? – podsunęła.

Roześmiał się.

– Oczekiwanie, dziecko. Naucz się je doceniać.

– Czekam na dowcip o krowach – odparła.

– O krowach? – spytał Van der Berg zdumiony.

– Nieważne...

Szef techników wyszedł przed budynek i zawołał ich do środka.

– Trzymamy się z boku – rozkazał Vos. – Patrzymy. Robimy, co nam każą.

Wrócili do pokoju na pierwszym piętrze. Kilku funkcjonariuszy stało z ciężką plastikową płachtą przy oknie, żeby odciąć dopływ światła. Trzech kolejnych trzymało lampy fluorescencyjne. Szef miał w jednym ręku aparat fotograficzny, w drugim kamerę. Kiwnął głową. Płachta powędrowała w górę. Lampy zostały włączone.

– Trzydzieści sekund – powiedział Van der Berg. – Minuta. Tyle wystarczy, jeśli coś tu jest.

Światło lamp padło na deski w głębi pokoju. Nic.

Potem na środek. Nic.

Pod małym oknem pokazała się niewielka plama błękitu. Aparat i kamera skierowały się na nią.

– Szefie – odezwał się ktoś.

– Jestem zajęty – odrzekł szef.

– Musisz to zobaczyć.

Vos podszedł do nich. Na ścianie ukazał się większy rozprysk błękitu.

– Dobrze – powiedział szef, dotarłszy tam, i zaczął operować obydwoma sprzętami.

Błękit. Jaskrawy błękit. Niemal żywy pod światłem fluorescencyjnym.

Vos stanął przy nich.

– Niewiele – orzekł szef ekipy kryminalistycznej. – Mogła to być zwykła bójka. Ktoś został pobity. Albo jakiś wypadek.

Ciągle filmował i robił kolejne zdjęcia. Mężczyźni ze światłem stąpali wokół plam, wyciągając lampy przed siebie jak broń.

Nie znaleźli już żadnych innych niebieskich rozprysków, a i tamte były bardzo wyblakłe.

– Mówiłem, żebyśmy to zrobili po mojemu. – Szef zwrócił się do Vosa. – To wszystko jest niezgodne z regułami.

Podał sprzęty jednemu ze swoich podwładnych, a następnie poprosił o zdjęcie płachty z okna.

Długa cisza.

– Te ślady są stare – dodał. – Niemożliwe, żeby miały związek z córką Prinsa. Nie powstały ostatnio. Moim zdaniem tego pokoju nie używano od lat.

– Prawie trzy – potwierdził Vos. – Ta Tajka tak nam powiedziała. Wyjechała na wakacje, a kiedy wróciła, wszystko było zamknięte. Nawet nie przyszło jej do głowy, żeby otwierać. – Zamilkł na chwilę. – To był sierpień. Kiedy...

Nie musiał tego mówić.

– Możemy zrobić DNA – nie ustępował mężczyzna. – Na cito. Gdy tylko dostanę wyniki z laboratorium, dam ci znać.

– DNA – szepnął Vos. – Świetnie.

Zszedł na dół, wyszedł na zewnątrz, spojrzął na swój telefon, sprawdził,

czy ma jakieś nowe wiadomości. Nie miał.

Dołączył do niego Van der Berg. Kilka gołębi przyglądało im się z chodnika, gdy pojawiła się Bakker, pisząc coś w notesie.

– Powinieneś się z tego wycofać, Pieter – poradził Van der Berg. – To się robi zbyt osobiste. No, wyrzuciłem to z siebie.

– Katja Prins zaginęła.

– I tylko jej szukasz?

Bakker przyglądała mu się, czekając na odpowiedź.

– Ona gdzieś tam jest – odparł Vos.

– Nie widzę, żeby cokolwiek łączyło ją z tym domem – zauważył Van der Berg. – A ty widzisz?

– Nie – przyznał Vos. Spojrzał na Bakker. – Więc co robimy?

– Wracamy na Warmoesstraat – zasugerowała. – To ostatnie miejsce, w którym ją widziano. I do tej dziewczyny. Til Stamm.

– Dlaczego? – spytał Vos.

– Tam coś się nie zgadzało – odparła. – Mówiłam ci. Ona nas okłamała.

Zadzwoił telefon Vosa. Milczeli, gdy słuchał głosu de Groota grzmiącego ze słuchawki.

– Warmoesstraat może poczekać – rzekł, gdy szef skończył.

16

Margriet Willemsen roześmiała się, zdawszy sobie sprawę, że Hendriks nieźle się bawi. Może więc i ona powinna.

– Myślę, Alex, że czas odłożyć zabawki. Mamy ważniejsze rzeczy do roboty.

Hendriks wzruszył ramionami, zgarnął telefony i tablet, wsadził je do teczki.

– Jak długo tam była?

– A to ma jakieś znaczenie? – spytał.

– Tak.

– Wystarczająco długo. Posłuchaj...

Wstał, podszedł do okna. Dołączyła do niego.

– Prins chciał zrobić coś szalonego – ciągnął. – Ludziom by się stała krzywda. W zasadzie bez powodu. Nie można cofnąć czasu. Ja tylko chciałem zdobyć jakąś amunicję. Nie zamierzam tego wykorzystać.

– O czym ty mówisz, do cholery?!

– Ważne jest tylko to... – kiwnął głową w stronę szarego miasta widocznego za szybą. – To co jest tam. Ludzie. Nasi ludzie. Posprzątaj trochę. Pomogę ci. Ale nie jesteśmy żadnymi talibami. Nie przesadzajmy z potępieniem. – Niewyraźny uśmiech. – To nikomu z nas nie wyszłoby na dobre.

Jej wyciągnięty palec celował w jego spokojną, bladą twarz.

– Gdzieś tam już krąży nagranie wideo – powiedziała. – Ta reporterka ma kopię, na której jesteśmy ja i Prins, wczoraj.

Hendriks zacisnął powieki.

– To wykluczone – szepnął.

– Ma. Wim je widział.

Pobladł.

– Ja nikomu nic nie wysyłałem. Gdyby Wim trwał przy tych absurdach... gdyby próbował mnie zwolnić... wtedy bym mu powiedział. Nie...

– Nie, nie – przerwała mu. – Nie wygłupiaj się. Chcę prawdy. Reporterka...

– Jaka reporterka?

Robiła się zła.

– Anna de Vries. Kobieta, która była tu wcześniej. Miała nagranie. Wim widział je na jej iPadzie.

Hendriks sprawiał wrażenie zaskoczonego.

– Nie pochodziło ode mnie. Nie chcę, żeby to wypłynęło.

Willemsen wróciła na swój skórzany fotel i poprosiła, żeby zajął miejsce naprzeciwko. Wzięła do ręki kamerkę szpiegowską i rzuciła mu ją na kolana.

– Chcę, żebyś skasował wszystko, co masz.

– Jasne, jasne. Ale... – Hendriks był wyraźnie przerażony. – Prawdę mówiąc, Margriet... Nie rozumiem tego. Jak to się mogło wydostać? Czy oni zamierzają coś opublikować?

– Jest blokada, tak? Z powodu córki. Kiedy ją odwołają... – Napisała coś w notesie leżącym na biurku. – Ja się tym zajmę. Rób tylko, co każę.

Hendriks denerwował się coraz bardziej.

– Jeśli chcesz, mogę poświadczyć, że on cię molestował. Żebyś wyszła na ofiarę.

Willemsen zmrużyła oczy.

– A czy ofiara zasługuje na to, by rządzić miastem?

Bez odpowiedzi.

– Mówiłam już – podjęła. – Zajmę się tym. Ty po prostu... – przecięła ręką powietrze – pozbądź się wszystkiego, co masz.

Hendriks ruszył korytarzem do swojego gabinetu, zajrzał do swojej sekretarki, zdobył nazwisko reporterki, wrócił do biurka, wyszukał ją w necie.

Anna de Vries. Lat dwadzieścia osiem. Wyrok za hakerstwo wraz z jednym z amsterdamskich dzienników. Nie znalazł żadnych śladów kontaktów z ratuszem. Ani zainteresowania lokalną polityką.

Wszystkie prywatne materiały trzymał w chmurze dostępnej zewsząd. Muzyka, dokumenty, zdjęcia. Z sypialni Margriet Willemsen miał tylko dwa warte zachodu nagrania. Jedno ewidentnie z Prinsem, z poprzedniego dnia. Drugie, z zeszłego tygodnia... nie wiedział z kim. Nagrane osoby nie włączyły światła. W ciemności ciężko się było rozeznąć. Mężczyzna nie wglądał na Prinsa, ale Hendriks nie dałby za to głowy.

Potrafił posługiwać się komputerem. Chmura miała historię logowań. Plik tekstowy w katalogu roota. Zastanowił się, kto w biurze mógł się tu dostać. Pracowała tu tylko sekretarka. Kiedyś przychodziła stażystka, niechlujna młoda dziewczyna przysłana przez agencję pracy tymczasowej. Ale już zniknęła.

Znalazł log, otworzył go.

Powinien był ujrzeć tylko trzy adresy IP: służbowego komputera, iMaca z domu i konta mobilnego, z którego korzystał z iPada i telefonu. Hendriks właśnie patrzył na czwarty. Skopiował numer i wkleił go do wyszukiwarki numerów IP. Należał do jednego z wielkich telekomów. Miliony gospodarstw domowych korzystających z telefonu i dostępu do internetu.

Ale on się do nich nie zaliczał.

Został zhakowany.

Drżącymi palcami Hendriks skasował wszystko, co miał na koncie, a następnie przeszedł do kosza i usunął trwale zawartość.

Próbował to sobie poukładać w głowie.

W jego mieszkaniu ostatnio nikogo nie było. Od lat nie zgubił telefonu. Logika podpowiadała, że tylko tutaj, w biurze, ktoś mógł wykraść jego hasło. Na przykład ze stanowiska biurka szefowej sekretariatu rady miasta, miejsca, które postrzegał – może głupio – jako bezpieczne, prywatne, pewne.

Czasami w ogóle się nie wylogowywał z systemu ratusza. Choć ktoś obeznany w temacie i tak mógł dostać się do prywatnego zasobu informacji.

Sekretarka nie zmieniała się od lat. Nudna, lojalna, posłuszna urzędniczka miejska.

Była jeszcze ta niechlujna stażystka na zastępstwie. Pojawiła się w biurze dwa tygodnie temu, przysłana przez organizację charytatywną, która próbowała jej zapewnić doświadczenie zawodowe. Przychodziła rzadko. Wylałby ją, ale nie wypadało.

Hendriks wstał i podszedł do swojej sekretarki.

– Co się stało z tą dziewczyną, którą przyjęliśmy przez grzeczność?

Zaśmiała się.

– Ach, mówisz o Til?

– Tak miała na imię?

– Til Stamm. Pochodziła z Limburga. Nie wiedziałeś?

Hendriks pokręcił głową.

– Nie rozmawiałem z nią za dużo. Gdzie ona jest?

Kobieta uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

– Kto to wie? Wyszła na lunch i nie wróciła.

– Mamy jej adres?

Postukała w klawisze, znalazła coś, wydrukowała.

– Wychodzę – powiedział Hendriks. – Pewnie już dzisiaj nie wrócę.

– Biuro prasowe mówi, że wydają oświadczenie na temat Prinsa.

Sięgnął po płaszcz i teczkę.

– Niczego prócz oświadczenia nie dostaną – rzucił. – Żadnych wywiadów.

Ani słowa.

Fryzjer mieszkał w maleńkim mieszkanku za zakładem. Stamtąd tylne wyjście prowadziło na nieuczęszczaną uliczkę. Jansen mógł opuścić wysoki drewniany dom Suzi w Begijnhof, wyjść jedną z bocznych furtek i niemal niepostrzeżenie przemknąć do Maartena.

Co prawda nie bardzo się martwił, że ktoś go zobaczy. Bez białej brody i długich włosów nikt by go tak łatwo nie rozpoznał. W więzieniu przybrał na wadze. Większy brzuch, mięśnie słabsze, bo nie czuł się tam na tyle pewnie, by korzystać z przyrządów gimnastycznych. Więzienie otepiało, czuł się tam samotnie. Nie chciał tam wracać.

Tak czy owak, miał tu robotę do wykonania. „Nie jesteś nowym człowiekiem”. Suzi tak powiedziała i jak zwykle się nie myliła.

Dochodziła osiemnasta, gdy zapukał do tylnych drzwi domu Maartena. Fryzjer otworzył z papierosem w ręku. Wcześniej wywiesił informację na oknie od frontu: „Nieczynne z powodu choroby”. Resztę popołudnia spędził, wykonując ciche rozmowy telefoniczne, zbierając rzeczy, o które poprosił Jansen: telefony, pieniądze, broń. I paszport. Belgijski z pustym miejscem na fotografię.

Gdy tylko Jansen się pojawił, Maarten przede wszystkim zaproponował mu piwo. Potem małym aparatem cyfrowym zrobił mu zdjęcie.

– Odniosę to dzisiaj w nocy. – Wyjął kartę pamięci i wsadził ją do koperty wraz z paszportem. – Ty tylko musisz powiedzieć, kiedy chcesz jechać.

Jansen poklepał go po ramieniu.

– Odwdzięczę ci się za to wszystko.

Fryzjer pokręcił głową.

– Nie musisz nic robić, do cholery. To, co się stało z Rosie... Jezu... Ciągłe mi się to nie mieści w głowie. Jesteś pewien, że to Menzo?

– A kto? Kto by się ośmielił? – Spojrzał na pękaty pistolet na stole, na leżące obok dwa opakowania naboju. – Co to jest? Zabawka dla dzieci?

Maarten zachichotał.

– Właśnie. Też się nad tym zastanawiałem. Ten pierwszy wpadł mi ręce. Beretta dziewięć tysięcy. – Wyjął magazynek, załadował. – Dwunastostrzałowa. – Z kieszeni wyjął dwa zapasowe magazynki. – Facet

mówił, że przy wyjmowaniu z kieszeni trzeba uważać, czy nie zaczepiła celownikiem. Poza tym to dobra broń.

Jansen wziął ją do ręki, zważył w dłoni.

– Bardzo dużo czasu minęło, Theo, odkąd robiłeś na ulicy. Może jednak zostawisz to komuś innemu?

– Nie tym razem – odrzekł Jansen. – Co wiemy?

Maarten dostał ściśle określone instrukcje. Miał rozmawiać tylko z zaufanymi ludźmi. To dotyczyło wszystkich. Zwłaszcza tych, których opłacali w policji.

– Menzo wczoraj poleciał do Ostendy. Załatwia sobie alibi.

– Z kim?

– Z tą swoją czarną kobietą. Miriam Smith. Jedna z wielu. Ale w niej się chyba durzy. Kiedy on wyjeżdża z miasta, ona prowadzi jego interesy.

– I?

– Gliny szukają córki Wima Prinsa. Nie są pewni, czy ona sobie pogrywa z ojcem, czy nie. Podobno dostał żądanie okupu. Pół miliona euro. Vos się tym zajmuje. Mulder wciąż prowadzi sprawę Rosie. – Przerwa. – I teraz twoją.

– Mulder – warknął Jansen. Miał przed oczami wysokiego gliniarza uśmiechającego się przebiegle w sądzie, gdy wszystkie te kłamstwa, którymi nakarmił Jaapa Zeegera, uchodziły za prawdę.

– Czekają, aż Menzo wróci. Za mało na niego mają, żeby go aresztować w Ostendzie.

– Lindeman...

– Mówi...

Fryzjer oblizwał wargi. Nerwowo.

– Co mówi? – spytał Jansen.

– Mówi, że dałeś dupy. Gdybyś poczekał dwa, trzy dni, i tak by cię wypuścili. Ta cała gówniana De Nachtwacht, którą próbuje wprowadzić Prins, nie dojdzie do skutku. Mówią o tym w wiadomościach. Prins ustąpił z rady miasta. Z powodów osobistych. Uważa, że wróci. Myli się. Zdaje się, że Lindeman orientuje się w temacie. Ale mnie nic nie powie.

Fryzjer podszedł do lodówki po kolejne piwa. Jansen pokręcił głową

i wstał, żeby zrobić sobie kawy.

– Spróbuj załatwić mi numer do Vosa – powiedział. – Może będziemy musieli pogadać.

Fryzjer to zapisał.

– On był w tym domu na Prinsen. Tym, którego używaliśmy jako *privehuis*.

– Jezu, Marten. Mam pamiętać każdą swoją nieruchomość w tym mieście?

Fryzjer wzruszył ramionami.

– Pewnie nie. Tamtą prowadziliśmy pod przykrywką. Dawaliśmy kasę jednej tajskiej dziwce, wszystko szło przez nią.

– Nawet nie wiedziałem, że mam tam *privehuis*. Co to ma wspólnego z czymkolwiek?

– Może i nic. W każdym razie ten dom już nie należy do nas. Menzo tam się chyba wepchnął. Ją też przekabacił. Od jakiegoś czasu było zamknięte. Jak ciebie aresztowali, chyba nikt się temu nie przyglądał. Jeśli chcesz, mogę...

Jansen zbył go ruchem ręki.

– Co mnie obchodzi jakiś cuchnący *privehuis*. Mam tyle pieniędzy, że mógłbym takich zbudować tysiące.

– Pewnie. Vos się nim z jakiegoś powodu interesuje. Domek dla Lalek. Tak go nazywaliśmy. Coś ci to mówi?

Wielki człowiek usiadł i patrzył na fryzjera zza stołu.

– Lalek?

– Nigdy tam nie chodziłeś?

– Już mówiłem. W ogóle nie wiedziałem, że to moje.

Fryzjer Maarten poruszył się niespokojnie na krześle.

– A ty? – spytał Jansen.

– Tylko raz. – Skrzywił się. – Tam były dzieci. Nic w naszym guście.

– Kto kasował tę Tajkę?

– Ja nie – odparł Maarten szybko. – Nie lubiłem tego robić. – Zawahał się.

– Jak poszedłeś siedzieć, Theo, zrobiło się naprawdę ciężko. Toczyła się wojna, a myśmy przegrywali.

Jansen nie zdążył odpowiedzieć, bo zadzwoniła komórka. Fryzjer zerknął

na numer, kiwnął głową Jansenowi i odebrał.

– Tak?

Krótką rozmowa.

– Menzo ląduje o siódmej na Lelystad – powiedział Maarten po jej zakończeniu. – Tu pewnie dotrze godzinę później. Na ogół korzysta ze swojego mieszkania w pobliżu dworca.

Jansen znów chwycił broń, obrócił ją w dłoni.

– Ilu ludzie wie, że tu jestem? – spytał.

– Nikt. Mówiłem wszystkim, że się gdzieś ukrywasz, ale nie wiem gdzie. Że dzwonisz po prostu, jak czegoś potrzebujesz. – Zaśmiał się. – To zresztą prawda, no nie?

Magazynek wchodził bez trudu, wychodził tak samo. Rzeczywiście celownik mocno wystawał. Jansen wsadził berettę do kieszeni spodni, wyciągnął ją, poćwiczył wydobycie krótkiej broni jednym płynnym ruchem.

– Potrzebujesz pomocy? – spytał fryzjer z umiarkowanym entuzjazmem.

– Potrzebuję transportu – odrzekł Theo Jansen.

19

Vos wysłał Van der Berga, by przesłuchał Tajkę. Następnie wraz z Bakker poszli do gabinetu de Groota. Siedzieli tam Prins i Liesbeth.

Polityczna atmosfera, kawa i ciasteczka na biurku. Nietknięte.

Frank de Groot stał nad przezroczystą plastikową koszulką na dokumenty leżącą obok filiżanek.

Vos podszedł i przeczytał list, Bakker tuż za nim. Potem przejrzał zdjęcia w przezroczystych kopertach.

– Prawdziwe? – spytał de Groot.

– To Katja – odrzekł Prins. – Co mamy zrobić?

– Zdobądź pieniądze! – warknęła Liesbeth.

Wszyscy czekali.

– Zdobędę pieniądze – zgodził się Prins. – Wystąpiłem z rady... – Nerwowo dotknął ręką głowy. – Do czasu gdy to się skończy.

– Dlaczego pan to zrobił? – spytał Vos zdumiony.

– Wydawało się, że to najlepsze wyjście – wymamrotał pod nosem Prins. Wskazał list i zdjęcia. – Czy ona to fabrykuje?

– A jak pan myśli? – spytał Vos.

W tym momencie wszystkie oczy zwróciły się w stronę polityka.

– Myślę, że ona mnie nienawidzi. Nie wiem czemu.

Nic więcej.

– Zażądali pieniędzy – powiedział Vos. – Zgłoszą się z informacją o czasie i miejscu przekazania. Ta informacja musi do nas dotrzeć.

– Oczywiście – zgodził się Prins.

– Więc co tu jeszcze robisz? – spytała Liesbeth stanowczo. – Oprócz tego, że wypuszczasz na wolność kryminalistów?

– Theo Jansen i tak miał wyjść na wolność – odparł Vos. – Przynajmniej, kiedy go dopadniemy, tym razem zostanie w więzieniu. Za coś, co rzeczywiście zrobił.

Wrócił do Prinsa.

– Przychodzi panu na myśl coś jeszcze, co mogłoby nam pomóc? – spytał.

– Zauważył pan cokolwiek?

– Na przykład?

– Nie wiem. Że ktoś się dziwnie zachowywał. Ktoś w biurze. – Spojrzał na list na biurku, przesunął plastikową koszulkę po drewnianej powierzchni. – Może jakiś dziwny mejl.

Polityk zeszywniał.

– Nie. To wszystko? Możemy już iść?

– Jeśli państwo chcą – odparł Vos.

– Co ty wyrabiasz, Pieter? – spytała znowu Liesbeth.

– Już mówiłem. Pracujemy. – Spojrzał po raz kolejny na Prinsa i powiedział: – Odebrał pan dzisiaj jakikolwiek prywatny mejl?

– Byłem w pracy. Zbyt zajęty. A czemu pan pyta?

Vos obszedł biurko, usiadł na krześle de Groota, obudził komputer. Wyjął z kieszeni pendrive.

– Muszę się do czegoś przyznać... Dzisiaj rano odwiedziłem Liesbeth. Kiedy wyszła z pokoju, zajrzałem do pańskiego komputera. Zobaczyłem tam wiadomość. – Zrobił ubawioną minę. – Normalnie bym jej nie tknął. Ale nadeszła od kogoś, kto się nazywa Pop Meester. Co mnie zaciekało. Zna pan to nazwisko?

Prins zamrugnął powiekami.

– Czytał pan moją pocztę? To niezgodne z prawem.

Vos machnął ręką.

– Mnóstwo rzeczy jest niezgodnych z prawem – rzekł. – Pańska córka zaginęła. Wygląda na to, że sprawa wiąże się z lalkami. Niejaki Pop Meester przysłał panu wiadomość. – Uśmiechnął się do Liesbeth. – Chciałaś, żebym coś zrobił. To się liczy?

– Co napisał? – spytał de Groot.

– Nic – odrzekł Vos. – Nic zupełnie. Ale załączone było to.

Wsadził pendrive do slotu, znalazł plik. Kliknął w klawisz.

Odpalił się film. Wszyscy się stłoczyli, by go zobaczyć.

Ciemny pokój, dwie poruszające się postaci, jedna nad drugą. Dźwięki. Sprężyny łóżka, skrzypienie drewna, westchnienia.

– To nie ja! – krzyknął Prins. – To nie ja!

Margriet Willemsen naga nad ledwie widoczną postacią. Piersi kołyszące się w powolnym rytmie. Ciche, niemal niedosłyszalne dźwięki. Potem

finalny niski pomruk i opadła na niego ze śmiechem. Obraz znieruchomiał. Koniec nagrania.

– Pop Meester – stwierdził Vos. – Władca lalek. Spytałem, czy zna pan to nazwisko. Nie odpowiedział pan.

– Nie znam żadnego cholernego nazwiska! – krzyknął Prins. – To nie ja!

– Ja tego nie sugerowałem, prawda? – Vos wskazał ekran. – Zgodnie z datą pliku nagrano to pięć dni temu. O dwudziestej. Pan znajdował się wówczas na zjeździe w Rotterdamie. Sprawdziłem. Chociaż datę można podrobić. – Wyjął pendrive z komputera, podał go Bakker, poprosił, by przekazała technikom do sprawdzenia, czy da się wyciągnąć więcej szczegółów. – To oczywiście Margriet Willemsen. Kim jest mężczyzna... nie wiem. Może nasi ludzie czegoś się dowiedzą. Dlaczego to panu przysłano...

Prins się pocił. Rozglądał się po pokoju.

– To wszystko przez De Nachtwacht, prawda? Odkąd zapowiedziałem, że wezmę się za tych drani, zasadzili się na mnie. Pan! – Wymierzył palec w de Groota. – Pan powinien nas przed tym chronić.

Bakker wzięła list i pendrive, wyszła z pokoju.

– Zbierze pan tę sumę? – spytał Vos.

– Już mówiłem, że tak.

– Proszę trzymać pieniądze w banku, dopóki nie dam sygnału. Jeszcze jakieś pytania?

Nawet Liesbeth miała w tym momencie dość. Wyszli oboje. Frank de Groot wygłosił krótki wykład na temat tego, co jest dozwolone, a co nie.

– Do diabła, Pieter. Mógłbym cię za to wylać. Mógłbyś wylądować przed sądem.

Vos wyjął legitymację, położył ją na biurku.

– Nie krępuj się.

De Groot przesunął legitymację z powrotem.

– Następnym razem nie rób takich głupich rzeczy.

– Dlaczego ja się tym zajmuję? – spytał Vos. – Jaki w tym sens?

– Sens jest taki, że cię potrzebuję – powiedział komisarz. – Czy to nie wystarczy?

– Nie do końca. Masz Muldera.

– Mulder ugania się za Jansenem i tym kimś, kto zabił jego córkę. Nie mam ludzi...

De Groot najwyraźniej nie chciał czegoś powiedzieć.

– Daj spokój – poprosił Vos. – Wyrzuć to z siebie. Nie jesteś sprytny.

– Zanim tu dotarłeś, odebrałem telefon z *privehuis*. Technicy uważali, że ja powinienem wiedzieć pierwszy.

Vos czekał. Skoro de Groot nie kontynuował, zaczął mówić:

– Nie ma tam nic, co łączyłoby z tym miejscem Katję Prins. Theo Jansen wyłożył pieniądze, żeby to uruchomić. Domyślam się, że jakiś czas po tym, gdy Theo trafił do więzienia, Menzo przejął interes. Jest tam czyjaś krew. Nie wiem, ale myślę, że to krew Anneliese. DNA...

– Pod deskami podłogi znaleźli jej bilet miesięczny. Jej zdjęcie. Jej podpis.

Vos usiadł, zamknął oczy.

– Na pewno jej – dodał de Groot. – Pobrali próbkę i natychmiast wrzucają ją do laboratorium. Zdaje się, że, nie wiedząc czemu, mieli już tam DNA Anneliese. – De Groot położył dłoń na ramieniu Vosa. – Przykro mi, Pieter.

Vos kiwnął głową.

– Tej krwi nie było dużo – rzekł. – To nie znaczy... – To brzmiało głupio, ale też realnie. – To nie znaczy, że ona nie żyje.

De Groot westchnął.

– Kiedy chcesz powiedzieć Liesbeth?

– Nie teraz. Co ona, do cholery, robiła w takim miejscu?

– Szesnastolatki – rzekł de Groot. – Człowiek nie jest właścicielem swoich dzieci. Nie śledzi ich w każdej dobie, prawda?

– Pewnie nie.

Bakker czekała na niego na korytarzu.

– Musisz o czymś wiedzieć...

– Jeśli chodzi o bilet miesięczny...

– Jaki bilet miesięczny? Jimmy Menzo. Jego samolot właśnie wylądował na Lelystad.

Czterdzieści pięć minut, godzina drogi od miasta. Menzo mieszkał w budynku naprzeciwko Dworca Głównego. Nowoczesny ostentacyjny gangster.

– Van der Berg może się zająć *privehuis* – powiedział. – My po drodze zajrzemy na Warmoesstraat.

Jimmy Menzo zaparkował swojego beechcrafta w hangarze na lotnisku w Lelystad. Przeszedł przez szcztątkową kontrolę razem z Miriam Smith i sam niósł ich walizeczkę.

Nikogo tu nie było. Żadnego policjanta. Zresztą tu się ich nie spodziewał. Na pewno czekali na niego w mieście.

Z bezbarwnego nieba padał lekki deszcz. Podeszli do srebrnego mercedesa bez słowa. Tej jednej zasady przestrzegali zawsze na takich wypadach jak ten. Żadnego mieszania interesów i przyjemności. Żadnych niekoniecznych telefonów. Tylko dobre jedzenie, dobre wino. I cokolwiek jeszcze, na co on miał ochotę. Nie rozmawiali o Amsterdamie ani o Theo Jansenie, nie oglądali telewizji. Robili niewiele oprócz picia, palenia i pieprzenia, odkąd Jimmy załatwił problem młodych Surinamczyków, przekazując połączenie do siostry w De Wallen.

Problem siostry też już został rozwiązany. Jimmy lubił myśleć o sobie, że jest cierpliwy, że niczego nie robi pochopnie. Chciał czasu do namysłu.

Mercedes sunął w gęstym wieczornym ruchu, do domu zostało im czterdzieści pięć minut, gdy Miriam Smith wreszcie prześledziła w swoim telefonie serwisy wiadomości.

– Co się dzieje? – spytał Menzo, gdy zakłęła pod nosem.

– Jansen uciekł – odparła. – Nie wypuścili go, więc uciekł. Nie powinieneś mówić wszystkim, żeby nam nie przeszkadzali.

– Ja też czasami muszę pożyc – warknął.

Od razu przełączył radio z kanału muzycznego na wiadomości. Właśnie trwały. Theo Jansen, niegdysiejszy król gangów Amsterdamu, zniknął po ucieczce z furgonetki, która odwoziła go do więzienia. Potem krótka informacja o morderstwie jego córki, której ciało znaleziono w bączku na Prinsengracht w pobliżu łodzi zamieszkannej przez dawnego policjanta niedługo po zamachu na życie Jansena.

Menzo wysłuchał wszystkiego, wyłączył radio, gdy dziennik się skończył. Kręcił głową, cicho śmiejąc się do siebie.

– Dobrze by było, gdybym się orientowała w sytuacji, Jimmy – powiedziała, przeciągając samogłoski jak przystało na mieszkankę Indii

Zachodnich. – Jak ktoś coś przede mną zataja, to mnie wkurza. Zwłaszcza gdy grozi nam wojna.

Sznur samochodów zwolnił niemal do zera. Klimatyzacja chłodziła wnętrze mercedesa tak bardzo, że Menzo czuł, jak koszula przykleja mu się do skóry. Lubił tak. Jako dziecko w Paramaribo aż za dużo długich i bezsennych nocy spędził, pocąc się w tropikalnym upale.

– On się wścieknie – powiedziała.

– Nie. Ucieknie. Theo nie jest głupi. Zrozumie, że przegrywa. Ma dom w Hiszpanii. I na Florydzie. Pojedzie tam. I wiesz co?

Przyłożył palec do ust. Znała ten gest, zapaliła mu papierosa, podała. Menzo zaciągnął się głęboko, po czym przełożył papierosa do prawej dłoni.

– Nie będę go gonić – podjął. – Jako emeryt jest równie dobry jak trup.

Skrzyżowała silne ramiona, opadła na oparcie, wzięła głęboki oddech. Nie ośmieliła się okazać więcej wściekłości.

– O co znowu chodzi? – spytał.

– Tyle czasu walczyłeś z tym starym draniem. A ciągle go nie rozumiesz.

Błękitny beetle wjechał mu przed maskę. Menzo wcisnął klakson i zaczął wygrażać pięścią. Tamten odwrócił się i machnął ręką przepaszająco.

– No to mnie oświeć.

– Zabiłeś jego dziecko! – krzyknęła.

Zbliżali się do miasta. Jeśli ruch się nie zmieni, niedługo dotrą do domu. Mógł zamówić coś do jedzenia. Otworzyć wino. Przycząć się na kilka dni.

Policja będzie na nich czekać. Na pewno wiedzą, że Menzo wraca. Ale nic nie mogli zrobić, tylko zadać pytania i wysłuchać milczenia.

– Zabiłeś jego córkę – powtórzyła i kopnęła drogim lśniącym butem w podłogę. – To wbrew zasadom. Pieprzony pomysł z tym Vosem. Podrzucanie jej ciała pod jego drzwi...

– Na miłość boską, zamknij się. Próbuję myśleć.

Wpatrywała się w niego.

– Ja muszę wiedzieć, Jimmy. Jeśli nie wiem, jak mam sobie, do cholery, radzić z całym tym gównem, gdy coś się spieprzy?

Cisza.

– No? – ponagliła go.

– Zamierzałem cię spytać o Rosie. – Skręcił w stronę doków. Zostało pół godziny. Nie więcej. – Myślałem...

– Co myślałeś?

– Mieliśmy umowę. Rosie i ja. Dogadaliśmy się. Robiłem już z nią parę interesów. Spotkaliśmy się w zeszłym tygodniu. Wszystko było uzgodnione. Że ona wyciągnie Jansena z więzienia, wywiezie go gdzieś, zabierze do tego domu w Hiszpanii. To miał być koniec.

Uderzyła dłońmi w deskę rozdzielczą.

– Nic mi nie powiedziałaś.

– A po co miałem ci mówić? – spytał Menzo, podnosząc głos. Z każdą chwilą robił się coraz bardziej zły. – Ona była chętna. Ale potem... – Wtedy przemyślał to starannie. Chciałby, żeby tak to się skończyło. Ale Jansen nie należał do tych, co się poddają bez walki. – Theo by się nie zgodził. Nie mogłem ryzykować.

– Nic mi nie powiedziałaś!

Za nimi pojawiła się biała furgonetka, ford, podjechała tak blisko tylnego zderzaka, że Menzo nie widział nawet, kto siedzi za kierownicą.

– Kim ty, kurwa, jesteś, Miriam? Nadętą pizdą, która robi, co się jej każe. Zamknij mordę, bo jak nie, to skończysz jako burdelmama w *privehuis* w Utrechcie. A i to jeśli będziesz miała szczęście.

Wyciągnęła się na siedzeniu, pokręciła głową.

Niełatwo mu było prowadzić i myśleć jednocześnie.

– Chcesz powiedzieć, że nie wykończyłaś Rosie? – spytał Menzo. – Mały prezent na boku czy coś?

– Nie zajmuję się zabijaniem kobiet. W każdym razie nie bez powodu.

Menzo opuścił szybę, wyrzucił niedopałek na ruchliwą ulicę. Otworzył schowek po swojej stronie. Leżał tam walther PPS, nówka sztuka, załadowany.

– Więc kto ją zabił, do cholery? – spytał.

I kolejne pytanie.

– I dlaczego próbują w to wciągnąć Vosa? Nie chcę go oglądać. Znowu.

Miriam Smith nie odpowiedziała. Wyglądała na przerażoną, a takiej już dawno jej nie widział.

Po chwili zastanowienia Menzo włączył prawy kierunkowskaz.

– Dokąd jedziesz? – spytała.

– Wracamy na Lelystad – odparł. – Czas na wakacje. Może w Chorwacji. Na Cyprze.

Przed sobą mieli szeroką drogę. Cztery pasy, po dwa w każdym kierunku. Nie powinni zawracać. Ale w pobliżu nie było widać drogówki.

Menzo dojechał do skraju pasa, szykując się do manewru.

Wtedy właśnie uderzyła biała furgonetka, mocno i z hukiem, a oni podskoczyli na fotelach. Pasy bezpieczeństwa zablokowały się od siły uderzenia.

Kolejny dźwięk. Ten znał aż za dobrze. Pękające szkło. Coś śmignęło mu koło ucha.

Jimmy Menzo tłukł pięścią w potrzaskaną przednią szybę, aż ją wypchnął i odzyskał widoczność, wcisnął gaz do dechy, z piskiem opon zawrócił o sto osiemdziesiąt stopni, by jak najszybciej oddalić się od furgonetki.

Odjechał na tyle, że zobaczył, kto w niej siedzi. Dwóch mężczyzn, jeden prowadził, a drugi, łysy, z rumianą twarzą, wściekły i zdeterminowany, wychylał się przez okno z bronią w ręku.

Mercedes śmignął po śliskiej drodze, tyłem zarzuciło, uderzył mocno w motor jadący drugim pasem. Menzo wyprowadził wóz z poślizgu, odzyskał kontrolę. Przed sobą miał drogę powrotną do Lelystad, średni wieczorny ruch, kilka luk.

Biała furgonetka też zawracała, próbując ruszyć ich śladem.

To Theo Jansen siedział na miejscu pasażera. Wyglądał inaczej. I tak wściekłego Menzo go jeszcze nie widział.

Menzo wjechał na skrajny pas i znowu wcisnął gaz do dechy.

Sześć przecznic dzielących biuro od jej małego mieszkania w pobliżu placu Spui. Anna de Vries szła przez tętniące życiem miasto. Nie wiedziała, co myśleć. Spotkanie z Prinsem nie poszło jej dobrze. Teraz on ustępował z urzędu. Sprawa zrobiła się polityczna. Nie miała szansy jej ugryźć.

Czekanie nie należało do stałych elementów jej pracy. Podłapujesz temat. Piszesz artykuł. I przechodzisz do następnej historii. Ale to, co powiedziała Prinsowi tego popołudnia, było prawdą: miała ograniczone możliwości. Każda gazeta, każda stacja radiowa i telewizyjna, każdy internetowy serwis w Holandii dostał z Marnixstraat ultimatum: jeśli nie zastosują się do zakazu publikacji materiałów związanych z porwaniem córki Prinsa, poniosą konsekwencje. Wobec wybuchu wojny gangów w mieście nikt nie chciał wziąć na siebie odpowiedzialności za śmierć niewinnych osób. Co prawda Katji Prins niełatwo było przypisać niewinność. De Vries przejrzała mnóstwo wycinków prasowych w bibliotece cyfrowej i wiedziała, że w ciągu ostatnich dwóch lat dziewczynę wiele razy zatrzymywano, a nigdy nie stanęła przed sądem.

Wpływy. Wim Prins wypracował je, gdy był wiodącym prawnikiem od spraw kryminalnych. Jako wiceburmistrz...

Nadejście właściwy moment. Wystarczyło cierpliwie poczekać. Jakkolwiek opíše historię Prinsa, w chwili gdy ją opublikuje – bez względu na to, czy Katja zostanie znaleziona żywa, czy nie – Wim Prins będzie skończony. Mógł do woli odgrywać zboląłego ojca i męża. Film przedstawiający jego i Margriet Willemsen opowiadał własną wersję wydarzeń.

De Vries zatrzymała się w spokojnym barze, zamówiła kanapkę. Mieszkała sama. W mieszkaniu nie było nic do jedzenia. Nie miała czasu na zakupy. Szczególnie teraz, gdy dopadła największą od lat historię.

Jeśli chodzi o Margriet Willemsen...

Królowa lodu prawicowych eurofobów. Wyniosła, poważna, krytykancka. Obalenie tej kobiety byłoby czystą przyjemnością. De Vries już słyszała ten aplauz. Może dostanie nagrodę. A nawet gdyby nie...

Zamówiła małe piwo i zaśmiała się do siebie. Siedzący obok mężczyzna,

wysoki, w średnim wieku, wyglądający poważnie, uśmiechnął się i zaproponował, że za nią zapłaci.

– Sama płacę za swoje drinki – odparła i spojrzała na niego tak twardo, że wzruszył ramionami i odszedł.

Nie miała czasu na rozrywki. Walczyła ciężko, by dostać pracę w gazecie. Walczyła jeszcze ciężiej, by przejąć kronikę kryminalną. A to był dopiero początek walki.

W połowie piwa w kieszeni płaszcza usłyszała warkot telefonu.

Wyjęła go i spojrzała na ekran. Jedna wiadomość. Nadawca: Wim Prins. Treść: „Musimy się spotkać. Café Singel. Za pół godziny”.

Małeńki pub, raptem kilka minut stąd, niedaleko od jej kawalerki.

Dziwne, że Prins właśnie tam chciał się z nią spotkać. W miejscu tak publicznym.

„Lepiej niech to będzie warte zachodu”, odpisała.

Bez odpowiedzi. Anna de Vries zajrzała do torebki. iPad był na miejscu. Poklepała go, uśmiechnęła się i wyszła w noc.

Mercedes pędził główną drogą do Lelystad, klucząc pomiędzy innymi pojazdami. Jimmy Menzo nieustannie zerkał w lusterko. Wytłukł już pięścią większość przedniej szyby. Zimne kwietniowe powietrze wdzierało się do samochodu, lodowaty deszcz kłuł w oczy.

Miriam Smith obejrzała się nerwowo. Biała furgonetka śledziła ich, lawirując między samochodami i powtarzając ich manewry z kilkusekundowym opóźnieniem.

Nic nie zapowiadało, żeby się miała poddać.

– Daj mi broń – rozkazała Miriam.

Menzo wykonał gwałtowny ruch kierownicą, ominął autobus.

Po lewej pojawiło się pole tak kolorowe, jakby pociągnął je farbami gigantyczny malarz.

Tulipany. Czerwone, żółte, fioletowe, rosły pasami na szerokość ćwierć kilometra. Znajdowali się poza miastem, w drodze na lotnisko. Ona próbowała sobie wyobrazić, co się stanie w Lelystad. Znowu muszą przejść przez odprawę. I mieć plan lotu na podróż międzynarodową.

Trzeba było to skończyć.

– Jimmy, daj mi ten pistolet, do cholery! – krzyknęła.

Nieporadnie sięgnął do schowka, znalazł broń, rzucił jej i dodał jeszcze pudełko naboji.

Sprawdziła magazynek: pełen. Odpięła pas. Odezwał się alarm. Zakłęła, zwolniła blokadę oparcia, opuściła, jak tylko się dało, przedostała się na tył, zaczepiając obcasami o skórę i o pas, majtnęła nogami w powietrzu. Po kilku sekundach jej kolana znalazły punkt oparcia, przykucnęła za tylną szybą, wyjrzała.

Nagle musiała się chwycić klamki w drzwiach, żeby zachować równowagę. Pistolet upadł. Naboje się rozsypały i turlały się teraz po skórzanej kanapie i po podłodze. Mercedes znowu gwałtownie się obracał. Opony piszczały. Jimmy Menzo klął i krzyczał zza kierownicy.

Uderzyła głową o lewe drzwi. Menzo skręcił w drugą stronę i uderzyła o prawe.

Krótki moment zamroczenia. Wrażenie, że to wszystko nie dzieje się

naprawdę. Spódnica podciągnęła jej się na uda. Usta bolały, z rozbitych warg sączył się słony smak krwi.

Głowa w dół, ręce jak szalone przeszukiwały po omacku podłogę. Wreszcie chwyciła pistolet.

Podniosła się, wyrzała przez tylną szybę.

Biała furgonetka jakby się do nich przykleiła. Jechała w odległości dwóch samochodów. Za przednią szybą dwóch mężczyzn. Tym z bronią okazał się odmieniony Theo Jansen, bez brody i długich białych włosów. Święty Mikołaj zniknął na dobre. I nie odrywał od niej oczu.

– Kurwa – zaklęła Miriam Smith i strzeliła w tylne okno.

Zrzuciła kurtkę, owinęła nią pięść i próbowała wytłuc otwór w potrzaskanej szybie.

Po kilku mocnych, wspomaganych wrzaskiem ciosach zyskała odrobinę widoczności.

Biała furgonetka nie rezygnowała. Nieoznaczona. Nieustępliwa. Nacierала na nich, gdy mijali czerwono-żółto-fioletowe pola.

– Myśmy tego nie zrobili! – krzyknęła, choć wiedziała, że jej nie usłyszą.

Kolejny oszalały strzał przez potrzaskaną szybę. Tamci nawet nie zwolnili.

– Myśmy tego nie zrobili – wyszeptала i próbowała się uspokoić. Bardzo ostrożnie przyłgnęła do oparcia kanapy. Wymierzyła. Nie w Jansena. To nie wystarczy.

Kierowca, pomyślała, po czym powoli zaczęła naciskać spust. Poczula, że samochód zachowuje się teraz inaczej.

23

W domu przy Warmoesstraat nie było nikogo oprócz ospałych ćpunów stłoczonych wokół fajki wodnej w pokoju od frontu.

Laura Bakker spojrzała na nich groźnie.

– I to się nazywa odlot? – spytała.

Til Stamm nie było, o Jaapie Zeegerze nadal nikt nie słyszał.

Rozejrzeli się, poszli na górę, uważniej przeszukali pokoje. Z Marnixstraat zadzwonił de Groot. Każda koncepcja, którą przeanalizowali w sprawie Thea Jansena, okazała się nietrafiona. Żaden z ich bieżących informatorów nie miał pojęcia, gdzie przebywa stary gangster.

– Może wyjechał z miasta – zasugerował komisarz.

– Wierzysz w to? – spytał Vos, rozglądając się po brudnej łazience, sprawdzając przedmioty na półkach. Wyglądały, jakby należały do jednej kobiety. W tym domu zdecydowanie przeważali mężczyźni.

– Mogę mieć nadzieję – odparł de Groot. – Spotkasz się z naszym surinamskim przyjacielem?

Vos się zgodził, choć nie wiedział, czy to się na coś przyda, i to był koniec rozmowy.

Pracowali na pierwszym piętrze, gdy usłyszeli głos przy drzwiach. Mężczyzna. Pytał o Til Stamm.

Bakker była pierwsza, dopadła go, gdy się odwrócił, by odejść. Stała przodem do budynku, blokując mu szansę ucieczki.

Vos wyszedł na blade słońce. Kwietniowe wieczory zdawały się gasnąć powoli, jakby miasto nie chciało oddać dnia.

– Znam cię – powiedział.

W średnim wieku, drobnej budowy, elegancki, intelektualista. Ostatnia osoba, po której można by się spodziewać węszenia w melinie narkomanów w De Wallen.

– Naprawdę? – spytał mężczyzna.

Bakker pokazała mu odznakę, a potem poprosiła go o dokumenty. Wyjął je powoli.

Alex Hendriks.

– Pan pracuje dla Wima Prinsa – rzekł Vos. – Prowadzi pan radę miasta.

– Jestem zwykłym pracownikiem. Nic poza tym. Prins ją prowadzi. A raczej prowadził. No i poprowadzi, kiedy wróci. – Hendriks nie sprawiał wrażenia choćby trochę zmartwionego ich obecnością. – O co chodzi?

– Szukamy paru osób. Na przykład Til Stamm. Tak jak pan – wyjaśniła Bakker.

Hendriks wyrecytował im swoją historyjkę. Ta Stamm była stażystką w ratuszu, pracowała w jego biurze w ramach terapii odwykowej. Wyszła na lunch i nie wróciła.

Czekali. To było coś.

– Czy gruba ryba z ratusza zawsze gania ludzi, którzy zrobili sobie dzień wolnego? – spytała Bakker.

Pokręcił głową.

– To element programu socjalnego. Troszczymy się o te dzieciaki. Chcemy, by odstawiły narkotyki i zaczęły pracować. – Spojrzał na nią, potem na Vosa. – A wy?

Alex Hendriks czekał na odpowiedź. Zadzwoił telefon Vosa.

To znowu de Groot. Coś się działo na wschód od miasta. Mercedes Jimmy’ego Menza podobno pędził jak szalony, a za nim skradziona biała furgonetka. Oba pojazdy kierowały się w stronę Lelystad.

– Przyślij po mnie wóz – rzucił Vos.

Gdy zakończył rozmowę, człowiek z ratusza ciągle czekał.

– Jeśli będzie pan miał informacje o Til Stamm – powiedział Vos – proszę nam je przekazać.

– A czemu o nią pytacie? – spytał.

Vos zastanawiał się chwilę, po czym skinieniem głowy wskazał brudną kamienicę.

– Tu po raz ostatnio widziano Katję Prins. Til Stamm ją znała.

Niełatwo było odczytać wyraz twarzy Alexa Hendriksa.

– Ale pan to wiedział, prawda? – spytał Vos.

– Oczywiście, że nie wiedziałem. To wszystko?

Dwie minuty później białe bmw w pomarańczowo-niebieskie pasy i z napisem *Politie* na boku wyłoniło się zza rogu, błyskając światłami. Vos i Bakker zajęli miejsca z tyłu.

Jimmy Menzo nie wiedział, dlaczego wybrał wąski zjazd z drogi szybkiego ruchu. Nie miał pojęcia, dokąd prowadzi. Że jest to droga dla rolników, zdał sobie sprawę, gdy pognał nią z pół kilometra i zobaczył, jak asfalt przeradza się w żwir, a potem w śliskie błoto. Dojazd do bezkresnych pól tulipanów, które ciągnęły się jak okiem sięgnąć. Kwiaty przeznaczone na Bloemenmarkt i na eksport, kolory, które z bliska, w gasnącym wieczornym świetle stały się ledwie rozpoznawalne.

To był kretyński pomysł. Tak jak wyjazd do Ostendy, gdy powinien siedzieć w domu i czekać na efekty zabójczego strzału, ostatniego zabójstwa, po którym nieodwołalnie zacisnąłby żelazny chwyt na przestępczym sercu Amsterdamu.

Wszystko miało swój kres. Kariery i królestwa. Życie i wąskie polne drogi.

Przed nimi pojawiła się brama, która oznaczała koniec drogi. Przed nią stał samotny traktor. Zbyt wąsko, by zawrócić, nawet gdyby miał na to czas. Jechali w wąski ślepy zaułek, bez odwrotu.

– Zastrzel go – rozkazał, nie oglądając się. – Zastrzel go!

– Próbuję...

Miriam Smith wystrzeliła serię przez wytłuczoną tylną szybę. Trafiła w kratownicę białej furgonetki. Pojawiła się para. A furgonetka nadal jechała.

– Po prostu... – powiedział Menzo do szczątek przedniej szyby.

Po prostu co?

Zabierz mnie stąd, pomyślał.

Z tyłu kolejny strzał. Kolejne przekleństwo. Nawet nie pamiętał, żeby jakoś dużo strzelała. Celowała przez okno pędzącego samochodu, próbowała namierzyć podskakującą szoferkę furgonetki, choć ta była tak blisko...

Nie ma takiej opcji, pomyślał Menzo, i gwałtownie obrócił kierownicą, wcisnął pedał hamulca, poczuł, jak ABS protestuje w odpowiedzi.

W głąb najbliższego pola tulipanów prowadziła wąska dróżka. Celował w nią. Wcelował dobrze, ale mercedes przemieszczał się tak szybko, że już nie mógł się zatrzymać przed stalową bramą. Wbił się w nią, wyskoczył w powietrze, spadł na koła pośród morza kwiatów, po czym wbił się w brzeg kanału nawadniającego.

Rozdzierający uszy krzyk. Czarny kształt śmignął obok niego i wyleciał przez otwór po przedniej szybie. Huk. Wystrzeliły poduszki powietrzne, przed nim i po prawej, ta z kierownicy uderzyła go w pierś jak pięść łagodnego olbrzyma. Widział, jak połamane ciało Miriam Smith odbija się od powyginanej srebrnej maski, po czym ląduje w morzu kwiatów, miążdży łądygi, strąca śliczne główki, przetacza się gdzieś poza pole widzenia.

Zapachy.

Pot, krew i olej napędowy. Słodka dusząca woń kwiatów.

Dźwięki. Świst poduszek. Skrzypienie wozu.

Menzo zerknął w lusterko, niemal niezdolny do ruchu. Miriam miała ich jedyną broń. Był w potrzasku, bezbronny.

A biała furgonetka już tam stała, smuga dymu wydostawała się przez osłonę chłodnicy. Z szoferki wysiadły dwie osoby.

Walczył z poduszką i z pasem. Poddał się.

Twarz w oknie, broń w ręku.

– Theo? – spytał Menzo, mrużąc oczy.

Mężczyzna wyglądał tak inaczej. Wszystko, co go do tej pory charakteryzowało – sympatyczna broda, opadające włosy, uśmiech – zniknęło.

Zero odpowiedzi.

– Nie tknąłem jej – jęczał Menzo. – Nie tknąłem Rosie. Nie zrobiłbym tego.

Tamten przeszedł do przodu, w pole ściętych tulipanów. Wrócił, ciągnąc zakrwawione, zniekształcone ciało. Otworzył tylne drzwi, wrzucił potrzaskaną Miriam Smith na tylne siedzenie. Menzo spojrział. Usta miała otwarte. Oczy też, ale były martwe, niewidzące.

– Cholera – szepnął, wciąż walcząc z pasem.

Theo Jansen wpakował kulkę w poduszkę powietrzną. Ta wybuchła. Nabój zniknął gdzieś w pobliżu pedałów. Menzo zaczerpnął powietrza głębokim, przerażonym wdechem.

Drugi facet poszedł do furgonetki i wracał, niosąc coś. Plastikowy kanister. Zdjął nakrętkę.

Znajomy zapach. Benzyna przytłaczająca woń pola.

– Nie tknąłem Rosie. Przysięgam...

Jansen się pochylił i władował nabój w prawe kolano Menza. Surinamski oprych zawył w udęce. Następnie mężczyzna za wytłuczonym oknem wypalił w lewe kolano Menza.

Krew i wrzaski. Ból tak przenikliwy, że przytępił jego przerażony umysł.

Zapach benzyny przybierał na sile. Menzo zdołał obrócić głowę, zobaczył, jak ten drugi potrząsa kanistrem, rozlewając zawartość w kabinie mercedesa, na bezwładne ciało Miriam. Na siedzenia. Wykładzinę.

Wreszcie na niego.

– Nie tknąłem... – wyszeptał Menzo. Świat otaczał go coraz ciaśniej. Cuchnął paliwem i tulipanami, miał kolor krwi i kwiatów.

Theo Jansen odsunął się od drzwi. Stał pośród wysokich roślin, paląc papierosa. Ten drugi wrzucił kanister na fotel pasażera i zniknął z zasięgu wzroku.

Jimmy Menzo patrzył, jak zapalniczka podnosi się do ust Thea Jansena, jak pojawia się czerwony płomyczek.

Patrzył, jak Theo Jansen wyrzuca zapalonego papierosa w powietrze, a ten obraca się i obraca, szybując...

Anna de Vries stała w barze przez pół godziny. Wim Prins się nie pojawił. Odpisała w odpowiedzi na jego wezwanie.

Trzy słowa: „Gdzie pan jest?”.

Patrzyła na ekran. Nic. To było żałosne. Zupełnie jakby czekała na wiarołomnego chłopaka. Zresztą to uczucie też znała.

De Vries lubiła pracę reporterki. Takie zajęcie trzymało ją w karbach. Codziennie coś nowego, zwłaszcza odkąd zajęła się kroniką kryminalną. Teraz zadawała się z ciekawymi ludźmi. Z prawnikami. Detektywami. Od czasu do czasu z przestępcami.

Najbardziej interesujące: jeśli się zapomniało o ich zawodzie, w większości stawali się zwyczajnymi ludźmi. Mężczyznami szukającymi czegoś, co ich dopełni. Przyda odrobiny znaczenia ich miłkim żywotom.

I owszem, mężczyznami. Zawsze byli to mężczyźni. Nawet w policji kobiety zwykle trzymały się z daleka od twardszej, bardziej ponurej części miasta. A tam właśnie rozgrywały się wszystkie historie. I nic tego nie zmieni.

Kolejnych piętnaście minut. W telefonie nic. Anna de Vries się znudziła, znalazła spokojny ciemny kąt, wyjęła iPad. Dyskretnie obejrzała film, który niezapowiedzianie pojawił się dzisiaj rano w jej skrzynce.

Prins i Willemsen w łóżku. Wyglądało na to, że ona rządzi. Wreszcie kobieta przejęła stery, nawet jeśli dawała przy tym szefowi odrobinę rozkoszy.

Wyłączyła tablet. Wcześniej uważnie skopiowała pliki, wysłała je na swoje prywatne konto, po czym skasowała nieodwracalnie ze skrzynki służbowej. Każda lokalna kopia zniknęła. Ta należała wyłącznie do niej. Wysłano ją z fałszywego ID na służbowy adres mejłowy wydrukowany pod każdym z jej artykułów.

A kiedy dziewczyna zostanie znaleziona, żywa lub martwa, Anna de Vries da Wimowi Prinsowi kilka chwil spokoju, a potem uderzy do niego z ultimatum: wyłączność na ujawnienie sprawy, romansu, przyszłości, stanu małżeństwa. Albo to, albo Anna de Vries wybierze okrutniejszą opcję i wrzuci wszystko do netu.

Chwila ubawienia.

Do tego i tak dojdzie. Tylko nie za jej sprawą. Nie bezpośrednio.

W końcu dostaną to, o co się prosili.

Zerknęła na zegarek. Minęło kolejne pięć minut. Ten drań ani myślał się pokazać.

Nagle jej telefon pisnął i zawibrował.

– Czas najwyższy – powiedziała Anna de Vries i zerknęła na zdjęcie, które weszło do skrzynki.

Zamrugła powiekami, próbując zrozumieć, co widzi.

Znała młodą kobietę wpatrującą się tępo z małego ekranu, bladą, wymizerowaną, przerażoną. Sprawdziła jej zdjęcie w aktach. To była Katja Prins.

Pod spodem krótka wiadomość.

„Słyszysz, jak wyję, Pieter? Nie obchodzi cię to?”.

Drżące, niepewne palce. Okazało się, że drink jednak przeszkadza. Anna de Vries szybko wystukała odpowiedź:

„Katja, jestem przyjaciółką Pietera. Mogę Ci pomóc. Gdzie jesteś?”.

I czekała.

Po powrocie do mieszkania w wysokim drewnianym domu w Begijnhof Theo Jansen poszedł prosto pod prysznic. Cuchnął potem, krwią, dymem i kwiatami. Biała furgonetka była już wypalonym wrakiem porzuconym kilka kilometrów od pola, na którym zostawili Menza. Maarten załatwił nowy transport. Ten czekał na odnalezienie w podziemnym parkingu na terenie miasta.

Otworzywszy mu drzwi, popatrzyła na niego bez słowa.

Przyniosła ręczniki, gdy poprosił. Ubrania kupione tego popołudnia.

Potem Jansen włożył tanie niebieskie spodnie płócienne, koszulę i sweter, stare ciuchy wsadził do worka, wymknął się pod osłoną nocy, wyszedł z cichego podwórka, przemykając w cieniu ulicy. Znalazł śmietnik na tyłach jakiejś restauracji i tam je zostawił.

Gdy wrócił, spytała:

– Chcesz coś zjeść?

Pokręcił głową, nie patrzył na nią, usiadł, włączył telewizor.

W wiadomościach mówili tylko o zajściu na obrzeżach miasta. Wypadek samochodu na polu z dala od drogi. Ofiary śmiertelne.

Jansen wyłączył telewizor. To chwilę potrwa. Teraz jest tam policja. Zastanawia się, jak zdrapać Jimmy'ego Menza i jego dziewczynę z resztek ich wozu. Za godzinę pojawi się news.

I tak przyniosła piwo, usiadła na stołku obok niego.

– Czujesz się teraz lepiej? – spytała po chwili.

Nie odpowiedział.

– Czy to pomogło, Theo?

– Nie wiesz, gdzie byłem. Co robiłem – odparł, wspominając, jak rzucała mu taki szajs w dawnych czasach. – Nigdy nie wiedziałaś i nigdy nie chciałaś wiedzieć.

Wpatrywał się w nią i rozumiał, że w tej chwili nie ma między nimi ani odrobiny uczucia.

– Ale zawsze chciałaś kawałek tego, co mam, prawda?

Nie drgnęła. Nie uśmiechnęła się ani nie skrzywiła. Tylko podrapała stary tatuaż na nadgarstku. Może to dzięki modlitwie, pomyślał. Może dzięki niej

pozbyła się wściekłości, pasji, gniewu. Na ich miejscu zagościła żywa śmierć. Poczucie akceptacji. Ciche i pobożne przyznanie się do porażki.

– Wtedy tak – rzuciła w końcu. – Teraz nie. Nie chcę niczego. Poza... – Bawiła się swoimi długimi brązowymi włosami. Farba nieźle się spisywała. Wyglądały niemal naturalnie, jakby miały ten sam kolor, który uwielbiał, gdy oboje byli dwudziestolatkami. – Chcę, żebyś sobie wybaczył. Nawet jeśli nie umiesz wybaczyć mnie. Ani nikomu innemu, swoją drogą.

Uznał, że nie rozumie ani słowa z tego, co powiedziała. Że to gadanina katoliczki zwabionej na łono wspólnoty, pochłoniętej przez pocieszające fałszywe obietnice i bajkowe iluzje.

Że za zamkniętymi drzwiami tego małego mieszkanka w starym wysokim drewnianym azylu o nazwie Houten Huys łatwo żyć marzeniami.

– Masz Skype'a? – spytał.

Fryzjer Maarten znalazł mu numer, o który prosił.

– Czasami dzwonię do przyjaciół we Włoszech – powiedziała i podeszła do szuflady, z której wyjęła tani telefon USB.

Jansen wstał, uśmiechnął się, położył wielką dłoń na jej chudym ramieniu.

– Nie zostanę tu długo. Nie więcej niż trzeba.

– To właśnie mnie martwi – odrzekła.

Wziął telefon i podłączył go do komputera. Niedawno nauczył się paru sztuczek. On osobiście rozmawiał tylko z Maartenem, a ten załatwiał sprawy ze wszystkimi innymi. Ale nawet Maarten nie miał pojęcia, gdzie Jansen mieszka, mógł się komunikować tylko przez jednorazową komórkę ze zdjętym simlockiem.

Ale telefony mogą zdradzić. Pierwsza rzecz, jaką policja robi w dzisiejszych czasach, zanim wyściubi nos na straszny deszcz, to sprawdzanie masztów i lokalizacji podejrzanym rozmów. Tylko Pieter Vos tak nie robił. Ten człowiek był inny. Pozostali...

Jansen zastanawiał się, czy reszta Marnixstraat ma pojęcie, co się stało poprzedniego dnia. Jak bardzo starali się rozwiązać tę zagadkę. Rosie nie żyła. On żył i ścigano go. W pewnym sensie stał się łatwiejszym celem.

Skype nie był prawdziwym telefonem. Dało się wyśledzić, z usług którego providera internetu skorzystał dzwoniący. Może nawet udałoby się namierzyć

miasto. Ale nic poza tym, chyba że dotarliby do samego komputera, a i na to można było znaleźć sposób.

Nauczył się tego w więzieniu, od jednego ze swoich żołnierzy odsiadującego wyrok za szwindel z kartami kredytowymi.

To był tani laptop, dość nowy. Jansen założył nowe konto, zalogował się, uruchomił Skype'a, wpisał fałszywe dane, których czasami używał na wolności. Miał jeszcze dziewięć euro na koncie. Wystarczy.

Sprawdził listę numerów, które dał mu Maarten.

Ten jeden, który był mu potrzebny, znajdował się u szczytu listy. Jansen wybrał go i czekał.

Ktoś o cichym, uprzejmym głosie, niemal młody, odebrał, mówiąc coś jeszcze do kogoś, zanim odwrócił się do słuchawki.

– Słucham? – powiedział.

– Tu Theo Jansen, Vos. Musimy pogadać.

Odebrał, stojąc obok Laury Bakker na oświetlonym lampami polu. Swąd dymu, zwęglonych ciał i lekka woń kwiatów. Vos strzelił do Bakker palcami, gdy usłyszał głos Jansena, wskazał telefon i bezgłośnie powiedział: „Namiar”.

Odczekał chwilę.

– Wypiłeś już swoje piwo? Za wcześnie na młode śledzie, Theo. Przykro mi.

Technicy pracowali nad zniekształconym wrakiem mercedesa Jimmy’ego Menza. W swoich białych kombinezonach wyglądali jak robotne zjawy uwijające się w ucieleśnionym koszmarze.

– Nie marnuj czasu – rzucił Jansen. – Nie wyśledzisz mnie. Nie jestem taki głupi.

– Uciekłeś wczoraj. Miałeś szanse wyjść przed końcem tygodnia. I mówisz, że nie jesteś głupi.

Ryk na linii. Vos widział, jak Bakker rozmawia z centralą, mówi coś szybko.

– Jeśli zamierzasz krzyknąć – powiedział Vos, gdy ryk przycichł – lepiej od razu skończmy rozmowę. Jestem zajęty. Pewnie zresztą wiesz.

– Zajęty szukaniem mordercy Rosie? – spytał stary gangster.

Vos odszedł od samochodu. Zabierali się za ciała. Koszmar. Pewnych rzeczy nie chciał ani nie musiał oglądać.

– Nie – odrzekł. – To zadanie Muldera. Myślałem, że wyraziłem się jasno. Mamy gorący okres. Zdaje się, że...

– Ten pajac wsadził mnie do więzienia! Myślisz, że znajdzie drania, który zamordował moją córkę?

– Nie tylko Mulder...

– Wczoraj rano... Ty chciałeś gadać tylko o swojej córce. I o córce Prinsa. Nie o mnie. Nie o mojej córce.

Vos zastanowił się, zdał sobie sprawę, że to prawda.

– Przepraszam. Byłem zakręcony. Na jakiś czas wypadłem z obiegu. To niełatwe.

Vos dotknął swoich włosów. Teraz wydawały się za długie. Z każdą

chwilą coraz bardziej wracał do pracy. Nie mógł znowu sięgnąć po trik z rzucaniem legitymacji de Grootowi. Nikt by mu nie uwierzył. A najbardziej on sam.

– Staram się – powiedział i odsunął się, by przepuścić ludzi z noszami. Bakker skończyła rozmowę i kręciła głową. Nic dziwnego, że Jansen gadał tak ochoczo. Ani myślał dać się wyśledzić przy okazji zwykłej rozmowy. – A ty?

Cisza. Może Jansen się rozłączył. Podeszła Bakker i wyszeptała mu coś do ucha.

– Theo? – spytał. – Chyba znaleźliśmy białą furgonetkę. Stoi spalona kilka kilometrów stąd. Teraz technicy nad nią pracują. Ogłosiliśmy alarm na lotniskach. Powiadomiliśmy straż graniczną. Wszędzie. Nie wydobędziesz się z miasta...

– A kto mówi, że chcę je opuścić?

– Powinniśmy się spotkać – ciągnął Vos. – Tylko my dwaj. Postawię ci piwo. Ile chcesz. Potem zamówimy wóz. Możesz przyprowadzić Michiela Lindemana. Dopilnuję, żebyś trafił w porządne miejsce w Bijlmerbajes.

Nic.

– Po Jimmym Menzie nikt nie będzie płakał – dodał Vos. – Mnóstwo ludzi powie, że wyświadczyłeś miastu przysługę. Może nawet Wim Prins.

– Jimmy porwał też córkę Prinsa?

Vos szukał odpowiedzi.

– Nie sądzę. Mam nadzieję, że nie. Gdyby to był on, mielibyśmy przerąbane, prawda?

Jansen coś burknął, ale zaczął mówić:

– Powiedział mi, że nie tknął Rosie. Że nie miał z tym nic wspólnego.

– Coś jeszcze?

– Nie miał czasu.

– Szkoda. Prawda?

Długa chwila ciszy.

– Ty nie wierzysz, że on ją zabił? – spytał wreszcie Theo Jansen.

Vos wrócił na wąską dróżkę. Ciała właśnie wywożono. Przy rządzie radiowozów i policyjnych furgonetek oświetlone lampami tulipany smętnie

kiwały głowami niczym zaskoczeni świadkowie niewytłumaczalnej tragedii, która rozegrała się pośród nich.

– Daj spokój, Theo. Pozwól sobie postawić to piwo.

– Dlaczego? – warknął Jansen, a Vos zrozumiał, że mu się nie uda. – Bo mamy dużo tematów do obgadania? Teraz jesteśmy tacy sami. Tak powiedziałeś. Więc może jeszcze kiedyś zadzwonię. A może nie.

I rozłączył się.

Anna de Vries czekała w pobliżu baru na Singel. Nagranie i Wim Prins poszli w ką. Ta historia była lepsza. Zbiegła córka skompromitowanego polityka błagała o pomoc.

Dlaczego?

Czytała o niej. O Katji, tępawej amsterdamskiej uczennicy, która zeszła na złą drogę, gdy jej matka popełniła samobójstwo.

Jeśli się zastanowić, w mieście mnóstwo było miejsc, w których łatwo się zagubić. Anna de Vries już widziała rozkładówkę. Strona po stronie. Musiała tylko znaleźć Katję, porozmawiać z nią, zabrać ją w bezpieczne miejsce, ściągnąć prawników gazety i niech oni negocjują coś z policją.

Gdy tylko artykuł zostanie napisany. Gdy już będzie miała zagwarantowaną wyłączność.

De Vries stała na zimnej ulicy nad kanałem i odchodziła od zmysłów, czekając na odpowiedź.

Będzie potrzebowała zdjęć. Solidnego, godnego zaufania fotografa. Gazeta współpracowała z kimś takim, freelancerem. Spokojny, dyskretny mężczyzna, który dorabiał sobie jako paparazzo. Krótka rozmowa przez telefon. Dowiedziała się, że jest wolny, kazała mu czekać w gotowości.

– Gdzie? – spytał fotograf. – Kiedy?

– Skontaktuję się z tobą za dziesięć minut – obiecała. – Muszę najpierw z kimś pogadać. Jak już będzie gotowa. Wtedy zadzwonię.

To mu się niezbyt podobało. Ale chciał tej pracy, więc postanowiła to ścierpieć.

Dwadzieścia minut po tej pierwszej wiadomości zaczęła się krótka wymiana.

Katja: „Kim jesteś?”.

Anna: „Przyjaciółką Pietera. On się martwi o ciebie. Chce pomóc. Możemy się spotkać?”.

Katja: „Za bardzo się boję”.

Anna: „Mogę cię zabrać w bezpieczne miejsce”.

Katja: „Zabiją mnie”.

Kobieta w kusym płaszczyku zadygotała, zastanawiając się, w co się

pakuje.

Anna: „Katja, nikt cię nie skrzywdzi. Obiecuję”.

Oparła się o wilgotną, brudną ścianę. Czuła się podekscytowana. I trochę przerażona. Praca w kronice kryminalnej była świetna. Dużo jej artykułów trafiało na pierwszą stronę. Dzięki niej kontaktowała się z ludźmi po obu stronach prawa. Ale większość tych historii rozgrywała się w jasnym świetle dnia. Nie w mrokach nocnego deszczowego miasta.

Katja: „Slaperssteeg. Za Oude Kerk. Idź do końca”.

Anna: „Jak cię znajdę?”.

Katja: „Ja znajdę ciebie”.

Odłożyła telefon, ruszyła. Pomyślała, żeby jeszcze jednak napisać oczywiste pytanie: „Jak?”.

Ale już po chwili jej umysł był zajęty czym innym. Ta zakazana część De Wallen znajdowała się niecałe dziesięć minut stąd. Nie należała do miejsc, do których Anna de Vries chadzała wieczorami. Ale to był jej materiał, musiała po niego pójść. I po Katję Prins.

29

O dwudziestej pierwszej trzydziści wrócili na Marnixstraat. Vos nalegał, by Bakker poszła do domu, odpoczęła trochę. Ale nie była w nastroju.

Stojąc w holu, spytał:

- Jesteś głodna?
- Po tym co właśnie widzieliśmy...
- Gdzie mieszkasz?
- Spytałeś! Wreszcie spytałeś!

Kiwnął głową i czekał.

- Przy Westermarkt.
- To chyba elegancko.
- Chyba dawno tam nie byłeś...
- Mam psa, który musi się przejść. – Przegarnął włosy. – Sofia będzie musiała go przetrzymać jakiś czas.

Zespół Muldera pracujący nad sprawą Thea Jansena niczego nie znalazł. W sprawie morderstwa Rosie też nie odnotowano żadnego postępu i nic się nie wydarzyło w sprawie Katji Prins od pojawienia się listu z żądaniem okupu.

– Jeśli postawisz mi piwo i kanapkę – powiedziała – wyprowadzę z tobą Sama.

– Świetny pomysł – zgodził się Vos.

Jechali rowerami wzdłuż Elandsgracht, jedno przy drugim, w lekkiej mżawce. On na początku opowiadał, całkiem potoczyście, o Jordanie, o latach, które przeżył w tej okolicy. Ale gdy podjechali bliżej jego łodzi, jakieś dziesięć minut od jej domu, wypowiedzi Pietera Vosa stały się krótsze, aż niemal w ogóle przestał odpowiadać na jej pytania.

Zamiast pójść do baru, podszedł nad kanał i przypiął rower. Zniszczony bączek zniknął – zabrali go technicy i teraz powoli rozbierali na kawałki, zupełnie bez sukcesu. Skończyli prace na jego łodzi, równie bezproduktywne. Dwóch mundurowych stało na brzegu przy zejściu do łodzi. Vos pogadał z nimi i kazał im wracać na Marnixstraat.

Przez dziesięć minut wyprowadzali Sama w milczeniu, spacerując po Prinsengracht. Potem wrócili i usiedli pod plakatem *Casablanki*. Dwa piwa,

kilka zimnych jajek na twardo i sól, dwa zapiekane sandwicze z serem, trochę szynki i frytki. Spojrzała na zwyczajne tanie jedzenie i pokręciła głową.

– Co ci się nie podoba? – spytał Vos.

– Jadasz czasem w restauracjach?

– A czemu miałbym to robić?

– Żeby doświadczyć czegoś... miłego.

Wziął do ręki jajko, posypał je solą, ugryzł solidnie.

– Chyba się w tym Dokkum rozpuściłaś – powiedział.

– Nie... My tam głównie grzebiemy w śmietnikach i żywimy się padliną zebraną na szosie.

Sam siedział u jego stóp, cały czas zadzierając głowę. Sprawiał wrażenie trochę zdezorientowanego. Vos zbeształ ją za karmienie psa frytkami.

– Psu to nie służy.

Ale szynka służyła, więc dała mu szynki. Następnie spytała:

– Ile teraz wiemy? Tak naprawdę?

Bar był pusty, ale Vos i tak się rozejrzał, czy aby na pewno rozmawiają na osobności.

– Wiemy, że Theo Jansen zabił Menza i jego dziewczynę. Uważał, że to oni odpowiadają za śmierć Rosie. W każdym razie początkowo tak myślał.

– A teraz?

– Po naszej rozmowie już nie.

– I to wszystko? Jedno słowo z ust Pietera Vosa? To wystarcza?

W jej oczach pojawił się jasny błysk.

– Niezupełnie. Podejrzewam, że Theo wiedział już wcześniej. To porywczy człowiek. Wściekły. Gwałtowny. Ale pod pewnymi względami godny podziwu...

– Godny podziwu? To morderca i gangster.

Vos kiwnął głową.

– I nie tylko. Ale ma swój kodeks moralny. To amsterdamczyk. Człowiek praktyczny. Wie, że przestępcy będą zawsze. Po prostu uważa, że rodzimi są lepsi.

Zwinął plaster mięsa i podał go psu.

– Menzo i tak by nie zamordował Rosie.

– Dlaczego? – spytała.

– Sama to powiedziałaś dzisiaj rano. Nie miał nic do zyskania, a dużo do stracenia. To zupełnie inny rodzaj wojny. Taki, w której ostatecznie wszyscy obrywają. Menzo nie był głupcem.

– W twoich ustach to brzmi tak logicznie.

Ta uwaga go zaskoczyła.

– Bo to jest logiczne. Mamy do czynienia z inteligentnymi ludźmi. Z biznesmenami. Rzecz w tym, że ich biznes... – pokręcił głową – to odwrotność naszego zajęcia. Oni dają wolność pojmowaną wedle ich kryteriów. My mówimy ludziom, czego nie mogą robić.

– My mamy rację, Vos.

Pokręcił głową.

– Czasami nie. Czasami przekraczamy granice, tak jak Wim Prins z tym durnym planem. W którym chodzi tylko o władzę, tak swoją drogą...

– Jego córka zaginęła! – krzyknęła. Za głośno.

Sofia Albers posłała im zza baru karcące spojrzenie.

– Jego córka zaginęła – powtórzyła cicho, niemal szeptem.

– Mam tego świadomość – odparł Vos ze smętnym wzruszeniem ramion. – Myślisz, że to robota Menza? Tak samo jak morderstwo Rosie Jansen? A może kogoś zatrudnionego przez Thea, który właśnie miał wyjść z więzienia po odsiedzeniu niezasłużonego wyroku?

Dopiła piwo.

– Pytaj mnie, a ja ciebie. Nie masz pomysłu?

– Żadnego – odparł bez wahania. – Ale wiemy, czego nie wiemy. A to też się liczy.

Chciał jeszcze coś dodać, ale się zawahał.

– O co chodzi? – spytała.

– Musimy patrzeć tak, żeby widzieć nie tylko to, co oczywiste – powiedział Vos i opróżnił swoją szklankę. – A jeśli ta oczywista wendeta... jest fikcją?

W jego oczach pojawiło się zmęczenie, rozkojarzenie.

– Naprawdę nie wiem. Opinia o mnie jest przesadzona i w większości na nią nie zasługuję.

– Nie mów tego de Grootowi. On na ciebie liczy. – Zawahała się. – Ja też.

– W jakiej sprawie?

– Edukacji – odparła bez wahania.

Coś w jej słowach dało mu do myślenia. Wstał i kiwnął głową, a następnie podszedł do baru, poprosił Sofię Albers, żeby zajęła się Samem jeszcze jedną noc, i zapłacił.

Spojrzał w oczy Laury, znowu czujny.

– Gdybym cię odsunął od sprawy i odesłał jutro do porządkowania mandatów za parkowanie...

Pisnęła. Pies wpatrywał się w nich oboje. Kobieta za barem też.

– Gdybym to zrobił... – powtórzył Vos.

– Nie możesz! Równie dobrze niech mnie od razu zwolnią.

– Mogłabyś wrócić do Dokkum.

– Nie chcę! Chcę być tutaj. – Zatupała butami w drewnianą podłogę. Raz i drugi. – Tutaj.

– Świetnie. A więc musisz coś zobaczyć. Na mojej łodzi – rzekł, a ona bez słowa ruszyła za nim w noc.

Wąski ślepy zaułek. Na oknach szpikulce. Nad wejściem napis po angielsku: *NO SEX*.

Na końcu, nad kanałem pobłyskiwała nieregularnie jedna latarnia uliczna. Kilku pijanych obcokrajowców czaiło się przed barem na głównej ulicy. Jakaś para paliła trawę, trzymając się pod rękę, jakby spędzali miesiąc miodowy. Za rogiem wznosiła się wielka bryła starego kościoła. Ale w tej części De Wallen królowała prostytutka. Kabiny ożywione świetlówkami, ciała wyginające się za szybą. Narkoknajpy. Bary i tanie restauracje.

A na Slaperssteeg... nic.

Anna de Vries przeszła cały brudny zaułek, od kanału do ślepego końca za Warmoesstraat. Od piwa kręciło się jej w głowie. Była głodna, tęskniła za jakimś konkretnym jedzeniem. I zmęczona. Trudno jej się myślało po długim i pełnym wydarzeń dniu.

Poprawiła torebkę na ramieniu, pomyślała o spoczywającym w niej drogocennym iPadzie. W tej części De Wallen rozboje należały do rzadkości. Ale się zdarzały.

Wyjęła telefon, jeszcze jedna wiadomość.

Anna: „Katja? Gdzie jesteś? Jestem na miejscu. Tam gdzie chciałaś”.

Spojrzała na ekran. Czekala. Nic. Potem litery zgasły, jakby z nudów.

– Pieprzę to – burknęła de Vries. – Idę do domu.

Ktoś najwyraźniej marnował jej czas. Nie miała już wątpliwości.

Nagle telefon zadzwonił i na ten dźwięk podskoczyła tak gwałtownie, że niemal upuściła aparat na zniszczony bruk.

Jedno krótkie przekleństwo. Spojrzała na nazwisko i odebrała.

– Nie udało się – powiedziała do fotografa. – Przykro mi. – Nieuniknione pytanie. – Nie. Nie dostaniesz kasy. Ale próbuj dalej.

Kiedy skończyła rozmowę, usłyszała kroki. Latarnia zamigotała. Anna cofnęła się odrobinę. Zobaczyła mężczyznę i ten widok śmiertelnie ją wystraszył.

Potem de Vries ujrzała jego twarz i roześmiała się z ulgą.

– Jezu Chryste... – jęknęła. – Co pan tu robi? Mało się nie zsikałam...

Zastanowiła się.

– Ach – podniosła palec w powietrze. – Więc do pana Katja też dzwoniła. Oczywiście. Przepraszam. To zrozumiałe...

Spojrzała na niego ponownie. Na rękach miał plastikowe worki. Na butach też.

W ciemnym i wąskim zaułku Slaperssteeg Anna de Vries pokręciła głową. Mężczyzna trzymał przed sobą coś, co mieniło się wściekle żółtym światłem.

Na łodzi panował zaskakujący zdaniem Bakker porządek. Wydawało jej się, że poprzednio tak nie było. I wyglądało to wzruszająco, jak w pokoju nastolatka, z plakatami oraz džinsami i skarpetkami starannie uporządkowanymi w przypadkowych stosach. Pewnie technicy tu trochę posprzątali, gdy już przejrzeni wszystkie jego rzeczy, nie znajdując niczego, co by sugerowało odpowiedź na pytanie, kto się tu włamał i odtworzył CD ze starym jazzem. I podrzucił obok ciało, tak jakby chciał ściągnąć Vosa na Marnixstraat, żeby poprowadził śledztwo w sprawie morderstwa.

Bakker czuła się wykończona, ale nie chciała iść do domu. Małeńka kawalerka w pobliżu Westermarkt była norą, ale na nic więcej nie mogła sobie pozwolić. Niektórzy z sąsiadów nie spali do późna, puszczali muzykę. Patrzyli na nią z góry z powodu jej pracy i fryzyjskiego akcentu. Bo różniła się od nich i nigdy nie stanie się taka jak oni.

Ale chciała wiedzieć, jak funkcjonuje wielkie miasto. Chciała się uczyć. Pieter Vos wydawał się dobrym nauczycielem dla początkujących.

Przetrzęsał rzeczy na dziobie, gdzie za dwuskrzydłowymi drzwiami znajdowało się coś na kształt magazynu. Bakker dołączyła do niego, pomogła odsunąć z drogi dwa stare meble, gdy on szukał czegoś w głębi pomieszczenia.

– Nie pamiętam, żeby tu było coś takiego – powiedział.

– To znaczy co? Bałagan?

Odwrócił się i spojrzał na nią.

– Nie pamiętam, żeby panował tu taki porządek. – A potem przesunął na bok stary gramofon i wykrzyknął: – Ach!

Bakker poczuła, że musi się cofnąć o kilka kroków, znaleźć krzesło. Usiadła na nim ciężko.

Przedmiotem, który Pieter Vos wyniósł ze schowka, był domek dla lalek. Wysoki na metr albo i więcej. Dokładna kopia domku Petronelli Oortman, aż po otwarte pokoje z małeńkimi mebelkami i miniaturowymi postaciami.

– Co to jest? – wyszeptwała, czując nagle chłód w gorącej, dusznej kabinie.

– Możesz mi pomóc? To jest dość ciężkie.

Wcisnęła się obok niego na dziób, przepychali się, by jakoś chwycić

zakurzone drewniane ściany konstrukcji. Wreszcie Vos zdołał go trochę przesunąć, odrobinę dźwignąć i wydobyć ze schowka. Ona wsunęła palce pod dach i wspólnym wysiłkiem pokonali próg kabiny.

– Co to jest? – spytała raz jeszcze.

– To domek Anneliese – odrzekł, jakby powinna była zgadnąć. – Zamówiłem go na jej dziesiąte urodziny. – Uśmiechnął się szeroko. – Uwielbiała go przez całe trzy tygodnie. Potem uznała, że jest dziecinny, i już nigdy na niego nie spojrzała.

Stał łokciem kurz z dachu, zajrzał do środka.

– Kiedy się rozstaliśmy z Liesbeth, zatrzymałem go, sam nie wiem dlaczego. – Wzruszył ramionami. – Lalek się nie wyrzuca, prawda?

Laura Bakker wyciągnęła rękę i oparła ją na chwilę na jego rękawie.

– Pieter. Powinieneś go wyrzucić.

– Dlaczego? – spytał zdumiony.

Bakker nie miała odpowiedzi.

– Widzisz – ciągnął – życie też tak wygląda. Rzędy pokoi. Otwierasz jeden. Przechodzisz. – Wsuwał palce do pomieszczeń na parterze. Podniósł z podłogi maleńką laleczkę, posadził ją na miniaturowym fotelu wiklinowym. – Zawsze myślisz, że wiesz, czego oczekiwać. Ale czasami przejdziesz przez kolejne drzwi i...

Odchylił głowę i westchnął.

– Przepraszam.

Wstał i podszedł do swojej teczki.

– Musisz to zobaczyć. – Wyjął z niej kopertę. Widniała na niej pieczęć zakładu kryminalistyki. – Zachowaj to dla siebie. Próbuję to zrozumieć...

Dwa raporty, każdy dotyczył próbki DNA. Jeden Katji Prins. Drugi Anneliese.

Bakker je przeczytała. A potem przeczytała raz jeszcze. Odłożyła. Spojrzała na niego.

– Więc dlatego dzisiaj tak szybko dostaliśmy wyniki? Od techników w Poppenhuis? Zleciłeś to wcześniej.

Powrócił już do zabawy w domku dla lalek, poprawiał stół, ustawiał maleńkie postaci na miejscach.

– Obchodzi cię moje zdanie? – spytała.

– Anneliese i Katja miały tego samego ojca – powiedział Vos. – Wima Prinsa. Kiedy poznałem Liesbeth, pracowała dla niego. Przez lata wykonywała mnóstwo prac tymczasowych. Przez jakiś czas była wolontariuszką w biurze porad prawnych, które on odwiedzał. Nigdy nie przyszło mi...

Urwał i chyba nie chciał mówić dalej.

– Byliśmy... tacy szczęśliwi. Tacy normalni... nudni, zwyczajni i przewidywalni. Tak sądzę. W każdym razie ja taki byłem.

– Prosiłeś o te raporty dzisiaj po południu. Musiało ci przyjść do głowy...

– Nigdy mi nie przyszło do głowy, że w czymkolwiek odbiegamy od normalności. Zwyczajna rodzina, która stara się prowadzić zwyczajne życie. A ostatecznie wszystko tracisz, prawda? Wszystko... wszystkich, których kochasz. Wszystko ci zabierają, tak czy inaczej.

Wiedziała, że to ważne odkrycie. Wiedziała także, że zaskoczyło Vosa w sposób, który jeszcze do niego nie docierał.

– Musiałeś się zastanawiać, Pieter – powtórzyła. – Bo czemu byś to sprawdzał?

Vos dokończył poprawianie pokoiczków na pierwszym piętrze.

– Mówiłem ci. Pewnego dnia otwierasz drzwi i wiesz, co jest za nimi. Wiesz, podkreślam. Ale tak naprawdę to iluzja. Stek kłamstw. Wszystko jest stekiem kłamstw. Wszystko bez wyjątku.

Usadził na krześle jeszcze jedną maleńką postać.

– A najgorzej jest wtedy... gdy sam siebie okłamujesz.

Czekała, nic nie mówiąc.

– Harowałem na Marnixstraat, bo powtarzałem sobie, że za to mi płacą. – Wzruszenie ramion, uśmiech. – To nie była prawda. Nie do końca. Trzymałem się z daleka od niej. Pewnie musiałem wiedzieć, że coś jest nie tak. Nie chciałem tego dostrzec. Nie chciałem się z tym zmierzyć. Nie zauważyłem, że trzymam się też z daleka od Anneliese.

Kiwnął głową, jakby chciał sam przed sobą potwierdzić, że te słowa są słuszne.

– Okłamywałem siebie, bo tak było łatwiej. Może gdyby Anneliese miała

więcej lat, poradzilibyśmy sobie z tym. A może nie. – Leciuteńki śmiech. – Nie jestem zbyt dorosły, prawda? Wy w Dokkum nie bawicie się w takie gierki.

– Wszędzie ludzie się bawią w takie gierki. Nie oszukuj się. Co zamierzasz zrobić?

– Pogadam jutro z Liesbeth. O krwi. O... Anneliese. – Spojrzał jej w oczy. – Na razie to zostaje między nami.

– Nie możesz tego zachować dla siebie.

– Wiem. Dlatego powiedziałem tobie.

Wstała, poprawiła płaszcz. Musiała odetchnąć świeżym powietrzem.

– Van der Berg uważa, że powinieneś trzymać się od tego z daleka – rzuciła. – Może ma rację.

– A Liesbeth by mi za to podziękowała? Chcę znaleźć Katję Prins. Chcę tego najbardziej na świecie.

– Żeby ją spytać, dlaczego twoja córka... dlaczego Anneliese umarła w amsterdamskim burdelu?

– To była moja córka – odparł Vos z naciskiem. – DNA nie ma tu nic do rzeczy. Wychowaliśmy ją. Jestem jej ojcem. I nie wiem, czy nie żyje. Jeszcze nie wiem.

– Nie, skoro... skoro tak mówisz.

Laura Bakker zamilkła. Odniosła wrażenie, że mogłoby jej tu nie być. Zaabsorbowany, pochłonięty, ogarnięty obsesją Vos zabrał się za drugie piętro, za sypialnię gospodarzy. Poprosił ją, żeby sięgnęła do pudełka i podała mu rękawiczki ochronne. Następnie ukradkiem i z dbałością chirurga sięgnął do środka, podniósł małą kołdrę i wyjął coś spod niej.

Kolejna fotografia. Dwie młode dziewczyny, szczęśliwe, zdrowe, uśmiechnięte do aparatu. Tym razem nie w Vondelpark. Stały przed wysoką kamienicą z tiulowymi firankami w oknach.

Anneliese i Katja Prins pozowały przed *privehuis* o nazwie Domek dla Lalek. Zanim świat się zawalił.

– Technicy bardzo się przyłożyli, prawda?

– Na to wygląda – przyznał.

– Ktoś usiłuje ci coś powiedzieć, Vos.

Kiwnął głową, spojrzał na nią, chyba zaskoczony.
– To prawda – rzekł. – Ale co?

Anna de Vries stała oniemiała. Nie mogła się ruszyć.

Przedmiotem w ręku mężczyzny był nóż. Musiał go trzymać nisko, gdy tak stał, uśmiechając się.

Nóż okazał się zimny i bezwzględny, gdy jego ostry koniec pozbawił ją oddechu.

Telefon wysliznął się z jej palców, a mężczyzna jakby tego nie zauważył. Zbyt był zajęty trzymaniem ostrza w jej ciele z siłą tak potężną i nieustępliwą, że nie mogła nawet krzyknąć.

De Wallen. Dzielnica czerwonych latarni. Nie należy tu łązić nocami. Cały czas to wiedziała.

I to był niejako rozbój. Tylko że po tym mieszkańcu Amsterdamu zupełnie by się go nie spodziewała.



Środa, 19 kwietnia

1

Jaap Zeeger wszedł do komisariatu na Marnixstraat tuż po ósmej rano, spytał o pana Vosa, zaczekał cierpliwie w recepcji z rękoma opartymi na kolanach.

Zeszli na dół i zabrali go do pokoju przesłuchań, gdzie Bakker włączyła magnetofon.

– Pierwszy raz widzimy się, kiedy mnie pan nie poucza o moich prawach, panie Vos – powiedział Zeeger z szerokim uśmiechem.

Bakker przyniosła akta. Zeeger miał trzydzieści cztery lata. Szereg drobniejszych wyroków, głównie powiązanych z narkotykami. Jakiś pobyt w więzieniu. Jakiś pobyt na terapii odwykowej w ośrodku państwowym.

Vos wręcz nie mógł uwierzyć, że to ten sam człowiek. Szczupły, o czystych ciemnych włosach, cerze dziobatej, ale zdrowszej niż ostatnio. Wyglądał zwyczajnie. Nie jak ten smutny żołnierz, którym był za czasów służby dla Jansena. Miał na sobie czarną skórzaną kurtkę, czarne dżinsy, czarne lśniące buty. Powiedział, że pracuje na pół etatu dla firmy kurierskiej i ma nadzieję niedługo dostać cały etat. Był na wakacjach na kempingu na Texel. Wrócił ostatniej nocy. Od Til Stamm dowiedział się, że policja go szuka.

Teraz ona pojechała na Texel, do tej samej przyczepy, z której korzystał. Przyczepa należała do Żółtego Domu, ośrodka odwykowego, o którym Til Stamm wspomniała, dodając, że nie ma z nim nic wspólnego.

Bakker to wytknęła. Zeeger się zjeżył.

– Til to dobra dziewczyna. Nie kłamała. Zwalniała im się przyczepa, więc spytałem. Powiedzieli, że może z niej skorzystać.

Z kieszeni kurtki wyjął gumę do żucia, wrzucił ją do ust.

– Nie palisz już? – spytał Vos.

– Rzuciłem. Rzuciłem całe to gówno, którym się napędzałem. A wie pan, gdzie się nauczyłem brać? W więzieniu. Tam, gdzie wyście mnie wsadzili.

– Czasami jesteśmy naprawdę straszni – przyznał Vos. – Gdzie jest Katja?

– Nie mam pojęcia. Tydzień temu wyjechałem na Texel. Ona była ciągle tutaj. Wydawała się całkiem zadowolona z życia.

– Co wiesz o *privehuis* na Prinsen? – spytała Bakker. – Dom dla Lalek?

Miłe miejsce dla młodych dziewcząt.

Machnął na nią chudą ręką.

– Nigdy tam nie byłem. Ja dla pana Jansena dilałem tylko jego trawę i prochami, a od czasu do czasu kasowałem trochę opłat. Też by wam to powiedział, gdybyście go nie wypuścili. Te sprawy burdelowe to nie była moja działka. Poza tym...

Odnieśli wrażenie, że zaczął kręcić.

– Poza tym co? – ponaglił go Vos.

– Słyszałem plotki. Złe rzeczy. Że tam są dziewczynki. Nie sądzę zresztą, żeby pan Jansen o tym wiedział. On miał same normalne interesy. Potem ten *privehuis* przestał działać, a ta Tajka, co go prowadziła, została kupiona przez Jimmy'ego Menza. Ja z nim nie miałem nigdy nic wspólnego. Nawet jak byłem bardzo chory.

Zwinął dłoń w pięść i walnął nią w biurko. Tak mocno, że magnetofon podskoczył.

– Bo byłem chory. Nie zły, jak mówiliście. Byłem chory i się wyleczyłem. Mówię wam samą prawdę. Nie obchodzi mnie już, co gada pan Mulder. Czym mi przywali i czy będzie groził karą za te wszystkie rzeczy, których nigdy nie zrobiłem. Nie...

– Gdzie jest Katja? – spytał znowu Vos.

Szczupły mężczyzna w czerni odsunął swoje krzesło od stołu. Powiedział, że chciałby kawy. Bakker wyszła, by wrócić z trzema plastikowymi kubkami. Vos czekał i myślał. W milczeniu.

Uciszył Laurę Bakker, gdy ta chciała znowu zarzucić Zeegera pytaniami.

On chciał być wysłuchany. To nie ulegało wątpliwości. Chciał powiedzieć coś w swoim tempie, na swój sposób.

– Nie miałem nic wspólnego ze sprawą pańskiej córki, panie Vos. – Zeeger napił się kawy. – Pan mi wierzy, prawda?

Vos kiwnął głową.

– Nie wiem, kto podłożył te rzeczy w moim mieszkaniu. Wróciłem do domu i stwierdziłem, że ktoś mi zostawił paczkę. Lalę. Te ciuchy. Wtedy za mało jarzyłem, żeby coś zauważyć. Może to był ktoś z ludzi Jansena. Z ludzi Menza. Może... – Jego wzrok powędrował na chwilę na drzwi. – Może ktoś

stąd. Myślał pan o tym?

– Nie interesuje nas, co się wydarzyło wtedy. Musimy znaleźć Katję – powiedziała Bakker.

– Nie mogę pomóc – odparł, kręcąc głową. Robił się nerwowy. – Szczerze. Była tam, gdy wyjeżdżałem. I też się dobrze czuła. Tamtego dnia poszliśmy po południu do Żółtego Domu. Kat i ja robiliśmy ze sobą porządek. Żadnych prochów. Żadnej wody. – Podniósł palec, jakby próbował sobie przypomnieć coś, czego go nauczono. – Jesteśmy świadomi i czyści. Świadomi i czyści. Właśnie.

Bakker zaklęła pod nosem. Dzisiaj miała na sobie inny kostium. Zielone spodnie, zbyt jaskrawą marynarkę w kratę, zielony sweter, a na nim krzyżyk. Kolory nie tyle do siebie nie pasowały, ile gryzły się wściekle. Wszystko ze wszystkim się gryzło. Vos domyślił się, że to kolejne dzieło cioci Maartje. Co prawda jego własnym ubraniem – świeże džinsy, kolejny ciemny sweter, pod spodem koszulka polo – też nie bardzo się dało zachwycić.

– Gdzie...? – spytała.

– Nie wiem. Nie. Wiem. – Wyjął gumę, zawinął ją w chusteczkę, wsadził do kieszeni. Wrzucił do ust drugą. – Ale powiem wam jedno. Jak się teraz nad tym zastanowię, myślę, że ona się bała.

Vos podniósł wzrok.

– Czego? – spytał.

– Raczej kogo.

To wszystko.

– Będziemy tu siedzieć, aż coś powiesz – oznajmił Vos. – Choćby to miało trwać cały dzień.

– No jasne! Zupełnie jak pan Mulder, co? – Podniósł głos, nagle pełen bólu. – Nieważne, że się za siebie wziąłem, no nie? Z waszego punktu widzenia jestem zwyczajną szumowiną i możecie mnie w dowolnym momencie naciskać. Tacy jak ja jesteśmy sami sobie winni...

Laura Bakker chwyciła się rękami za głowę i jęknęła.

Zeeger ucichł.

Oparła łokcie na stole, spojrzała mu w oczy.

– To naprawdę proste, Jaap. Katja zaginęła. Wygląda na to, że została

porwana. Tak jak córka Vosa przed trzema laty. Dziewczyny się znały...

Jego blada lisia twarz się skrzywiła.

– Znały się?

– Znały się – podjęła. – I nie chcemy, żeby Katja zapadła się pod ziemię tak jak Anneliese. A ty?

Chwilę milczał.

– Czemu pytacie mnie? – odezwał się wreszcie. – Ja się nie liczę. Nie w starciu z wami. Ani z tymi wszystkimi grubymi rybami... – Kiwnął głową w stronę matowego okna, jasnego słońca za szybą. – Tymi tam.

Vos skrzyżował ramiona na piersi. Zerknął na zegarek.

– Ona o tym nie mówiła – ciągnął Zeeger. Wyglądał przy tym, jakby wyjawiał tajemnicę. – Tylko raz i nie powinniśmy o tym rozmawiać. Co się dzieje na sesjach, zostaje na sesjach.

– Kto tak mówi?

– Panna Jewell. W Żółtym Domu. Jak ktoś chce być świadomy i czysty, musi mówić prawdę, no nie? A nie możesz mówić prawdy, jeśli wiesz, że ktoś to wypaple, gdy tylko wyjdiesz za drzwi.

Bakker westchnęła, długo i powoli.

– Wam jest wszystko jedno! – krzyknął Zeeger i w tej chwili przypominał dawnego siebie. – Was nikt nie dopadnie.

– Menzo nie żyje – powiedziała Bakker powoli. – Jansen uciekł. Jeśli go znajdziemy, wróci do więzienia na długie lata. Jeśli go nie znajdziemy...

– To nie nimi się przejmuję! Jezu. Kat nie zadaje się z panem Jansenem ani z tym surinamskim gnojem. Wy z policji... – Pokręcił głową. Przegarnął palcami czarne uczesane włosy. – Wy niewiele widzicie, no nie? Myślicie, że na świecie źli jesteśmy tylko my. Nie widzicie dalej niż koniec własnego zadartego nosa.

Vosa zainteresowały te słowa. Bakker także.

– Śmiało, Jaap – zachęciła.

– I też mam się dać wykończyć?

– Myślałam, że Kat jest twoją przyjaciółką – powiedziała Bakker. – Czy ona ci aby nie pomogła zostać... świadomym i czystym? Nie jesteś jej winien...

– Zamknij się – warknął... – Oboje się zamknijcie. – Przełknął wielki haust kawy. Zimnej. Skrzywił się na jej smak. – Ona się bała. Już mówiłem. Tylko raz się wygadała, jak byliśmy na sesji.

– Z panną Jewell? – spytała Bakker.

Nie odpowiedział.

– Jaap – spróbowała ponownie, starając się mówić cierpliwie. – W kółko to powtarzam, a ty wciąż to ignorujesz. Nikt nie widział Katji od tygodnia. Pojawiło się żądanie okupu. I jej zdjęcia. Nagranie...

Nie zareagował.

– Chcesz je zobaczyć? – spytał Vos.

Bez odpowiedzi.

– Świetnie – powiedziała Bakker, a następnie wyjęła swój smartfon, położyła go na stole i uruchomiła film znaleziony w lalce przy ciele Rosie Jansen.

Ciemny pokój. Katja na krześle. Krzyczała. Nagle jakby ją ktoś uderzył.

Zeeger nie mógł oderwać wzroku od ekranika.

– Dość! – zawołał piskliwie po kilku sekundach. – Na miłość boską, wyłączcie to.

Bakker zatrzymała film. Twarz Katji została na ekranie, wykrzywione usta, zamarłe w długim, udęczonym grymasie.

– O niczym nie macie pojęcia – jęknął Jaap Zeeger.

– To prawda – przyznał Vos. – Oświeć nas.

Zeeger kręcił głową na boki.

– Zadbamy o ciebie – dodała Bakker. – Nic się nie stanie.

Na to się roześmiał. Ale po chwili zaczął mówić. Bakker zamrużyła powiekami, sprawdziła, czy magnetofon działa, czy na pewno nagrywa każde słowo.

Dwadzieścia minut później, gdy Zeeger skończył, Vos wstał, uściskał mu dłoń.

– Musisz teraz złożyć oficjalne zeznanie, Jaap. Powtórz po prostu wszystko, co tu powiedziałeś. I podpisz się.

– Mówiłem wam...

Vos się uśmiechnął.

– Tak to się odbywa. Wiesz o tym. Tym razem stoisz po właściwej stronie. Zostawili go w pokoju przesłuchań, wezwali dwóch funkcjonariuszy, żeby spisali zeznanie. Przez chwilę stali w milczeniu.

– Co teraz? – spytała Bakker.

On czekał.

– Ściągamy Wima Prinsa? – zasugerowała.

– Nie. Najpierw zajrzemy w akta jego żony. Mnie wtedy...

Wszystko to wydarzyło się, gdy był na zwolnieniu lekarskim, gdy już rezygnował. Nie miał pojęcia, kto się zajmował śmiercią Bei Prins. Domniemanym samobójstwem.

– Mnie wtedy tu nie było.

Odsunął się, by przepuścić dwóch mundurowych, z notatnikami i formularzami zeznań.

– Muszę pogadać z Frankiem. Jeszcze wczoraj Wim Prins rządził w tym mieście. Jeśli zamierzamy oskarżyć go o morderstwo...

Ruchem ręki Vos wskazał windę. Gabinet de Groota znajdował się na czwartym piętrze, tam gdzie siedziba kierownictwa i dział techniczny zajmujący się wywiadem komputerowym i kryminalistyką.

– Rozumiem – powiedziała Bakker.

Vos nadal ani drgnął.

– O co chodzi? – spytała.

– Niezła byłaś. Naprawdę niezła.

Bakker się zarumieniła, bąknęła coś pod nosem. Wsiedli do windy.

2

Ciche śniadanie. Liesbeth Prins dopiła kawę, zjadła croissanta, zapaliła papierosa, wiedząc, że go to rozzłości. Nieogolony, rozmamłany, w pogniecionej niebieskiej koszuli i w dżinsach nienoszonych od lat Prins garbił się nad miseczką płatków, której prawie nie tknął. Dym z jej papierosa wił mu się nad głową. Wim na nią nie patrzył.

– O której wróciłeś? – spytała.

– Nie sprawdziłaś?

– O dwudziestej trzeciej trzydzieści.

Odsunął miseczkę, wziął głęboki oddech, zbolały.

– Po co zadajesz pytanie, na które znasz odpowiedź?

– Cały wieczór wydzwaniała tu prasa. Nie wiedziałam, co mówić.

– To coś nowego – odrzekł z kąśliwym uśmiechem.

Zgasiła połówkę papierosa w resztkach ciastka.

– Obchodzi cię to, Wim? Rusza cię? Nadal sądzisz, że ona nas nabiera?

– Może. – Wzruszył ramionami. – Nic już nie wiem.

– Gdzie byłeś wczoraj wieczorem?

– Poszedłem na spacer. Wypiłem kilka drinków...

– Kilka?

– Za mało.

Już zdążył przejrzeć nagłówki w gazetach. Dwa tematy. Morderstwo gangstera i jego dziewczyny oraz wstrząsająca rezygnacja z urzędu szefa rady miasta. Wszyscy powtarzali oficjalne stanowisko: to jedynie tymczasowe. Potem przechodzili do zmieszania z błotem tego pomysłu.

Ktoś dokładnie ich informował. Domyślał się kto.

– Pieprzysz ją? Tę Willemsen?

Roześmiał się.

– Skąd ten pomysł?

– Od ciebie. Widzę, jak się czaisz... Jaki jesteś w jej obecności. Kiepski z ciebie kłamca.

To było zabawne.

– Dość długo z powodzeniem oszukiwaliśmy Beę i Vosa.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

Wzruszenie ramion.

– Przez jakiś czas. To było głupie. I już jest nieaktualne. – Ta część ciągle go zastanawiała. – Rzecz w tym... że kiedy tam jesteś, wchodzisz w świat polityki, a ja nigdy nie stałem się prawdziwym politykiem. Musisz pamiętać, że to się nie dzieje naprawdę. Nie...

Resztki ciepłej kawy spadły mu na twarz. Potem rzuciła się na niego, drapała paznokciami, klęła, wrzeszczała.

Ostry ból na policzku, naczynia na podłodze. Okruchy i płatki rozsypane na czarno-białych kafkach.

Uchylił się przed jej drapieżnymi palcami, chwycił ją za nadgarstki, zaczekał, aż furia nieco przycichnie.

– Do tamtej chwili byliście tylko ty i Bea – powiedział Prins. – Nie nadaje się do takich rzeczy. Pewnie dlatego to zrobiłem. Zawsze myślałem...

Jej ramiona odrobinę zwiotczały, przekleństwa przycichły.

– Pewnie zatęskniłem za tajemnicą. Nie protestowałaś, kiedy chodziło o nas dwoje.

– Łajdak...

To robiło się śmieszne i nie omieszkał tego powiedzieć. Ich związek był paktem zawieranym w sekretnej pościeli, w ukradkowych chwilach. Dwa razy wyjechali na wakacje na Arubę; Prins mówił Bei, że jedzie pracować w willi, a Liesbeth Vosowi, że wyjeżdża z przyjaciółką.

Odsunęła się. On wziął serwetkę ze stołu, starł kawę z twarzy. Obmacał policzek. Ból i zadrapana skóra. Przejechał palcem po ranie, podetknął go jej, żeby zobaczyła.

Krew na opuszcze. Zerknął na swoje odbicie w szybie na tle jasnozielonej lipy rosnącej na podwórku. Szrama na prawym policzku. Taka, która nieprędko się zagoi.

– Nigdy więcej tego nie rób – powiedział cichym, zimnym głosem. – Nie jesteście aniołami. Żadne z nas.

– Ja nigdy nie udawałam anioła, prawda?

Dzwonek do drzwi. Zeszła na dół. Prins odprowadził ją wzrokiem. Włosy w nieładzie. Opatuliła się szlafrokiem. Inaczej było na początku, gdy wymykali się na schadzki, pełni gorączki młodości.

– Poczta – rzuciła, wróciwszy na górę. Rozerwała wielką brązową kopertę, przesyłka specjalna.

– Od kiedy czytasz moje listy? – spytał, patrząc na nazwisko adresata wypisane grubym czarnym flamastrem.

– Nie masz już nic do ukrycia. Prawda?

Prins pokręcił głową, podszedł do ekspresu do kawy, włączył go, by zrobić sobie następną. Poranna rutyna. Tym właśnie stało się całe życie. Serią mechanicznych poczynań i gestów prowadzących donikąd i niedających niczego.

Liesbeth umilkła. Znał to milczenie. Ono czegoś się od niego domagało.

Ekspres przestał mleć, a zaczął warczeć.

– Co się dzieje? – spytał i podszedł do stołu.

Jedna biała kartka. Tusz z czarnego flamastra. Litery wyglądały młodzieńczo. Jakby napisał je nieporadny uczeń.

„Zeedijk i Stormsteeg. 11.30. Walizka Tumi. Pieniądze. Czeka tam”.

Liesbeth milczała.

Wim Prins wrócił do ekspresu, nalał sobie niewielką filiżankę, wypił kawę. Przeczytał list ponownie.

Zerknął na zegar. Dochodziła dziewiąta.

– Bank nie zdąży do dziesiątej. Niewiele czasu mi dają, co?

– Chcesz powiedzieć, że nie dasz rady zebrać tych pieniędzy?

Myślał.

– Będę musiał wziąć paszport czy coś. Takiej sumy nie wypłaca się z bankomatu.

– Dasz radę?

– Tak – odparł z naciskiem. – Ale potrzebuję czasu. I swobody. – Wpatrywał się w nią. – Przez najbliższą godzinę nie możesz tego przekazać Vosowi. Jasne?

Pokręciła głową zdenerwowana.

– Nie wygłupiaj się teraz, Wim. Tu chodzi o Katję. Nie o ciebie...

Stracił panowanie nad sobą. Dopadł jej. Potrząsnął jej wąskimi, chudymi ramionami. Przytknął twarz do jej twarzy, wściekły. Zapamiętały w gniewie.

Niemal padł cios. Który dla niego byłby równie wielkim szokiem jak dla

niej.

Puścił ją. Wciąż wściekły. Próbował odzyskać kontrolę.

– Muszę zmyć kawę z twarzy. Żeby wyglądać jak człowiek. Muszę wymyślić sposób na zdobycie kwoty, jakiej w życiu na oczy nie widziałem, wsadzić pieniądze do dużej walizeczki i stanąć w Chinatown niczym napalony turysta szukający kurwy. Nie utrudniaj tego. Ani się waż.

I poszedł. Do łazienki. Potem do sypialni. Wyszedł z plastrem na policzku, w jasnym swetrze, codziennych spodniach, brązowych butach. Jak człowiek na wakacjach albo wyjeżdżający na nie.

Potem do gabinetu po parę rzeczy.

Ona została w kuchni przy stole, żałosa. Pałac, patrzyła na list.

O dziewiątej dziesiątej on wziął marynarkę i płaszcz, kazał jej przysiąc, że będzie milczeć do dziesiątej, po czym wyszedł.

Liesbeth Prins zastanawiała się, dlaczego go słucha. Z jakiego powodu miałyby nie dzwonić do Pietera Vosa od razu. I tak chciała się z nim zobaczyć. Tęskniła za jego spokojnym, cichym, przyjaznym towarzystwem. To co kiedyś było rutyną i nudą, teraz wydawało się czułością i troską.

To wszystko nie liczyło się wtedy, gdy wymykała się do łóżka Wima Prinsa.

Jeszcze jeden rzut oka na list. Nie zadzwoni. Dopiero gdy minie czas, którego zażądał Wim.

W jednym miał rację. Nie byli aniołami. Nie ma co udawać.

3

Frank de Groot wyglądał, jakby nie spał całą noc. Patrzył przez okno swojego gabinetu na ostatnim piętrze Marnixstraat. Na moście nad Lijnbaansgracht trwały prace budowlane. Robotnicy z młotami pneumatycznymi rozpruwali chodnik, przechodnie przedzierali się przez ten chaos. Hałas docierał do gabinetu de Groota. Nie poprawiało to jego nastroju.

Po wysłuchaniu krótkiego sprawozdania Vosa o tym, co powiedział Jaap Zeeger, bez wahania wypalił:

– Zapomnij.

– Zapomnij?! – krzyknęła Bakker. – Zeeger mówił...

– Zeeger jest kryminalistą. Złodziejem. Dilerem. Przeciwwstawiacie jego wersję słowom polityka wybranego przez społeczeństwo? Prawnika?!

Vos zakasłał i zajął miejsce przed biurkiem komisarza. De Groot zrozumiał, usiadł naprzeciwko. Bakker skrzyżowała ramiona na piersi, oparła się o ściankę działową nadąsana niczym nastolatka.

– Musimy to zbadać, Frank – nie ustępował Vos. – On złożył zeznanie.

– Bea Prins zastrzeliła się na parkingu Beursplein. Była uzależniona. Jest na to mnóstwo świadków. Nie otworzę ponownie sprawy na podstawie pogłosek zasłyszanych od kryminalisty.

Chwila ciszy, potem Vos spytał:

– Ty to prowadziłeś?

– Tak! – wrzasnął de Groot. – Ja. I masz rację. Nie byłem właściwą osobą do tej roboty. Gdybyś zachował wówczas choć trochę rozumu, powierzyłbym to tobie. Ale nie zachowałeś. – Spokojniej już dodał: – I rozumiem dlaczego. Wtedy wszyscy byliśmy w strasznym stanie. Od trzech miesięcy szukaliśmy Anneliese i nic. – Srogie spojrzenie na drugą stronę biurka. – Wiem, że cierpiełeś. Nie tylko ty.

– Muszę zobaczyć te akta.

– Świetnie, świetnie. I jeśli coś zauważysz, daj mi znać. Ale nie zatrzymuj Prinsa tylko dlatego, że w naszych drzwiach stanął Jaap Zeeger nowy jak spod igły i postanowił opowiedzieć nam kilka bajeczek. Przez tego gnojka wsadziliśmy do więzienia Thea Jansena i zobacz, do czego to doprowadziło. Dlaczego mielibyśmy mu wierzyć, do cholery?

– Prins od samego początku próbuje się trzymać od tej sprawy z daleka – przerwała Bakker. – Nigdy nie sprawiał wrażenia człowieka, który stracił córkę. Według słów Zeegera Katja się załamała, bo podejrzewała, że Prins zabił Beę. On o tym wiedział. Czy to nie pasuje do obrazu sytuacji?

– Potrzeba nam czegoś więcej niż słowa szumowiny, który przyznał się, że jest kłamcą – zaznaczył komisarz. – Dopóki tego czegoś nie zobaczę...

– A więc daj mi trochę ludzi – zażądał Vos. – Mam tu Bakker. Dostęp do techników. Van der Berga. Nie mogę...

Kolejne gniewne poruszenie, gdy de Groot rzucił wydruk na biurko.

– Widziałeś to? Słyszałeś najnowsze wieści?

Vos wziął do ręki kartki. Zgłoszenie. Z szóstej trzydzieści cztery. Ciało w kanale Oudezijds Voorburgwal w De Wallen nieopodal Oude Kerk. Kobieta, mieszkanka Amsterdamu, wiek dwadzieścia osiem lat. Jedna rana cięta w brzuch. Wyłowiona z wody, krótko po tym, gdy sprzątacze zauważyli ją o świcie. Dyżurna ekipa sądziła, że to niezamierzona ofiara rozboju. Była reporterką w jednej z większych gazet w mieście. Jej tożsamość poznali dzięki telefonowi znalezionemu w zaułku, w którym ją napadnięto.

– Spotkałem się kilka razy z tą dziewczyną – dodał de Groot. – Zajął się kroniką kryminalną już po twoim odejściu. Mam więc zbiegłego Jansena, za którego co chwilę obrywam po głowie. Wczoraj zamordowano Menza i jego dziewczynę. A teraz to...

– Katji Prins nadal nie odnaleziono – przerwała mu Bakker. – Ona uważała, że ojciec zamordował jej matkę. Do tego dochodzą powiązania ze sprawą córki Vosa. Może...

– Może co? – spytał gwałtownie de Groot. – Powiedz mi. – Wymierzył w nią tłusty palec wskazujący. – Daj mi coś konkretnego. Coś, co mogę pokazać ludziom, którzy rządzą tym miastem, i powiedzieć: proszę. Z tego powodu przydzieliłem za mało funkcjonariuszy do ścigania po Amsterdamie zbiegłego gangstera i mordercy. Nie wiecie, czy naprawdę doszło do porwania. Czy też Prins ma rację i po prostu ta mała nas wkreca.

– Rzeczywiście – przyznał Vos.

– Przyjdźcie po wsparcie, jak uwierzę, że to się łączy. Nie teraz, Pieter. Wiesz, że nie mogę tego zrobić.

Vos wzruszył ramionami. Bakker milczała.

– Na co jeszcze czekacie? – spytał de Groot.

Vos stanął w korytarzu, wyjrzał na przystanek autobusowy w stronę Westerkerk.

– Ten facet to kretyn – zrzędziła Bakker. – Dlaczego...?

Urwała, gdy zobaczyła jego wzrok.

– On nie jest kretynem. Ma rację. To tylko bajka. A i to niekoniecznie. – Zerknął na zegarek. – Frank nigdy nie pracował nad zabójstwami. Chyba że nie było innego wyjścia.

Kroki na korytarzu. Podszedł Van der Berg z niebieską teczką z napisem „Beatrix Prins” na okładce. Otworzył okno, wpuścił zimne wiosenne powietrze. Uśmiechnięty, oczy zaczerwienione, wokół niego unosiła się już woń alkoholu, pomimo tak wczesnej pory.

– Ty się tym wtedy zajmowałeś, Dirk? – spytał Vos.

– Niestety nie, szefie. Byłem z żoną na wakacjach. – Zacisnął powieki. – Piwny objazd Anglii. Dużo padało. – Skrzywił się. – Po tym całym gównie tutaj musiałem sobie wziąć wolne, żeby odpocząć.

Vos zabębnił palcami po teczce.

– Chcę, żebyś nad tym usiadł. Przeczytał dokładnie każdy wers. Zapomnij o wszelkich wnioskach, do których doszedł ktoś inny. Popatrz na to świeżym okiem.

– A czego mam szukać?

– Powiedz mi, czy to się trzyma kupy.

Van der Berg kiwnął głową i odszedł w kierunku windy.

– Czy to go utrzyma z dala od baru? – spytała Bakker.

– Najlepszy facet od morderstw, jakiego miałem w życiu – odparł Vos. – Nie sądź po pozorach.

Wykonała szyderczy salut.

Vos pokręcił głową.

– A dokąd my idziemy... szefie?

Czekał.

– Do Żółtego Domu – powiedziała, gdy Vos milczał. – A, i niech zgadnę. Bierzemy rowery.

4

– Na dole jest kaplica, Theo. Chciałbyś do niej zajrzeć?

Jasny poranek. Kilkoro turystów w części podwórka Begijnhof otwartej dla publiczności.

Bolała go głowa. Siedział, wypijając kolejno wszystkie cztery piwa, które mu kupiła, aż około drugiej wczłogał się na sofę i zasnął. Nawet po drugim prysznicu, po przebraniu się w czyste rzeczy nadal czuł się brudny i głupi.

W wiadomościach nie pojawiło się nic, co by go zmartwiło. Żadnych informacji od Maartena. Kazał mu się przyczaić na jakiś czas. Zabronił zawracać głowę, o ile nie będzie to konieczne. Ale i tak czuł się samotny i jakoś zawstydzony. Uwierzył Menzowi, gdy ten powiedział, że nie zabił Rosie. Nie musiał tego słyszeć od Pietera Vosa. Mimo to spalił żywcem tego człowieka, a także jego martwą kochankę.

Kiedyś nie za bardzo by się tym przejął. A teraz coś nie dawało mu spokoju.

– Chcesz, żebym się modlił? – spytał, trochę żartując.

Miała na sobie luźną szarą sukienkę opadającą niemal do kostek. Białą bluzkę z okrągłym kołnierzykiem. Jej twarz wydawała się niedostatecznie pomarszczona. Suzi żyła w harmonii, której nigdy nie zaznała u jego boku.

– Nie – odparła. – Tylko pomyślałam...

Ten gorzki uśmiech. Osądzał go, a tego Theo nigdy nie lubił.

– Tylko pomyślałam, że może byś chciał się stąd wyrwać na chwilę. Nikt cię nie zobaczy. – Jej oczy wyrażały pewność siebie. Ani na chwilę ich z niego nie spuszczała. – Nikt cię nie pozna. Nie w tym stanie.

Podeszła i dotknęła jego szorstkiego policzka.

– Podoba mi się to. Kupiłam ci maszynkę i piankę do golenia. Są w łazience. Powinieneś się golić dwa razy dziennie. I jeszcze coś... – Podeszła do torby przy oknie i wyciągnęła pudełko z maszynką do strzyżenia. – Musisz tego używać. – Pokiwała karcąco palcem przed jego twarzą. – Żeby dawny Theo nigdy nie wrócił.

Jansen wypił kubek kawy. Zjadł croissanta i kilka wyjętych z lodówki *bitterballen* z musztardą. Następnie udał się do łazienki i zrobił to, o co prosiła.

Gdy wyszedł, miała na sobie płaszcz i czekała na niego z nową kurtką, podając mu ją do włożenia.

– Jeśli chcesz za to pieniądze... – zaczął.

– Nie chcę twoich pieniędzy. Możemy już iść?

Na zewnątrz przybyło turystów, w tym wielka grupa pod wodzą Japonki trzymającej małą flagę. Pstrykali zdjęcia, chociaż na tabliczkach widniały prośby, żeby tego nie robić. Hałasowali trochę, co wydawało się nie na miejscu w zacisznym sanktuarium przy gwarnym placu Spui.

Usiadł obok Suzi na ławce w prywatnej części skwerku. Zgromiła go wzrokiem, gdy spytał, czy może zapalić. Włożył więc ręce do kieszeni jak niegrzeczny dzieciak. Cieszył się i złościł jednocześnie, że ona nie próbuje nawiązać rozmowy.

Gdy grupa wyszła z dziedzińca, wstała i odprowadziła go do kaplicy. Opowiedziała mu historię o siedemnastowiecznej zakonnicy, która chciała być pochowana w rynsztoku, bo uważała, że kościół został zbrukany obecnością prezbiterian.

– Czyli w religii też są gangi, tak? – mruknął Jansen, gdy przechodzili przez niskie drzwi.

Po prawej skromny kiosk z pamiątkami. Maleńka kaplica po lewej. Nic go specjalnie nie zaciekało.

– Zawsze są konflikty, Theo – odparła Suzi, uśmiechając się do niego. – Nie neguję tego. – Postukała się w pierś. – Albo wewnętrzne, albo zewnętrzne. Tak będzie zawsze.

– Nie próbuj mnie zmieniać – powiedział. – Jestem beznadziejnym przypadkiem.

Nie odezwała się.

– Mnie też pochowają w rynsztoku – dodał Jansen. – Stamtąd pochodzę. Wrócę po prostu na swoje miejsce.

– Twój ojciec był szanowanym człowiekiem. Całe swoje życie pracował...

– I dostawał za to marne grosze. Nawet jego mieszkanie do niego nie należało. Nie...

Jego stary był dumnym, małomównym wyrobnikiem na linii produkcyjnej Heinekena. Matka umarła, gdy Theo miał siedem lat. Gdy skończył

trzydzieści, jego ojca pokonał rak krtani. Stary nigdy słowa nie powiedział na temat roboty, którą wykonywał jego syn. Jakby wszystko rozgrywało się w innym świecie.

– Ćśśś...

Delikatny palec Suzi dotknął jego szorstkich ust. Głos Jansena stał się zbyt donośny jak na ciemne ciche wnętrze kaplicy Begijnhof.

– Pewnie teraz się za mnie modlisz – wyszeptał, straszliwie pragnąc się wynieść z tego miejsca.

– Nie – odparła lekko. – Modlę się za wszystkich. Nie sądziłabym...

Stała przed nim ze skrzyżowanymi ramionami. Oczyma wyobraźni zobaczył ich oboje – młode i silne ciała splecione w łóżku w jego małym mieszkaniu – w dawnych czasach, zanim w jego życiu pojawiły się pieniądze.

Wtedy nic nie wydawało się skomplikowane. Każdy dzień stanowił walkę o być albo nie być. Jansen łaknął zwycięstwa, bo wiedział, że w przeciwnym razie czeka go klęska, wstyd, śmierć. Nigdy nie wyobrażał sobie, że ceną za triumf będzie utrata tej kobiety.

– Nie przychodzi mi do głowy nic, co byłabym ci winna – powiedziała. – Ale bierz, co chcesz. Zostań, jak długo musisz. Proś, o co chcesz. Dostaniesz.

Zamknęła oczy. W ich kącikach widział łzy jak maleńkie przejrzyste perły.

– Pomędzy nami dość już było bólu. Nie sprawiamy go sobie więcej.

Zadzwoniła jego tania komórka. W ciemnościach małej, dusznej kaplicy Begijnhof wszystkie oczy zwróciły się na niego. Nie pasował do tego miejsca.

Wyszedł do kruchty, odebrał.

Maarten. Chciał wiedzieć, co robić.

– Z czym? – spytał Jansen. Widział, że Suzi mija go zdecydowanym krokiem i wychodzi na wiosenny poranek, żeby go nie słyszeć.

– Wszyscy chcą wiedzieć, Theo. Wracamy do miasta? Dzwonili do mnie nawet Surinamczycy. Nie chcą wojny. Teraz, gdy nie ma Jimmy'ego.

Jansen poczuł się głupio. Dotąd nie zastanawiał się nad skutkami zabicia Menza. Brakowało jakiegoś oczywistego przywódcy, który by wszystko przejął. Ten człowiek rządził jak klasyczny despota. W praktyce jego

zastępcą była Miriam Smith, ale ona też nie żyła. Wybuchnie wojna. Któregoś dnia będzie musiała wybuchnąć. Ale nie teraz. Trzeba było utrzymać siatkę dostaw. Zebrać haracze. Popłacić rachunki. Pożyć.

– Co ludzie mówią? – spytał.

– Chcą, żebyś wrócił...

– Marnixstraat będzie mnie szukać do skutku, Maarten. Wiesz, że to niemożliwe.

– Możliwe, pod warunkiem, że wyjedziesz z miasta. Możesz rządzić z zagranicy. Możesz...

Jansen nie słuchał. Suzi wpatrywała się w niego tymi mądrymi smutnymi oczami. Zawsze rozumiała politykę zbrodni. Czasami lepiej niż on. Pewnie domyślała się, co nadchodzi.

– Musimy się spotkać – zdecydował fryzjer. – Ty i ludzie Jimmy’ego. Michiel Lindeman powiedział, że przyjdzie. Może... mediować.

Prawnik, który chce rozmawiać ze zbiegłym przestępcą. Ciekawy pomysł.

– Umów coś – polecił Jansen. – I daj mi znać.

Poszedł z nią na prywatne podwórko z dala od dostępnego dla publiczności rejonu Begijnhof i wysokiego drewnianego domu, i jej skromnego mieszkania.

– Pójdę później po zakupy. Co byś chciał na lunch? – spytała, gdy zamknęła drzwi.

– Śledzie – odrzekł. – Dobry chleb. Piwo. Tylko jedno.

Kwadrans później zadzwonił Maarten. Umówiono spotkanie. Niedługo.

– Zapomnij o jedzeniu – powiedział Jansen, gdy skończył. – Wychodzę. Zjem coś na mieście.

5

Niski powojenny budynek, rzeczywiście żółty, ulicę od targu kwiatowego i sklepów z cebulkami Bloemenmarkt. Wciśnięty pomiędzy restaurację a bar, pomalowany na kolor ochry. Wielkie słoneczniki wspinały się aż po wymyte okna. Wydawał się dziwnie czysty i nie na miejscu pomiędzy szarymi budynkami rozciągającymi się wokół straganów z kwiatami.

Na drzwiach wisiała tabliczka: „Żółty Dom. Dyrektor Barbara Jewell”.

Vos i Bakker przypięli rowery do stojaka przed wejściem, ponegocjowali z bezbarwną recepcjonistką w bezbarwnej recepcji, aż bez oporu i bez wahania wprowadziła ich do gabinetu Jewell.

Na ścianach obrazy van Gogha. Cytaty z różnych guru, wszystkich, od mistyków sufijskich po Steve’a Jobsa. Jewell wysłuchiwała ich, siedząc przy wielkim iMacu i pisząc na klawiaturze. Była Amerykanką, mocnej budowy, około czterdziestki, o krótkich, ufarbowanych na pomarańczowo włosach i przeszywających niebieskich oczach. Ich kolor podkreślała niebieska droga garsonka. Rozmawiała z nimi po angielsku, zdecydowanym tonem.

Bakker spytała, czym się zajmuje ośrodek.

– Leczymy ludzi – odparła Jewell ze szczerym, pełnym zainteresowania uśmiechem. – W miarę możliwości.

– Wyleczyliście Katję Prins? – dorzucił Vos.

Jewell wzruszyła masywnymi ramionami.

– Tak sędzę. Macie powód w to wątpić?

– Til Stamm pani nie powiedziała? – spytała Bakker. – Gdy przyszła po klucze do przyczepy?

Amerykanka uśmiechnęła się zdumiona.

– Co miała mi powiedzieć?

Vos jej wyjaśnił. Wyglądała na wstrząśniętą, zmartwioną. Potem znowu zaczęła stukać w klawiaturę.

Bakker była coraz bardziej wściekła.

– Może to pani zostawić na chwilę?

– Sprawdzam, kiedy Katja była tu po raz ostatni – odparła Jewell. – Pomyślałam, że chcielibyście to wiedzieć.

Znalazła coś, jeszcze raz uderzyła w klawisz. Zawarczała drukarka na

końcu biurka. Barbara Jewell podała im wydruk. Spotkanie o jedenastej przed południem. Trzygodzinna sesja zwana szkoleniową.

Bakker spytała, co to znaczy.

– Chodziło o to, że mogliśmy w którymś momencie dać Katji pracę. Terapeuta musi rozumieć problem, którym się zajmuje. Katja zna go najlepiej. Narkotyki. Picie. – Zawahała się. – Toksyczne związki.

– Ma pani na myśli związek z ojcem? – spytała Bakker.

Amerykanka westchnęła i spojrzała ze skruchą.

– Jestem w trudnej sytuacji – stwierdziła. – Chcę państwu pomóc, ale obowiązuje nas tajemnica.

– Nie jest pani księdzem – odparła policjantka.

– Nie. Ale jestem kimś, kto wysłuchuje tajemnic, których ujawnienia ludzie nie chcą. Gdyby pani powiedziała mi coś w zaufaniu, chciałaby pani, żebym to komuś przekazała?

– Gdyby to miało ocalić komuś życie, to tak. Ma pani obowiązek...

– Ile Wim Prins pani płaci? – przerwał jej Vos.

Wzięła z biurka ulotkę, podała ją.

– Funkcjonujemy dzięki darowiznom. Jeśli ludzi stać na darowiznę, to my ją przyjmujemy. Jeżeli nie... albo jej po prostu nie robią... też dobrze. – Przelotny, ironiczny uśmiech. – Tutaj nikt się nie bogaci, jeśli to ma pan na myśli.

Czekała. Tamci dwoje szukali pytania. W końcu odezwał się Vos:

– Kto ją widział ostatni?

– Ja prowadziłam tę sesję. Katja była świetną podopieczną. Uważną i zmotywowaną. Przepracowała już z nami dużo. Wiązałam z nią wielkie nadzieje.

– Z kim się przyjaźniła?

Barbara Jewell ściągnęła brwi.

– Nam tu chodzi o zdrowie i uleczenie. O to, żeby ci ludzi byli...

– Świadomi i czysti – dokończyła Bakker. – Tak, wiemy. Z kim się przyjaźniła?

Wzruszenie ramion.

– Dobre stosunki łączyły ją z Jaapem Zeegerem. Pracowali w tej samej

grupie. Oprócz tego...

Bakker zanotowała coś sobie.

– Mówiła, dokąd się wybiera? – spytała.

– Sądziłam, że do domu. Wynajmowała coś gdzieś niedaleko Warmoesstraat. Chyba na jakiś czas załatwiła tam pokój Jaapowi. On potrzebował czegoś taniego.

– Odnoszę wrażenie, że zaginięcie Katji Prins ani trochę pani nie martwi – powiedziała policjantka.

Spokój na twarzy Barbary Jewell zniknął w jednej chwili. Teraz wyglądała na zaniepokojoną.

– Tutaj ludzie przychodzą i odchodzą. Nie wnioskowałabym...

Vos nakreślił trochę szczegółów zniknięcia Katji.

– Albo została porwana, albo udaje, że została porwana – dodał.

– Czego dokładnie chcecie?

– Akt Katji i Zeegera.

Zawahała się, pokręciła głową.

– Przykro mi. To niemożliwe.

– Gdzieś tam młoda kobieta ma kłopoty – powiedział Vos. – Nie wiemy, co się stało, gdzie jest. Ale wiem, że coś jej grozi. Moja córka zniknęła...

– Ach! – Podniosła masywny palec. – To pan! Katja o panu wspominała. – Znowu dłonie na klawiaturze. – I o pańskiej córce. Były przyjaciółkami. Wiedział pan o tym, prawda?

Vos na chwilę zamknął oczy. Bakker u jego boku robiła się coraz bardziej wściekła.

– Mógłbym wytoczyć wam proces – podjął. – Mógłbym zamknąć ten ośrodek.

To się Barbarze Jewell nie spodobało.

– Jesteśmy instytucją charytatywną. Ściśle współpracujemy z władzami, samorządowymi i centralnymi. Z agencjami wolontariatu. Nie sądzę, żebym musiała wysłuchiwać tych...

– Jaap Zeeger powtórzył nam to, co powiedziała Katja – przerwała jej Bakker. – Chcemy po prostu usłyszeć to od pani. W przeciwnym wypadku będziemy musieli... – zastanowiła się – będziemy musieli go aresztować za

wprowadzanie w błąd policji.

– Złożył na Marnixstraat oficjalne zeznanie – dodał Vos. – Jeśli to, co nam powiedział, to tylko jego fantazje, jeszcze dzisiaj stanie przed sądem. Wim Prins ma teraz na głowie porwanie. W tych okolicznościach nie dawałbym Zeegerowi dużych szans....

Jewell wpatrywała się w nich.

– Jezu – westchnęła. – I co się dziwić, że tym ludziom tak trudno wrócić na właściwą drogę?

Znów postukała w bezprzewodową klawiaturę.

– Nie wiecie tego ode mnie, jasne?

Drukarka ponownie zafurkotała. Kopia zapisu ze spotkania zwanego w Żółtym Domu „grupą przełomu”. Wszystko na tacy, jakkolwiek wstydlivych i głębokich ran dotyczyły wyznania.

– Katja jest dzieckiem głęboko zaburzonym – powiedziała Jewell. – Na krawędzi autyzmu, a nie sądzę, żeby kiedykolwiek poddano ją jakiegokolwiek terapii. Widziałam, że coś w niej siedzi, ale musiałam to z niej wyciągać. Przypominało to wysysanie trucizny z rany. Ona tego potrzebowała.

W sesji uczestniczyło ich tylko troje: Jewell, Katja i Jaap Zeeger. Wersja Jaapa potwierdziła się co do joty. Katja żyła w przekonaniu, że Prins zabił jej matkę. I dlatego załamała się po jej śmierci.

– I nie przyszło pani do głowy, żeby zadzwonić na policję? – spytała Bakker zdziwiona.

– A uwierzylibyście jej? – odparowała Jewell. – Słowu ćpunka? Niezbyt bystrej. Notowanej. Przeciwstawilibyście jej słowo słowu takiego człowieka jak Wim Prins?

Teraz oni zamilkli.

Na zewnątrz, słuchając gwaru turystów na nabrzeżu targu kwiatowego, Vos miał właśnie zadzwonić, żeby doprowadzono Prinsa na komisariat, gdy odezwał się jego telefon.

De Groot. Liesbeth próbowała się z nim skontaktować. Dostali żądanie okupu. Prins poszedł po pieniądze.

– Gdzie on jest? – spytał Vos.

– Nie wiemy. Nie odbiera telefonu – odrzekł de Groot. – Przydzieliłem do

tego Muldera, skoro ciebie nie było. Zeedijk i Stormsteeg. Jedenasta trzydzieści. Będziemy tam. Pieter?

Vos myślał.

– Oddzwonię do ciebie – rzucił.

Bakker stała na ulicy, opierając się o wielki malowany słonecznik. Zdumiona teraz, a nie popędliwa jak poprzedniego dnia.

– Ostatecznie łatwo nam poszło, prawda? – rzuciła.

– W końcu coś. Dzięki za ten pomysł z Zeegerem. Ja utknąłem.

To ją uradowało.

– Domyślam się, że nie bez powodu nie powiedziałaś de Grootowi, że kobieta w tej klitce świrów właśnie potwierdziła zeznania Zeegera o uroczym Wimie?

– Uroczy Wim dostał żądanie okupu. Mamy godzinę z małym ogonkiem, żeby zorganizować nadzór i ekipę poszukiwawczą w Chinatown. Reszta może poczekać.

6

Dziesięć minut później, po szybkiej jeździe rowerem, Vos i Bakker wpadli na Marnixstraat. De Groot zwołał odprawę na czwartym piętrze. Koeman zdołał ich dopaść, gdy szli długim korytarzem.

– Nie mam czasu. – Vos próbował go ominąć.

– To znajdź – odparł Koeman.

Nie ustąpił im z drogi, dopóki nie wyrzucił wszystkiego, co miał do powiedzenia. Anna de Vries, zamordowana reporterka, wczoraj po południu odwiedziła Wima Prinsa w jego gabinecie.

– Po co? – spytała Bakker.

– Nie wiem – odparł tamten. – To nie wszystko. Nikt nie wie, gdzie Wim Prins był w nocy. Ani ludzie z rady miasta. Ani jego żona. Jej powiedział, że poszedł pić, sam. Wrócił dopiero o dwudziestej trzeciej trzydzieści. A tę kobietę zamordowano mniej więcej godzinę wcześniej. – Koeman się skrzywił. – Jedna z prostytutek mówi, że mniej więcej wtedy słyszała krzyk. Naturalnie nie zareagowała w żaden sposób.

– Później. – Vos próbował go odepchnąć.

– Jeszcze coś – ciągnął Koeman, wyciągając z plastikowej koperty kilka zdjęć. – Telefon de Vries upadł na bruk w miejscu, gdzie ją zamordowano. Mamy go. Znaleźliśmy esemes rzekomo od Prinsa, zapraszający ją na spotkanie w Café Singel. On się tam nie pojawił. Sprawdziłem. I jeszcze jeden esemes rzekomo od Katji Prins. Pada w nim twoje imię...

Koeman podsunął Vosowi pod nos kartkę i wskazał kilka wersów na dole.

„Słyszysz, jak wyję, Pieter? Nie obchodzi cię to?”.

Vos usiłował coś powiedzieć.

– Jeden już taki widziałeś – ciągnął Koeman. – Niby od Anneliese. To jest tu w aktach. Tyle że w tamtym jesteście nazwany ojcem, nie Pieterem. Ilu ludzi o tym wie? Oprócz tego gnoja, który ci to wysłał?

Zbyt wiele opcji. Zbyt wiele wspomnień.

– To są wszystko fałszywki – mówił Koeman. – Sklonowane karty SIM. Połączenia przeszły przez ten sam maszt, więc to ta sama osoba z dwoma telefonami. Ktoś złowił tę kobietę jak rybę na wędkę. Musimy tu ściągnąć Wima Prinsa. Dowiedzieć się, gdzie był w nocy. Jezu...

Podrapał się po brązowym morsowym wąsie.

– Spotkałem ją kilka razy. Jak na pismaka była bardzo miła.

Vos postukał w kartkę z esemesami.

– Gdyby to był Prins... użyłby własnego nazwiska?

– Nie wiem – wypalił Koeman bez wahania. – Czy ona by przyszła na spotkanie, gdyby dostała esemes od Kaczora Donalda? Spytajmy go.

– Ty po prostu nienawidzisz polityków – powiedział Vos i tym razem go minął.

Dogonił go wysoki, wściekły głos.

– Chyba my wszyscy, prawda!?! – krzyczał Koeman.

7

Wim Prins od prawie dwudziestu pięciu lat korzystał z usług tego samego banku. Niewielka prywatna instytucja miała swą siedzibę w budynku z wieżyczkami w dzielnicy muzealnej. Funkcję opiekuna klienta pełnił tam niemal od zawsze Kees Alberts, srogi starszy wiekiem urzędnik biegły w międzynarodowych regulacjach podatkowych i możliwościach inwestycyjnych. To właśnie dzięki niemu Prins kupił willę na Arubie, ostrożnie lokując część dochodów z kancelarii prawnej, która potem zaliczyła do swoich partnerów Michiela Lindemana. Dokonał też innych inwestycji na świecie. Jeszcze jedna willa, w Grecji. Jakieś drobne nieruchomości na Florydzie. Portfel akcji powiązany z różnymi karaibskimi rajami podatkowymi.

Prins nigdy nie martwił się za bardzo pieniędzmi. Jego wartość netto, jeśli zliczyć wszystkie aktywa co do jednego, sięgała dziesięciu milionów euro. Ale większość tego zasobu była ulokowana w funduszach i nieruchomościach. Od lat potrzebował niewiele gotówki i prawdę mówiąc, nie orientował się, czy zdoła bez trudu zebrać pół miliona euro.

Alberts szybko mu wszystko wyjaśnił. Po wcześniejszym telefonie Prinsa wykonał parę obliczeń. Prins miał bezpośredni dostęp do dwustu czterdziestu tysięcy euro. Pieniądze leżały teraz na biurku bankiera w czarnej skórzanej walizce Tumi, tak jak zażądał. Czteryście euro tytułem wydatku na walizkę już odliczono od tej sumy.

– Na pewno mam więcej – Prins nie ustępował.

– O wiele więcej – przyznał Alberts. – Tylko że na zawołanie nie mogę tego zamienić w gotówkę. Proszę mi dać czas do jutra, a pewnie zdobędę sto tysięcy. W ciągu tygodnia zapewne zdążymy upłynnić milion. Większość pańskich pieniędzy jest ulokowana w nieruchomościach. Mogę panu załatwić pożyczkę pod ich zastaw. Drogą pożyczkę. Ale nie z dnia na dzień. I...

Bankier wpatrywał się w niego.

– Muszę spytać dlaczego. W dzisiejszych czasach obowiązują pewne zasady. Co do prania pieniędzy...

– Czy ja wyglądam, jakbym prał pieniądze?

– Regulaminy nie pytają, jak pan wygląda. Tylko co pan robi. I dlaczego.

Cisza.

– Więc dlaczego? – powtórzył Alberts.

– Dlatego że, jak się zdaje, ktoś porwał moją córkę. I jeśli nie dostarczę pół miliona euro – zerknął na zegarek – za godzinę, moja córka prawdopodobnie zginie. Jeśli pan chce, proszę sprawdzić na Marnixstraat. Tam wiedzą wszystko na ten temat.

Bankier pobladł.

– Sam pan pytał – dodał Prins.

– To niedobry okres, prawda? A o co chodzi z tymi artykułami w gazetach...

– Niech pan zapomni o gazetach. Jak mogę zdobyć więcej pieniędzy?

Alberts wzruszył ramionami.

– Nie może pan. Nie tutaj. Może policja wymyśli jakieś rozwiązanie. Ze znaczoneymi banknotami. Walizka z atramentem czy coś w tym rodzaju. Po to przecież są.

– Nie ma czasu. I policja nie wyświadczy mi żadnej przysługi.

– Wim, mamy dwudziesty pierwszy wiek. Nie trzymamy już pod ręką wielkich sum. Nie ma takiej potrzeby. – Postukał w walizkę. – Większość tej kwoty musiałem zdobyć z innych instytucji.

Prins czekał. Na próżno.

– Jeśli pan tego nie chce... – zaczął Alberts, sięgając po walizkę.

– To moje, prawda? – warknął Prins i wyrwał mu ją, po czym wyszedł na jasny zimny dzień.

De Nachtwacht było takim prostym planem. Obmyślał go od chwili, gdy zobaczył wielkie płótno Rembrandta w Rijksmuseum, kilka minut stąd. Grupa krzepkich amsterdamskich poczciwców gotowa wyruszyć w miasto. Werble grają. Broń w gotowości. Była i młoda dziewczyna, o jasnych oczach, złotowłosa, z zastanawiającym martwym kurczakiem przy pasku. Pewnie to jakiś symbol. Nigdy się tego nie dowiedział. Nigdy się nie zainteresował drobniejszymi szczegółami. Ten obraz przedstawiał mężczyzn, którzy chcieli sprawować kontrolę nad czymś, co miłowali. Nad miastem. Żeby stało się bezpieczne dla ich rodzin. Chcieli wydobyć światło z ciemności.

Czy to przez próżność tak upodobał sobie ten obraz? Większość swojego małżeństwa był niewierny. Potajemnie sypiał z Liesbeth. Ilu Rembrandtowskich bohaterów w tych świetnych strojach, pobożnych bogatych mieszczan, dopuściło się podobnych występków? Czy to miasto chciał oczyścić? Czy siebie?

Patrzył, jak samochody suną niespiesznie długą prostą Weteringschans. Pomiędzy nimi kluczyła taksówka. Tego ranka w sklepie z pamiątkami na Leidseplein kupił tanie okulary przeciwsłoneczne w grubych oprawkach. Gdy mercedes się zatrzymał, włożył je, a następnie wsiadł na tył, trzymając walizeczkę Tumi.

Nic nie powiedział.

– Mamy randkę czy chce pan gdzieś jechać? – spytał kierowca.

– Chcę jechać – odrzekł Prins. – Chyba wszyscy chcą gdzieś jechać?

Mężczyzna wzruszył ramionami, czekał.

Wim Prins spojrzał na swoje odbicie w lusterku. Zwyczajny mężczyzna w średnim wieku, siwe włosy, ciemne okulary, wielkie i tanie, zasłaniające większą część twarzy.

– Schiphol. – Położył sobie walizeczkę na kolanach.

Bagaż podręczny. Bagaż, dzięki któremu dotrze na koniec świata.

8

Margriet Willemsen stała przy oknie, gdy wszedł Hendriks. Odebrała wcześniej telefon od detektywa Koemana. Powiedziała mu jak najmniej. Po prostu potwierdziła to, co chyba i tak wiedział.

Alex Hendriks nie wyglądał na uradowanego.

– Ta zamordowana reporterka była tu wczoraj. Miała film, na miłość boską. Co robimy?

– Odcinamy się. – Wróciła do biurka. – Zachowujemy spokój. Mówimy im prawdę, mniej więcej. Czekamy i patrzymy, co się dzieje. To nam nie zaszkodzi, Alex. Spokojnie.

– Spokojnie? – Zaciął powieki, zastanowił się, co się teraz będzie działo. – Musimy pogadać z Prinsem. Opracować swoją wersję.

– W tej chwili Prinsa tu nie ma – odparła stanowczo. – Zostaw go mnie. Wiesz już, co się stało?

Musiał to powiedzieć.

– Zhakowano mnie. W biurze była taka dziewczyna. Stażystka z ośrodka terapeutycznego dla narkomanów. Teraz gdzieś spierdoliła. Jestem niemal pewien, że weszła na moje konto. Ona musiała to wysłać.

– Wiesz, Alex, gdybym nie miała pewności, że pobiegiesz z wrzaskiem na Marnixstraat, wyrzuciłabym cię teraz nago na ulicę.

Hendriks spojrział spode łba.

– Ale masz pewność – odparł. – A ja cię potrzebuję. Chciałem go tylko powstrzymać. Nic poza tym. Gdzie on jest, do cholery? Próbowałem dzwonić do domu. Jego żona sprawiała wrażenie... – Hendriks lubił Liesbeth Prins. Było w niej coś płomiennego i niezależnego. Nie pojmował, co ta kobieta widzi w swoim oschłym, introwertycznym mężu. – Sprawiała straszne wrażenie.

– Nie wiem, co się z nim stało – odparła Willemsen. – Kogo to obchodzi? Marnixstraat dość ma spraw na głowie. Jeśli zaczną zadawać więcej pytań, przekaż ich mnie.

– To tak nie działa! To jest policja. Mogą robić, co chcą.

Kiwnęła głową.

– A ja jestem wiceburmistrzem. Mulder jest naszym oficerem

łącznikowym do sprawy De Nachtwacht. Jeśli przyjdzie ktokolwiek z Marnixstraat, powiedz im, że muszą gadać z nim.

Hendriks potaknął. Pozostało jeszcze jedno pytanie. Nieuniknione.

– Ta reporterka...

– Zdaniem policji doszło do napadu rabunkowego, który zakończył się nieplanowanym zabójstwem – powiedziała.

– Nie sądzisz... Wim... Jezu, on był wściekły jak diabli, kiedy go stąd wyrzuciliśmy. Liesbeth mówi, że wrócił do domu dopiero w nocy. Nie wie, gdzie był. Jeśli zaczną...

– Na miłość boską, Alex, zamkniesz się!?! – krzyknęła. – To od ciebie zaczął się ten cały koszmar, prawda?

– Nie do końca – odgryzł się. – Ja tylko dorzuciłem trochę do ognia, ale on już i tak płonął.

Nie lubiła, kiedy ktoś się odszczekiwał. I bez tego nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Niesamowity zbieg okoliczności, że ktoś napadł tę kobietę kilka godzin po tym, gdy tu przysłała i śmiertelnie go nastraszyła – dodał.

Margriet Willemsen się uśmiechnęła. Uśmiechem z plakatów wyborczych. Szerokim i nieszczerym.

– Zbieg okoliczności – powiedziała. – Nic więcej. Siedzimy w tym razem, Alex. I przetrzymamy to razem. – Gestem wskazała drzwi. – A teraz już idź. I rób, co mówię. Wszystko będzie dobrze.

Już na korytarzu zawibrował jego telefon. Hendriks zerknął na ekran. Wiadomość przychodząca.

Til Stamm: „szukasz mnie?”.

O tak, pomyślał Hendriks. Miał dużo pytań.

Alex Hendriks: „Musimy się spotkać. Gdzie? Kiedy?”.

Długa cisza. Już myślał, że ona się nie odezwie. Zastanawiał się, co robi w takim wypadku. Potem...

Til Stamm: „zeedijk & stormsteeg 11.30”.

Hendriks oparł się o okno wychodzące na De Wallen. Znał miasto tak dobrze, że widział w głowie to skrzyżowanie. Dwie stare wąskie brukowane ulice przecinające się w miejscu, które nie było zaplanowane dla

nowoczesnego ruchu. Chińskie restauracje i kilka sklepów. Pub, w którym czasami bywał, Café Oost-West.

Dlaczego, u diabła, jakaś ćpunka, która włamała się na jego prywatne konto, chciała się z nim spotkać o tak wczesnej porze w Chinatown?

Alex Hendriks: „Przyjdź do biura. Nic się nie dzieje”.

Kolejna pauza. Teraz już naprawdę sądził, że dziewczyna się nie odezwie. Aż...

„dużo się dzieje, Alex. nie zauważyłeś? bądź tam”.

9

Dziewiętnastu mężczyzn i jedna kobieta w pokoju odpraw na Marnixstraat. Mulder stoi przed nimi, wydaje rozkazy, Vos i Laura Bakker siedzą w pierwszym rzędzie.

De Groot przedstawił już, co ustalono. Mulder poprowadzi operację w terenie. Vos zajmie się później wszelkimi przesłuchaniami. Takie rozwiązanie wydawało się logiczne. Vos dopiero wrócił do służby, musiałby radzić sobie z ludźmi, z którymi dawno lub wcale nie pracował. Mulder cały czas był starszym rangą oficerem, znał wszystkie najnowsze kody i powiedzonka.

Spory wygasły, zanim się na dobre zaczęły.

Vos i Bakker słuchali planu akcji. Mężczyźni w cywilu na ulicy. W biurach wychodzących na skrzyżowanie. Kilku w Café Oost-West. Radiowozy gotowe do zablokowania wszystkich dróg ucieczki. Obserwacja ze śmigłowca latającego wysoko nad miastem, nie w jednym miejscu, bo to wzbudziłoby czujność. Szybkie połączenia z pobliskimi masztami telefonii komórkowej, by wysledzić rozmowy przychodzące i wychodzące.

Wszyscy na stanowiskach kwadrans przed czasem wyznaczonym Prinsowi. Od samego Prinsa ciągle nie mieli żadnej wiadomości. Tylko jego żona czekała w recepcji na dole na informacje.

Vos usłyszał to, zamknął oczy, zanotował sobie w pamięci, by wychodzić z Bakker dla wsparcia. Gdy odprawa Muldera dobiegła końca, spytał:

– A my? Co my mamy robić?

Wysoki oficer popatrzył na niego i pokręcił głową.

– Wy czekacie tutaj – odrzekł. – Mamy zespół na miejscu. Brakuje miejsca dla nowicjuszy.

Bakker od razu zaczęła jęczeć, ale Frank de Groot szybko ją uciszył jednym krótkim słowem.

– To zespół – wyjaśnił Mulder. – Nie wiecie, jak działamy, a ja nie mam teraz czasu na prowadzenie lekcji. – Wskazał jeden z komputerów na biurku pod ścianą. – Na miejscu zainstalowaliśmy kilka tymczasowych kamer przemysłowych. Jeśli znajdziecie wolne biurko, możecie stąd śledzić akcję. My przywieziemy tu osobę, która się skontaktuje. Jeśli zdobędziemy miejsce

pobytu Katji Prins, również to załatwimy. – Zerknął na zegarek. – Za trzydzieści minut na stanowiskach. Jeśli macie jakieś pytania...

Laura Bakker podniosła rękę jak uczennica, która chce zadać pytanie.

– Tak? – spytał Mulder.

– Przywieźcie też Wima Prinsa, dobra? – poprosiła. – Żebyśmy uporządkowali jeszcze kilka rzeczy.

Mulder spojrzał na Vosa.

– Tak – rzekł tamten – ja też o to proszę.

10

Schiphol. Prins ruszył prosto do stanowiska KLM, zapłacił prawie pięć tysięcy euro za bilet w jedną stronę w klasie biznes do Oranjestad na Arubie. Samolot miał wystartować o jedenastej czterdzieści pięć. Dziewięć godzin pięćdziesiąt minut lotu z chłodnego Amsterdamu na ciepłe Karaiby. Potem taksówka do San Nicolas i dalej wynajętą łodzią dwadzieścia siedem kilometrów do Wenezueli, spokojnego rajy poza bezpośrednią jurysdykcją holenderską.

Tam umieści pieniądze w jak najbezpieczniejszym schronieniu. Będzie mógł myśleć. Czekać. Pić.

Może nawet jarać i poszukać dziwki. Wszyscy inni tak robili. Czemu nie? Nadszedł nowy czas, nowy świat.

Tylko bagaż podręczny. Na stanowisku podano mu kartę pokładową. Ze swoim paszportem biometrycznym przeszedł odprawę w trzy minuty. Nawet nie musiał patrzeć w oczy pogranicznikowi.

Lotnisko zawsze tętniło życiem, rozległy kompleks bramek i galerii handlowych, które wydawały się ciągnąć bez końca. Była tu też poczekalnia klasy biznes. Minął ją. Żeby nie spotkać nikogo znajomego. Spędził natomiast trochę czasu na oglądaniu bezpłatnej wystawy obrazów z Rijksmuseum, a potem usiadł samotnie w ustronnym barze, gdzie popijał piwo, jadł bez zapału hot doga, ścisnął podręczną walizeczkę, ani na chwilę nie zdejmując wielkich ciemnych okularów.

Minęła już jedenasta. Policja pewnie zajmowała Chinatown. Spojrzał na swój telefon. Wiadomości od Liesbeth. Pojechała już na Marnixstraat, ale o niczym więcej nie wspomniała.

„Gdzie jesteś? Dlaczego nie dzwonisz?”

Zastanowił się, po czym szybko wystukał odpowiedź:

„Wszystko w porządku. Bądź cierpliwa. Damy radę”.

Odpisała natychmiast:

„Muszę z tobą porozmawiać, Wim”.

Przecież ty ze mną nie rozmawiasz, pomyślał. Nigdy nie rozmawiałaś. Od dawna. Od ślubu. Ślub zmienił wszystko. Wcześniej, kiedy jeszcze mieli romans, zakazany, sekretny, ukradkowy, łączyła ich niewyobrażalna

namiętność. Szaleńczy ogień, który obrączka ślubna ugasiła niemal z dnia na dzień, przemieniając magię w przyziemność.

„Zadzwoń, jak będę mógł”.

Z Wenezueli. Może z wyspy Margarita. Polecieli tam kiedyś z Beą. Ona przez większość czasu była naszprycowana w trzy dupy.

Liesbeth tak się nie zachowywała. Jeszcze nie. I zadzwoni do niej. Kiedyś. Ale nieprędko.

Spojrzał na telefon. Mogą go przez to wyśledzić w dowolnej chwili. Więc go wyłączył. Wyjął baterię. Usiadł, czując się jak przestępca, modląc się o chwilę, gdy będzie mógł wejść na pokład.

11

Vos i Bakker znaleźli gabinet z komputerem, na którym mogli śledzić obraz z kamer przemysłowych Muldera. Właśnie minęła jedenasta. Na obrazie z sześciu kamer na ulicy nic się właściwie nie działo. I chyba nie było w tym nic złego. Potem Vos poprosił Bakker, by przyprowadziła Liesbeth, przyniosła dwie kawy i zostawiła ich samych.

Dwie minuty później wróciła z żałośnie wyglądającą Liesbeth Prins i dwoma kubkami kawy z najlepszej maszyny na komisariacie. Należała ona do techników, którzy rzadko pozwalali z niej korzystać komuś spoza działu. Laura Bakker, jeśli chciała, umiała być przekonująca.

Poszła poszukać jakiegoś innego biurka, z którego mogłaby śledzić przebieg akcji. Vos wyłączył monitor. Liesbeth usiadła przy oknie, nie patrzyła mu w oczy. Nie odpowiedziała, gdy spytał, czy wie, gdzie jej mąż spędził poprzedni wieczór. I gdzie jest teraz.

Po kilku pytaniach, które ledwie zauważyła, powiedziała:

– Ma pieniądze. A w każdym razie tak mówi. Czego jeszcze oczekujesz?

Delikatnie zapytał znowu o Anneliese i Katję. Gdzie mogły się poznać. Czy cokolwiek sugerowało, że chodziły do domu na Prinsen. Trudne pytania nie były mu obce. Ale żadne nie były tak osobiste i bolesne jak te, które musiał postawić w tej chwili.

– Ona miała szesnaście lat. – Liesbeth mówiła bardzo zmęczonym głosem.

– Ciebie nigdy nie było. Ja też miałam swoje życie. Myślisz, że śledziłam każdy jej krok?

– Ten dom, do którego chodziła na Prinsen, to burdel – powiedział Vos, nie odrywając od niej wzroku.

– Co takiego?

– *Privehuis*. Taki klub. Akurat w tym dziewczęta były... dość młode. Tam się szkoliły.

Nic.

– Znaleźliśmy tam jej krew. I bilet miesięczny. Na pewno Anneliese tam przebywała. Może z Katją. Bóg raczy wiedzieć z kim jeszcze...

Na chwilę mocno zacisnęła powieki, jej usta wykrzywiły się w pełnym napięcia grymasie wściekłości i bólu.

– Liesbeth... Znaleźliśmy krew Anneliese...

– Zadowolony jesteś!? – krzyknęła. – Możesz wypisać akt zgonu? Odhaczyć, że zamknąłeś sprawę?

– Nie. Nie mogę. Nie wiem, co się stało. Próbuję się dowiedzieć.

– Dlaczego zwalasz na mnie to gówno? Ja się starałam. Byłam przy niej, w przeciwieństwie do ciebie. Nie w każdej minucie. W każdej, kurwa, sekundzie. Ale byłam...

– To nie jest kwestia winy – powiedział. – Ja tego tak nie widzę. I ty chyba też nie.

Nie patrzyła na niego. Przełknęła kawę.

– A więc o co chodzi?

– O prawdę. Bo szczerze mówiąc – wzruszył ramionami – co nam zostało?

– Mówisz jak Wim. Skamlający o głosy wyborców. Gadasz łatwymi zagadkami, które nic nie znaczą...

– Jest pewna procedura... – przerwał jej.

– Jaka procedura? – syknęła.

Skrzyżował ramiona na piersi, nadal nie odrywał od niej wzroku.

– Procedura, przez którą przechodzimy przy każdej sprawie. Pobieramy próbkę DNA. Mamy DNA Anneliese, oczywiście. A teraz mamy też DNA Katji.

Oprócz łez jej oczy wypełniły się też gniewem i strachem.

– Nieważne, co mówi kropla krwi – dodał Vos. – To moja córka. Nasza córka. Pewnie... pewnie dużo pracowałem. Nocami. A jak już byłem, to dość nudny. A Wim... z tymi swoimi pieniędzmi... żoną, która go nie kochała...

Lekko przygarbiona, ściskając kubek z kawą, patrzyła na niego wściekłym wzrokiem.

– Zostałam z tobą, bo nie mogłam wyjść za niego – powiedziała. – Czy to właśnie chciałeś usłyszeć?

– Niezupełnie.

– I nigdy nic nie podejrzewałeś? Ani razu? Gdybyś mnie zapytał... gdybyś tylko zauważył, że nie ma mnie wtedy, kiedy powinnam być...

– Wtedy byś ode mnie odeszła – odparł Vos, i musiał sam sobie postawić pytanie: czy cały czas zdawał sobie z tego sprawę? Czy podświadomie

uciszał ten zaniepokojony, podejrzliwy głos ze strachu przed tym, co może usłyszeć?

– Pewnie tak.

– Czy one wiedziały, że są siostrami przyrodnimi? – spytał. – Czy Anneliese miała pojęcie, że Wim jest jej rodzonym ojcem? To mogło być ważne. Próbuję zrozumieć...

– Nie.

Czekał, a skoro milczała, spytał:

– Jesteś tego pewna?

– Tak. – Chwila ciszy. – To znaczy... ja jej nie powiedziałam. Ty nie mogłeś. Wim...

– Wiedział?

Kubek z kawą poszybował w powietrze. Nie w jego kierunku, ale na ścianę.

– Na miłość boską! Myślisz, że to łatwe? Sama nie wiedziałam. Nie chciałam wiedzieć. Mogła być twoją córką. Żałuję, że nie była. Może wówczas wszystko potoczyłoby się inaczej. Może...

– Czy to możliwe, że Bea wiedziała? – spytał. – Czy Anneliese mogła się dowiedzieć od niej?

Wzruszyła ramionami, spojrzała na niego.

– Nawet teraz nie chcesz się z tym zmierzyć, prawda? Nie wiem, co Bea myślała. Czasami się zastanawiam, czy coś podejrzewała. W tym biurze doradczym tak na mnie patrzyła...

– To ważne. Jeśli Anneliese wiedziała...

– Liese – przerwała mu ostrym tonem. – Miała na imię Liese. Nie była już dzieckiem. Liese. Nastolatka. Robiła się wścibska. I... przebiegła.

– Liese.

Nie miał pojęcia, dlaczego nigdy nie skracał jej imienia. Jakoś nie wydawało mu się to konieczne. A teraz to proste, drobne zaniedbanie świadczyło o jego winie. Nie był złym rodzicem. Tylko zaniedbującym, nieuważnym.

– Nie sądziłem...

– To prawda – przerwała mu. – Za bardzo byłeś zajęty ratowaniem innych.

Jesteś dobry w zaglądaniu w życie obcych ludzi, prawda? A nie zauważyłeś, co się działo pod twoim nosem. W twoim własnym domu.

Milczał.

– A gdybyś zauważył – dodała – i tak nie miałbyś odwagi głośno o tym powiedzieć.

Szczupłymi dłońmi dotknęła jego klatki piersiowej.

– Gdybyś coś powiedział... Gdybym zobaczyła, że cię ranię...

Na długą chwilę zapadła między nimi cisza.

– Nienawidziłam tej twojej ciągłej pracy – podjęła Liesbeth. – Czułam się przez nią mała i nieważna. Kiedy już wreszcie wracałeś do domu, zwracałeś uwagę tylko na Liese. A na mnie wcale.

– Przepraszam – wyszeptał. – Pewnie nie okazuję różnych rzeczy...

– Nie zauważałeś mnie, Pieter. Nie szukaj wymówek.

– Może masz rację. Jeśli znajdę Katję... Jeśli dzięki temu dowiemy się, co się stało z Anne... z Liese...

– Ona nie żyje – powiedziała Liesbeth Prins bezbarwnym, przygnębionym głosem. – Nie wiesz tego? Nie czujesz?

– Nie. Nie czuję.

– Musisz zobaczyć jej ciało? Nigdy stąd nie odszedłeś, prawda? W każdym razie twoja głowa nie uwolniła się od tego miejsca. Już dawno temu przestałam tego pragnąć. Nie chciałam oszaleć tak jak ty. To było za proste.

Kiwnął głową.

– Jeśli powinienem wiedzieć coś jeszcze...

– Tamtego lata nie mogłam jej upilnować. Ciebie prawie w ogóle nie było. Ona nie chodziła do szkoły. Ja pracowałam na pół etatu w waszym wydziale kryminalistyki. Ty mi to załatwiłeś, pamiętasz? Chciałam się czymś zająć. Powiedziałam, że potrzebujemy pieniędzy. – Roześmiała się. – Kłamałam. Nudziłam się po prostu. Miałam dość niańczenia niewdzięcznej nastolatki i patrzenia, jak co wieczór przychodzisz do domu wykończony, zbyt zmęczony, by do mnie usta otworzyć.

Teraz Vos sobie przypomniał. Tamtego lata pracowała na Marnixstraat. Raptem przez kilka miesięcy. Wykonywała jakąś papierkową robotę.

– Ty tego nie widziałeś – mówiła dalej – ale ona coraz bardziej szalała. Wracała późno. Nie opowiadała, gdzie była. Z kim.

– Mogłaś mi powiedzieć.

Liesbeth Prins wybuchnęła śmiechem, tak gwałtownym i nieoczekiwanym, że ten dźwięk zmroził mu krew w żyłach.

– Po co? Ty byś jej dał pieniądze, żeby poszła sobie kupić nowe ubrania. Proszę cię... – Sięgnęła do jego palców. – Tak łatwo dawałeś się naciągać. Zawsze taki byłeś. Dla niej. Dla mnie, jeśli mi się chciało prosić.

Musiła dojrzeć coś w jego twarzy.

– O Boże – powiedziała. – Znowu rozwiewam jakieś twoje złudzenia. Ile razy muszę to powiedzieć, zanim zrozumiesz? Nie byliśmy doskonałą rodziną, Pieter. Nie bylibyśmy, nawet gdybym się nie pieprzyła z Wimem. Życie tak nie wygląda. Wszystko schludne i uporządkowane...

– To prawda – odparł i odsunął dłonie.

Zagryzła wargę, zastanowiła się nad tym, co chce powiedzieć.

– Któregoś dnia widziałam ją z tą dziewczyną. Były do siebie takie podobne. Wydała mi się znajoma. Nie wiedziałam skąd. Wim i ja... zawsze dbaliśmy o dyskrecję. Nigdy nie chodziliśmy do jego domu. Naszego... teraz naszego. – Wzruszyła ramionami. – Więc poszłam za nimi. Aż do Vondelpark. Patrzyłam, jak kupują lody. Siadają. Wyglądały... pięknie, takie szczęśliwe.

Spojrzenie pełne gorzkości.

– Nagle nadeszła Bea. I też tam usiadła. Nie tak jak ja. Osoba postronna. Wróg. Ona wyglądała, jakby była jedną z nich. Jakby też była dzieckiem. Jakby należała do układu. Cokolwiek to było. Nie wiedziałam... – Jej palec zatoczył kółko w rozlanej na blacie kawie. – Nigdy nie ośmieliłam się zapytać. A kilka dni później Liese zaginęła.

– Mogłaś mi powiedzieć – powtórzył.

– Nie bądź głupi. Nie chciałam otworzyć puszek Pandory. Poza tym... Wszyscy mówiliście, że to gangsterzy się zemścili. Albo że to jakiś szaleniec. Nie miałam nic do powiedzenia. Nadal nie mam.

– Bea cię widziała?

Krótki, ponury śmiech.

– O tak. Podeszłam i przedstawiłam się. Liese nawet nie spojrzała mi w oczy. Ale Bea i owszem. Walnięta suka.

– Mogłaś mi powiedzieć.

Wpatrywała się w niego zdumiona.

– Jak? Dlaczego?

Niemal dwadzieścia wspólnie spędzonych lat. A ciągle dzieliła ich otchłań. Niewidzialne ściany, za nimi mroczne tajemnice.

– W tym domu znaleziono jej krew... w tym *privehuis*... na Prinsen. Naprzeciwko Amstelveld. Znasz to miejsce?

Pokręciła głową.

– Jej krew?

– Niewiele. Nie sądzę, żeby ją tam zabito. Ale ten dom...

– Nie śledziłam jej. Nie szpiegowałam. Ona była nastolatką. Co by to dało? Nie jestem taka jak ty. Że rozglądam się nieustannie, co by tu uporządkować. Świat się rozpadł. Nie możesz go poskładać z powrotem. Nikt nie może.

Vos nie wiedział, co powiedzieć. W sukurs przyszła mu Laura Bakker.

Weszła bez pukania, skierowała się wprost do komputera, włączyła monitor, zaczęła pisać coś na klawiaturze.

– Musisz to zobaczyć – powiedziała. – Coś się dzieje. Ja tego nie...

– Co nie? – spytał, bo zawiesiła głos.

– Nie rozumiem.

Spojrzała na Liesbeth Prins.

– Chyba musi pani stąd wyjść – rzuciła.

Ale już uruchomił się obraz z kamer monitoringu. Na skrzyżowaniu Zeedijk i Stormsteeg przemieszczały się bezładnie postaci. Przez kanał radiowy chwilami dobiegało skrzeczenie policyjnych komunikatów.

– Gdzie jest Wim? – spytała Liesbeth Prins. – Nie widzę go.

Vos zerknął na zegarek. Jedenasta dwadzieścia.

– Zostało dziesięć minut – powiedział.

– On zawsze przychodzi przed czasem, nigdy się nie spóźnia – wyszeptwała. Spojrzała na niego i dodała: – Przepraszam. Wszystko, co zrobiłam... to się po prostu stało. Ja do tego nie dążyłam. Nie chciałam tego.

– Powinna pani wyjść! – powtórzyła Bakker głośniej.

Ale oczy Liesbeth Prins nie odrywały się od ekranu.

– To ten mały człowieczek z rady. – Wskazała palcem postać przesuwaną się powoli po jezdni. – On pracuje z Wimem.

Vos nie patrzył. Zapisał coś na kartce, podał ją Bakker, poprosił, żeby sprawdziła u wywiadowców.

12

– Co on tu, do cholery, robi? – zrzędził Theo Jansen, siadając na zapleczu zakładu Maartena.

Zakład był wciąż zamknięty. Fryzjer wyglądał na zmęczonego i zgnębionego. I zdenerwowanego obecnością dwóch mężczyzn, którzy dołączyli do niego wcześniej, a teraz popijali kawę rozpuszczalną i zerkali na siebie nieufnie.

Gdy Maarten skontaktował się z Michielem Lindemanem, ten ochno przyjął zaproszenie. Niechęć z poprzedniego dnia zniknęła. Nie bez powodu. Jimmy Menzo nie żył. Ważyła się kwestia kontroli nad całym miastem.

– Przyszedł na moje zaproszenie – odrzekł Lindeman bez mrugnięcia okiem. – Ponieważ jest potrzebny.

Niski, muskularny, mniej więcej trzydziestopięcioletni, ciemnoskóry, chytre oczka. Max Robles uśmiechał się za bardzo, śmiał się za bardzo. W czasach, gdy Jansen załatwiał z Menzem różne sprawy, ten służył za pośrednika. Wiarygodny jak każdy Surinamczyk.

– Nie jestem pewien, czy cię potrzebuję – powiedział Jansen do Lindemana. – Tacy jak on...

– Jezu, Theo. Przydałaby się odrobina wdzięczności – odparł adwokat. – Jesteś zbiegłym przestępcą. Mordercą. Każdy z nas może pójść siedzieć za samo przebywanie w jednym pomieszczeniu z tobą. – Jansen pociągnął nosem, nie miał nic do powiedzenia. – Myślisz, że możesz wybrzydnąć?

– Panowie – wtrącił Maarten. – Załatwmy to na spokojnie. Mamy interesy do omówienia. Parę problemów do rozwiązania. Przyda nam się zdrowy rozsądek i zimna krew. – Zerknął na Jansena jak nigdy wcześniej. – Każdemu z nas. Jasne?

– Theo. – Robles uśmiechał się promiennie jak zwykle. Wielkie białe zęby. Wielka dłoń rozłożona na stole. – Wczoraj zastrzeliłeś mojego szefa. Jestem tu, jak prosił pan Lindeman. Czy w ten sposób nie okazuję dobrej woli?

– To ja mam wiedzieć? – odparł Jansen. I skinął głową na Maartena. – Przeszukałeś go, czy nie ma broni?

Robles wybuchnął śmiechem. Maarten też. Następnie fryzjer wyciągnął ze spodni niewielki pistolet i pokazał go zebrany.

– Co ja tu robię? – spytał Jansen. Potem słuchał.

Głównie mówił Lindeman. O potrzebie pokoju. O nagłych decyzjach biznesowych dotyczących pieniędzy i sieci zaopatrzeniowej. I że Theo Jansen może zostać nominalnym, zdalnie panującym królem Amsterdamu. Za dwa, trzy dni, gdy sytuacja się uspokoi, wsadzą go w samochód i wywiozą na południe, do Belgii. Załatwią czarter z Ostendy. Z tego samego miejsca, do którego w zeszły poniedziałek udał się Jimmy Menzo.

Potem...

– Wszędzie, gdzie zechcesz – zapewnił szybko Maarten. – Wszędzie.

Osiem procent akcji zupełnie za nic. Codzienna robota spadnie na resztki ludzi Menza pracujących pod Maxem Roblesem, a do nich dołączą wszyscy chętni żołnierze z dawnych szeregów Jansena.

– To dużo pieniędzy za siedzenie na słońcu – zauważył Jansen.

– To prawda – przyznał Robles. – Ale jakie mamy wyjście?

Nikt się nie odezwał.

– Ja ci powiem – podjął. – Nadal walczymy. Ty i ja. A potem dołączą Turcy. Serbowie. Bóg wie, kto jeszcze. Już węszą. Wywyższają się. – Trzykrotnie postukał palcem wskazującym w stół. – Powstała czarna dziura i ktoś ją musi zapełnić. Albo im pokażemy, gdzie ich miejsce, albo będzie po nas.

– Dwa dni temu próbowałeś mnie zabić – powiedział Jansen.

Śniady mężczyzna naprzeciwno kiwnął głową.

– Owszem – przyznał. – To było niemiłe, prawda? Ale przemyśl wszystko. Jimmy i Miriam nie żyją. Tak samo te dwa szczeniaki, które do ciebie strzelały. Jeśli chcemy wybaczyć i zapomnieć...

– Ktoś zamordował moją córkę – przerwał Jansen. – Nie wybaczę tego. I nie zapomnę.

– Słusznie – odparł Robles. – Ja uważam tak samo. Z ręką na sercu. – Znowu wyciągnął dłoń. – To nie my. Nie mamy z tym nic wspólnego. Jimmy z nami w ogóle się nie kontaktował, jak jeździł z Miriam do Ostendy. To był jego prywatny czas. Pewnie dowiedział się o wszystkim dopiero po powrocie.

Ręka wisiała nad stołem nieruchoma jak skała.

– Daj rękę, jeśli mi wierzysz – powiedział Robles. – Jeśli nie wierzysz, to wszyscy marnujemy czas.

Jansen ani drgnął, odparł tylko:

– Ktoś ją zabił.

– Nie my. – Z jego głosu zniknął dobry nastrój. – Dlaczego mielibyśmy ją zabijać? Jimmy chciał twojej śmierci. – Rozejrzył się wokół stołu, nagle zdenerwowany. – Posłuchaj, jak to wyglądało. On i Rosie mieli układ. Rozmawiali dwa tygodnie przed tym, kiedy ty miałeś wrócić do sądu. Gdybyś wyszedł, wyjechał i nie próbował wrócić do gry, byłoby po sprawie. Koniec z tymi bzdurami.

– Więc dlaczego próbował mnie zlikwidować? – parsknął Jansen.

A wielka ciemna dłoń ciągle wisiała nad stołem.

– Bo sądził, że nie posłuchasz – odparł Robles. – Jimmy bywał głupi. Ale w tej sprawie... myślę, że miał rację jak cholera. – Machnął ręką. – Jeśli cofnę dłoń, to już na zawsze. Obaj cierpimy. Pomyśl o tym.

Theo Jansen wstał od stołu, przysunął do niego twarz, wściekły, poczerwieniały.

– Kto zabił moją córkę?! – ryknął.

To Lindeman odezwał się pierwszy.

– Ten, kto porwał córkę Prinsa – powiedział. – To chyba oczywiste.

– Dla mnie nie – odparł Jansen. – Kto?

– Nie wiem kto! – wrzasnął Lindeman.

Tak głośno, że zaskoczył Jansena. Adwokat należał do najbardziej opanowanych, spokojnych ludzi, jakich znał. Gangster nigdy jeszcze nie słyszał, żeby podnosił głos.

– Ktoś tu ze wszystkimi pogrywa – dodał Lindeman. – Z tobą. Z Prinsem. Nie wiem... z Pieterem Vosem też. Bo dlaczego by podzucili jej ciało obok jego łodzi? Ktoś chciał go ściągnąć z powrotem do roboty...

– Rosie nie miała nic wspólnego z córką Vosa – przerwał mu Jansen. – Nikt z nas nie miał z nią nic wspólnego. – Spojrzył na Roblesa. – Prawda?

– Tak uważam – potwierdził człowiek z Paramaribo.

Lindeman westchnął, skrzyżował ramiona na piersi, czekał, aż Jansen się na nim skupi.

– Jimmy wysłał swoich chłopaków do tego *privehuis* – zauważył adwokat.
– Musiał coś wiedzieć...

– Chodziło tylko o ubezpieczenie – wtrącił Robles. – Chciał ich uciszyć i odzyskać trochę kasy z tego interesu. Od samego początku zalegał mu w opłatach. Jimmy nie bardzo interesował się *privehuis*. Z takich rzeczy jest mały dochód.

Jansen nie wyglądał na przekonanego.

– To prawda – nie ustępował Robles. – Wierz czy nie, to twój wybór.

– Prawda? – Jansen popatrzył na wszystkich trzech. – Co wiemy z Marnixstraat? Miałem tam swoich ludzi. Menzo też musiał mieć. Z tego co wiem, nawet tych samych...

– Starają się jak my wszyscy – odparł ostrożnie Lindeman. – Wygląda na to, że Prins jest o coś podejrzany. Nie wiem o co.

– Wim Prins? – spytał Jansen. – Pan Proper? Twój dawny partner?

– Czasami człowiekowi się wydaje, że kogoś zna – odparł Lindeman ze wzruszeniem ramion – a okazuje się, że nie.

Jansen coś burknął, wyciągnął rękę i uściśnął dłoń wiszącą nad stołem.

– Dowiedz mi się, kto zabił Rosie – powiedział – a będziesz miał wszystko, czego chcesz. Weźcie te osiem procent. Podzielcie się, wszystko mi jedno zresztą.

Tamci spojrzeli z zainteresowaniem.

– Podzwonię trochę – zaproponował Robles. – Pogadam z ludźmi.

– Zrób to. – Jansen wskazał na fryzjera. – Maarten mnie znajdzie, gdy się czegoś dowiesz.

Wyszedł. Znów miał ochotę na piwo. Zerknął na zegarek. Za minutę wpół do dwunastej. Za rogiem był bar, cichy i dyskretny.

Podszedł do drzwi. Na ulicy dostrzegł dwóch policjantów w mundurach. Jeden z nich patrzył w jego kierunku.

Theo Jansen przeszedł na drugą stronę i ruszył w stronę przejścia prowadzącego do Begijnhof. Poczł się obcy w swoim mieście, a to była nowość.

13

Klaas Mulder siedział w niemal pustej Café Oost-West, mieszając cukier w gęstym podwójnym espresso. Zadowolony z rozmieszczenia swoich ludzi. Mniej zadowolony z obecności Koemana, który nigdy nie nauczył się okazywać szacunek przełożonym.

– Co będzie dalej? – spytał Koeman. – Jak zwiniemy tego kogoś, kto się zjawi po pieniądze? To nam pomoże uwolnić tę biedną dziewczynę?

– Biedna dziewczyna już dawno powinna siedzieć – odwarknął Mulder. – Nie mamy do czynienia z grzecznym dzieckiem.

Koeman pociągnął się za wąs.

– Wybacz. Nie bardzo rozumiem, co ma jedno z drugim wspólnego.

Mulder podszedł do okna, rozejrzał się po brukowanym skrzyżowaniu.

– I gdzie jest Prins, do cholery? – spytał Koeman. Zerknął na zegarek. – Ma pięć minut, żeby się pojawić. Gdyby chodziło o moją córkę...

– Nie chodzi – przerwał mu Mulder. Przyglądał się drobnemu mężczyźnie w średnim wieku ubranemu w elegancką brązową marynarkę, który stał przed chińską restauracją naprzeciwko. – Kto to jest, u diabła? Zrób mu zdjęcie. Wyślij do wywiadu.

Koeman podszedł do okna.

– Alex Hendriks. Grubsza ryba w radzie miasta. Kieruje sekretariatem czy coś. Widziałem go w gazecie dzisiaj rano. Zanim tam zadzwoniłem. Pracuje bezpośrednio pod Prinsem. Przepraszam: pracował.

– Skąd to wiesz?

Koeman zrelacjonował wszystko. W gazecie Anny de Vries powiedzieli mu, że była w radzie i rozmawiała z Prinsem po południu przed swoją śmiercią.

– To polityk – zauważył Mulder. – Prasa w kółko z nim rozmawia. Tamto to był napad. Zajmiemy się zmarłymi, gdy pozbędziemy się żywych.

Detektyw się zjeżył. Wyjął notatnik i przeczytał na głos esemesy z telefonu de Vries.

– Dlaczego ja o tym nic nie wiem? – spytał Mulder.

Koeman pogroził mu palcem.

– Bo zajmowałeś się organizowaniem zespołu do przechwycenia

porywacza? – podsunął.

– Któregoś dnia przegniesz, zobaczysz...

– Nie mogę się doczekać. – Koeman zerknął na zegarek, wyjrzał na ulicę.

– Punkt jedenasta trzydzieści. Ani śladu Pana Propera. Jest tylko ten Hendriks. Może powinniśmy go zwinąć. Może...

Urwał.

– Co to ma być, do cholery? – spytał Mulder, patrząc w głąb Zeedijk.

14

Kontrola bezpieczeństwa na Schiphol odbywała się niedaleko bramki. Prins podszedł, położył na tacy telefon i pasek, a potem dla pewności dołożył jeszcze swoje czarne buty. Kobieta przy skanerze postukała w tumi.

– Laptop?

– Nie mam laptopa.

– Żadnych płynów. Żadnych ostrych przedmiotów. Żadnych...

Włożył okulary i uśmiechnął się do niej.

– Jestem naprawdę bardzo nudny – powiedział i patrzył, jak walizka przesuwana się przez skaner. Potem przeszedł przez bramkę, nie budząc alarmu, wziął tumi i ruszył dalej.

Przed nim bramka KLM. Do klasy biznes nie stała kolejka.

Spojrzał na widoczny w głębi niebiesko-biały samolot. Jedną z ich najstarszych maszyn MD11. Podał do sprawdzenia kartę pokładową, wszedł do środka.

Z przodu trzy rzędy siedzeń. On dostał miejsce po lewej stronie pod oknem. Większość części biznes była pusta.

Pojawił się kieliszek szampana, dyskretny uśmiech stewardesy.

Wszystko dokoła było intensywnie niebieskie. Ten kolor w połączeniu z alkoholem przyprawił go o ból głowy.

Ale i tak wypił szampana. Czekał w nadziei. Wreszcie usłyszał dźwięk zamykających się drzwi, poczuł drganie maszyny.

A potem wyjrzał przez okno i patrzył, jak maszyna powoli kołuje w stronę pasa startowego.

15

Na ulicy pięć diabłów: czarny, czerwony, pomarańczowy, niebieski i jaskrawozielony, kręciło ogonami, udając, że dźga widłami przechodzących ludzi.

Najwyższy był uczerniony od stóp do głów, miał długie rogi kozła i sprawiał wrażenie niemal nagiego. Niósł wielki magnetofon na ramieniu, brykając jak cała reszta do ogłuszającej piosenki pop.

Zęby miał pomalowane na czerwono, dużo się uśmiechał. Wszyscy zresztą dużo się uśmiechali.

Czerwone zęby. Krzykliwe stroje. Aroganckie zachowanie.

Koeman wyteżał pamięć. Już kiedyś widział tę trupe.

– Jeszcze tego nam trzeba – utyskiwał Mulder.

Najniższy, świetnie widoczny w krzykliwym szkarłacie, gonił za jednym ze zwyczajnych ludzi, trajkocząc jak szalony, dźgając widłami i wydając małpie odgłosy na tyle donośne, że dotarły do kawiarni.

Piosenkę dało się już rozpoznać.

Stevie Wonder. Pogodny utwór, niepasujący do dziwnego, nieco złowieszczego przedstawienia na ulicy.

Muzyka dotarła do nich głośno i czytelnie, gdy pięć demonów zatańczyło do refrenu.

– *Happy birthday* – płynęło nad brukiem skrzyżowania Zeedijk i Stormsteeg.

– Wszystkiego najlepszego? – wyszeptał Koeman. – Co, do kurwy...

Mulder rozmawiał przez telefon szyfrujący. Koeman spojrzął na zegarek. Za dwadzieścia pięć dwunasta. Trudno było sobie wyobrazić, że dawny prawnik, a obecny polityk spóźnia się na przekazanie okupu za własną córkę.

Jeszcze trudniej było sobie wyobrazić, że porywacz dobija targu w obecności tych pajaców.

Za dużo tu zbiegów okoliczności.

– On nie przyjdzie – powiedział do siebie Koeman. – W ogóle nie zamierzał przyjść.

Co prawda Mulder wcale go nie słuchał. Nadinspektor wrzeszczał do telefonu, próbując kogoś wychować. Zdaje się, że Vosa. I nie udawało mu

się.

Koeman podszedł, czekał na pauzę w gorącej jednostronnej rozmowie i powiedział:

– Mulder, on nie przyjdzie.

Banda diabłów nadciągała, rozglądając się po ulicach. Wysoki czarny wyciągnął skądś kartkę.

Koeman rozpoznał teraz jego twarz. Należał do grupy ulicznych artystów z komuny anarchistycznej. Lubili paradować po mieście, dając szybkie uliczne pokazy, a potem sępiąc od turystów, którzy okazali się na tyle głupi, że przy nich przystanęli.

– On nie...

– Wiem... – zaczął Mulder.

Nagle rozległ się donośny krzyk, z napiętym, obcym akcentem:

– Prins! Och, Wim! Wszystkiego najlepszego, Wim! – Muzyka zagrała głośniejsze. Zaczęli znowu wirować, wymachując rękoma i klaszcząc do rytmu.
– Wszystkiego najlepszego.

Koeman nie pojmował, o co chodzi. Nie mieściło mu się to w głowie.

Wim Prins nie przyszedł. Tylko facet z rady miasta, Alex Hendriks, szwendał się jak zagubiony głupiec.

– Pieprzyć to – powiedział Koeman. – Idę po niego.

Nie czekał, żeby poznać zdanie Muldera. Tylko wyszedł bez wahania na ruchliwą ulicę.

Ludzie gapili się na diabły wrzeszczące piskliwym falsetem:

– Wim! Wim! Gdzie jesteś? Och, Wim...

Mulder wypadł tuż za nim. Odwołał ludzi z pobliskich sklepów i biur. Wszystko od początku poszło fatalnie. Nie miało być przekazania okupu. Z Prinsem czy bez Prinsa. Zostali wystawieni.

Policjanci otoczyli artystów. Jeden z nich chwycił magnetofon i wyłączył muzykę. Do diabłów zaczęło docierać, co się dzieje. Amsterdam był tolerancyjnym, wyluzowanym miastem. Zazwyczaj mogli się tym wyłgać i sprawa kończyła się na pouczeniu.

Nie tym razem.

Koeman już rozpracował to sobie w głowie. Ktoś zapłacił tej trupie, by tu

przyszła. Powiedział im, że niejaki Wim Prins ma urodziny. Że gdzieś na tym rogu będzie czekał na niespodziankę.

Nie wysledzą tego kogoś, kto złożył zamówienie. Pewnie zapłacili gotówką. Nawet jeśli roztańczone diabły znają jego tożsamość, nie zdradzą jej policji. Stanowili osobne plemię, żyli z dala od sił porządkowych, od reszty miasta. Inne stworzenia na innej planecie.

Jedyną ich zdobyczą był więc Alex Hendriks, stateczny urzędnik miejski w średnim wieku stojący na rogu Zeedijk i Stormsteeg, pogubiony i zmieszany. I co najmniej lekko przestraszony.

Zdecydowanie przestraszony, gdy żwawym krokiem podszedł do niego Koeman, pokazał legitymację i się przedstawił.

Koeman uśmiechnął się, wskazał grupę diabłów.

– Jak ci się podoba przedstawienie, Aleksie?

– Ja tylko przechodziłem...

– Nie mów tego! – Koeman przysunął dłoń do twarzy mężczyzny. – Nie mów: „Ja tylko przechodziłem”. Nie. To skończona bezczelność.

Detektyw obejrzał się na kawiarnię i mrugnął okiem.

– Siedzimy tam od piętnastu minut. Z czego od dziesięciu obserwujemy cię, jak stoisz tu gotów złać się w gacie.

Nadjechała policyjna furgonetka, błyskając światłami, wyjąc syreną. Diabły wchodziły do środka, gorąco przy tym protestując.

– Muszę wracać do pracy – powiedział Hendriks, usiłując zebrać się na odwagę.

– Pański były szef miał tu być – mówił Koeman. – Punktualnie o jedenastej trzydzieści. Miał przekazać pół miliona euro okupu za swoją córkę. – Uśmiech. – Nie pojawił się. A pan tak. Razem z bandą tańczących diabłów wykrzykujących jego nazwisko.

Koeman schował legitymację, rozejrzał się po wąskich ulicach.

– Czy ja wyglądam na człowieka, który wierzy w zbiegi okoliczności? Czy, kurwa, na idiotę po prostu?

Teraz Hendriks zadygotał.

– Jedziemy na Marnixstraat – oznajmił policjant. – Na długą i pasjonującą pogawędkę. Pytanie tylko, czy...

Ściągnął brwi, wyjął kajdanki i zakołysał nimi na palcu wskazującym prawej ręki.

– Jedzie pan po dobroci? Czy mam pana skuć?

16

Na Arubie będzie ciepło i słonecznie. Wyobrażał sobie półgodzinną jazdę na wybrzeże. Targowanie się z rybakami o wynajęcie łodzi do Wenezueli. To go będzie kosztowało co najmniej tysiąc euro. A jeśli wybierze niewłaściwego człowieka...

Odruchowo sięgnął do walizeczki wciśniętej do luku bagażowego przy oknie. To było wszystko, co teraz miał. Wszystko, co stało pomiędzy nim a zapomnieniem.

– Proszę pana?

Stewardesa klasy biznes była śliczną młodą kobietą, kręcone włosy miała schowane pod niebieską czapkę. Pochyliła się nad nim z z troskaniem, by wziąć kieliszek. Prins się rozejrzał. Oprócz niego tylko jeden pasażer, i to na drugim końcu. Najbliższe dziewięć i pół godziny upłynie mu w spokoju. Może się prześpi. Jeśli tak, to z walizką pod nogami.

– Muszę zabrać pański kieliszek na czas startu.

Prins jednym łykiem dopił szampana i podał jej puste szkło. Znowu rozejrzał się po kabinie. Chciało mu się śmiać. Takie właśnie życie wiódł w rozległych biurach nieopodal Opera House. Pod kloszem. Chronione przed światem zewnętrznym. Podobnie jak wcześniej w kancelarii prawnej, nawet jeśli Michiel Lindeman lawirował między policją a półświatkiem. Nigdy nie zetknął się z niczym z zewnątrz. Ani z nikim.

Wyjrzał przez okno na płaskie pola ciągnące się po niski szary horyzont. Ta dwuwymiarowa kraina zawsze go ograniczała, więziła, trzymała mocno. Czy to dziwne, że zapragnął z niej uciec? Czy wznosząc się w powietrze, odetnie się od bezkresnej przeszłości niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki?

Picie nie należało do jego przywar. Ale przez kilka najbliższych godzin...

Samolot ciągle jechał. Przed nim kolejka innych. Wreszcie ostatni z nich wystartował. Prins zacisnął mocniej pas. I znowu pomacał walizkę.

Naprzeciwko siedziała przypięta stewardesa. Spojrzał na nią. Ona się uśmiechnęła. Nagle zadzwonił telefon wiszący obok niej. Odebrała, zerknęła na niego przelotnie, odpięła pas, wstała i przeszła do kokpitu.

Prins wyjrzał przez okno. W polu widzenia pojawił się kolejny samolot.

Podjechał do końca pasa. Obrócił się. Ruszył z hukiem po asfalcie.

Stewardesa nie wracała. Samolot stał nieruchomo. Prins zerknął na zegarek. Prawie południe. Ciekawe, co się wydarzyło na brukowanym skrzyżowaniu Zeedijk i Stormsteeg. Wiedział, że już nigdy nie zobaczy tej brudnej ulicy w Chinatown. Ani w ogóle Amsterdamu.

Nagle odgłos się zmienił. Silniki zmniejszyły obroty. Wyjrzał przez okno. Volvo kombi, białe z niebiesko-czerwonymi oznaczeniami policji, wjechało na pas startowy przed samolotem. Za nim podążało kilka pojazdów lotniskowych. I jeszcze dojrzał długie schody, takie, których się używa, gdy nie ma rękawa.

Pojawiła się młoda kobieta w niebieskim mundurze. Spojrzała na niego. Z zakłopotaniem.

– Panie Prins. Jest pewien problem...

– Proszę się nie przejmować – odparł, odpinając pas i sięgając po walizeczkę. Uśmiechał się do niej. Była nadzwyczajnie śliczna i nie podobał mu się pomysł, że popsuje jej dzień.

Tylne drzwi białego volvo właśnie się otwierały. Wiedział, kogo zobaczy. Pietera Vosa. Człowieka, który nigdy nie odpuszczał. Vos wysiadł w swoim pomiętym granatowym płaszczu, odgarnął za długie brązowe włosy, podniósł wzrok na samolot. Wzrok jasny, przenikliwy, czujny. I osobliwie młody, jakby czas dla Vosa stanął w chwili, gdy zaginęła jego córka. Człowiek, który od razu wiedział, czego chce. Potem pojawiła się wysoka szczupła kobieta z rudymi włosami rozpuszczonymi na wietrze, trzepoczącymi dokoła niej w podmuchu od kolejnego odrzutowca, który właśnie zaczął tarabanić się pasem startowym, gotów unieść się i uwolnić od bezwzględnej grawitacji. Uciec.

Uciec.

Niczego więcej nie pragnął. Chwili spokoju. Odrobiny oddalenia od zachłannego, parszywego świata.

Wstał. Otrzeptał ubranie. Wsunął walizkę pod ramię. Podążył do drzwi za stewardesą. Czekał i patrzył, jak odblokowuje długi uchwyt pod lukiem.

Wreszcie go uwolniła, pchnęła drzwi szczupłym ramieniem, wpuściła do kabiny ostre dzienne światło Schiphol wraz z lodowatym powiewem.

Schody jeszcze nie podjechały. Zza wyciągniętego ramienia stewardesy widział teraz wszystko. Pola i asfalt. Samoloty i maleńkie postaci zbierające się w dole. Żeby zabrać go z powrotem do miasta. Do Marnixstraat i do tych wszystkich pytań, które się nigdy nie skończą.

Kobieta blokowała mu drogę ramieniem. Ale nie patrzyła. Nie musiała.

Prins po prostu odepchnął ją na bok, przeszedł, stanął na progu samolotu, spojrzał w dół i wstrzymał oddech.

Szary pas startowy, rosnąca w pęknięciach trawa. Do ziemi jakieś piętnaście metrów. Pomyślał, że tyle wystarczy, i wyskoczył, otwierając przy tym walizeczkę, wykręcając się tak, by lecieć głową naprzód, w milczeniu, z zamkniętymi oczami, spowity w całun szybujących banknotów.

Ucieczka. Szybka i łatwa, bez powrotu.

Składanie zeznań Jaap Zeeger zakończył tuż po jedenastej trzydzieści. Czekał chwilę. Stwierdził, że nikt nie jest za bardzo nim zainteresowany. Marnixstraat miało chyba lepsze rzeczy do roboty.

Na dworze wciągnął tanią wiatrówkę, przeszedł na drugą stronę ulicy, ruszył w stronę Prinsengracht. Było zimno, zapowiadało się na deszcz. Jakaś kawa. Coś do jedzenia. Może wpadnie do Żółtego Domu i robi malowanie, tak jak obiecał. A o czwartej zaczyna ostatnią zmianę jako kurier.

Mnóstwo roboty. Żeby ją wykonać, nie potrzebował już ani prochów, ani wody, ani papierosów.

Świadomy i czysty.

To właśnie obiecała mu Barbara Jewell. I to właśnie osiągnęli.

Ta część miasta była taka zwyczajna. Taka spokojna. Taka... normalna. Wzdłuż Elandsgracht ludzie wyprowadzali pieski, sprząтали po nich. Inni robili zakupy, czasami trafiał się turysta. Ludzie kupowali zdrowy chleb i ekologiczne mięso od atestowanego rzeźnika. De Wallen było zupełnie inne. Zeeger powiedział sobie, że pewnego dnia przeprowadzi się na Jordaan. Poszuka pracy w pełnym wymiarze. Ustatkuje się. Może znajdzie sobie dziewczynę. Może nawet żonę. Zacznie prowadzić życie, z którego kiedyś szydził. Pozbawione niepewności i widma przemocy.

Minął coffee shop, zmarszczył nos, czując woń skrętów nadpływającą od szumowin przygarbionych na ławce na zewnątrz. Przed sobą widział pomnik Johnny'ego Jordana i jego kapeli. Most. Droga wracała do centrum. Miał trochę czasu do zmitrężenia. Trochę czasu do myślenia.

– Ej, Jaap! – zawołał go ktoś.

Szedł dalej.

Jeden z pasożytów jarających przed coffee shopem wyglądał znajomo. Nie z nazwiska. Tylko z opinii.

Przyspieszył kroku. Kanał. Łodzie. Ten policjant Vos gdzieś tu mieszkał w pobliżu. To też wiedział.

– Ej...

Czyjaś ręka na jego ramieniu. Silna i pewna. Żałosna, brodata twarz, pociemniała od brudu i dymu. Zagubione oczy. Czarne i wrogie.

On też tak kiedyś wyglądał. Zanim ocalił go Żółty Dom.

– Pamiętasz mnie? – spytał włóczęga. Kumpel stał już koło niego. Też wielki. W pobliżu żadnych glin. Tylko zwyczajni ludzie, a ci wiedzą, że lepiej nie przystawać, nie zwracać uwagi.

– Chyba mnie z kimś pomyliłeś – odparł Zeeger. – Przykro mi...

Ten drugi rozmawiał przez telefon.

– Telefon do ciebie – powiedział pierwszy, przysuwając się bliżej. Objął chude ramiona Zeegera. – Ktoś chce z tobą pogadać.

Próbował się wyrwać. Mamrotał coś, przestraszył się, pogubił.

Tak jak kiedyś. Już nie czuł się świadomy i czysty.

Zrobił więc coś głupiego, po staremu. Kopnął tamtego w goleń, ruszył biegiem w stronę mostu i niewielkiego baru na rogu.

Uciekł najwyżej cztery kroki, nim go dopadli. Prochy nie każdego spowalniały. Ani uspokajały. Poczul kilka kopniaków w nogi, powaliły go na ziemię, i kolejne w brzuch, te go uciszyły.

Ktoś gdzieś krzyczał. O wezwaniu policji. Ale z tego, co Zeeger słyszał na Marnixstraat, ostatnim ich zmartwieniem byłby nawrócony ćpun kopany przez dwóch czynnych ćpunów w cieniu pomnika Johnny'ego Jordaana na Elandsgracht.

Przykucnął, próbował się zwinąć w kłębek, bełkotał coś żałośnie.

– Chcą z nim gadać, tępaku – powiedział ten drugi. – Zostaw gnojowi trochę zębów.

– Dobra...

Buty się zatrzymały. Ucieczka nie miała sensu. Nic nie miało sensu, poza czekaniem.

Jaapowi Zeegerowi przez większość życia mówiono, co ma robić, co ma myśleć, co czuć. Jeśli to nie były pachołki Jansena wciskające mu prochy do gardła, to Barbara Jewell mówiąca cierpliwie, bez końca, próbująca rozwikłać ten bajzel, w który zamieniło się jego życie.

Tak już było. I nigdy się to nie zmieni.

Kilka chwil później podjechał czarny mercedes. Wsiadło z niego dwóch wysokich mężczyzn w garniturach i ciemnych okularach. Pogadali z ćpunami. Dali im trochę kasy i kazali spadać.

Jeden z nich chwycił Zeegera za kołnierz i podniósł z ziemi.

Znowu jakaś znana mu twarz. Albo od Jansena, albo od Menza, nie był pewien.

– Ktoś chce odświeżyć znajomość, Jaap – powiedział miłym tonem. –
Wsiadaj do wozu, dobra? To tylko grzeczność.

Zeeger zebrał się, otarł krew z ust. Obmacał ciało. Żebra w całości.
W sumie żadnych poważnych obrażeń. Bywało gorzej.

Podszedł do mercedesa, wsiadł.

18

Krew na asfalcie. Lawendowe banknoty latające wokół odrzutowca jak liście uwięzione w egzotycznej zamieci. Samochody na sygnale. Policja i pogotowie. Prins na noszach, wokół niego ratownicy w szaleńczym pośpiechu.

Vos podążył za nimi do najbliższej karetki, Bakker tuż za nim.

Czterech ratowników uwijało się przy rannym. Przewody. Monitory. Strzykawki.

Nie oddychał. Głowa w strasznym stanie. Ramię wykręcone, krew sącząca się przez koszulę.

Vos znalazł lukę pomiędzy dwoma mężczyznami pracującymi po prawej, pochylił się, próbował zbliżyć ucho.

– Mów do mnie, Wim. Na miłość boską...

Ranny miał otwarte oczy, nieobecne, pełne strachu, zdezorientowane.

– Mów do mnie – powtórzył Vos, tym razem głośniej. – Twoje dziecko zniknęło. Mojego nie ma. – Zacisnął palce na rękawie Prinsa. – Mów...

Karetką ruszyła. Opuszczali pas startowy. Laura Bakker rozłożyła maleńkie siedzenie wbudowane w tylne drzwi, usiadła na nim ze skrzyżowanymi na piersi rękoma, z kamienną twarzą.

– Vos... – odezwała się.

Nie słuchał. Siedział przy noszach, a ratownicy zaczęli się wymądrzać.

– Musi się pan odsunąć – powiedział najbliższy.

Vos wyjął legitymację służbową.

– Jestem policjantem. Ten człowiek jest podejrzany o porwanie. O morderstwo. Nie wiem...

– Nie wie pan? – Ratownik odepchnął go. – Bardzo ciekawe. Proszę...

– Pieter! – krzyknęła Bakker.

Na monitorze pojawiły się płaskie linie. Oczy Prinsa zrobiły się martwe. Długi jednostajny dźwięk. Jeden z ratowników zaklął, zawołał o defibrylator. Bakker wyciągnęła rękę, złapała Vosa za ramię, bo wciąż wymachiwał, odciągnęła go od noszy. Trzymała go nadal, gdy panikował, aż wreszcie stwierdziła:

– On umarł. Nie widzisz...?

– Nie. – Vos próbował się jej wyrwać, ale niezbyt silnie. – Niemożliwe...

– Wyskoczył z samolotu, do cholery! – krzyknęła. – Widziałeś to. Co ty sobie myślisz, u diabła?!

Ratownik podszedł do nich, pochylił się i rzekł:

– Jeśli się nie zamkniecie, zatrzymam karetkę i wyrzucę was na drogę.

Inny kazał się cofnąć. Nagły podrzut, trzask. Naga klatka piersiowa Prinsa podskoczyła od wstrząsu.

Ciągle jednostajne buczenie. Płaska linia.

– On nie żyje – powiedziała Bakker. – Wiem, jak to wygląda. Ty też wiesz.

Kłótniwy ratownik robił coś przy stole, już na nich nie patrzył.

– On nie żyje – powtórzyła. – To nie twoja wina. Nic już nie możemy zrobić.

– Powiniennem podać jego nazwisko kontroli granicznej, gdy tylko Zeeger wszedł na komisariat.

– Jakim cudem, skoro de Groot nie pozwalał ci go doprowadzić?

– Nie czekać na rozmowę z Liesbeth. Nie...

Coś w jej twarzy uciszyło daremną wściekłość.

– Nie oglądaj się za siebie – powiedziała Laura Bakker bezbarwnym, stanowczym głosem mieszkanki Północy. – Nigdy się nie oglądaj. On nie żyje i koniec. Zaczynaj myśleć, dobra? Co mamy teraz robić, do cholery?

Nigdy nie pytał, co się stało z jej rodzicami w Dokkum. De Groot mówił, że widziała ich po wypadku samochodowym. Zadawanie pytań wydawało się krępującym nadużyciem. A jednak on bez wahania obarczył ją całą swoją udręczoną historią.

– To wszystko? – spytał Vos.

Zmarszczyła nos.

– A co jeszcze?

Dwadzieścia minut trwała droga do szpitala. Ratownicy nie ustawali w wysiłkach. Faszrowali mężczyznę na noszach medykamentami. Od czasu do czasu podejmowali ponowną próbę z defibrylatorem.

W końcu dotarli na miejsce. Drzwi się otworzyły. Jasne południowe słońce wlało się do karetki, na krew i rozrzucone ampułki, na wyczerpanych

ratowników zgromadzonych wokół trupa.

Jeden z nich naciągał prześcieradło na ciało Prinsa.

– Przykro mi – powiedział ten stojący najbliżej policjantów i zaczął porządkować kable i strzykawki. Ruchem głowy wskazał Bakker. – Pani miała rację. Po takim upadku on nie miał praktycznie szans.

Rzut oka na poplamiony, zakrwawiony strój. Wzruszenie ramion.

– Ale trzeba próbować.

19

Nie trzymali Hendriksa długo na Marnixstraat. Mieli coś lepszego do roboty, gdy napłynęły wieści z Schiphol. Po powrocie do pracy poszedł prosto do gabinetu Margriet Willemsen. Zaczekał, aż powoli podniesie głowę znad leżących przed nią papierów.

– Prins nie żyje – powiedział.

Nic.

– Słyszałaś?

Głos mu się załamywał.

– Dzwonili – odparła. – Wiesz, co się stało?

W skrócie. Prins nie pojawił się na przekazaniu okupu, w tym czasie próbował uciec z kraju. Kiedy samolot zatrzymano na pasie, on rzucił się z niego.

– Coś ty tam robił, do cholery? – spytała.

– Dostałem esemes. Od Til Stamm. Podejrzewam, że to ona włamała mi się na konto. Ukradła nagranie. Napisała, że spotka się tam ze mną...

Willemsen zastanowiła się nad jego słowami.

– Powiedziałeś o tym policji?

Pokręcił głową.

– Oczywiście, że nie. Ale oni do tego wrócą.

Odłożyła długopis, odsunęła leżące na biurku papiery. Podeszła do okna i tam została. Mniej więcej jak Prins poprzedniego dnia, kiedy wszyscy spiskowali za jego plecami, chcąc go obalić.

– Niech no to podsumuję – odezwała się. – Jakaś stażystka przeglądała twoje pliki i skopiowała nagranie?

– Na to wygląda – przyznał Hendriks.

– I gdzie się chciała z tobą spotkać?

– W Chinatown. W tym samym czasie, gdy Prins miał przekazać porywaczom okup za swoją córkę.

Willemsen rzadko wyglądała na zagubioną. Ale w tym momencie...

– Muszę wyjaśnić to z Marnixstraat – powiedział Hendriks. – To się wymknęło spod kontroli. Jeśli chcesz, złożę rezygnację. Wiem, że nie powinienem był w ogóle was szpiegować. Ale chciałem powstrzymać te

idiotyczne absurdy z De Nachtwacht...

– Nie bądź takim kretynem! – krzyknęła na niego.

Hendriks się zachnął.

– Wim nie żyje – powiedział. – Jego córki ciągle nie odnaleziono. Til Stamm musi coś wiedzieć...

– Nie masz pojęcia, kto przysłał te esemesy – przerwała mu. – Jezu, Alex. Ty naprawdę tego nie ogarniasz, co?

– Całkiem się w tym pogubiliśmy. Giną ludzie. Wim. Ta reporterka. Policja myśli, że ją też zabił. Że miał coś wspólnego z zaginięciem swojej córki. Ja nie chcę w tym brać udziału. Tu chodzi o moją głowę...

Wróciła do biurka, usiadła, wbiła w niego wzrok tak, że się zamknął.

– Nie chodzi tylko o twoją głowę, prawda?

– Nie możemy tego zatuszować, Margriet...

– Oczywiście, że możemy. Wim nie żyje. Należy to pochować razem z nim w jednym grobie.

Roześmiał się i zaraz pożałował, że to zrobił.

– To śmieszne. Musimy im powiedzieć...

– Zrób to, a urwę ci łeb przy samej dupie – warknęła. – Można ci postawić zarzuty za zainstalowanie kamery w mojej sypialni. Nie tylko stracisz pracę. Skończysz w więzieniu. Zrujnowany. – Rozejrzała się po biurze, wyrzała za okno, na dachy De Wallen. – Jeśli ja stracę to wszystko, ty stracisz o wiele więcej...

– Katji Prins ciągle nie odnaleziono, na miłość boską! A jeśli wiemy coś, co mogłoby pomóc w jej odnalezieniu?

– Na przykład co? – spytała. – No, słucham, co?

Wahał się. Til Stamm знаła Katję. Policja tak twierdziła. Til Stamm – czy ktoś, kto użył jej tożsamości – ściągnęła go na skrzyżowanie w Chinatown, gdzie Prins miał przekazać okup porywaczowi. Tylko że w tym czasie Wim siedział w samolocie na Schiphol, zamierzając uciec z kraju.

– Wiesz, co myślę? – odezwała się z cieniem uśmiechu. – Myślę, że policja ma rację. To była sprawka Wima. On oszukiwał nas wszystkich. Nigdy się za bardzo nie martwił o swoją córkę, prawda? Sam widziałeś. Myślę... – Zapisała coś. – To nasze stanowisko. Nie osądzamy. Jesteśmy

tylko... zdumieni.

– Zdumieni? – powtórzył.

– Właśnie. I zamykamy sprawę tu i teraz. Musimy...

– Jeśli powiesz „robić swoje”, to chyba zacznę krzyczeć.

Margriet Willemsen roześmiała się.

– Musimy robić swoje – dokończyła.

Gabinet Franka de Groota na ostatnim piętrze. Za oknem gasnący dzień. Nadciągający wiosenny deszcz. Vos, Mulder, Bakker i Koeman analizowali najnowsze notatki na temat sprawy.

Poszukiwania Thea Jansena nie przynosiły rezultatów. Mulder nie odnotował też żadnych postępów w poszukiwaniu zabójcy Rosie Jansen. Policjantka spisała zeznanie Liesbeth Prins. Nie miała pojęcia, gdzie jej mąż spędził ostatni wieczór. Nie dostrzegła niczego, co by sugerowało, że porwanie jest prawdziwe. Prins przez cały czas zachowywał wstrzemięźliwość i spokój w sprawie zniknięcia Katji, co zauważyli również jego współpracownicy.

Członków trupy, którzy pojawili się w Chinatown przebrani za diabły, wypuszczono. Poprzedniego dnia ktoś wsunął im kopertę pod drzwi. W środku znajdowało się pięćset euro. I obietnica kolejnych pięciuset, jeśli pojawią się na skrzyżowaniu Zeedijk i Stormsteeg o jedenastej trzydzieści następnego dnia. Urodzinowa niespodzianka. Trudno było się ich pozbyć z komisariatu. Chcieli wiedzieć, kiedy dostaną resztę pieniędzy.

– Gdyby to Prins stał za zniknięciem Katji – powiedziała Bakker – na pewno odgrywałby zdruzgotanego ojca. Nie sądzicie?

– Ten człowiek to zimna ryba – odparł de Groot. – Nawet gdyby chciał, nie odegrałby takiej komedii. Musimy w pierwszej kolejności przeanalizować ten wariant. – Patrzył na Vosa. – Ty też tak uważasz, prawda?

– Na to wygląda – przyznał Vos.

De Groot przedstawił możliwe wersje wydarzeń. Katja Prins uważała, że ojciec zamordował jej matkę. Bea z jakiegoś powodu wprowadziła Katję i córkę Vosa do Poppenhuis. Anneliese została tam uwięziona.

– Zakładamy, że Prins należał do klientów *privehuis*? – spytał Koeman. – Jeśli tak, to mam kilka problemów...

– Nie wiem – przerwał de Groot. – Dowiedzcie się.

– Więc uważasz, że i matka, i ojciec korzystali z usług tego samego burdelu z nastolatkami? – drążył Koeman.

– Skąd mam wiedzieć? – warknął komisarz. – Wy macie się tego dowiedzieć. Ściągnijcie tu Jaapa Zeegera. Pogadajcie znowu z tą Tajką.

– Hendriks, ten facet z rady miasta... – burknął Koeman. – Nie powinniśmy go tak puszczać. On coś wiedział. Co on, do cholery, robił w Chinatown w chwili, gdy Prins miał przekazać pieniądze?

De Groot zaklął pod nosem. Kiwnął głową na Muldera.

– Powiedz im.

– Zanim tu przyjechaliśmy, odebrałem telefon z rady miasta. Byłem ich kontaktem do tej zasranej De Nachtwacht. Pewnie ta Willemsen nie wiedziała, do kogo się zwrócić.

Koeman zgromił wzrokiem Muldera, westchnął głośno i rozparł się na krześle.

– Til Stamm chodziła do tej kawiarni na rogu – ciągnął Mulder. – Ludzie z rady jej szukają. Martwili się, kiedy zniknęła. Hendriks zastanawiał się, czy...

– On kieruje sekretariatem rady – przerwała Bakker. – Dlaczego szwenda się po ulicach, szukając stażystki?

– Przypominam o priorytetach – odparł Mulder. – Hendriks na pewno w tej chwili do nich nie należy. Willemsen powiedziała mi coś jeszcze. Anna de Vries przyszła spotkać się z Prinsem w sprawie porwania. Miała jakieś informacje. Po tym spotkaniu był zdenerwowany. Sprawdzili monitoring i kuriera. Tamtego ranka nikt niczego Prinsowi nie dostarczył. Dostał te materiały od niej.

– To było wczoraj! – krzyknął Koeman. – Dlaczego dowiadujemy się o tym dopiero teraz?

– Oni przed chwilą to przejrzeni – odparł Mulder ze wzruszeniem ramion. – Właśnie na to wpadli. Córka Prinsa uważała, że on jest mordercą. Zaginęła. Coś, co powiedziała ta reporterka, musiało nim wstrząsnąć. Podrabia te zdjęcia. List z żądaniem okupu. Kiedy ją zabito, jego nie było w domu. A dzisiaj rano wyciąga z banku wszystkie pieniądze i próbuje zwać na Arubę. Moim zdaniem to się trzyma kupy.

Rozejrzał się po zebranych.

– Moim zdaniem też – przyznał de Groot.

– W takim razie... – Vos wstał z krzesła.

– Dokąd ty się, kurna, wybierasz? – spytał Mulder.

– Van der Berg znalazł samochód Bei Prins – odrzekł Vos. – Stoi w garażu kryminalistyki. Po jej śmierci został sprzedany. – Wziął do ręki teczkę. – Chciałbym tylko zerknąć. Przeczytać raporty ze śledztwa. No chyba że ktoś ma coś...?

– Więc zrobisz ze mnie głupka? – spytał de Groot.

– Powiedziałeś, że mogę zajrzeć do tych akt.

– Ty – de Groot wymierzył palec w Muldera – nadal szukasz Jansena. I znajdźcie coś w sprawie jego córki. Na razie przyjmujemy hipotezę, że to są dwie osobne sprawy. Sprawa Jansena jest powiązana z gangami. Sprawa Katji Prins... – Westchnął. – Zobaczymy.

Bakker pokręciła głową.

– O co znowu chodzi? – spytał de Groot.

– Ktoś podrzucił ciało Rosie Jansen obok łodzi Vosa. Zostawił mu zdjęcie. Jak to możliwe, że one nie są powiązane?

Poczerwieniały na twarzy komisarz kazał wyjść z pokoju wszystkim oprócz Vosa i Bakker. Ona podniosła się z krzesła i stała z rękoma skrzyżowanymi na piersi, na tle ściany.

– Posłuchaj mnie, dziecko – warknął de Groot. – To nie jest Dokkum...

– Nie jestem dzieckiem i mam świadomość, gdzie się znajduję. Dziękuję bardzo.

– Mógłbym cię natychmiast odsunąć od sprawy. Odesłać do domu. Nie musimy czekać na oceny..

– Nie, Frank – przerwał mu Vos. – Nie możesz. Chyba że ja też mam się wyłączyć ze sprawy.

Komisarz zgromił ich wzrokiem.

– Świetny nowy zespół, co? Aspirantka i facet, który na dwa lata wyłączył się ze służby, żeby siedzieć na łodzi i zajarać się do upadłego?

– To ty chciałeś, żebym wrócił – zauważył Vos. – Jeśli chcesz zmienić zdanie...

– Powiem wam, czego chcę! – ryknął de Groot. – Czegoś, co by się trzymało kupy. Mam na karku burmistrza, Ministerstwo Sprawiedliwości i media. Cztery niewyjaśnione morderstwa...

– Dwa – poprawiła go Bakker. – Wiemy, że Menza i jego dziewczynę

zabił Theo Jansen. – Podniosła dwa smukłe palce. – Dwa. Rosie Jansen. Anna de Vries. Wim Prins nie zabił Rosie. Jeśli mamy wierzyć jego żonie, tamtej nocy był w domu. I dlaczego miałby ją zabijać? Reporterka...

Spojrzała na Vosa. Sprawdzał esemesy w swoim telefonie.

– Halo – powiedziała. – Jest tam kto?

Vos odłożył telefon.

– Rosie Jansen to sprawa Muldera, Lauro. Komisarz wyraził się jasno. Róbnmy to, o co prosi, dobrze?

Na te słowa de Groot nieco się rozpogodził.

– Gdyby się okazało, że to wszystko sprawka jednego martwego polityka – podjął z zapalem – wszyscy byliby zadowoleni. To tylko taka refleksja.

– Taka refleksja – powtórzył za nim Vos.

De Groota jeszcze coś trapiło.

– Ktoś musi porozmawiać z Liesbeth – przypomniał. – Wie, że on nie żyje. Ale... – Szerokie ramiona sprawiały wrażenie uginających się pod niewidocznym ciężarem. – To trzeba zrobić, Pieter. Może byś...

– Nie ma sprawy – zgodził się Vos.

21

Jaap Zeeger nie wiedział, dokąd go zabrano. W jakieś rejony przemysłowe. Niedaleko wody. Słyszał odgłosy ruchu ulicznego. Statki w oddali. W jakimś zimnym pustym magazynie było ich trzech i on na pustej, zakurzonej podłodze. Jeden stół. Krzesła. Jedno kwadratowe nagie okno. Wpadało przez nie jasne wiosenne słońce.

Denerwował się. Patrzyli, jak sika do wiadra, wysłali tego trzeciego, śniadego bandziora z obcym akcentem, żeby je opróżnił.

Został z Theo Jansenem i człowiekiem, o którym wiedział tylko tyle, że ma na imię Maarten.

Zeeger usiadł na kiepskim krześle, które mu dali, i starał się nie trząść.

– Przykro mi z powodu Rosie, panie Jansen – zaczął. – Ona zawsze była dla mnie dobra.

Jansen siedział, gładząc zarost, palił papierosa i nie patrzył na Jaapa.

– I za te wszystkie bzdury, które wycisnął ze mnie ten gnój Mulder – dodał Zeeger. – Nie chciałem tego mówić. On mnie pobił. Powiedział, że zrobi... – Pokręcił głową. Wspomnienia. – Straszny człowiek. Bałem się go jak diabli.

– Mnie się też boisz jak diabli, prawda? – spytał Jansen, zwracając nań twarde, zimne spojrzenie.

– Prawda – przyznał Zeeger. – Bardziej niż jego. Ma pan powód się na mnie wściekać. Przeze mnie poszedł pan do więzienia, prawda?

Maarten zaklął. Jansen kiwnął głową, nic nie mówiąc.

– Przykro mi – ciągnął Zeeger. – Bardzo mi przykro. Nie powinienem był tego robić. Gdyby to się działo teraz... nie zrobiłbym tego.

Jansen podniósł wzrok.

– Co się zmieniło? – spytał.

– Ja. Jestem inny. Jestem czysty. Już nie piję. Nie ćpam. Mam pracę. Tylko na pół etatu. Ale mówią, że przed Bożym Narodzeniem dostanę cały. O ile pozostanę czysty. I pozostanę.

– Jesteś bohaterem, Jaap – powiedział Maarten szorstkim, pełnym niedowierzania głosem.

– Nieprawda – odwarknął Jaap. – Wiem doskonale, kim jestem. I wiem, kim byłem. Dla was jedynie tępakiem. Wykonywałem jakąś gównianą

robotę, która nie miała znaczenia i nie dawała zarobku. A co za to dostałem?
– Zastanawiał się, czy to mówić. Nie wiedział, dlaczego w ogóle ośmiela się mówić. – Ktoś mnie wrobił w córkę pana Vosa. Podłożył mi do mieszkania ciuchy, które wyglądały na jej. I lalkę. Prawie mnie za to posadzili...

– Czekał – przerwał mu Jansen. – O czym ty mówisz?

Zeeger się złościł.

– Pan pewnie był zbyt zarobiony, żeby to zauważyć. Mówię o tym, że ktoś próbował zrzucić na mnie winę za morderstwo tej dziewczyny. Wysłali te rzeczy...

– To nie my – wtrącił się Maarten. – Dlaczego mielibyśmy to robić? Sam powiedz, Jaap.

– No ale ktoś to zrobił, prawda? Wiem, kim jestem. Dla was śmieciem. A nikt inny o mnie nie słyszał.

Cisza.

– Więc kiedy zgłosił się Mulder – odezwał się Jansen – byłeś już na nas wkurwiony?

– Można tak powiedzieć – przyznał Zeeger. – Nie pamiętam dokładnie. Byłem wtedy w rozsypce. Panie Jansen, przeprosiłem już. Naprawdę mi przykro. Nie mogę tego zmienić...

– Opowiedz nam o Katji Prins – przerwał Maarten.

Opowiedział więc. Wszystko, co rano mówił na Marnixstraat.

Theo Jansen słuchał uważnie, a gdy Zeeger skończył, wybuchnął śmiechem. Trochę przy tym wyglądał jak dawny on, przyjazny i groźny jednocześnie.

– Czyli mówisz, że ten nadęty dupek, który sądził, że zrobi porządek w Amsterdamie, zamordował własną żonę?

– Ja tak nie mówię, Katja tak mówiła – sprostował Zeeger. – I była w sumie pewna.

– Już i tak nie żyje – powiedział Jansen. – I ona pewnie też.

Zeeger zamrugał powiekami. Przekazali mu, co podano w wiadomościach.

– To się trzyma kupy, prawda? – rzucił, gdy Jansen skończył. – Skoro uciekał z pieniędzmi.

Potem spytali o *privehuis* na Prinsengracht i Jaap Zeeger zaczął się wiercić

na rozchwianym krześle.

– Powinieneś pogadać z tą Tajką. Nie ze mną. Ona to prowadziła. Ja tylko od czasu do czasu kasowałem pieniądze i przewoziłem towar. Nigdy nawet progu nie przestąpiłem.

– Ona uciekła – powiedział Maarten. – Policja ją wczoraj zgarnęła, a jak tylko ją wypuścili, wsiadła w samolot do Bangkoku. Więc pytamy ciebie. Co tam się działo?

Wiercił się.

– To był pański biznes, panie Jansen. Czemu mnie pan pyta?

– Bo nie wiem! – ryknął gangster. – Kierowałem całym imperium, na litość boską! Nie ogarniałem każdego kawałka z osobna.

Wrócił śniady bandzior. Pachniał papierosami. Czekał na właściwy moment. W rękach trzymał młotek i gwoździe.

Zeeger znowu się trząsł.

– Dzięki temu ta tajska suka zdołała sprzedać to wszystko Jimmy’emu Menzowi pod moim nosem! – krzyczał Jansen. – A potem Bóg jeden wie, co się działo. Bóg jeden wie...

– Ja nie miałem z tym człowiekiem żadnych układów – powiedział Zeeger. – Niech mnie pan o niego nie pyta...

– Coś tam się stało! – krzyknął Jansen. Wymierzył w Zeegera wielki palec. – I myślę, że ty wiesz co. Myślę, że dlatego właśnie nie mam już córki.

Zeeger zamrugnął powiekami.

– Ja nic nie wiem. Jak ja tam jeździłem, to był pański biznes. Nie Menza. On go miał później. Po tym jak...

Trzy słowa – tylko tyle było trzeba. Trzy krótkie słowa.

Jansen patrzył na niego groźnie zza stołu. Zupełnie jak w dawnych czasach. Zeeger miał nadzieję, że po całej pracy, którą wykonał z Barbarą Jewell w Żółtym Domu, te czasy już nigdy nie wrócą.

– Po tym jak co?

– Pan przecież wiedział, prawda? – pisnął Zeeger. – Musiał pan wiedzieć. Maarten... – Pomagier Jansena siedział nieporuszony. I najwyraźniej równie speszony. – Ty powiedz. Myślałem, że wyście wszyscy wiedzieli.

Bandzior z młotkiem i gwoździami usiadł, odłożył narzędzia na stół.

– Nigdy nie słyszałem szczegółów – ciągnął Zeeger. – Nie chciałem. Mieliśmy się tam nie zbliżać ani do niczego się nie wtrącać. Tam pracowały dzieci. A potem...

Kiedy to wszystko się działo, on miał w głowie jeden wielki mętlik. Teraz tym bardziej tego nie ogarniał.

Człowiek, którego nie znał, wziął do ręki młotek, zważył go, zaczął się bawić gwoździami.

– To Rosie prowadziła Poppenhuis. Rosie kazała mi go obsługiwać.

Twarz Jansena zamieniła się w maskę, zamarła w gniewie i niedowierzaniu.

– To Rosie sprzedała go Jimmy’emu Menzowi. Myślałem... – Jaap Zeeger przegarnął swoje rzadkie włosy, czuł, jak pot spływa mu po twarzy. – Myślałem, że pan wie. To była pańska córka, panie Jansen. Musiał pan wiedzieć, prawda?

Na dole w pokoju przesłuchań. Liesbeth Prins siedziała w kącie przygarbiona i paliła jednego papierosa za drugim, przed nią stał kubek po kawie. Nie podniosła wzroku, gdy weszli Vos i Bakker. Wydawało się, że nawet nie zauważyła, gdy on usiadł obok niej, a Bakker po drugiej stronie. Policjantka wyjęła dyktafon, notatnik i długopis.

Vos znał wszystkie wyrażenia właściwe na tę okazję. Proste puste pytania: Jak się czujesz? Bezżyteczne wyrazy współczucia i żalu.

Zadał je w pełen rezerwy, odrealniony sposób, próbując każdemu słowu nadać jak największe znaczenie. Nie lubił oglądać jej takiej. Tak samo wyglądała, gdy zaginęła Anneliese. Jakby uszło z niej życie. Kiedy się rozstawali, przestała jeść, żyła na wódce i papierosach, całymi dniami wyglądała za okno ich mieszkanka na Jordaanie, wypatrując na pustej ulicy młodej, radosnej postaci, która nigdy się nie pojawiła.

Teraz nie robiła zupełnie nic.

Wreszcie podniosła wzrok i spytała:

– Byłeś tam? Na lotnisku?

Kiwnął głową.

– Widziałeś?

– Oboje widzieliśmy.

Spojrzała groźnie na Bakker.

– Co ona tu robi? – spytała.

– To jest przesłuchanie. I takie są przepisy – odparła cicho Laura Bakker ze współczuciem, którego wcześniej Vos jakoś nie zauważał.

Liesbeth Prins patrzyła na nią nieprzyjaźnie.

– Niewiele z nich pożytku, prawda? Z tych przepisów. Wim uważał, że żyje zgodnie z regułami. Uważał, że jedyne, co musi robić, to pouczać nas, że mamy robić to samo i wtedy wszystko będzie działało.

Vos zerknął na Bakker. Chciał, żeby trzymała się od tego tak daleko, jak tylko się da.

Potem powtórzył Liesbeth to, co rano powiedział Jaap Zeeger. Patrzył, jak jej twarz wykrzywia się w niedowierzaniu.

– Mówisz poważnie? Wim muchy by nie skrzywdził. Nigdy nie podniósł

na mnie ręki. A Bóg mi świadkiem, że dawałam mu powody.

– W ośrodku odwykowym, do którego chodziła Katja, potwierdzają jego słowa – podjął Vos. – Musimy to zbadać.

– Po co? Teraz oboje nie żyją.

– I Katja może też... – wtrąciła Bakker, zanim Vos uciszył ją wzrokiem.

– Katja nas nienawidziła. Nie wiem dlaczego. Staralam się. Naprawdę się starałam. Wim też.

– Myśli, że on zamordował Beę – powtórzył Vos.

– Nie zamordował. To niemożliwe. Katja nie ma kontaktu z rzeczywistością. To ćpunka, która żyje we własnym świecie. Gdzieś w jakiejś obrzydliwej norze...

Vos pokręcił głową.

– Nie sądzę. Trzech świadków mówi, że skończyła z narkotykami. Katja wyszła na prostą. Od ponad tygodnia nikt jej nie widział. Czy to możliwe, że porwanie miało coś wspólnego...? – Zawahał się, nim to powiedział. Słowa wydawały się niewłaściwe. – Czy Wim mógł to sfingować? Lalki? Telefony? Zdjęcia?

– Jak? – spytała. – Ty mi powiedz, przecież od tego jest policja.

– Gdyby się postarał, mógłby – dodała Bakker. – Czy korzystał jeszcze z jakiejś nieruchomości w mieście? Jakieś mieszkanie? Biuro?

– Nie.

– Wspominał o reporterce Annie de Vries?

Znowu śmiech, ostre, wściekłe oczy.

– To ta, którą zabito? To śmieszne. Ostatniej nocy upijał się poza domem. Wyrzucili go z rady. Wcale nie miał tam wrócić, cokolwiek oni mówili.

– Nie wie pani, co robił – zauważyła Bakker.

– Nie mordował nikogo w De Wallen. Znam mojego męża. Pieter, czy teraz jest taka koncepcja? Zrzucić wszystko na Wima, skoro już nie żyje?

– Muszę znaleźć Katję – odparł.

Rzuciła wściekłe spojrzenie na Bakker.

– Chcę rozmawiać z tobą, nie z nią.

– To przesłuchanie – przypomniała Bakker. – Musi w nim uczestniczyć dwoje policjantów, w przeciwnym wypadku...

– Przesłuchanie dobiegło końca – powiedział i delikatnym ruchem wskazał jej drzwi.

Jedno ciche przekleństwo i wyszła, zabierając dyktafon i notatnik. Tym razem nie protestowała.

– Durna prowincjonalna krowa – jęknęła Liesbeth po wyjściu policjantki. – Nikogo lepszego nie masz?

– Lubię ją – odparł. – Jest inna. Zdecydowana młoda kobieta. Chce się wykazać. Trochę jest speszona. Trochę straciła grunt pod nogami. – Zmarszczył czoło. – I nie ona jedna. Nic ci nie będzie? Mogę w czymś pomóc?

– Na przykład?

– Nie wiem. Dlatego pytam.

– Wim nikogo nie zabił – powiedziała. – Nigdy nie widziałam, żeby użył siły. Nie cierpiał konfrontacji. To mnie doprowadzało do szaleństwa. – Krótka chwila rozbawienia. – On był jak ty. Mogłam wrzeszczeć, krzyczeć i rzucać w niego czym popadnie. A on tylko siedział i nic.

– Ale uciekł, prawda?

– Tak jak ty – odparła z nagłą gwałtownością. – Zapomniałeś? Jak zamknąłeś się w środku, ukryłeś się tam i nie miałeś odwagi wyjść?

– Katja...

– Nie pomogę ci z Katją. Powiedziałam ci wszystko, co wiem. – Utkwiła w nim spojrzenie zimnych oczu. – Więcej, niż chciałam.

Sięgnęła do jego dłoni.

Vos wstał. Za szybą przy drzwiach widział rude włosy Laury Bakker. Opierała się o nią jak nastolatka, pisząc coś w notesie.

– Co ona tu robi? – spytała Liesbeth. – To jeszcze dziecko.

– Wiem. To właśnie mnie martwi.

– Kiedy mogę pochować męża?

– Niedługo – odrzekł. – Mam nadzieję.

23

Theo Jansen spojrział na fryzjera Maartena. Potem na Maxa Roblesa.

– Ja nie mam z tym nic wspólnego – zaprotestował ten ostatni. – Nie miałem pojęcia, że Jimmy robi biznes z tym *privehuis*, dowiedziałem się, jak było przybite. Wszystko to trzymał w tajemnicy.

– Potem w ogóle tego nie tknął – rzucił Jansen. – Dlaczego?

Robles wzruszył ramionami.

– Myślę, że w rzeczywistości wcale mu na tym nie zależało. Upiorna noclegownia dla dziewczynek czy coś. Ta Tajka chciała się tego pozbyć. Nie znaleźmy nikogo, kto by się w takie coś łądował. Jimmy nie był głupi. Kupił to ze względu na nieruchomości. Powiedział, że dostał to tak tanio, że musiałyby mieć coś z głową, żeby nie wziąć.

Maarten wiercił się na krześle, skrępowany, milczący. Robles położył deskę obok młotka i gwoździ na stole.

– Zobaczymy, co on jeszcze wie? Daj mi chwilę...

– On nic nie wie! – ryknął Jansen.

Jaap Zeeger siedział na krześle sztywny jak uczeń u dyrektora.

– Poza tymi rzeczami o Rosie. – Jansen spojrział na szczupłego przerażonego mężczyznę po drugiej stronie stołu. – Jesteś tego pewien, Jaap?

– Jestem pewien, że to ona kazała mi się tam zajmować interesami, panie Jansen. To prawda. Myślałem, że to należy do pana. Myślałem, że pan wie...

– No właśnie. A ja nie wiedziałem. – Jansen pochylił się, spojrział w oczy Maartenowi. – Wiedziałem?

– Raz tam byłem – powiedział fryzjer. – Raz. Rosie poprosiła, żebym sprawdził tę Tajkę. Żebym sprawdził, czy aby nie zarabia na boku więcej, niż mówi.

– I zarabiała?

– Pewnie. – Wzruszył ramionami. – Dałem jej radę. Żeby się z tego wycofała jak najszybciej. To było straszne miejsce, Theo. Tak jak mówi Jaap. Faceci w garniturach i dziewczynki. Myśleliśmy, że to należy do ciebie. Że ty to prowadzisz. Twój biznes. Nie nasz. Więc trzymaliśmy się z daleka...

– I pozwoliliście, żeby burdel z dziewczynkami działał pod moim nazwiskiem?

– Ty rządziłeś, no nie?! – krzyknął Maarten. – Rosie była jedyną osobą, która miała odwagę ci się przeciwstawić. Ona tym kierowała. A potem... – Spojrzał na Roblesa. – Jak poszedłeś siedzieć, sprzedała to Jimmy’emu Menzowi. Wszyscy się z tego ucieszyli.

Jaap Zeeger kiwnął głową.

– Wszyscy – potwierdził.

– Komu Rosie smarowała na Marnixstraat? – spytał Jansen.

– Nie wiem – odrzekł Maarten. – Nigdy nie wspominała o tym domu. Nikomu z nas. To była jej prywatna sprawa. Nie chcieliśmy się narzucać. – Zawahał się, ale jednak dodał: – Szczerze mówiąc, nie sędzę, żeby ktokolwiek się ośmielił.

Jansen wyciągnął rękę, dłonią do góry. Maarten pokręcił głową.

– Co? – spytał.

– Pieniądze – odparł Jansen. – Wszystkie, które masz. – Spojrzał na Roblesa. – I ty. Odbijecie sobie, jak wrócimy do pracy. Z nawiązką.

Człowiek z Paramaribo sięgnął do kieszeni. Zdaje się, że przed spotkaniem ściągał haracze. Razem ze zwitkiem Maartena zebrało się prawie pięć tysięcy euro. Jansen przeliczył i przesunął je w stronę Zeegera.

Chudy mężczyzna spojrział na gotówkę, przerażony jak nigdy w życiu.

– Nie chcę tego, panie Jansen. Mam pracę...

– Zapomnij o pracy. Masz wyjechać z kraju i nie wracać, aż się to wszystko skończy. Chcę...

Jansen próbował to sobie ułożyć w głowie. Bardziej chodziło o przeprosiny niż o cokolwiek innego.

– Spierdaliśmy ludziom życie, prawda? – Spojrzał na Maartena, na Roblesa. – Ale sobie nie. Ani swoim rodzinom. Zawsze dbałem o ludzi, którzy dla mnie pracują. I zawsze będę dbał, dopóki na to zasługują. Tu się coś spieprzyło, nie wiem co. Póki się nie dowiem, co to jest, chcę, żebyś zniknął, Jaap.

Wyciągnął do Zeegera swoją wielką rękę.

– To nie była twoja wina. Przybij. Idź prosto stąd na Dworzec Główny. Kup bilet na ten nowy pociąg do Brukseli, co to o nim słyszałem. Zrób sobie wakacje w jakimś ciepłym kraju. Za miesiąc zgłoś się do Maartena. On ci

powie, co i jak.

Zeeger ostrożnie spojrział na zegarek. Potem równie niepewnie zgarnął ze stołu pieniądze i wepchnął je do kieszeni skórzanej kurtki.

Wstał, spojrział na trzech mężczyzn, jakby nie dowierzał. Podszedł do drzwi i wyszedł na zewnątrz, wolny.

Maarten i Surinamczyk nie wiedzieli, gdzie oczy podziąć.

Jansen nie mógł zapomnieć obrazu Jimmy'ego Menza. Uwięzionego w zmiażdżonym mercedesie. Z kulą w każdym kolanie. Maarten rozlewający wszędzie benzynę. Martwa Miriam Smith na tylnej kanapie.

„Nie tknąłem Rosie. Przysięgam...”.

– Moja własna córka cały czas mnie oszukiwała. Jeszcze zanim poszedłem do więzienia. Po tym... – Za wszelką cenę starał się zrozumieć. – Czego jej nie dałem? Musiała tylko poprosić, nic więcej.

Maarten dotknął jego ramienia.

– Zrobiłeś wszystko, co mogłeś, Theo. Byłeś świetnym ojcem. Najlepszym...

– Gówno prawda! – krzyknął Jansen.

Jego wielkie ręce chwyciły stół, poderwały go w górę, wywróciły. Kubki z kawą leżały na podłodze obok młotka i gwoździ.

Nagły wybuch. Dawny gwałtowny Theo. Theo, który nigdy nie umarł.

„Dobrze wyglądasz bez tej głupiej brody i hipisowskiej grzywy. Jakbyś stał się nowym człowiekiem... Ale nie jesteś nowym człowiekiem, prawda, Theo? Nowym?”.

– Zabierz mnie stąd – rozkazał. – Chcę do domu. – Głupie wyrażenie. – Gdziekolwiek to, do cholery, jest.

Prawie osiemnasta, minął koniec zmiany, a oni wciąż siedzieli w garażu kryminalistyki, patrząc na miękki dach samochodu Bei Prins, białego bmw serii 3. Van der Berg uniknął zaangażowania w przygodę w Chinatown. Większość dnia spędził w otoczeniu raportów ze śledztwa w sprawie jej śmierci i szukając samochodu.

Nowa właścicielka była lekarką. Nie ucieszyła się, że zabierają jej lśniąca zabawkę. Jeszcze mniej się ucieszyła, gdy Van der Berg wyjaśnił jej, z jakiego powodu musi to auto zabrać.

Vos i Bakker siedzieli przy biurku w garażu, a on streszczał im wyniki swojej pracy.

Bea Prins w chwili śmierci miała czterdzieści jeden lat. Jej dokumentacja medyczna wykazała sporadyczne kuracje odwykowe z powodu uzależnienia od narkotyków i alkoholu. Efekty tych nałogów były widoczne w raporcie z autopsji. W aktach znajdowało się też zeznanie Wima Prinsa, który mówił o trudnym, ale pełnym miłości małżeństwie. Oboje zdecydowali się żyć razem ze względu na córkę. W wieku dwudziestu paru lat Bea pracowała krótko jako sekretarka w kancelarii, i tak się właśnie poznali. Większość czasu Katją zajmowała się opiekunka. Brak informacji o innej pracy.

Przejrzeli spis rzeczy znalezionych w samochodzie po śmierci Bei. Torebka, a w niej tylko pieniądze i kilka osobistych przedmiotów. W schowku na rękawiczki trzysta gramów kokainy w plastikowej torebce. Żadnego listu pożegnalnego. Była na zakupach, powiedział jej mąż, i dlatego wzięła samochód, a nie rower.

– Nie ma takich kobiet, które idą na zakupy i się zabijają – stwierdziła Bakker.

– Może nie udało się jej czegoś znaleźć? – podsunął Van der Berg.

Zgromiła go wzrokiem.

– To był kiepski żart – dodał detektyw. – Przepraszam. W samochodzie nie znaleziono zakupów. Żadna z kamer w pobliskich sklepach jej nie nagrała. Kłamała.

Opiekunka wyjechała na tydzień. Prins powiedział, że został w domu, czytał i oglądał telewizję. Katja wyjechała na wycieczkę szkolną. Kiedy Bea

nie wracała, uznał, że spędza wieczór z „przyjaciółką”, i poszedł spać. Nie wróciła rano, więc zadzwonił na policję.

Jej ciało znaleziono, gdy tylko parking otwarto dla klientów. Stwierdzono, że umarła pomiędzy dwudziestą a dwudziestą drugą poprzedniego wieczoru. Jeden strzał w lewą skroń niezarejestrowanym rugerem lcp, kaliber .38. Na lewej ręce znaleziono ślady prochu. Broń leżała na podłodze przed fotelem pasażera. Kula utkwiała w tylnym siedzeniu.

Vos dotarł do ostatniej kartki.

– Zabiła się? – spytała Bakker.

– Frank zna się na swojej robocie. Jest drobiazgowy. Profesjonalny. – Pauza. – Schematyczny.

– Wtedy wszyscy czuliśmy się wykończeni – wtrącił Van der Berg. – Od miesięcy szukaliśmy córki Pietera. Bezskutecznie. To nie była wina Franka, że miał za mało ludzi do dyspozycji.

– To prawda – przyznał Vos. – Nie jego wina. – Van der Berg nie domagał się piwa. To było niezwykle. – Więc co cię trapi?

Detektyw wziął jedną kartkę z raportu kryminalistycznego i zaprowadził ich do białego samochodu na podnośniku. Dwaj dyżurni technicy, którzy się nim zajmowali, pracowali w garażu od lat. Kiedy wóz Bei trafił tu po samobójstwie, obaj mieli wolne. Zastępował ich tymczasowy personel z agencji. Nikt nie wie, kim byli tamci ludzie i czy pracowali skrupulatnie.

Jeden wers z raportu nie dawał Van der Bergowi spokoju. Informacja o śladowych ilościach izopropanolu na tapicerce i tablicy rozdzielczej. Nie wiadomo skąd.

Pierwszy technik wpatrywał się w niego, kiedy odczytywał to na głos, po czym powiedział:

– Parkowacze. Oni tego używają, jak sprzątają samochód. To nic takiego.

Van der Berg nie wyglądał na przekonanego.

– Ale użyłbyś też go, żeby się pozbyć dowodów, prawda? Pozbyć się odcisków palców?

Drugi mężczyzna przetrząsał schowek, wyjął z niego książkę serwisową. Samochód był wtedy na corocznym przeglądzie tydzień wcześniej.

– Bmw – powiedział. – Wracają śliczne i czyste. Więc nic dziwnego.

Van der Berg poprosił, żeby opuścili podnośnik. Drzwi z obu stron były otwarte. Posadził Laurę Bakker na fotelu kierowcy, przeszedł do drzwi po prawej.

– Wyobraźcie sobie tę scenę – zaczął. – Bea Prins siedzi za kierownicą. Zaczyna czegoś szukać w torebce. Zastanawia się, czy przed jazdą do domu musi wziąć niucha. – Zabębnił palcami w okno drzwi. – Pojawia się ktoś, kogo zna. Może są umówieni. Jej diler? Kto wie? Otwiera drzwi pasażera. Sięga. – Jego ręka powędrowała do twarzy Bakker. – Strzał. Prosto w skroń. Śmierć na miejscu.

Prześledzili ewentualny kierunek lotu kuli. Trafiałaby tam, gdzie ją znaleźli.

– Miała proch na lewej ręce – przypomniał pierwszy technik.

Van der Berg kiwnął głową, przeszedł na drugą stronę. Wziął rękę Laury Bakker, przycisnął jej palce do nieistniejącego pistoletu, udał, że strzela przez drzwi pasażera.

– Proch – powiedział. – I owszem, była leworęczna. A więc ten ktoś ją znał.

– Dowód? – spytał Vos.

– Daj mi czas. Nocą parking jest w zasadzie pusty. Muszę się przejść i zobaczyć, czy są jakieś ślady drugiego strzału. Ale to niewykluczone. – Technicy nie odzywali się słowem. – Powiedzcie mi, że to niewykluczone.

Jeden z nich wrócił do długiej ławy i przeglądał leżące tam narzędzia i przyrządy.

– Dwa strzały? – spytał ten, który został. – Dwa, trzy lata temu?

Van der Berg kiwnął głową. Drugi technik wrócił ze sprejem.

– Z tego co widzę – powiedział – znaleziono pozostałości prochu po stronie kierowcy. Tam gdzie patrzyłeś. Logiczne.

Nie tylko na jej ręce. Znajdowały się również na plastiku i tapicerce fotela oraz drzwi.

– Proszę się odsunąć – polecił technik ze sprejem.

Mówił o tym, jak długo proch może zostać. Że uważny zabójca, taki który się nie spieszy, może próbować pozbyć się wszystkich śladów za pomocą chusteczek z izopropanolem. Ale całkowite ich usunięcie było niemożliwe. Siła wybuchu wciskała maleńkie cząsteczki we włókna tapicerki fotela,

porowate tworzywo ścian, plastikowe listwy. Tam zostaje przez lata. Jeśli Van der Berg ma rację...

Jeden z mężczyzn nagrywał, a drugi wszedł i zaczął rozpylać we wnętrzu preparat z białej butelki.

Następnie wysiedli, kamera dalej pracowała, a oni czekali.

Różowa chmura pojawiła się blisko szczytu kolumny przy drzwiach pasażera. Mała, słaba, jednoznaczna.

– Idź kup facetowi lizaka – powiedział pierwszy technik. – Dwa strzały. Drugi oddano po to, by na dłoni denatki został proch. Pierwszy oddano z wyższego punktu. Z zewnątrz. Stawiam na to kasę. – Pogroził im palcem. – Dlatego właśnie nie powinniście nigdy zatrudniać kretynów z agencji.

– Zapomnij o lizaku. Wolałbym piwo – odparł Van der Berg nagle zadowolony. – Tylko jedno.

Vos zerknął na zegarek. Dawno minęła ich zmiana.

– Piwo – zgodził się. – Tylko jedno.

– Co takiego?! – krzyknęła Bakker. – Właśnie odkryliście, że Bea Prins została zamordowana, i idziecie do baru?

– Trochę sobie poczekała, aż ktoś to odkryje, dziecko – powiedział Van der Berg. – Nie zaszkodzi, jeśli jeszcze trochę poczeka. Poza tym... – Westchnął. – Jeśli to był mąż, to wszystko psu na budę. Nie pomoże nam znaleźć tej jego córki. – Podrapał się po głowie. – Oznacza tylko, że Katja miała rację. Wiedziała i on wiedział, że ona wie. Jezu. Ona nie żyje, prawda?

Nikt nie odpowiedział. W tym swoim pomiętym znoszonym granatowym garniturze wyglądał teraz bardzo żałośnie.

– Twoja córka... Chciałbym powiedzieć, że to niemożliwe. Tylko że pracujesz tutaj już tak długo, że sam wiesz, jak niewiele rzeczy rzeczywiście jest niemożliwych.

– Muszę również – dodał Vos – zajrzeć do Sama.

– Naprawdę idziecie? – spytała. – Teraz?

– Ja tu nie mieszkam, Lauro. Może kiedyś tak było. Ale już nie. Idziesz czy nie?

Ani drgnęła.

– Twój wybór – powiedział. – My idziemy.

Znowu w małym mieszkanku w drewnianym domu w Begijnhof. Suzi wróciła z zakupów. Kręciła się ze ścierką do kurzu, nie patrząc mu w oczy. Jansen wziął prysznic. To zwykle go uspokajało. Potem zasiadł do oglądania wiadomości.

Jeden temat. Wim Prins. Człowiek, który jeszcze wczoraj rządził Amsterdamem. Zabił się, skacząc z samolotu na Schiphol. Wokół niego wybuchały kolejne skandale. Pojawiły się plotki, że może to on stał za zniknięciem córki. Że był podejrzany o zamordowanie reporterki, która chciała go zaszantażować. A teraz Marnixstraat ponownie otwierał sprawę jego pierwszej żony Bei, którą znaleziono martwą na parkingu centrum handlowego ponad dwa lata temu, zastrzeloną.

Jansen słuchał i z każdą minutą poślepiał coraz bardziej. Na temat Rosie nic. Menzo i jego kochanka spadli o wiele pozycji na liście gorących tematów. Wraz z nimi po raz pierwszy wspomniano jego nazwisko. Główny podejrzany. Szef gangu właśnie uciekł z więźniarki. Urodzony amsterdamczyk w każdym calu. Wszyscy śledzą intensywne poszukiwania policji, która zdaje się nie znalazła ani jednego tropu.

– Dobrze się ukrywasz, Theo – powiedziała, podchodząc, by usiąść koło niego. Znowu ubrała się w prostą szarą suknię. Niemal jak habit. W rękę trzymała kubek. Doleciał go zapach herbaty ziołowej i zastanowił się, jakim cudem oni się w ogóle kiedyś zeszli. I pozostali parą na tyle długo, by mieć dziecko.

– Nieprawda. Po prostu za bardzo są zajęci innym głównem. Policja też człowiek. Mają tylu ludzi, ilu mają.

Ani jedna fraza w telewizji nie łączyła tego, co się stało Prinsowi, z nim, z Rosie czy Menzem. Czy w Marnixstraat naprawdę w to wierzyli? Czy to mogła być prawda?

– Szukają – dodał. – Prędzej czy później ktoś się wygada. Znajdą mnie. – Odwrócił się do niej. – Jeśli zostaną na tyle długo. Jeszcze jeden dzień. Dwa. Potem zniknę. – Pauza. – Może tak być?

– A moje zdanie się liczy?

To mu się nie spodobało.

– Tak. Liczy się. Jeśli chcesz, powiedz, żebym się wyniósł już w tej chwili. Mogę to zrobić.

– Wtedy cię znajdą. I znowu mnie znienawidzisz.

– Będę w więzieniu. Więc co z tego?

Nic nie powiedziała. Tylko posłała mu krytyczne spojrzenie, którego nienawidził.

– Ach – dodał Jansen. – Kumam. Ważne jest, co myśli On. – Wskazał palcem sufit. – Panie, czy ta niewiasta właściwie się obeszła z grzesznikiem? Czy on jej nie ukrzywdził?

– Nie natrząsaj się ze mnie. To poniżej twojej godności.

Myślał całą drogę powrotną, po rozmowie, którą odbyli z Jaapem Zeegerem. A oczekiwał, że na tym spotkaniu Max Robles użyje młotka i gwoździ, które przyniósł na tę okazję. Ale nie użył. Zeeger mówił prawdę. Nie żeby całą. Tego od niego nie oczekiwano. Ale dość, by był wiarygodny. Uczciwy. W sposób, o którym hipokryci w rodzaju Wima Prinsa czy tej kobiety nie mieli pojęcia.

Theo Jansen lubił oszukiwać innych. To stanowiło część jego pracy. Ale siebie nigdy nie okłamywał. Na to by nie pozwolił.

– Mieszkanie tutaj jest drogie? – spytał.

– Nie. Oczywiście, że nie.

– No, ale kosztuje, prawda?

Nie odpowiedziała.

– A nigdy nie przyszedł do mnie po pomoc. Ani razu.

– Nie chciałam twoich pieniędzy. Nawet kiedy byliśmy razem.

Wybuchnął śmiechem. Nie doceniła tego.

– Co cię tak bawi?

– Ty. – Kiwnął głową w stronę okna. – To. – Wskazał palcem szarą suknię. – To. Przedstawienie. Udawanie. Kłamstwo.

– Myślę, że powinieneś wyjść.

– Nie.

– Powiedziałaś, że wyjdiesz.

Poszedł do kuchni, wziął piwo, otworzył butelkę.

– Rozmyśliłem się.

Jansen czekał. Ona się nie odzywała.

Wziął do ręki telefon i podał jej.

– Zadzwoń na Marnixstraat, jeśli chcesz. Powiedz, że tu jestem. Mogę na nich zaczekać. – Znowu podniósł butelkę. – Masz zapas piwa. Całą noc mogę tak przesiedzieć, jeśli zechcą.

Suzi ani drgnęła, a Theo zrozumiał, że się nie myli.

– Tyle lat. A ja miałem poczucie winy, że pozbawiłem Rosie matki. Ale to nie była prawda, no nie? Po prostu byłem głupi.

Potrafił nawet określić ten moment. Jakies dziesięć lat temu, kiedy Rosie zaczęła spędzać z nim mniej czasu. Myślał, że chodzi o chłopaka, ale nigdy żaden się nie pojawił. Dobrze, że coraz bardziej wciągała się w interesy. Oczywiście nie zwracał sobie głowy żadnym sprawdzaniem. Rosie to rodzina. Krew z jego krwi. Rodzina nie kradnie ani nie oszukuje. Nie w jego świecie.

– Nigdy nie dałem ci ani grosza. Ale nie poszłaś do żadnej pracy. Nie sądzę, żebyś w ogóle kiedykolwiek pracowała. A jednak... – Uśmiechnął się.

– To miłe mieszkanko... Jak cię nie było, przeszukałem twój pokój.

– Nie miałeś prawa! – krzyknęła, rzucając się na niego z rękoma.

Zatrzymało ją jedno jego spojrzenie.

– Miałem prawo. Jak najbardziej.

Wyjął z kieszeni zdjęcie, rzucił je na stół. Rosie i Suzie przed jakąś świątynią. Pewnie na Dalekim Wschodzie. Za nimi posągi barwnych potworów i smoków. Matka i córka. Wyglądały pięknie. Szczęśliwie. Doskonała potajemna para.

– Mam pytanie – podjął. – Poppenhuis. Ten lokal na Prinsen. Ty szefowałaś Rosie? Czy ona tobie?

Nie wyglądała na przestraszoną. Jako jedna z nielicznych nigdy się go nie bała.

– To był nasz interes – odpowiedziała cichym, twardym głosem. – To i kilka innych, o których nie miałeś pojęcia. Przykro mi, Theo. Wiem, że myślisz, że byliśmy twoją własnością. Jak wszystko dokoła ciebie. Ale nie byliśmy.

– A teraz ona nie żyje.

– A teraz... ona nie żyje.

Przysunął krzesło bliżej, odstawił piwo na stół, zapomniał o całym świecie, tylko nie o tej kobiecie i córce, której dali życie.

– Dlaczego?

Pokręciła głową. Znowu łzy, a te miały swoje źródło w gniewie. To było takie oczywiste.

– Chciałabym wiedzieć.

Rozmawiali. Długo i cicho, gdy amsterdamski wieczór opadał powoli na spokojny i pusty dziedziniec Begijnhof za oknami.

Zanim skończyli, zrobiła się prawie dwudziesta. Jansen powiedział jej, żeby na jakiś czas wyniosła się z mieszkania. Nie chciał jej oglądać. A musiał pomyśleć.

Dziesięć minut później sięgnął do komputera i po tani zestaw Skype. Zastanowił się, co powie, co zrobi. Do kogo zadzwoni.

26

Vos odebrał z Drie Vaten Sama i swoje czyste pranie, zaniósł ubrania na łódź, a Van der Berg przyglądał mu się czujnie, gdy wypakowywał je, a następnie składał i odkładał do komody na dziobie.

– Bez urazy – zaczął Van der Berg, gdy piesek zaczął truchtać radośnie po kabinie, wyciągając zabawki spod stołu i krzeseł. – Ale...

– Nie mów tego.

– Czego?

– O nowych ubraniach.

Van der Berg wziął do ręki granatowy sweter. Podniósł rękaw. Wsadził palec w dziurę.

– Teraz będę musiał to cerować! – zaprotestował Vos.

Z kosza wyciągnął dzinsową koszulę kowbojską. Z kołnierzykiem tak wytartym, że odsłoniła się spodnia warstwa.

– Jedyne detektyw, którego widziałem, żeby wyglądał podobnie, wybierał się właśnie na przesłuchanie na basistę do tribute bandu Iron Maiden – wyznał Van der Berg.

– Nie cierpię Iron Maiden.

– No widzisz. Kupiłeś jakieś nowe ciuchy, odkąd odszedłeś ze służby?

Zastanowił się. Pokręcił głową.

– I nie wciskaj mi tych bzdur z „będę musiał to zacerować” – dodał Van der Berg.

Vos wyrwał mu koszulę i sweter, wepchnął je byle jak do szuflady i zatrzaskał ją. Sam z gumową kością w pysku podszedł do Van der Berga i oparł się łapami na jego kolanie, dopraszając się zabawy. Policjant chwycił koniec zabawki i trzymał ją, gdy piesek ciągnął za nią, warcząc radośnie.

– Podsumujmy – podjął. – Sofia zajmuje się Samem. Robi ci pranie i prasowanie. Dostarcza ci piwo i sandwicze. I pewnie czasami ci pozrzedzi.

– Rozpromienił się. – Czego brakuje w tym związku? O, wiem! Seksu i ślubu.

– Bardzo śmieszne.

– Jeszcze mogłaby cię strzyc.

Deszcz bluzgów. Kiedy Vos skończył, z poczuciem winy za nietypowy

wybuch, Van der Berg zakrywał psu uszy dłońmi. Sam wpatrywał się w Vosa wielkimi okrągłymi oczami. Nie przestraszony, lecz tylko skołowany czymś nowym.

– Ten kolega jest za młody, żeby wysłuchiwać takiego języka – oznajmił Van der Berg łobuzersko. – Wychodzimy. Przejedziemy się i odświeżymy gdzieś. Pewnie do Piepera, bo chyba nie dam rady znieść, jak ta miła niewiasta za barem Drie Vaten będzie robić do ciebie maślane oczy. Jeśli zdołasz odzyskać panowanie nad sobą, możesz do nas dołączyć.

Vos zacisnął pięść, roześmiał się, zadarł głowę i zawył. Podszedł, podniósł małego teriera, przytulił go i pocałował w łeppek. Dirk Van der Berg patrzył na nich z uśmiechem.

– No na miłość boską, chodźmy już – rzekł. – Pić mi się chce.

Jechali obok siebie, z Samem w koszyku na rowerze Vosa, wzdłuż brzegu nieruchomego kanału, a w jego powierzchni odbijały się światła z wysokich kamienic naprzeciwko i z nielicznych statków turystycznych pełnych gapiących się przybyszów. Z lip opadała śnieżycy wirujących liści. Wreszcie dotarli do mostu nad Leidsegracht, do gościnnego baru, jednoizbowego lokalu urządzonego na parterze zwyczajnego domu mieszkalnego.

Van der Berg powiedział, że lubi ten przybytek ze względu na piwo. Vosowi to pasowało. Sofia tyle dla niego robiła, a w zamian nie dostawała nic oprócz podziękowań i odrobiny pieniędzy. Przy czym jednego i drugiego pewnie za mało.

Pieper należał do najpopularniejszych pubów na skraju Jordaanu, ale wieczorem w środku tygodnia był wypełniony raptem w połowie. Kilku mocno narąbanych gości przy kontuarze zaczynało śpiewać. Van der Berg znowu zasłonił Samowi uszy, a potem omówili kwestię piwa.

Postanowili, że tego wieczoru wypiją angielskie. Właśnie pojawiło się kilka nowych marek.

Vos znalazł odosobniony stolik w głębi pod rzędem starych plakatów. Sam usiadł tak, jak zawsze to robił w obcych miejscach: trochę na prawej stopie Vosa, opierając się o nogawkę spodni.

– *Proost!* – wzniósł toast detektyw i brzęknął swoją szklanką o szklankę Vosa, po czym zawahał się i wziął do ręki butelkę. – Popatrz na to gównno. –

Wskazał etykietę na butelce. – Pij rozważnie. Co to znaczy, na miłość boską? Że masz nie rozlewać czy co?

– Zapewne – zgodził się Vos.

Van der Berg wziął łyk, skrzywił się, wrócił do baru i wrócił z piwem belgijskim.

– O co, u diabła, w tej sprawie chodzi, Pieter? Masz pojęcie? A jeśli masz, oświet firmowego błazna.

– Gdybym cię uważał za błazna, poprosiłbym cię o sprawdzenie sprawy Bei Prins?

Wzruszenie ramion.

– Jeśli pozwalamy sobie na szczerłość, to i ja ci coś powiem. Nie powinienes się zbliżać do tej sprawy i wiesz o tym. Ona jest zbyt osobista.

– Powiedz to de Grootowi.

– On jest po prostu zdesperowany. Mulder nigdy nie stanął na wysokości zadania. Wrobienie Jansena wyjdzie nam bokiem, bez względu na to, czy złapiemy tego starego drania, czy nie. Frankowi brakuje wartościowych graczy. Potrzebuje cię. Lubi cię. – Znowu brzęknięcie szkła. – Wszyscy cię lubią. Ale on ci wepchnie ręce w ogień, Pieter. Jeśli zajdzie taka potrzeba. Szefowie tak właśnie robią.

Vos kiwnął głową, nic nie powiedział.

– A twoja rolniczka...

– Nie jest moja – zauważył Vos. – I nie jestem pewien, czy zna się na roli i czy rola w ogóle ją obchodzi.

– I tak ją pošlę w diabły. Nie pasuje do tego miejsca kompletnie. Zresztą i tak będzie się pałętała pod nogami. Nie pozbędziesz się jej tak jak tej swojej przyjaciółki z Drie Vaten. I wiesz... jak się na was patrzy... – Pies dochodził do siebie. Dreptał pod stołem. Van der Berg pogłodził go po miękkiej głowie.

– Co za widok. Ty wyglądasz, jakbyś się ubierał w lumpeksie. A ona jakby odziedziczyła garderobę po babci.

– Ubrania szyje jej ciocia Maartje – powiedział Vos, na poły poważnie. – Z wykrojów. W Dokkum.

– Cioci Maartje trzeba by znaleźć nowe hobby. Niedobrze, jak człowiek prowadzi sprawy zbyt osobiste. A ta sprawa tak się skończy. Powinienes się

wycofać.

Vos się roześmiał, pokręcił głową.

– Nie wymądrzaj się – dodał Van der Berg. – Jesteśmy po służbie. Mogę mówić, co chcę.

– Nie miałem pojęcia, że robisz to tylko po godzinach.

Chwila napięcia, niemal wrogości. Pies jakby to zauważył. Usiadł w jednakowej odległości pomiędzy ich nogami. Każdy z nich po kolei go poklepał.

– Jesteś bystry – podjął Van der Berg. – Tylko nie wiesz, kiedy przestać. I świata nie widzisz poza tą sprawą. Ta Bakker moim zdaniem jest taka sama. A na jedną komendę wystarczy jeden człowiek z obsesją. Dwóch to niezdrowe.

– Dlatego właśnie wyszliśmy na piwo?

– Częściowo. Chciałbym też wiedzieć, czy dasz Frankowi to, czego chce. Głowę martwego Wima Prinsa na talerzu. Przypiszemy mu żonę i córkę. I tę reporterkę wyłowioną dzisiaj z kanału.

– Za wcześnie mówić – skrzywił się Vos.

– Daj spokój. Ty jesteś Pieter Vos. Wszyscy chcą usłyszeć...

– A ty co myślisz?

Van der Berg podniósł szklankę, dopił piwo.

– Myślę, że to problem na dwa piwa. I z całą pewnością nie na angielskie.

Poszedł do baru, wrócił z dwoma lokalnymi piwami. Miejscowy brouwerij't IJ ze strusiem na etykiecie.

– Bea Prins została zamordowana – powiedział monotonnym, znudzonym głosem. – Zgodzę się z tym. Córka...

Szczerzy, prostolinijny człowiek. Nie patrzył na Vosa w tym momencie.

– Czy to znaczy, że on porwał Anneliese? – zastanawiał się Van der Berg.

– A potem upozorował, że to samo wydarzyło się z jego córką? Nie wiem. Chyba że...

Męczył się, nie chciał tego powiedzieć.

– Chyba że? – zachęcił go Vos.

– Chyba że był klientem tego *privehuis*. I że tam poznał Anneliese.

Vos milczał.

– Jeśli to był on, nigdy nie poznasz prawdy, no nie? O Anneliese. Ani o jego córce.

– Trzeba by to zbadać – odparł Vos ostrożnie. – Co prawda nie mamy żadnego dowodu, że którakolwiek z nich nie żyje.

– Nadzieja to cudowna sprawa – rzekł Van der Berg cicho. – Dopóki nie dajesz się jej oślepić. Mnie nie daje spokoju, że w jednej chwili ustąpił ze stanowiska burmistrza, a w następnej poszedł zadźgać reporterkę. Pomijając całą resztę.

Rozparty ramionami na stole wyglądał w tej chwili, jakby mieszkał w Pieperze. Ale Dirk Van der Berg miał ten uroczy nawyk w każdym odwiedzonym barze.

– Ty też masz wątpliwości – dodał. – Co oznacza, że Franka de Groota czeka rozczarowanie.

Zadzwoił telefon Vosa. Wyciągnął go, spojrział na ekran, spodziewając się tam nazwiska Bakker, i że usłyszy, jak wzywa go z jakiegoś powodu z powrotem na Marnixstraat.

Tymczasem zobaczył „Numer nieznany”.

Odebrał, przekrzykując gwar Piepera.

– Jesteś w barze – powiedział znajomy, niski, nieszczęśliwy głos. – Czuję zapach piwa.

Vos wytłumaczył mu, gdzie dokładnie się znajduje.

– Drań – skwitował Theo Jansen. – Masz szczęście, że w ogóle z tobą gadam.

Po krótkim śpięciu z Vosem Laura Bakker weszła do znajdującej się w piwnicy stołówki, kupiła butelkę wody i sałatkę serową. Usiadła samotnie przy stoliku przy oknie.

Inni funkcjonariusze wchodzili i wychodzili. Nikt się do niej nie odzywał. Nikt jej w zasadzie nie zauważał.

Nagle, gdy już prawie kończyła, podszedł do niej Koeman, paciorkooki detektyw pracujący z Mulderem nad sprawą Jansena. Dosiadł się.

Nie spytał o pozwolenie. Nie wyglądał, jakby w ogóle miał to w zwyczaju.

Około czterdziestu lat, ładne sportowe ubranie. Jego twarz wyglądała na miłą, kiedy się nad tym zastanowić, chociaż zbyt długi brązowy wąs zdawał się jej głupi. Taki atrybut przysługiwał oficerowi wydziału narkotykowego może w dawnych czasach. Koeman miał też łapczywe, ruchliwe oczy. Patrzył w ten sposób na każdą kobietę, która pojawiała się na Marnixstraat. Domyślała się, że to nic nie znaczy. Ludzie mówili, że jest szczęśliwym mężem. Po prostu taki zwyczaj, z którego pewnie nawet nie zdawał sobie sprawy.

– Opowiedz mi o krowach – zaczął, po czym zabrał się za pałaszowanie sflaczałego burgera.

– Nie ma o czym gadać.

– Czy we Fryzji krowy muczą? Czy gadają śmiesznie jak ty?

Uśmiechnęła się kąśliwie. Wzięła swoją tacę. On wyciągnął ramię, zatrzymał ją.

– Pogadajmy – rzekł. – Czas najwyższy.

– Bo co?

Zabrał rękę i westchnął.

– Bo staram się być przyjazny. To wszystko. – Odłożył burgera. Łyknął soku pomarańczowego z kartonika. – Naprawdę. Wiem, że ludzie byli dla ciebie trochę nie w porządku.

– Nie zauważyłam – skłamała.

Koeman wybuchnął śmiechem.

– Odstajesz, dziecko. Wyglądasz inaczej. Mówisz inaczej. – Wskazał ruchem ręki piętra nad ich głowami. – To ważna placówka. Nie lubimy

inności. – I ciszej dodał: – Czujemy się wtedy niezręcznie. Wybacz.

Próbowała sobie przypomnieć, kiedy na Marnixstraat po raz ostatni ktoś ją za coś przeprosił.

– Tak czy owak, jakie to ma znaczenie? – spytała. – W przyszłym tygodniu mam ocenę. Wykopią mnie. Wszyscy o tym wiedzą.

Koeman pokręcił głową.

– Następny tydzień to następny tydzień. Wiele się może wydarzyć do tego czasu.

– Ja tu nie pasuję. Ty tak mówisz. Vos tak mówi. De Groot...

– Nikt tu nie pasuje – przerwał jej z nagłą pasją. – Ja nie pasowałem, kiedy tu przyszedłem. Pieter Vos też nie. To komisariat policji. Nie szpital, klasztor czy coś w tym rodzaju. Nie jesteśmy tu, żeby cokolwiek naprawiać. Tylko żeby szukać, w miarę możliwości. A potem przekazać problem komuś następnemu. – Wzruszył ramionami. – Prawo. – Gorzki śmiech i ruch głowy w stronę okna. – Ludzie na mieście. Ogół społeczeństwa. Głównie nami pogardzają, jeśli wykonujemy swoją robotę. I nie mogą się doczekać, żeby nam przyłożyć, jeśli jej nie wykonujemy.

Próbował jej coś przekazać i nie miała pewności co.

– Guzik mnie obchodzi, czy mnie wyrzucą – powiedziała z naciskiem. – Mogę robić coś innego. Coś zdrowego. Coś...

– Będziesz się nad sobą użalać i płakać.

– Nie znasz mnie, Koeman! – Ludzie siedzący przy innych stolikach zaczęli się na nich gapić.

– Wiem o tobie więcej, niż wiedziałem w poniedziałek. Wtedy sądziłem, że jesteś tępym, przerażonym beztalenciem, które jakimś cudem wsiadło w niewłaściwy pociąg. Znalazło się w wielkim, złym mieście. I nie ma odwagi wrócić do domu. I nie ma też odwagi zostać.

Bakker skrzyżowała ramiona na piersi. Patrzyła, jak Koeman je burgera.

– I? – spytała.

– I się myliłem. Coś w tobie jest. Vos to widzi. Ty jesteś trochę jak on. On też jest przerażony. Boi się nas. Boi się wrócić, ponieważ to wszystko było takie smętne i ponure. – Z grymasem niezadowolenia odsunął od siebie niedokończony burgera. – Nie tylko dla niego.

– On odejdzie, gdy tylko sprawa zostanie zamknięta – powiedziała. – Jeśli się okaże, że za zniknięciem Katji stał Prins. Że nic nie łączy tej dziewczyny z jego córką. Albo nic nie może znaleźć...

– Świetnie – stwierdził Koeman. – Skoro tak mu pasuje.

– Ale tak nie będzie, prawda? – spytała powoli. – On musi wiedzieć.

– Chyba my wszyscy do tego dążymy?

– Chcesz mi coś powiedzieć?

Jęknął.

– Boże, nie jesteś łatwa.

– Koeman...

– Nie. Posłuchaj. To ważne. Może jesteśmy nierozgarnięci i głupi. Od czasu do czasu bywamy podli. Ale zauważamy różne rzeczy. Na przykład to, co zrobiłaś z Pieterem, odkąd wrócił. Może nie robimy nic więcej. – Spojrzał na nią. Wzrokiem przyjaznym i szczerym. – Ale jesteśmy w tym dobrzy. W zauważaniu. W patrzeniu. – Przerwa. – W tropieniu.

Poczuła się nierozgarnięta i głupia.

– Nic nie zrobiłam dla Vosa! Czy ty sugerujesz...?

– Nie, nie! – Wstał i chwycił swoją tacę. – Ja się poddam. To jest niemożliwe. – Spojrzał na nią groźnie. – Ty jesteś niemożliwa. Ja próbuję pomóc, Lauro. Vos też.

– On jest smutny – odparła cichym, kruchym głosem. – Nie widzisz tego?

– Widzę. Ale kiedy jest w pobliżu ciebie, żyje. Coś go zmusza do myślenia. A kiedy Pieter Vos myśli... koniec końców coś się wydarzy. Jeśli szczęście nam dopisze. A Bóg mi świadkiem, że teraz przydałoby się trochę szczęścia.

Powiedział, że musi już wracać do pracy. Wyciągnął dłoń. Odruchowo odwzajemniła ten gest, wstając z tacą w ręku. Ta się przychyliła, zachybotła, miała już spaść na podłogę, rozrzucając dokoła talerz i szklanę.

Kolejny niezręczny moment. Ale tym razem Koeman był pod ręką i chwycił tacę, zanim doszło do katastrofy. Złapał tacę i przytrzymał.

– Jeszcze cię nie wykopano, dziecko – przypomniał. – Idź do domu. Wyśpij się dobrze. Przemyśl to sobie. Jutro pewnie będzie trudny dzień. Wykaż się. Albo postaraj się wykazać. Daj się zauważyć, tym razem dla

odmiany z dobrej strony. To wszystko.

Kilka plamek deszczu nad kanałem. Ostry wiatr. Vos stanął przy samochodach zaparkowanych wzdłuż chodnika.

– Skończmy to teraz – powiedział. – Nie możesz ciągle uciekać, Theo. Jesteś na to za stary. Ja zresztą też.

– O czym ty mówisz? Wyglądasz dokładnie tak samo jak w czasach, gdy walczyliśmy na ulicy. Nic się nie zmieniłeś.

– Ale czuję się stary. Co zostało do zrobienia?

– Po pierwsze trzeba ustalić, kto zabił Rosie.

– Nie prowadzę tej sprawy.

– Ciekawe dlaczego. Wiesz, kto porwał twoją córkę?

Vos zawahał się.

– Nie – odrzekł. – Nie wiem. Ale chyba zaczynamy rozumieć, co się stało z Katją Prins. I może dzięki temu do czegoś dojdziemy.

Przejechał rowerzystą. Młoda kobieta na babciowym rowerze. Sztywna i wyprostowana, z twarzą wystawioną na wiatr. Tak samo jeździła Laura Bakker.

– Naprawdę sądzisz, że Prins zabił własną córkę?

– Nie wiem – odparł Vos. – Myślę tylko... że zbliżamy się do rozwiązania. To moja sprawa. Nie twoja.

Jansen burknął coś, spytał o Poppenhuis. Vos odpowiedział z wahaniem. Pogadali o Menzie i o tym, jak się dowiedzieli, że Surinamczycy przejęli kontrolę nad tym przybytkiem.

– To wszystko? – spytał głos po drugiej stronie. – Nic więcej nie macie?

– Powiedziałbym ci wszystko?

– Powinieneś. Jedziemy na tym samym wózku. Jesteśmy naiwni. Nie rozumiesz tego?

Vos przypomniał sobie widok na polu tulipanów. Dwa spalone ciała we wraku mercedesa.

– Nie do końca.

– Okłamywano nas. Zwodzono nas jak głupków. Te dzieciaki, które Menzo na mnie nasłał. Przysłał je do tego domu z lenistwa. Przejął ten biznes dla zachcianki. A teraz chciał się go pozbyć. Zgarnąć odszkodowanie.

Van der Berg wyszedł z baru i stanął przed drzwiami. Palił papierosa, opierając się o szybę i przyglądając się koledze po drugiej stronie wąskiej ulicy. Trzymał w ręku smycz, a Sam węszył na chodniku.

– Ty to wiesz, prawda?

– Wiem – potwierdził Jansen ze zboląłym westchnieniem. – Cokolwiek się stało w tym domu, nie pytaj, bo jak ci powiedziałem, jestem naiwniakiem. Te dom podlegał mnie. Nie Jimmy’emu. Nie wiedziałem o tym. Nawet nie wiedziałem, że jestem właścicielem tej cuchnącej dziury. Dzieci? Dziewczynki? Ja się nie zajmuję takimi rzeczami.

Van der Berg próbował namierzyć rozmowę. Trzymał przy uchu swój telefon. Pokręcił głową do Vosa.

– Jesteś dobrym biznesmenem, Theo. Jakoś trudno mi uwierzyć, że to była dla ciebie niespodzianka.

Nie usłyszał spodziewanego wybuchu. Tylko znowu długie westchnienie.

– Wiesz co? – rzekł Jansen. – Mnie też trudno w to uwierzyć.

– Stoję na dworze, na zimnym deszczu – ciągnął Vos. – Omówmy to twarzą w twarz. Przy piwie. – Zastanowił się. – Może potem pójdziemy każdy swoją drogą.

Teraz usłyszał śmiech, długi ochryply grzmot.

– Co to ma być? Pieter Vos, najporządniejszy gliniarz w Amsterdamie, pogada ze ściganym przestępcą? Mordercą? A potem pozwoli mu odejść?

– Nie na zawsze. Tylko dopóki obaj... – przez chwilę nie mógł znaleźć właściwego słowa – nie będziemy usatysfakcjonowani.

– Straciliśmy córki. Nic tego nie naprawi. – Pauza. W głosie Jansena pojawiło się coś nowego, jakaś rezygnacja. – Prawda?

Vos milczał.

– Przepraszam – rzekł Jansen. – Nudzę cię?

– Szczerze mówiąc, owszem.

Cisza. Może się rozłączył.

Potem szorstki głos w jego uchu powiedział:

– Pozwól, że podrzucę ci coś do przemyślenia. Rosie kierowała tym domem za moimi plecami. Z kimś jeszcze.

– Z kim?

– Cierpliwości, Vos. Jak mi dogodzisz, to może się dowiesz. Cały czas zajmowała się tym Rosie. Wiedziała, że tam się stało coś złego. Przestraszyła się i sprzedała to Menzowi za moimi plecami. Mnie też chciała mu sprzedać. Rodzina, rozumiesz? Człowiek myśli, że wie, na czym stoi...

Van der Berg ruszył na drugą stronę ulicy. Vos podniósł dłoń. Nie chciał, żeby podchodził.

– Dlaczego mi to mówisz? – spytał.

– Po odejściu z policji tobie się naprawdę popieprzyło w głowie, co? Teraz jesteś ociężały. Wiesz o tym? Ociężały i głupi.

– Staram się, jak mogę. Przydałaby mi się niewielka pomoc.

Znowu śmiech. Krótki i zimny.

– Tak nisko upadliśmy? Ty i ja.

– Theo...

– Dwie możliwości. Albo ktoś po mojej stronie zabił Rosie, bo nie tylko mnie przerabiała. Albo...

Urwał. Vos musiał go ponaglić.

– Albo... – podjął Jansen. – Jak wspomniałem, coś wiedziała. Może o tym, co się wydarzyło w Poppenhuis. Z tego powodu został zamknięty. Mnie nie pytaj. I nikt, z kim gadałem, też raczej nie wie. Z tym że nie dotarłem jeszcze do wszystkich. Ale dotrę. Więc dlatego właśnie nie umówimy się na piwo. Nie teraz.

Rosie Jansen. Jeden strzał w głowę. Broń była nierejestrowana, odciski starte. W szufladzie mieszkania znaleźli paczkę naboju. Raport z sekcji zwłok wskazywał na walkę. Niewykluczone, że ten ktoś, kto do niej przyszedł, chciał tylko pogadać. Że broń należała do Rosie. Wyciągnęła ją, zaczęła się walczyć, Rosie ją przegrała.

– Nie jestem pewien, czy ten, kto do niej przyszedł, chciał ją zabić – powiedział Vos. – Jeśli to pomoże.

– Ale zabił. A potem zostawił ją na twoim progu. Dlaczego?

Vos zadawał sobie to pytanie od początku.

– Już ci mówiłem. Z jakiegoś powodu miałem wziąć udział w tym śledztwie. Dla mnie to też zagadka. Masz dla mnie coś jeszcze?

– Tylko obietnicę – powiedział Jansen spokojnie. – Nie lubię być

oszukiwany, nawet przez własną kłamliwą córkę. Wyrwę serce temu, kto to zrobił. Wejdź mi w drogę, a rozerwę cię na kawałki. Jeśli znajdzie taka potrzeba, wyduszę całe to cholerne zakłamanie miasto.

– Poczujesz się wtedy lepiej? – spytał Vos.

Cisza. Mówił do pustki.

Van der Berg podszedł i spytał:

– Masz coś?

– Nie jestem pewien.

Vos poczuł się zmęczony. Skołowany. Głodny. Wrócili do Piepera i kupili sobie sandwicze. Zjedli je, a potem dopili piwo, właściwie w milczeniu.

– Naiwniacy – wyszeptał Vos, gdy pies niecierpliwił się u jego nogi. Chciał do łóżka.

– Co? – spytał Van der Berg.

– Theo Jansen mówi, że jesteśmy naiwni. Ja i on. – Vos poczuł, jak Sam szarpie za smycz. Musiał wyjść. – Może ma rację.

– Jansen to przestępca. Nie macie ze sobą nic wspólnego. – Van der Berg położył mu rękę na ramieniu. – Nic.

– Tak można by sądzić. Ale jeszcze nigdy go takiego nie słyszałem. Jest wściekły jak cholera. Musimy go znaleźć. Theo jest na złej drodze.

Van der Berg wybuchnął śmiechem.

– I my powinniśmy się tym przejmować.

– Powinniśmy – odrzekł Vos. – Zdecydowanie powinniśmy.

Koeman zostawił ją z zaproszeniem. Z wyzwaniem. Nie bała się wyzwań. Laura Bakker poszła na górę do wydziału kryminalistyki, roześmiała się, gdy ostatni obecny technik zażartował z jej zielonych spodni i marynarki w kratę. A potem nakłoniła go do rozmowy o pracy nad rosnącą kolekcją zdjęć i filmów w systemie. Starali się wyciągnąć jak najwięcej informacji z fotografii Katji i Anneliese. Próżna robota. W tej chwili wiedzieli dokładnie tyle samo, co wtedy, gdy zdjęcia trafiły do ich rąk. Dziewczyny w Vondelpark. Katja, niewątpliwie dręczona, w nieznanym miejscu, na tle nijakiego tła.

Najnowsze zdjęcia wykonano zwykłym smartfonem. Niedawne daty, chociaż mogły być podrobione. W środku żadnych tajemnic. Żadnych subtelnych aluzji. Żadnych darmowych wskazówek. Zupełnie jakby dziewczynę posadzono na tle blue screena, zrobiono zdjęcie, nagrano, a każdy najmniejszy szczegół informacji w tle usunięto.

– Sprytne – powiedziała Bakker, przeglądając zdjęcia jedno po drugim.

– Nie – poprawił ją technik. – Fachowe. – Zerknął na zegarek. Dochodziła dwudziesta pierwsza. – Idę już. Popatrzymy jutro. Pobaw się, jeśli chcesz. Ale nic nie zmieniaj ani...

Krępował się. Wiedział.

– Albo będzie na mnie? – zgađła. – Tak jak wgnieciony samochód i te wszystkie wieśniactwa?

– Właśnie – przyznał.

Odprowadziła go wzrokiem. Została i bawiła się komputerem. Przeglądała najrozmaitsze pliki. Wreszcie trafiła na coś ciekawego. Mejl wysłany do Wima Prinsa poprzedniego ranka, przechwycony przez Vosa. Niezidentyfikowany mężczyzna w łóżku z Margriet Willemsen. Kobieta, która teraz kierowała Amsterdamem, wyginała się, wykonując gwałtowne ruchy, zatracona w sobie.

Bez dźwięku. Twarz mężczyzny zupełnie niewidoczna. Przypomniała sobie, jak Prins krzyczał, że to nie on. Wyglądało na to, że wszyscy mu uwierzyli, ale Bakker nie wiedziała dlaczego. Nie dało się zobaczyć. W pokoju było ciemno. Blade ciało kobiety zasłaniało twarz mężczyzny. I...

Laura Bakker odsunęła krzesło od laptopa. Patrząc na to nagranie, czuła się skrępowana. Jak podglądacz. Źle.

Podskoczyła, gdy za jej plecami rozległ się dźwięk.

Wysoka sylwetka. Podniosła wzrok. Klaas Mulder. Z kamienną twarzą jak zwykle. Człowiek, z którym lepiej nie zadzierać. Chciał wiedzieć, co ona robi w kryminalistyce o tak późnej porze. Odpowiedziała mu więc, że tropi.

Mulder podszedł do komputera, wpatrywał się w znieruchomiałą obraz. Uśmiechnął się.

– Tropisz? – spytał ze złośliwym uśmiechem. – W twoim wieku powinnaś rajcować się czymś w realu.

– Dzięki za radę.

– Cały dzień ten materiał przeglądali zawodowcy – dodał. – Ludzie, którzy znają się na swojej robocie. Niczego nie znaleźli.

– Może coś przeoczyli.

– Idź do domu – rozkazał.

Wróciła do ekranu.

– Powiedziałem, że masz iść do domu.

– Pracuję dla Vosa. Nie dla ciebie.

Dwa poruszające się nagie ciała. W kryminalistyce pracowali prawie sami mężczyźni. Rzucili na to okiem i wiedziała, na co patrzyli przede wszystkim. Było to nawet logiczne. Ciała. Twarze. Tożsamość. Ale ludzie na nagraniu uprawiali seks w zagraconej sypialni. Półki z książkami na ścianach. Kołdra zrzucona na podłogę. Ubrania. Były inne możliwości.

Bakker chwyciła za myszkę, rozciągnęła prostokąt na czymś, co wyglądało na garnitur i buty. Zrobiła powiększenie.

Mulder usiadł na biurku obok komputera, na tyle blisko, by czuła się tym skrępowana.

– Skoro ci mówię, że masz wyjść, to masz wyjść.

– Jak skończę – odparła.

– Aspirantko Bakker...

– Jeśli w przyszłym tygodniu mnie zwolnią, Mulder, to jakie to ma, do cholery, znaczenie? – spytała. – I tak się mnie pozbędziesz. Musisz tylko poczekać.

– Nie pasujesz do tej pracy – powiedział łagodnym, wkurzającym tonem. – Jesteś niezdarna. Nie rozumiesz idei dyscypliny. Pracy zespołowej. Przygotowań. Planowania. Nie należysz do tego miejsca. Do tego miasta. Wracaj...

– Nie, nie – przerwała mu. – Nie mów tego. Nie mów, że mam wracać do przerzucania krowiego łajna. Wymyśl coś nowego, błagam. Powtarzasz się w kółko, utknąłeś jak wy wszyscy.

Koszula. Majtki. Skarpetki. Lśniące buty. Pewnie czarne. Buty urzędnika. Solidne. Ale nie tak solidne jak jej. Niemniej jednak porządne obuwie, a to zawsze ceniła.

Położył dłoń na jej ramieniu. Bakker odwróciła się i wbiła wzrok w jego palce.

– Zabieraj łapę albo słowo honoru, rano złożę skargę – powiedziała bardzo spokojnie. – Może jeszcze dorzucę coś o napastowaniu. – Spojrzała teraz na niego. Koeman pożerał kobiety wzrokiem i ledwie zdawał sobie z tego sprawę. Mulder patrzył na nie pożądliwie. Rozpoznała to spojrzenie. – Czemu sądzę, że w to uwierzą?

Mulder zabrał rękę, uśmiechnął się zimno, pokręcił głową.

Wróciła do ekranu. Zobaczyła coś w rogu, obok rzuconych spodni. Portfel. Kiedy spadł na podłogę, wysypało się z niego kilka rzeczy. Karty kredytowe. Pieniądze.

– Nie będę się powtarzał – warknął Mulder.

– No to się nie powtarzaj.

Kolejne powiększenie. Do maksymalnej rozdzielczości. Na pasku narzędzi znajdowała się ikonka narzędzia do wyostrzenia obrazu. Kliknęła w nią. Karta kredytowa do góry nogami. Tylko że to nie była karta kredytowa. Bakker zamrugła powiekami. Miała za sobą trudny dzień. Próbowwała zrozumieć, co widzi. Mulder się przysunął.

Przedmiot na ekranie wydawał się znajomy, a Bakker usiłowała to pojąć.

Spojrzała po raz ostatni i cofnęła operację, a potem zlikwidowała też zoom. Wstała. Wygładziła pomiętą workowatą marynarkę. Próbowwała się uśmiechnąć do Muldera.

– Masz rację – przyznała. – Przepraszam. Poniosło mnie.

Nie patrzyła mu w oczy. Nie chciała zobaczyć tego, co w nich było.

Poszła do windy. Kryminalistyką zajmowała pomieszczenia na czwartym piętrze. Bakker zostawiła rower pod wiatą na tyłach budynku, na końcu wąskiego zaułka, z którego wychodziło się na ulicę.

Mulder wszedł do windy razem z nią, oparł się o ścianę. Nie wcisnął guzika. Tylko patrzył.

– Parter – powiedziała, wskazując panel. – Poproszę.

Wtedy wcisnął. Przez całą drogę na dół nie odrywał od niej wzroku. Stał w recepcji, gdy ona drżącymi dłońmi szukała kluczyka do roweru w taniej torbie ze sztucznej skóry.

Za kontuarem stał policjant w mundurze. Bakker wymeldowała się u niego. Zostawiła Muldera na komisariacie, pewnym krokiem wyszła bocznym wyjściem, hamując się, by nie puścić się biegiem. Znalazła rower w wilgotnej, ciemnej wiacie. Rozpuściła włosy, bo tak czuła się lepiej. Wsiadła na siodełko, starając się nie spaść.

Lał deszcz. Zza muru dobiegł ryk autobusu ruszającego z przystanku.

Wyjęła telefon, palce nieporadnie uderzały w klawisze.

Powinna była ustawić szybkie wybieranie do Vosa. Co za idiotyzm. Jedną ręką żonglowała telefonem, drugą – kierownicą roweru, wielkimi stopami uderzając o pedały, kołysząc się, by zachować równowagę, gdy z rowerem między nogami podążała nieporadnie w stronę bramy.

Wysokie ceglane ściany w zaułku prowadzącym na ulicę. Za nimi kolejny autobus przejechał z rykiem, a cuchnąca fala z jego wydechu odbiła się od ściany, wzbijając w powietrze jej rozpuszczone włosy.

Bakker próbowała odgarnąć je ramieniem, trzymając telefon w prawej dłoni i przemieszczając się ostrożnie zaułkiem prowadzącym do ulicy. Zaczęła uderzać w klawisze, zanim tam dotarła. Kliknęła w ostatni.

Mocne kroki za plecami. Nie spojrzała.

Jeden potężny cios zrzucił ją z roweru, na ziemię, telefon jej wyleciał, a głowa uderzyła mocno o bruk.

Jakaś postać w górze. Laura Bakker potrząsnęła głową, w nadziei, że będzie lepiej widzieć.

Udało się.

Długa ostra linia srebra połyskiwała w świetle dalekich latarni.

30

W kieszeni Vosa zadzwonił telefon. Spojrzał na wyświetlacz.

– Laura?

Po drugiej stronie nikt się nie odezwał. Słysząc było tylko odgłosy. Stłumione. Nierozpoznawalne.

Czekał, słuchał. Nic więcej.

Wzruszył ramionami i odłożył telefon do kieszeni.

Potem pojechali z powrotem wzdłuż kanału, z psem przysypiającym w koszyku, a Van der Berg plótł coś wesoło u jego boku. Ich rozmowa w barze była warta zachodu. Niektóre rzeczy należało powiedzieć.

W pobliżu Drie Vaten Vos zdradził koledze trochę szczegółów o telefonie od Jansena. Van der Berg, bystry i uważny człowiek, słuchał, drapał się chwilę po brodzie, zerkając na zbliżający się bar na rogu.

– Ja już dziękuję za piwo – zastrzegł Vos czym prędzej. – Muszę się wcześniej położyć.

Van der Berg mieszkał po drugiej stronie kanału. Dziesięć minut dalej.

– Dobry pomysł. Co do Jansena... – Obaj wiele razy przesłuchiwali gangstera. Uważali, że trochę zdążyli go poznać. – On kochał to dziecko, Pieter. I ona też go kochała. A w każdym razie tak myślałem.

– Kochała – potwierdził Vos. – Ale go zdradziła.

– Theo nie przyjąłby tego lekko. To stary amsterdamczyk. Ma bzika na punkcie rodziny. I na punkcie zaufania. – Zatrzymali się na skrzyżowaniu z pomnikami. – Gdyby się dowiedział, że ona go oszukuje, wściekłby się jak diabli. Myślisz, że mógłby wysłać kogoś, żeby się z nią rozmówił?

– To po co by mi o tym mówił? – spytał Vos. – Obaj jesteśmy naiwni. Pamiętasz?

Van der Berg wzruszył ramionami, uśmiechnął się jak to on, smutno i blade.

– No to nie wiem. To wszystko... coś tu się nie zgadza. Jeśli...

Był bystry. Czasami widział coś szybciej niż Vos. Teraz wpatrywał się w jakiś punkt na wodzie przed nimi. Vos podążył za jego wzrokiem, przypomniał sobie wieczór sprzed dwóch dni i zadygotał. Blady kształt w podtopionym bączku obok jego łodzi.

Van der Berg zdążył już zsiąść z roweru, oparł go o drzewo, nie zawracał sobie głowy przypinaniem, a to było niezwykle.

– Ty tych świateł nie zostawiłeś – powiedział, ruszając przodem.

Ale się świeciły. Na całej łodzi.

Van der Berg poklepał się po kieszeni. Rozpiął płaszcz. W kaburze pod pachą nosił pistolet. Vos nie miał broni. Najpierw musiałby przejść szkolenie. A Laura Bakker nie zdobyła jeszcze odpowiednich uprawnień.

– Odłóż to cholerstwo – polecił Vos, zsiadając z roweru. Delikatnie wyjął Sama z koszyka, podał Van der Bergowi smycz i kazał mu odprowadzić psa do baru.

31

Gdy uderzyła w ziemię, uświadomiła sobie, że nie ma tu żadnych kamer. Brama rowerowa prowadziła na ulicę. Kamery nie były potrzebne. Ruszyła się więc. Kopniak w plecy, który nawet za bardzo nie bolał.

Podniosła wzrok, zobaczyła wysoką postać. Chciała krzyknąć: „Ja cię nawet nie widziałam na tym nagraniu, kretynie”.

Tylko biało-niebieski identyfikator z napisem *Politie* i żółte logo z płomieniem.

Gdyby nie to, że tak się wiercił i wzdychał nad jej głową, w życiu by się nie domyśliła.

Co wydawało się... zabawne. A w każdym razie powinno się wydawać zabawne. Tylko że teraz Klaas Mulder z nożem w ręku stał nad nią w wąskim, obudowanym ceglami przejściu, które prowadziło od wiaty rowerowej komisariatu do ulicy.

Oboje mieli długie nogi. Ale ona była niemal dwadzieścia lat młodsza. Nieporadnie odsunęła się pod wilgotną ceglana ścianę. Mulder szedł po nią, ostrze błyskało. Wyrzuciła obie nogi i wielkimi ciężkimi buciorami mocno kopnęła go w golenie. Usłyszała stęknienie i przekleństwo. Znowu przetoczyła się na bok. Wstała. Kopnęła ponownie, z całej siły, zobaczyła, jak pada, kolejny wykop, twarde buty uderzające w miękkie ciało. Zostawiła go tak, dyszącego.

Trzy szybkie kroki do bramki i już będzie na ulicy. Laura Bakker rzuciła się w stronę metalowej kraty, słysząc, jak mężczyzna za nią wstaje z ziemi. Dopadła krat. Potrząsnęła nimi.

Przypomniała sobie.

Ochrona. Kraty zawsze trzymano zamknięte. Otwierały się tylko na zewnątrz i trzeba było skorzystać z interkomu z boku, żeby oficer dyżurny w recepcji uderzył w przycisk i je zwolnił.

Walnęła pięścią w przycisk, zaczęła krzyczeć, błagać i kląć do plastikowej osłony.

Czasami brama otwierała się szybko. Czasami dyżurny znajdował się daleko od biurka. Albo rozmawiał.

Bakker się odwróciła. Mulder już zdążył się podnieść. I trzymał nóż.

– Otwórz natychmiast! – krzyknęła, mocno szarpiąc za kratę. Podniosła wzrok. Górna krawędź znajdowała się o głowę nad nią. Mogła tam dosięgnąć. Ale na drugą stronę niełatwo będzie się przedostać. I odsłoni się, plecami do niego. Łatwy cel. Albo zginie, albo ucieknie.

Czyli nie miała wyboru.

Walczyć.

W chwili gdy się odwróciła, szykując się do wymierzenia kopniaków długimi nogami, Mulder jej dopadł, wbił łokieć w jej gardło, przycisnął twarz do jej twarzy.

Uśmiechał się. Podobało mu się.

Oparta plecami o stalową kratę, w starciu z silniejszym mężczyzną, zerkając to na niego, to na ostrze przy swoim policzku, myślała, rozważała opcje.

Zrobiła coś, czego nigdy nie ośmieliłaby się zrobić w Dokkum. W każdym razie nie przy świadkach.

Soczyście splunęła mu w twarz, po czym poderwała w górę prawe kolano i próbowała kopnąć go w krocze. Ale na to był za mądry. Krzepkie ramiona pchnęły ją w bok. Laura Bakker straciła równowagę, uderzyła mocno w ceglana ścianę.

Wielka pięść walnęła ją w lewy bok.

Dyszząc ciężko, ogłuszona przez nagły ostry ból, zatoczyła się na kratę. I zsuwała się na ziemię, podtrzymując się jedną ręką.

Klaas Mulder starł ślinę z twarzy. Jednym powolnym ruchem ramienia.

Po czym przesunął jej ostrze przed oczami.

– Będzie bolało – powiedział. – To...

Jeszcze jeden dźwięk. Głośny rozkaz. Rozkaz, którego on nie posłuchał.

A potem wybuch oślepiającego światła i ryk tak głośny, tak jasny, że nie zostało jej nic, jak tylko zamknąć oczy i czekać.

Vos wszedł na łódź, rozejrzał się. Zobaczył przy stole drobną pochyloną postać.

Dziewczyna. Młoda kobieta. Trudno powiedzieć. Tłuste, brudne włosy, jasne, w strąkach. Siedziała przygarbiona, miała na sobie tylko pobrudzoną kremową koszulę nocną, wyświeconą i poplamioną, która kończyła się na jej udach. Nogi też strasznie brudne. Nagie stopy oblepione błotem.

Płakała. Vos słyszał łkanie. Próbował je skojarzyć. Myślał. Miał nadzieję.

Podszedł do stołu. Ona nadal na niego nie spojrzała.

Trzy lata. Zmienili się. Postarziali. Dorośli.

– Anneliese – wyszeptał.

Przypomniał sobie, co mówiła Liesbeth, jak go złażała.

– Liese.

Brudne blond włosy się nie poruszyły. Twarz zwisała nad jego zniszczonym sosnowym stołem. Ręce były pokryte błotem, breją. Czarny osad pod krótkimi paznokciami.

Usiadł naprzeciwko niej, trzymał mocno ręce. Wiedział, że chce jej dotknąć. Wiedział też, że tego akurat na pewno robić nie powinien.

– Jesteś bezpieczna – odezwał się cichym, drżącym głosem. – Twoja mama. Trzeba ją zawiadomić...

Twarz się podniosła. Rzadkie włosy się odchyliły. Spojrzał i zrozumiał, że Theo Jansen ma rację. On był naiwny. Naiwnie szukał czegoś, czego nie było.

Posępne martwe oczy, zaczerwienione od łez, rozszerzone ze strachu, młoda twarz pomarszczona i pełna bólu. Katja Prins wpatrywała się w niego zza stołu. Otworzyła usta. Nic nie powiedziała. Próbowała. Żadnych słów.

– Bezpieczna – wyszeptał Vos, a i tak musiał się powstrzymać, by nie wyciągnąć ręki i nie dotknąć jej wychudzonych, brudnych palców. – Przepraszam, nie daliśmy rady...

Kroki na trapie starej łodzi. Podniósł wzrok, zobaczył, że zmierza ku nim Dirk Van der Berg. Z telefonem w ręku. Obserwował, jak on też siada, patrzy na dziewczynę.

– Jezu... – Van der Berg wpatrywał się w Vosa. – Pieter...

– Musimy wezwać karetkę dla Katji – przerwał mu Vos. – Zanim cokolwiek zrobimy, musi ją zbadać lekarz. Chcę...

– Pieter!

Vos poczuł, jako rośnie w nim złość, a to było rzadkie.

Starając się zachować spokój, odwrócił się do kolegi.

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz? – spytał.

Van der Berg przytaknął ruchem głowy.

– Słucham. Zajmę się tym. Ale coś się stało. Na Marnixstraat...

Katja Prins znowu zwiesiła głowę nad stołem, oparła ją na nagich, chudych rękach.

– Zaraz zadzwonię – powiedział Vos i wyjął swój telefon.

To Suzi wpadła na pomysł, żeby poszli do łóżka. Jansen zastanawiał się nad mądrością tego posunięcia. Seks od lat nie bardzo go zajmował. I nie on go kiedyś do niej przyciągnął. Ani też nie on ich ostatecznie podzielił. Nagi rytuał tak naprawdę był bardziej sposobem wyrażenia czegoś, czego żadne z nich nie potrafiło ubrać w słowa – przywiązania albo żalu. Miał być sposobem na zakończenie sporu, który w przeciwnym wypadku by się zaogniał.

Mocowali się bez słów w jej szerokim łóżku, spleceni tak jak kiedyś, sapiąc, wzdychając, nie patrząc sobie w oczy. Żadnych czułych pocałunków. Żadnych słów. Tylko rozpacзлиwa próba uczucia, poszukiwanie ulgi.

A potem było po wszystkim. On trzymał ją, bo tego chciała. Czuł wilgotną plamę jej łez na swoim ramieniu. Pocałowała go w policzek bardzo szybko, wyszeptała jedno słowo. „Przepraszam”. Obróciła się, wbiła wzrok w sufit. Zamknęła oczy.

Z dziedzińca Begijnhof napłynęło ciche, łagodne gruchanie gołębia. Głosy kilku przechodzących osób, kroki na bruku. Tego pokoju nigdy nie opuszczało światło. Wpływało zółcią, jak gasnące słońce, ze starych latarni za wysokim drewnianym domem, blisko rynsztoka, gdzie chciała być pochowana stara kobieta, tak aby przyszłe pokolenia stąpały po jej kościach.

Ona niedługo zaśnie. Rozpoznał rytm i dźwięk jej oddechu. W ogóle się nie zmienił. Na jej szyi przybyło fałd i zmarszczek, na skórze porów i plam, których nigdy wcześniej nie widział. Ale i tak była piękna i zawsze taka pozostanie. W przeciwieństwie do niego, wiecznego brzydala. Niepoprawnego. O czarnym wnętrzu.

Theo Jansen wiedział, jaki jest. Wiedział też, że nienawidzi tego miejsca. Nienawidzi takiej Suzi. Nawet nienawidzi, jeśli się postara, ich córki. Taki mężczyzna jak on miał sposoby, by sobie poradzić ze zdradą. Brutalne sposoby, które prowadziły do brutalnego końca. Taki był jego świat. Jego życie.

A teraz kobieta, która spiskowała z Rosie, leżała obok niego, przysypiając. W spokoju. Kruchy pakt hipokrytki z nieczułym Bogiem. Bogiem, który pozwalał jej oszukiwać i okradać, i kłamać, ale usprawiedliwiał się tym, kim

jest on, Theo. Przestępcą. Człowiekiem upadłym. Ślepym i łatwowiernym kretynek, jeśli chodzi o najbardziej intymny spiszek ze wszystkich, ten zwany rodziną.

Powoli się odwrócił, popatrzył na nią w żółtym świetle padającym na miękką kołdrę.

Jego ręce podkradły się powoli do jej szyi, przystanąły tylko na chwilę. Jej widok go oczarował, zachwycił. Twarz, która wydawała się zmienić tak niewiele, nadal była piękna i teraz, pogrążona we śnie, wolna od bólu, zwątpienia i winy, które nękały ją po przebudzeniu.

Wielkie palce Jansena zawisły nad jasnorożową skórą poniżej jej brody. Ciemniejszej, niż zapamiętał, poznaczonej zmarszczkami.

Jesteśmy starzy, pomyślał. Linia, która łączyła nas z radosną, pełną miłości młodością, została zerwana. A w jej miejsce...

Do wczoraj nigdy nie skrzywdził kobiety. Wypływało to raczej z praktycznych względów niż z zasad. Nie było potrzeby. Ani żadnej korzyści.

Ale teraz...

Dwadzieścia minut później ubrany, z portfelem wypełnionym pieniędzmi, o których wypłacenie poprosił ją po południu – pięć tysięcy euro w drobnych nominałach – Theo Jansen wyszedł z domu w Begijnhof. Przeszedł przez ciemne, mokre ulice De Wallen. Po drodze kupił maszynkę, piankę do golenia i trochę tanich ubrań w sklepie całodobowym.

Potem przestąpił przez próg taniego hotelu na Zeedijk i zarezerwował pokój na noc.

W takich miejscach nie zadawano pytań. To mu pasowało.

IV

Czwartek, 20 kwietnia

1

Twarz na poduszce. Oczy zamknięte. Delikatny rytmiczny oddech. Jasne włosy teraz już czystsze. Sen usunął tyle zmarszczek z twarzy, która mogłaby mieć szesnaście lat. Na pewno nie więcej niż dwadzieścia.

Vos stanął w progu izolatki w szpitalu Oosterpark i przyglądał się jej. Przyglądał się też Liesbeth siedzącej przy łóżku dziewczyny. Siódma rano w jasny wiosenny dzień, słońce świeciło tak silnie, że docierało tu pomimo żaluzji. Noc była długa i pracowita. Tylko dwie godziny snu, wyrwane na Marnixstraat. Potem tutaj, by znaleźć... ciszę.

Policjantka w mundurze zaproponowała, że z nimi zostanie. Potwierdziła, że Katja nie wypowiedziała ani słowa. Stres pourazowy. Liesbeth siedziała z nią cały czas, trzymała za rękę, próbowała rozmawiać. Ale na próżno. Katja spała pod wpływem leków już od pięciu godzin. I nic nie zapowiadało, że się obudzi.

Sprawa zbliżała się do czegoś w rodzaju rozwiązania. Katja Prins żyła. Wszystko łączyło się w całość. Wszyscy sprawiali wrażenie zadowolonych, a może nawet szczęśliwych.

Wszyscy tylko nie on.

– Powinnaś odpocząć – powiedział Vos cichym, stroskanym głosem.

Wbiła w niego spojrzenie. Dała mu znak, by wyszli na korytarz. Wcześniej raz jeszcze rozmawiał z lekarzami. Jak się zorientowali, Katja nie odniosła obrażeń fizycznych. Ale przez jakiegokolwiek przeszła doświadczenie, zebrało ono swoje żniwo. Wykąpali ją, nakarmili. Teraz na pewno nie odczuwała żadnego bólu. Ale blokada została i mogła się utrzymać przez kilka dni. Może nawet tygodni.

Liesbeth wyciągnęła go za drzwi na patio i zapaliła papierosa.

– Dlaczego mi nie ufasz? – spytała.

– Masz na myśli ten konkretny moment? Czy w ogóle?

– Dlaczego siedzi z nami ta policjantka?

– Dlatego, że Katja została uprowadzona. Nie wiemy, co się stało. Gdzie była. Jak się uwolniła. Niewykluczone, że się obudzi i spróbuje wyjść. Albo...

Nie kontynuował. Wiedziała, o czym myśli. Tak długo żyli razem, że nie

musiał kończyć.

– Albo że postaram się powstrzymać ją przed powiedzeniem czegoś?

– To śledztwo policyjne, Liesbeth. Nie oczekuj szczególnych względów.

Nic.

– Nadal uważasz, że to nie Wim stał za jej zniknięciem? – spytał Vos.

Mocno zacisnęła powieki. Ten wyraz bólu, który tak często oglądał.

– Spędziliśmy razem wiele lat, a ty i tak mnie nie znasz. Za Wima wyszłam dwa lata temu. Dlaczego...?

– Ale znałaś go dłużej.

Przelotny uśmiech, niezaprawiony goryczą.

– To prawda. – Wyrzuciła niedopalonego papierosa do pobliskiego śmietnika. – Mnie zawsze wydawał się łagodny. Nieszczęśliwy, w pewien sposób rozczarowany. Myślałam, że dam radę mu pomóc. On myślał, że pomoże mnie. – Wzruszyła ramionami. – Pewnie oboje się myliliśmy.

Skierowała na niego wzrok smutnych, poważnych oczu.

– Pewnie tak. Jeśli chodzi o Beę, był u kresu wytrzymałości. Tego jestem pewna. Gdyby Katja dowiedziała się, że ją skrzywdził... – Rozważała to jako ewentualność, zdaje się, że po raz pierwszy. – Nie wiem, co by zrobiła. Coś na pewno. Ale dlaczego teraz?

Jemu też nie dawało to spokoju. Poprosił Koemana, by rozeznał się w metodach terapii Żółtego Domu. Terapia regresywna polegała na zmuszaniu pacjentów, by zmierzili się z ukrywanymi tajemnicami z przeszłości.

– Bo wysłał ją na terapię – odrzekł. – Odzyskała pamięć, nie wiem, jak to określić. Albo może Katja wreszcie znalazła kogoś, kto jej uwierzył.

– Co dalej?

– Czekamy. Policjantka zostaje z nią. Z tobą.

– Na wypadek...

– Na żaden wypadek. Nie możemy Katji naciskać. Nawet gdybyśmy chcieli, lekarze na to nie pozwolą. Musimy zbadać inne opcje.

– Na przykład?

– Nie mogę zdradzić szczegółów.

– Coś się stało, prawda? W nocy? Słyszałam, jak policjantka rozmawiała

z którąś pielęgniarką. Powiedziała, że to było straszne.

Vos zerknął na zegarek. Czas iść.

– Mówią o tym w wiadomościach – odparł. – Pewnie i tak więcej, niż ja mógłbym ci powiedzieć. Kiedy Katja się obudzi... wrócę. – Zaczekał, aż znowu spojrzy mu w oczy. – Będziesz musiała się nią zaopiekować. Będzie kogoś potrzebowała. Jesteś jedyną...

– Ona mnie nienawidzi – przerwała mu. – Czy ty nigdy nie zaczniesz słuchać?

– Więc co tu robisz?

– A gdzie mam być? Co się stało, Pieter?

– Gdzieś tu mają telewizor – powtórzył.

I zszedł na dół, na oddział ratunkowy. Tu właśnie zabrali Laureę Bakker ostatniej nocy, gdy on z Van der Bergiem czekali na zespół, który zajmie się Katją Prins. I tu została.

Vos czekał do siódmej trzydzieści. Tyle miał czasu.

Potem zapytał w recepcji. Pokierowano go na oddział ogólny kilka minut drogi dalej. Tylko dla kobiet. Poza tym teraz nie były godziny odwiedzin. Naburmuszona pielęgniarka spojrzała więc groźnie na jego legitymację służbową i kazała zostać w poczekalni.

Weszła pewnym krokiem dziesięć minut później. Na policzku niewielki różowy plaster. Pod okiem siniak. Marynarka w kratę. Zielone spodnie. Lśniące czarne buty.

– Jak oni śmiać trzymać mnie tutaj?! – spytała natarczywie swoim donośnym północnym monotonem. – Jakim prawem...?

– Martwią się, czy nie masz wstrząśnienia mózgu. Martwią się o ciebie. Wszyscy się martwimy.

Ściągnęła brwi. Zdumiona.

– To nie mnie zastrzelił Koeman.

– Nie. Ale... – Wskazał na jej oszałamiający żakiet w kratę. – Możemy po drodze wpaść do ciebie? Żebyś się przebrała?

Ręce na biodrach. Pobladła twarz, wściekła.

– Mam po dziurki w nosie tych docinków o moich ubraniach.

– Nie chciałem ci docinać.

Pokazał, o co mu chodzi. Laura Bakker spojrzała na swój prawy rękaw. Podniosła go w górę. Cios zadany długim nożem przeciął tkaninę.

Przesunęła po niej palcami.

– Ciocia Maartje się wścieknie – stwierdziła.

Potrząsnęła rudymi włosami, a następnie wyjęła gumkę i zaczęła je wiązać na karku.

– Mulder nie żyje, prawda?

– Pogadamy po drodze – odparł Vos.

2

Rano w Begijnhof panował spokój. Nie wpuszczali turystów tak wcześnie. Ale ona od lat nie spała tak dobrze.

Nareszcie wiedział. Ulżyło jej.

Suzi Mertens nadal nie rozumiała, dlaczego wpuściła go do łóżka. Dlaczego on tak łatwo przyjął zaproszenie. Nie czuła potrzeby przeproszenia. Rosie była nieugięta: miały coś na własność. To nie był już świat mężczyzn. One też zasługiwały na jego część. Na własny kawałek z biznesu tak wielkiego, że każdy mógł sobie coś uszczknąć na boku.

– Ja też zasłużyłam, Theo – powiedziała na głos, naga, zmarznięta, sama.

A teraz go nie było. Tak jak za dawnych czasów. Zniknął rankiem bez słowa.

Wstała. Wzięła prysznic. Ubrała się. Zapomniała o śniadaniu. Udała się do maleńkiej kaplicy, przeszła przez rynsztok i pochowane tam stare kości, wsunęła się do środka, by się modlić.

Bardziej o zrozumienie niż o wybaczenie. To, co się zdarzyło, było grzechem. Rosie zapłaciła za to w najokrutniejszy sposób. Tego ciężaru nigdy się nie pozbędzie. Bez względu na to, ile razy padnie na swoje sztywne kolana, uklęknie na twardej podłodze kaplicy, złoży dłonie i spróbuje porozmawiać z Bogiem.

Ale Theo Jansen był tylko człowiekiem. Zwyczajnym i wyjątkowym. Poczciwym i niedoskonałym. Człowiekiem, którego kiedyś kochała. Może kochała nadal, mimo że nie rozumiała błysku nienawiści w jego oczach w ostatni wieczór, zanim zmusił ją do wyznania prawdy. Prawdy, którą już i tak znał.

Otworzyła oczy. Rozejrzała się. Sama w niewielkiej kaplicy o tej porannej porze. Zapach świeżych kwiatów zmieszany z pastą do drewna i odrobiną wilgoci. Rosie nigdy tu nie przychodziła. Nie śmiała się, kiedy Suzi prosiła. Była dobrą dziewczyną. Kochającą córką. Niekiedy okazywała się i charakter na miarę swojego ojca. Ale z matką w zasadzie się nie kłóciła. Nawet gdy coś mrocznego i złego zdarzyło się w tym domu przy Prinsen.

Wstała, owinęła się płaszczem w przenikliwym chłodzie kaplicy.

Theo pójdzie do więzienia. To było nieuniknione. Okazując pokorę

i skruczę, może zyskać trochę łaski. Zachęci go do tego. Publicznie go wesprze. To będzie koniec jej życia w Begijnhof. Nie mogłaby tu zostać z czystym sumieniem.

A potem... kiedy wyjdzie z więzienia...

Już teraz uważał, że jest stary, a nie miał jeszcze sześćdziesięciu lat. Zanim wyjdzie, stanie się jednym z licznych nazwisk w archiwach gazet. Raczej zapomnianym. Może z większością majątku skonfiskowaną przez chciwe państwo.

Ona i Rosie miały pieniądze ukryte na tajnych kontach. To na pewno było bezpieczne rozwiązanie. Po wszystkich tych latach dojenia Thea mogłaby mu się może odwdziaczyć i zapewnić rentę. Nie był butny. Ten pomysł mógł go nawet ubawić.

Suzi Mertens potrząsnęła głową. Żałowała, że nie może myśleć sprawnie. Ostatnia noc stanowiła swoiste pożegnanie i oboje zdawali sobie z tego sprawę. Nie było już żadnej miłości do rozpalenia. Tylko szacunek, w jej wypadku doprawiony niewielką domieszką strachu.

Theo był, jaki był. W jakiejś części mógł się zmienić, ale nie cały, choćby nie wiadomo jak się starała.

Trwałe pojednanie między nimi było niemożliwe z jeszcze jednego powodu. Za duża odległość, za dużo cuchnącej przeszłości. Miała tylko głupie marzenie, które się rozwiało, gdy zajrzała w jego zimne rozczarowane oczy.

Wyszła na zewnątrz. Turystów nadal nie widać. Gołębie trzepotały i gruchały. Mężczyzna w czarnym zimowym płaszczu, za grubym na poranek, siedział przygarbiony na ławce w części ogólnodostępnej, plecami do wysokiego drewnianego domu, w którym mieszkała.

Zerknęła na jego twarz. Stara, blada, wąsata. Schludne siwe włosy. Odrobinę znajoma.

Suzi Mertens usiadła obok niego.

– Będzie kiedyś lato? – zagaiła.

Przyjrzała mu się uważniej. Rzeczywiście go znała. Nawet znała jego imię. Maarten. Żołnierz z przeszłości.

Kiedyś zawsze wydawał się radosny. Niby miły, na ile o którymkolwiek

z nich dało się tak powiedzieć. Jeden z chłopaków z gangu. Kipiał od sprośnych żartów i śmiechu. Teraz był żaloszny i przybity jak ona w ten chłodny kwietniowy poranek.

– Nie dla wszystkich – odrzekł.

Rozpiął płaszcz. Trzymał tam jakiś przedmiot, szary i błyszczący. Broń.

– Nie chciałam go skrzywdzić – powiedziała cicho. Nawet ona słyszała, jak żaloszne są te słowa.

– Ale skrzywdziłaś.

– Tak. Obie go skrzywdziłyśmy, Rosie i ja. Nie zdradziłyśmy go. Naprawdę. Chciałyśmy tylko mieć coś, co będzie nasze, własne. Coś, co same stworzyłyśmy. Czego on nam nie dał.

Nie zamierzała uciekać. Nie przed tym bandytą w średnim wieku, który już zbrukał to drogie spokojne miejsce.

Patrzyła w jego starą żaloszną twarz. On tego nie chciał. Theo go przysłał.

– A teraz on chce mojej śmierci – powiedziała.

Nie należało pytać. Należało się kulić, trząść się, błagać.

Maarten stanął nad nią. Płaszcz rozchylony. Dłoń na broni.

3

Mieszkanie Klaasa Muldera znajdowało się na pierwszym piętrze budynku w De Pijp. Przez noc ekipa dyżurna zdążyła uchylić maskę zmarłego nadinspektora, ujawniając inne oblicze sztywnego, bezkompromisowego człowieka, z którym Vos pracował przez ponad dziesięć lat.

Mieszkanie, którego nigdy chyba nie odwiedził żaden z funkcjonariuszy, opowiadało własną historię. Garsoniera na ostatnim piętrze, trzy sypialnie w drogim nowoczesnym budynku. Na ścianach oryginały obrazów. Drogie nowoczesne meble. W salonie ogromny telewizor. To pachniało pieniędzmi. Przeanalizowali kilka wyciągów bankowych Muldera. Zgromadził ponad sto tysięcy euro na kontach w karaibskich rajach podatkowych.

Nóż sprężynowy, którego użył w napadzie na Bakker, został zidentyfikowany jako broń, którą zamordowano Annę de Vries. W szufladzie w jego mieszkaniu znaleziono iPada reporterki. Najwyraźniej nie zdążył go wyczyścić. Gdy na miejsce przybyli Vos i Bakker, ekipa właśnie przeglądała nagranie z Prinsem i Margriet Willemsen.

– Robotna kobieta, że tak sobie radzi z kierowaniem Amsterdamem i całą resztą – zauważyła Bakker, patrząc na parę kochanków.

Miała na sobie nowy, czysty szary kostium i nowe lśniące buty. Starła się nie okazywać, że ostatnia noc jakoś na nią wpłynęła.

W chwili śmierci Mulder miał przy sobie trzy różne niepowiązane karty SIM. Z jednej z nich wysłał esemesy do de Vries, rzekomo od Wima Prinsa i Katji, żeby ją zwabić w zaułek w De Wallen. Wyglądało na to, że przynajmniej ta sprawa zbliża się do końca.

Tuż przed dziewiątą pojawił się de Groot ze zmęczonym Koemanem. Bakker podeszła mu podziękować. Policjant sprawiał wrażenie zakłopotanego. Wciąż był wstrząśnięty. Technicy w białych kombinezonach nadal rozdzielali mieszkanie na części. I to nie było bezowocne zajęcie.

– A więc teraz mam jeszcze na głowie sprawę o korupcję? – spytał de Groot, gdy usiedli przy stole w urzędzonej z przepychem kuchni.

– Wygląda na to, że to pieniądze Surinamczyków – powiedział szef nocnej zmiany.

– Pracował dla Jimmy’ego Menza? – spytał komisarz.

– Tak się zdaje. – Policjant podał szefowi jakieś kartki. – I jeszcze jest to...
Rejestry połączeń na karty SIM Muldera. Żadna nie miała więcej niż miesiąc. Chyba je regularnie zmieniał.

Vos spojrzał na nazwiska na wydrukach.

– Dzwonił do Rosie Jansen – zauważył de Groot, również w nie zaglądając. – O osiemnastej. W dniu jej śmierci.

– Był po służbie – zauważył Vos. – Theo siedział w areszcie. Może się po prostu przyjaźnili.

De Grootowi to się nie spodobało.

– Musimy to ustalić, Pieter. Dzisiaj, jeśli się da.

Vos chciał się roześmiać, ale nie zrobił tego.

– To znaczy?

– To znaczy, że chcę to skończyć – wyjaśnił de Groot. – I tak już nie dadzą nam żyć. Menzo miał swojego człowieka w policji. I to wyższego rangą. Wiemy, że Prins sfingował ten absurd ze swoją córką...

– Nie, tego nie wiemy – przerwała mu Bakker. – Jeszcze nie poznaliśmy jej wersji.

De Groot machnął ręką lekceważąco.

– A jakie może być inne wytłumaczenie? Jak inaczej...?

– Zbadamy to – powiedział Vos – kiedy ona będzie mogła mówić.

Komisarzowi nie spodobał się ton jego odpowiedzi.

– Chcę, żeby ta sprawa została zamknięta – powtórzył. – Prins wykręcił ten numer ze swoją córką. Zamordował pierwszą żonę i dziewczyna się o tym dowiedziała. Mulder był wtyką Menza na Marnixstraat. Zabił reporterkę. Wiemy, że kontaktował się z Rosie Jansen tuż przed jej śmiercią.

– I znajdował się w tym rejonie – dodał szef nocnej zmiany. – Mamy nagranie monitoringu na placu Dam z tego wieczoru. Ona mieszkała za rogiem. Nikt nie wie, dokąd Mulder poszedł po pracy.

– Po czym ją podrzucił na twój próg, żeby nas wszystkich wywieść w pole – dodał de Groot. – Jimmy Menzo chciał śmierci Thea Jansena. Kiedy zamach się nie udał, wysłał Muldera, żeby chociaż zabił jego córkę. Macie wszystko ogarnąć. Prins. Mulder. Jansen. To się robi sprawa polityczna. Bądźcie dyskretni. I nie ociągajcie się. Jakież pytania?

Vos miałby całe mnóstwo. Ale żadnego nie chciał zadać w tej chwili.

– Przykro mi, że ta sprawa jednak nie wiąże się z Anneliese – dodał komisarz. – Wygląda na to, że Wim Prins prowadził okrutną grę kosztem twoim i Liesbeth. Mulder tylko się do niej dołożył. Może gdy to się skończy, damy radę...

– Ta sprawa się z nią wiąże – przerwała Bakker. – Musi być połączenie...

– Połączeniem jest Wim Prins – odparł de Groot. – Wiedział dokładnie, co się działo, gdy Anneliese zniknęła. Może... – Nie mógł spojrzeć w oczy Vosowi. – Może wiedział coś więcej. Pogadaj z tą jego córką, jak dojdzie do siebie. Zobaczymy.

Z drugiego pokoju przyszła policjantka z nocnej zmiany. Trzymała w ręku telefon i patrzyła na de Groota.

– Właśnie dostaliśmy billingi z rady miasta – powiedziała. – Pojawiły się z pierwszą pocztą dzisiaj rano. Nie wiadomo, kto je wysłał.

– I?

– Wygląda na to, że Margriet Willemsen dzwoniła do Muldera, zanim on zamordował Annę de Vries. Niedługo po tym, jak reporterka odwiedziła gabinet Prinsa – podniosła w górę trzymany przez rękawiczki iPad – ze swoim kinem domowym.

– Nie życzę sobie więcej polityki w tej sprawie – warknął de Groot.

– Ależ ta polityka tu jest, na miłość boską! – krzyknął Koeman. – Ta kobieta pieprzyła się z Prinsem i Mulderem. Prins wiedział o nagraniu. O co zakład, że zadzwoniła z tym wszystkim do Muldera i poprosiła go o przysługę?

De Groot warknął coś, czego nikt nie usłyszał.

– I musimy też przesłuchać tego gościa z rady – dodał Koeman. – Hendriksa. Nadal nie kupuję, że on się tak wszędzie przypadkiem pojawia.

– Chcesz aresztować zastępczynię burmistrza i jednego z jej urzędników? – spytał znacząco de Groot.

– Nie – odparł Vos spokojnie, starając się wyciszyć atmosferę. – Musimy z nim po prostu porozmawiać. Na razie u nich, nie u nas. A poza tym...

– Poza tym? – spytał de Groot.

Vos wzruszył ramionami.

– Pomijając Katję Prins – rzekł – a ona nie mówi, to co jeszcze mamy?

4

Theo Jansen znalazł farbę do włosów, którą kupił poprzedniego wieczoru. Nałożył ją na szczeciniastą głowę i brodę. Spojrzał na swoje odbicie w lustrze taniego hotelu na Zeedijk. Zobaczył głupca patrzącego na niego z poplamionego, popękanego szkła.

Miał pieniądze. Broń i mnóstwo amunicji. Nienamierzalny telefon. I przed sobą długi, pusty dzień czekania. Kiedykolwiek indziej, wolny tak jak teraz, poszedłby na spacer, wypiłby kilka piw. Przystanąłby przy straganie nad kanałem i przełknąłby śledzika. Tak jak kiedyś, gdy dla małej Rosie udawał pelikana, dyndając świeżą zimną rybą z cebulą nad rozwartą paszczą.

Kiedykolwiek indziej...

Takich dni już nie będzie. Nie będzie miłych chwil z córką. Nie będzie pojednania z Suzi. Jego życie skupiło się na akcie zemsty. Na śmierci osoby, która odebrała życie jego zdradzieckiej córce. Robił to dla siebie? Czy dla Rosie? Nie znał odpowiedzi na to pytanie. Nie obchodziło go to. Liczyło się tylko jedno, sam akt.

Jansen wykrzywił twarz i znowu sprawdził swoje odbicie w lustrze. Nie chciałby w takim stanie wrócić do więzienia. Przynajmniej tam zachował jeszcze jakąś godność.

Nagle zadzwonił telefon. Miał dwadzieścia minut, żeby dostać się do coffee shopu niedaleko Rokin. Lokal należał do niego. Albo kiedyś należał do niego. Teraz już nie był pewien.

Wziął swoje rzeczy. Wszystkie. Nie zamierzał zostawać w jednym miejscu dłużej niż jedną noc, dopóki nie wykona zadania. Zapłacił czterdzieści euro opryskliwej Lankijce w recepcji. Wyszedł na jasny dzień.

Nigdy nie myślał o Amsterdamie, że się zmienia. To był jedyny znany mu dom. Jedyne dostępne miejsce, choć nie można powiedzieć, że ta idea całkiem mu się nie podobała. Cywilizowane miasto, miejscami dystygowane, brutalne i niebezpieczne w kilku ściśle określonych rejonach De Wallen. Człowiek, który znał te ulice, rozumiał, dokąd idzie i dlaczego. Te ciemne zaułki kiedyś go ukształtowały, wtedy gdy używał swojej siły i sprytu, by wysłać na tamten świat lub podporządkować każdego, kto stanie mu na drodze.

Wlókł się wąską ulicą Zeedijk ze wzrokiem wbitym w bruk, czasami zerkając w okna. Zdał sobie sprawę, że nigdy wcześniej nie chodził po mieście ukradkiem, anonimowo. Był dumnym człowiekiem. Lubił patrzeć ludziom w oczy. Oceniać ich. I pozwalać, by oni oceniali jego. Tak jak Pieter Vos, smutny bystry policjant z Marnixstraat. Człowiek, z którym Jansen mógł się układać. Ale nie mógł go kontrolować. Wiedział, bo tego próbował.

Kolejne sklepiki. Kilkoro turystów, pijanych albo naćpanych. Trudno powiedzieć. Nieco dalej rząd kabin, czerwone światła, wielkie kobiety w bieliźnie. Jansen przystanął przed pierwszą z brzegu. Miała lśniącą hebanową skórę, wielkie różowe satynowe majtki i różowy satynowy stanik. Bezgłośnie mówiła coś sprośnego, wsuwała palec do ust. Pomachała mu różowym paznokciem, uśmiechając się szeroko, po czym wskazała interkom.

Jedno przyciśnięcie guzika. Ile? Pięćdziesiąt euro? Sto? Nie miał pojęcia. Te lokale pewnie należały do niego. A jeśli nie do niego, to do Menza i jego następców. To, co się w nich działo, wcale go nie obchodziło. Theo Jansen nigdy w życiu nie płacił kobiecie. Nigdy nie chciał ani nie miał takiej potrzeby. Zostałby z Suzi od początku do końca, gdyby ona na to pozwoliła. Ale tamta miłość umarła, gdy imperium się rozrosło. Więcej kabin. Więcej coffee shopów. Restauracje i sieć dostaw prowadząca w odległe rejony kraju.

To była praca. Nic więcej. Jak praca jego ojca. Tylko że lepiej opłacana, a dla tych, którym się udało, szczególnie intratna.

No i ktoś to musiał robić. Bo taka była natura życia, natura Amsterdamu. Każdego miasta, które odwiedził. Choćby nie wiadomo jak przeczyły temu kościoły i świętoszkowie. Theo Jansen dawał ludziom to, czego chcieli. Traktował dobrze tych, którzy byli wobec niego lojalni. Karał tych, którzy lojalni nie byli. To samo robił rząd. I też od zawsze.

Przed sobą widział już coffee shop. Przed drzwiami stał Maarten. Wielki gruby płaszcz. Długa żałosna twarz. Weszli do małego zadymionego pomieszczenia na tyłach. Wykopali ćpunów, którzy tylko spojrzeli i nie ośmielili się dyskutować.

– I jak? – spytał Jansen, gdy czarny facet zza baru podał im dwie piekielnie mocne kawy i zostawił ich samych.

– No, zrobiłem to.

Maarten wyglądał inaczej. Nie był taki przerażony i uległy jak kiedyś.

– I?

Fryzjer wziął głęboki oddech, potem łyk kawy i zreferował, co się stało z Mulderem.

– Jezu – mruknął Jansen. Nic innego nie przyszło mu do głowy.

– Myślałem, że on jest ciągle nasz. Ale okazuje się, że był Menza – dodał Maarten. – Rozmawiałem z kimś z Marnixstraat. Ostatni raz wyświadczone mi taką przysługę. Będzie postępowanie wyjaśniające. Ludzie się boją jak cholera. Mulder zabił tę reporterkę. Analizują możliwość, że Rosie też zabił. To pachnie pomysłem Jimmy’ego: skoro nie mogę dopaść jej starego, to chociaż ją.

– Wierzysz w to?

– Nie wiem już, w co wierzyć – powiedział Maarten cicho.

– Jimmy chciał mojej śmierci. Nie śmierci Rosie. Sam mi to powiedział.

– Jimmy był załganym draniem.

– Nie był idiotą! – krzyknął Jansen.

Im więcej o tym myślał, tym głupsze to się wydawało.

– Po co Mulder by robił coś takiego na własną rękę? Po co by ryzykował?

– Zabił tę reporterkę, no nie?

– Może miał powód. Ale nie miał powodu zabić Rosie. Ona i tak dogadywała się z Jimmym Menzem. Zrobiła z nim interes przy tym *privehuis*, na miłość boską. Po co by Menzo chciał ją zabijać?

– No to... poddaję się.

Zapadła niezręczna, brzemenna cisza. Wreszcie odezwał się Jansen:

– Suzi? Zrobiłeś to?

– Już powiedziałem, prawda? – warknął fryzjer.

Inne miasto. Inny czas. Maarten nigdy wcześniej się tak do niego nie odezwał.

– Usiadłem z nią. Pokazałem jej spluwę. Wyjaśniłem, że albo idzie na Marnixstraat i mówi Pieterowi Vosowi wszystko, co wie, albo ktoś się z nią rozprawi. Bo ty tak chcesz. Zdaje mi się... – zacisnął powieki, jakby na wspomnienie poczuł wstyd – że ona myślała, że sam to zrobię. Na pewno tak czuła.

– To dobrze...

– Nie, Theo! To nie jest dobrze.

Głos zbyt podniesiony w niewielkim pomieszczeniu wypełnionym mdłym, gryzącym odorem narkotyków. Fryzjer wpatrywał się w niego groźnym wzrokiem zza zniszczonego drewnianego stołu.

– Bóg mi świadkiem, że robiłem rzeczy, których nie chcę pamiętać – powiedział już ciszej, ale wściekłym tonem. – Ale nigdy nie krzywdziłem kobiet. Takich rzeczy nie robiliśmy, prawda?

Nieczęsto, pomyślał Jansen. Taka potrzeba zachodziła rzadko. Tak jak teraz.

– A więc pójdzie tam?

– Zostawiłem jej tę decyzję.

Jansen odsunął krzesło. Zastanawiał się, dokąd iść. Nie do zakładu Maartena. Taka koncepcja w ogóle mu się nie podobała.

Wyciągnął rękę. Fryzjer tylko się w nią wpatrywał.

– Tak sobie myślałem... – odezwał się Maarten. – Jestem twoim dłużnikiem. Jeśli chodzi o wydostanie cię z miasta. Zdobyć pieniądze. Paszportów. Umieszczenie cię w bezpiecznym miejscu, żebyśmy mogli zrobić ten układ z Roblesem... Z tym nie mam problemu.

– Bardzo wielkodusznie – zauważył Jansen.

– To ci się należy. Ale ten pozostały szajs. – Rozpiął płaszcz, wyjął broń, którą pokazał Suzi Mertens, przesunął ją po blacie. – Zapomnij.

Fryzjer patrzył Jansenowi prosto w oczy.

– Nie żartuję. Jestem stary. Obaj jesteśmy starzy. Jestem stary, zmęczony i chcę łatwego życia. Nie zamierzam go spędzić w więzieniu z byle powodu.

– Dla mnie Rosie nie jest byle powodem.

– A ty myślisz, że to tylko dla niej? Że nie chodzi o to, że przegrałeś? Że myśmy przegrali. Ani o to, że ona z Suzi cię kantowała?

– Nie przegraliśmy – odparł Jansen. – Jeszcze nie.

– Wszystko się w końcu rozpada, Theo. Nie powstrzymasz tego. Nic nie poradzisz. Ja i Robles, i ta menda Lindeman próbowaliśmy się zorganizować, żeby cię z tego wyciągnąć. Ale ty na to nie pójdziesz, prawda?

– Kiedy będę gotów. Kiedy się dowiem... co się stało z Rosie.

Fryzjer jęknął, wstał, spojrzał na Jansena i rzekł:

– Dokąd teraz idziesz?

Ten się roześmiał.

– Połowa De Wallen należy do mnie. Musisz pytać?

– Nie należy do ciebie tyle, ile myślisz. Jeśli trafisz w niewłaściwe miejsce, wydadzą cię. Krąży plotka. Jesteś kłopotem, jesteś niebezpieczny. Szalony.

– Ludzie tak do mnie nie mówią. To nie jest rozsądne.

– Może kiedyś nie było. – Fryzjer podał Jansenowi nowy telefon. – Sugeruję, żebyś od tej chwili używał tego. Nie wiem, czy tamten, który ci dałem, jest jeszcze bezpieczny.

– Suzi...

– Suzi ma ten numer. Ja go mam. Nikt inny.

Jansen wziął broń ze stołu, wepchnął do wolnej kieszeni płaszcza. Teraz miał dwie sztuki. Poczul się jak drugorzędny wykidajło wypatrujący okazji.

– Jeśli zmienisz zdanie i będziesz chciał się wynieść z miasta, możemy to zrobić choćby dzisiaj – dodał Maarten. – Chętnie. Nawet teraz. Osobiście zawiozę cię aż do Hiszpanii.

– Nie chciałbym cię zatrzymywać – odparł Jansen.

Groźne, zgorzkniałe, taksujące spojrzenie. Nigdy wcześniej nikt tak na niego nie spojrzał. I fryzjer odszedł.

5

Vos i Bakker ruszyli rowerami do Waterlooplein. W połowie Elandsgracht on zatrzymał się nagle, podekscytowany jakimś widokiem.

– Croissanty! – oznajmił i ruszył do sklepu z serami. Wyszedł z dwoma rogalikami, przetoczył rower do ławki obok pomnika Johnny’ego Jordaana i jego muzyków. Westchnęła i dołączyła do niego.

– Nie powinniśmy pracować? – spytała.

Wyciągnął wykaz rozmów, który rano ktoś wepchnął do skrzynki na Marnixstraat. Przeglądali go razem.

– Najlepsze serowe rogaliki w okolicy – dodał. – Lubię zjeść jednego codziennie koło jedenastej.

– Zawsze dobrze mieć jakiś porządek dnia – zauważyła.

Bakker spojrzała na rogalik, który dostała. Jeszcze ciepły. Chrupiący ser. Doskonale miękkie pieczywo. Ugryzła go, a następnie wykończyła kilkoma kęsami. Mruczała chwilę.

Przypałętało się kilka gołębi, wypatrując okruchów. Potem przeszła obok nich starsza pani z psem i głośno wyraziła nadzieję, że Sam dobrze się czuje i uczy się być mniej pobudliwy, a Vos uśmiechnął się w odpowiedzi i zasalutował jej.

Samochody i rowery. Znak na małej wyspie pomiędzy wąskimi drogami oznajmiający „Perła Jordaanu!”. Na ławce obok dwóch mężczyzn o podejrzanym wyglądzie paliło trawę. Przeszła matka z wózkiem i fuknęła na dziecko, które próbowało pociągnąć za strunę kontrabas na pomniku.

– Komu potrzebne restauracje? – spytał Vos. – Kiedy masz...

– Tak! Tak! Najlepsze croissanty na świecie. Dobra. – Postukała w wykaz połączeń. – Co z tym?

Wykaz dotyczył linii w biurze Willemsen. Jeden telefon do Muldera. Dziewięćdziesiąt sekund. Nic poza tym.

– Niewiele tego, szczerze mówiąc. Musimy trochę pokombinować, żeby coś z tego wycisnąć. – Szeroki uśmiech. – Jesteś na to gotowa?

Zmięta serwetkę, wzięła też jego oraz torebkę ze sklepu i wyrzuciła to wszystko do śmietnika.

– Tak sędzę – odparła i ruszyli rowerami do Waterlooplein.

Pozwolił Bakker, by prowadziła. Wielkie buty ciężko stąpały w korytarzach siedziby rady miejskiej. Zanim Vos zdążył się odezwać, ona już pytała o Margriet Willemsen. Przejaśniało się. Lato machało z daleka na powitanie. Na pchlim targu przed budynkiem kłębili się turyści i miejscowi. Wszystko wydawało się takie normalne. Jakiegokolwiek są kryteria normalności.

Recepcjonistka wróciła i oznajmiła, że Willemsen ma naradę. Zaoferowała, że wciśnie ich w terminarz koło pierwszej.

Vos kiwnął głową i przeskoczył przez bramki ochrony, machnął swoją odznaką panikującemu strażnikowi. Przy drzwiach windy sprawdził listę wydziałów. Już tu kiedyś był. Kierownictwo pracowało na ostatnim piętrze. Jakżeby inaczej?

Bakker podążyła tuż za nim. Nikt nie protestował.

Willemsen zajmowała dawny gabinet Prinsa. Siedziała na fotelu przy oknie z widokiem na De Wallen, dachy i wieże kościołów, czerwono-brązowe, czarna cegła i złoto mieniące się w słońcu. Alex Hendriks siedział naprzeciwko niej, gdy wpadli do środka, ignorując skrzeki sekretarki, która przyszła za nimi z recepcji.

– To jest narada? – spytała Laura Bakker i postawiła dwa krzesła obok Hendriksa.

– Teraz już tak – powiedział Vos z uśmiechem.

Bakker wyjęła dyktafon i notatnik. Hendriks wstał, by jak najszybciej wyjść.

– Może pan zostać – polecił Vos. Urzędnik jęknął i usiadł.

Willemsen patrzyła wściekle.

– To skandal. – Sięgnęła po telefon. – Dzwonię do de Groota. Nie możecie tak sobie wchodzić...

– Jeśli pani sobie życzy – przerwała Bakker – możemy omówić to z de Grootem na miejscu. Na Marnixstraat. Przyszliśmy tu na jego polecenie.

Vos spojrzał na nią. Kiwnął głową na potwierdzenie.

– Możemy porozmawiać tutaj – dodał – albo panią aresztujemy.

I podniósł do góry wykaz połączeń. Z oficjalną miejską pieczęcią u góry strony. Koniec sporu.

– Skąd to macie? – spytała.

– Dzisiaj rano dobry duszek wsunął nam to pod drzwi – poinformowała Bakker.

Willemsen straciła panowanie nad sobą. Perorowała o poufnych dokumentach. O naruszeniu poufności.

Gdy już się trochę uspokoiła, Vos spytał o telefon do Muldera.

Willemsen westchnęła boleśnie i powiedziała:

– On był naszym oficerem łącznikowym w Marnixstraat w sprawie De Nachtwacht. Nie wiecie o tym?

– Dlatego pani do niego dzwoniła? – spytał Vos.

– Tak. Mieliśmy umówione spotkanie. A po cóż innego miałabym dzwonić?

Zawahał się chwilę.

– To odrobinę delikatna sprawa – rzekł w końcu. Spojrzał na Hendriksa. – Ale tak czy owak... Sypiała pani z Klaasem Mulderem. Sypiała pani z Wimem Prinsem.

Wściekła cisza.

– Prawdopodobnie mniej więcej w tym samym czasie, jeśli wierzyć datom na filmie – dodała Bakker. – Nie mam na myśli jednocześnie. O ile wiemy. Tylko tak jakby... w niewielkim odstępie czasu.

Margriet Willemsen zamrugała powiekami.

– Jakim filmie?

Vos się uśmiechnął, odczekał chwilę i rzekł:

– Nie wie pani? Jeden znajdował się na iPadzie reporterki, którą Mulder zabił dwa dni temu. Na tym utrwalono panią i Prinsa. Drugi film wysłano do Prinsa, do domu. Na tym znajduje się pani i Mulder. – Podrapał się po policzku. – Może to trochę pokręcone...

Nie wyglądała na wzburzoną. Tylko po prostu na zdumioną.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

Bakker się skrzywiła.

– Anna de Vries była tutaj we wtorek. Miała ten film na swoim iPadzie. Powiedziała o tym Prinsowi. A on w ogóle...?

– Wim nic mi o tym nie wspomniał – odparła stanowczo Willemsen. – A ja

nigdy nie rozmawiałam z tą kobietą. Ani też Mulder, o ile wiem.

– Sypiała pani z nimi obydwoma! – krzyknęła Bakker.

Pokręciła głową. Ani jeden czarny włos nie drgnął. Willemsen sprawiała wrażenie pewnej siebie.

– Co panią obchodzi moje prywatne życie? Albo kogokolwiek?

– Mnie tu w ogóle nie powinno być – oznajmił Alex Hendriks i wstał. Vos pozwolił mu wyjść. Willemsen odprowadziła go wzrokiem do drzwi. Wwiercając mu się wzrokiem w plecy.

– Dwóch mężczyzn, z którymi była pani związana, nie żyje – powiedział Vos po wyjściu urzędnika. – Musimy się dowiedzieć dlaczego.

– Jestem kobietą wolną. To, co robię po wyjściu z pracy, to wyłącznie moja sprawa. Nie wasza.

– Ta reporterka mogła panią zniszczyć – odparła Bakker. – Jeden jej artykuł...

Margriet Willemsen wybuchnęła śmiechem.

– To Amsterdam. Nie jakieś pastwisko, na którym pani dorastała. Ludzi gównem obchodzi, kto z kim sypia.

– Pani wie coś w tej sprawie – nie ustępowała Bakker, a odrobina pewności zniknęła z jej głosu.

Willemsen zastanowiła się, po czym spojrzała na Vosa.

– Może wiem. Mówią, że Wim zabił swoją żonę. Że porwał córkę. Miałam krótki romans z Mulderem. Nic poza tym. Ale mogę wam coś powiedzieć. Ich też coś łączyło. Wychodzili razem. Na drinka, na przyjęcie.

– Na Prinsen znajduje się pewien *privehuis* – odezwał się Vos. – Trzy lata temu...

Pokręciła głową.

– Nie chodzę po burdelach. Mulder i Wim ściśle współpracowali przy De Nachtwacht. Byli w to znacznie bardziej zaangażowani niż ja. Szczerze mówiąc, uważam, że Wim miał obsesję na punkcie tego projektu, nie wiem czemu. Nigdy tego nie zrozumiałam.

Chwila namysłu, z pozoru przypadkowa.

– Wim naprawdę by się wściekł – dodała – gdyby wiedział, że ktoś nas nagrał. Miał straszny charakter. To mogę wam powiedzieć. – Spokojny,

pewny sobie uśmiech. – Ja wręcz przeciwnie. Każdy to potwierdzi.

Zerknęła na zegar na ścianie.

– A teraz naprawdę mam naradę. Jeśli będę mogła pomóc, zrobię to. Ale...

6

Dziesięć minut zajęło jej uspokojenie się na tyle, żeby była w stanie znieść jego widok. Wtedy dopiero wezwała Hendriksa z powrotem do swojego gabinetu. Przyglądała mu się, gdy zajmował miejsce na krześle. Drobnym mężczyzną. Przerażony i zagubiony. Ciągłe czegoś nie pojmowała.

– Co ja mam z tobą zrobić, Alex? – spytała.

Zamrugnął powiekami, bo oślepiało go jasne słońce zza okna, i milczał.

– Naprawdę. Spowodowałeś tyle problemów. Tyle niepotrzebnego bólu.

Hendriks schylił głowę, przez chwilę sprawiając wrażenie zbuntowanego.

– Przepraszałem już za filmy. Nie sądziłem, że się stąd wydostaną. Ktoś je wykradł. One były tylko... zabezpieczeniem.

– Masz na myśli szantaż?

– Jeśli tak chcesz to nazwać. Ja bym tak tego nie nazwał...

– Ty wysłałeś na Marnixstraat rejestr rozmów, prawda?

Hendriks skulił się, milczał.

– Wysłałeś im rejestr rozmów, bo obarczasz mnie odpowiedzialnością.

– Nie powiedziałem...

– Myślisz, że dzwoniłam do Muldera i kazałam mu się rozprawić z tą kobietą.

– Rozprawić? Ona została zamordowana.

Wybuchnęła śmiechem.

– Jeśli sądzisz, że jestem zdolna do... czy ty aby nie jesteś trochę... no... nierozgarnięty?

– To miasto nie należy do ciebie, Margriet! Tak samo jak nie należało do Wima. Do żadnego z was. – Wymierzył palec w swoją klatkę piersiową. – Należy do nas. – Ręką wskazał okno. – Do wszystkich. Nie możesz mówić nam, jak mamy żyć. Co myśleć. Co czuć.

Chciała na niego nakrzyczeć. Ale tylko powiedziała spokojnie:

– Twoim zdaniem Wim niczego by nie osiągnął z De Nachtwacht, prawda? To był jego ulubiony projekt. Jakaś tajemna obsesja. Wzięliśmy w tym udział, żeby dopchać się do żłobu. To wszystko. Na miłość boską, Alex. Nie musiałeś nas szpiegować. To wszystko by się nie wydarzyło. Ja bym do tego nie dopuściła.

– Tak sądzę – odparł Hendriks bez namysłu. A potem zrozumiał. Wiercił się nerwowo na krześle.

Zapadła długa chwila ciszy. W końcu Margriet Willemsen powiedziała napiętym głosem:

– Działałeś pod wielką presją. Moim zdaniem nie poradziłeś sobie zbyt dobrze. Najlepiej dla nas wszystkich będzie, jeśli złożysz rezygnację. Natychmiast. Opróżnij biurko i wyjdź.

– Tak sądzisz?

– Tak. Załatwię kwestię odprawy. Nie martw się. Będę szczodra. – Zerknęła na okno, potem na Hendriksa. – Idź do domu. Tam czekaj. Przyślę kogoś z HR-u. Niezwłocznie. Możemy to załatwić delikatnie. – Otwarte spojrzenie. – Nic nie musi trafić do twoich akt. Dostaniesz rekompensatę. Znajdę ci coś gdzie indziej. Tylko współpracuj. Koniec z kamerami. Z przeciekami. Z popieprzeniem...

– Nie dopuszczę, żeby mi ktoś groził... – wydukał Hendriks. – Zwłaszcza tacy jak ty.

– Czyli jacy dokładnie, Alex? Powiedz mi, proszę, kim jestem.

Nie odpowiedział. Wstał. Chwiejnie. I chwiejnym krokiem wyszedł.

7

Gdy Vos i Bakker wrócili na Marnixstraat, Suzi Mertens już czekała. Poważna, śliczna kobieta o smutnej, wymizerowanej twarzy. Burobrązowy płaszcz i szara suknia, jak zakonnica w cywilu. W recepcji poprosiła konkretnie o Vosa. I nie powiedziała nic więcej, poza tym że poczeka.

Wysłuchali jej w pokoju przesłuchań. Po pięciu minutach Vos przerwał rozmowę, zawołał trzeciego policjanta. Wyrecytował ostrzeżenie i włączył magnetofon na resztę jej opowieści.

Wszystko poniekąd nabrało sensu. *Privehuis* należał do niej i do Rosie. Theo Jansen nic o nim nie wiedział, nawet kiedy go zamknęły i za pośrednictwem Tajki sprzedały nieruchomość Jimmy'emu Menzowi.

– Dlaczego pani to zrobiła? – spytała Laura Bakker.

– Bo Rosie tak chciała.

– Dlaczego?

Bez odpowiedzi.

Vos wyłączył magnetofon, kiwnął głową na trzeciego policjanta, poprosił, by wyszedł. Kiedy zostali już tylko we trójkę, spytał:

– Dlaczego odeszła pani od Thea?

– Nie mogłam patrzeć, jak się zmienia, a nawet tego nie zauważa.

Ciągle wykręcała ręce. Zerkała na matową szybę oświetloną słońcem.

– Chciałam mieć normalne życie. Rodzinę. Kogoś... do kogo można się odezwać przy stole. Z kim się zabiera dziecko na plażę. Odbiera ze szkoły. – Palce poruszały się bardziej szaleńczo. – To nie było wiele, prawda? Ale Theo... każdy dzień był bitwą. Wojną. Kupował wszystko, co chciałyśmy. Spełniał wszystkie zachcianki. Ale nie miałyśmy jego. W każdym razie po narodzinach Rosie. Nie byliśmy rodziną. Tylko jego własnością.

– Mogła ją pani zabrać ze sobą – powiedziała Bakker.

Krótki, zimny śmiech.

– Tak pani sądzi?

Położyła dłonie na stole, świadoma, że się wierci. Trochę się pozbierała.

– Co się wydarzyło w *privehuis*? – spytał Vos.

Pokręciła głową.

– Naprawdę nie wiem. Rosie wszystko załatwiła. Mówiła, że najlepiej,

żebym ja nie była w to wplątana. Pewnego dnia po prostu zamknęła ten interes. Powiedziała, że możemy go sprzedać komuś innemu i niech oni sobie z nim radzą. Rosie nie dopuszczała do kłótni. Pod tym względem przypominała swojego ojca. To by było bezcelowe.

– To były dziewczynki – zareagowała Bakker gwałtownie. – Prawie dzieci. W ramionach starszych panów.

– Nie miałam pojęcia – odparła Suzi Mertens bardzo lekko.

– Ale Rosie miała – powiedział Vos.

Milczała.

– Mieszka pani w Begijnhof – podjęła Bakker. – Modli się pani w tamtejszym kościele? Prosi o wybaczenie?

– Ja się starałam!

Jej ostry głos odbił się echem po pokoju. Czekali.

– Starałam się – powtórzyła już łagodniej. – Coś tam się wydarzyło. Rosie była dumna z tego klubu. Mówiła, że przychodzą tam interesujący goście. Biznesmeni, politycy. Czasami gwiazdy filmowe. Ludzie z pieniędzmi. I z klasą.

– To byli pedofile – powiedziała Bakker. – Molestowali nieletnie dziewczęta, które nie mogły się bronić. A wyście na tym zarabiały...

– Ja nie ustalałam zasad – przerwała jej Mertens. – Nie chodziłam tam.

– Ale wiedziała pani, prawda? – spytała Bakker bardziej ponuro. – Orientowała się pani, że dzieje się coś dziwnego.

Suzi Mertens wpatrywała się w Vosa.

– Rosie wspominała, że do stałych gości należą osoby z policji. Przypuszczałam więc, że nie tylko ja przymykam oko.

– A jakieś nazwisko? – spytał Vos.

– To on ją zabił, tak?

– Mulder... – wyszeptała Laura Bakker.

– Dlatego to zrobił? – spytała Suzi Mertens. – Żeby ją uciszyć? Mam prawo wiedzieć. Theo również. Jak sądzicie, dlaczego on mnie tu przysłał?

– Gdzie jest Theo? – odezwał się znowu Vos.

– Powiedziałałabym wam, gdybym wiedziała. – Odczekała chwilę. – Czy dlatego Mulder zabił moje dziecko?

Vos wstał. Przestrzegł ją, że grozi jej kara za ukrywanie zbiegłego Thea Jansena. Że zostanie jej postawiony zarzut, gdy policja się za to zabierze.

– Nie odpowiedział pan na moje pytanie – zauważyła.

– To prawda – przyznał.

8

Alex Hendriks nie wrócił nawet po płaszcz. Po wyjściu z gabinetu Margriet Willemsen wsiadł do windy, zjechał na dół, wyszedł prosto na chłodny amsterdamski poranek, powstał chwilę pośród urzędników i turystów, popatrzył na łodzie na kanale, na handlarzy na targu.

Do kawalerki miał dziesięć minut spacerem. Wzdłuż Amstel, dalej przez Chudy Most i na Kerkstraat.

Tam zaczeka na zakłopotanego trutnia z działu kadr. W radzie rzadko zwalniano urzędników, a już w ogóle nie pamiętał, żeby zwalniano urzędników wyższego szczebla. Ale taka była kolej rzeczy. Sam ją ustalił.

Taki spacer odbywał codziennie od dziewiętnastu lat, podczas których pokonywał kolejne stopnie w urzędniczej hierarchii. Robiąc, co mu kazano. Będąc dobrym urzędnikiem służby cywilnej. Dalej wzdłuż kanału do ślicznego mostu pieszego, na którym siedzieli artyści malarze, próbując sprzedawać swoje płótna przechodzącym turystom. Spokojna, samotna przechadzka. Gdyby miał czas, przystanąłby przy malarzach, podziwiałby ich pracę. Powiedziałaby, że sam też by chciał rysować, co było prawdą, choć prawdą też było, że nigdy nie próbował. Zawsze czekała praca. Papiery, które trzeba załatwić. Decyzje, które trzeba podjąć. Radni, którym się trzeba podporządkować. Dźwignie i przełączniki, które trzeba uruchomić, by miasto funkcjonowało.

Czasami myślał o tych wyborach, gdy siadał nad Amstel, ciesząc się, że już wyszedł z budynku rady miasta i że ma za sobą De Wallen. Turyści prosili, by zrobił im zdjęcie pod białymi drewnianymi ramionami, które się podnosiły, by przepuścić łodzie kursujące w tę i z powrotem po szerokiej, ruchliwej rzece. On zawsze się zgadzał. Kochał Amsterdam pomimo wszystkich jego wad, był dumny ze swego rodzinnego miasta.

Jego niewielkie, skromnie urządzone mieszkanie znajdowało się dokładnie po drugiej stronie, blisko punktu, w którym Kerkstraat stykała się z trzyjezdniową ulicą noszącą to samo imię co rzeka.

Tego dziwnego dnia przeszedł koło artystów, nawet na nich nie spoglądając. Potem przystanął. Białe ramiona akurat się podnosiły. Wielka barka handlowa sunęła powoli rzeką w stronę Chudego Mostu. Turyści

powyciągali aparaty. Krzyczeli z uciechy.

Most. Łódź. Luka w dniu, w którym skończyło się jego dawne życie.

Hendriks patrzył na unoszącą się konstrukcję. Za nią widział swój dom na rogu Amstel i Kerkstraat.

Przed budynkiem zaparkował srebrny mercedes. Wysiadało z niego czterech śniadych mężczyzn w garniturach. Wyglądali na niespokojnych, zajętych. Jeden podszedł do drzwi, wcisnął guzik dzwonka. Pozostali się rozglądali.

Alex Hendriks wpatrywał się w nich jak skamieniały. Odkąd Wim Prins i Margriet Willemsen przejęli ster władzy w radzie miasta, on wszedł do innego świata. Może to wyjaśniało jego poczynania. A w każdym razie lubił tak myśleć.

Most wciąż podnosił się powoli. Oczy Hendriksa napotkały wzrok jednego z mężczyzn w garniturach.

Został rozpoznany. Poczul to. Zorientował się, gdy krew mu stężała w żyłach.

Krzyk. Odwrócili się dwaj inni. Czwarty, ten przy drzwiach, zrezygnował i też spojrział.

Ruchome przesła Chudego Mostu przemieszczały się powoli w stronę jasnego wiosennego nieba. Jeden ze śniadych mężczyzn skoczył w stronę skrzyżowania. Hendriks wciąż się w nich wpatrywał skamieniały. Miał wrażenie, że śni. Powolny koszmar podnoszący się z zimnych wód Amstel podkradał się do niego i ścinał mu członki lodem.

Światła na moście błyskały. Rozległ się cichy klakson. Najbliższy z mężczyzn dotarł do podnoszącej się krawędzi, próbował się jej chwycić.

Jedną rękę miał wyciągniętą. A w niej coś tak zaskakującego, że Hendriks obrócił głowę w bok jak zaciekawiony ptak.

Broń. Niewątpliwie.

Już było ich dwóch. I w tym momencie Alex Hendriks odzyskał władzę w nogach. Zrobił w tył zwrot i rzucił się biegiem, trzymając się drugiego brzegu Amstel, biegnąc po życie.

Przy głównej ulicy stało volvo. Biało-czerwono-niebieskie. Z napisem *Politie* z boku.

Obejrzał się. Białe ramiona stały pionowo. Postaci w garniturach kręciły się gniewnie za mostem. Zbyt daleko, by ścigać go na drugim brzegu.

Hendriks otworzył tylne drzwi radiowozu i wpadł do środka. Dwóch mundurowych odwróciło się i wbiło w niego wzrok.

– Marnixstraat – powiedział.

– To nie taksówka – burknął policjant za kierownicą.

– Chcecie wiedzieć, co się stało z Klaasem Mulderem, prawda?

Wtedy umilkli.

– Zabierzcie mnie do Vosa – rozkazał Hendriks i zsunął się na tylnej kanapie.

9

Czwarte piętro na Marnixstraat. Technik kryminalistyki pracował nad materiałem z monitoringu przy komputerze z wielkim ekranem. Vos, Bakker i Koeman patrzyli. W rogu widniała mapa rejonu wokół mieszkania Rosie Jansen niedaleko placu Dam. Van der Berg pracował przy innym biurku, studiując kolejne rejestry połączeń.

Vos nieustannie dowiadywał się o stan Katji Prins przebywającej w szpitalu. Obudziła się już. Liesbeth wciąż przy niej siedziała. Katja nadal nie wypowiedziała ani słowa.

– Jest. – Laura Bakker wskazała wysoką postać w rogu ekranu. – To on.

– Mulder – potwierdził Koeman. – Mieszkanie Rosie Jansen jest za rogiem. Wąska uliczka z ruchem pieszym. Tam nie ma żadnych kamer. Wiemy, że przebywał w okolicy. Nie wiemy, czy był w jej mieszkaniu. W jego mieszkaniu też nie znaleźliśmy niczego, co by na to wskazywało.

Detektyw wyglądał na zmęczonego i nie w sosie. W sprawie Muldera miało być przeprowadzone postępowanie wyjaśniające, sięgające dalej niż zwykłe dochodzenie. Takie przeprowadzano po wszystkich incydentach z bronią palną.

– De Vries na pewno zabił on – dodał Koeman. – Co do tego nie ma wątpliwości. Rosie... – Zawahał się. – Ja tego nie widzę. Ściągamy tę kobietę z rady i jej małego gnoma?

De Groot wysłuchał raportu Vosa ze spotkania z wyrazem twarzy, który triumfował: „A nie mówiłem”.

– Komisarz uważa, że za mało na nią mamy – odparła Bakker.

– Córka Prinsa musi zacząć mówić – burknął Koeman. – Inaczej będzie słabo.

Vos podszedł do mapy rejonu wokół mieszkania Rosie Jansen. Dałoby się łatwo dotrzeć do tego miejsca inną trasą niż przez ruchliwy plac Dam. Mulder mógł iść na spotkanie z nią. Mógł iść dokądkolwiek.

Nagranie trwało.

– Daliśmy tu dupy – burknął Koeman.

Bakker przystawiła do ekranu długi palec wskazujący. Paznokcie miała obcięte krótko jak uczennica.

– Patrzcie – powiedziała.

Vos spojrzął. Zastanowił się. Zignorował marudzenie Koemana. Poprosił, by przyproawdzono Suzi Mertens, która ciągle czekała na dole na postawienie zarzutów.

Kiedy kobieta weszła, wskazał postać na ekranie i spytał:

– Wie pani, kto to jest?

Założyła okulary i przyjrzała się obrazowi z bliska.

– Nie sędzę. A powinnam?

Na sąsiednim komputerze Bakker wpisała nazwisko do bazy danych.

– Ta kobieta była u Rosie? – spytała Mertens.

– Znajdowała się w pobliżu – odparł Vos. – Może to nic nie znaczy. Na pewno jej pani nie rozpoznaje?

Suzi Mertens zdjęła okulary, spojrzała na ekran ponownie, wychylając się do przodu.

– Już mówiłam. A kim ona jest?

– Może pani wracać na dół – odparł Vos. – Może będzie pani chciała poszukać sobie adwokata.

– Kto...?

Ruchem głowy Vos wskazał drzwi. Na biurku zadzwonił telefon, Mertens wyszła. Koeman odebrał.

– Nie uruchamiaj bazy danych w obecności świadka – Vos skarcił Bakker.

– Wyświetlił się tylko jej dowód osobisty! Nie miała szansy widzieć...

– Jeśli mogę wam przerwać spór... – odezwał się Koeman z ręką na mikrofonie słuchawki.

Uśmiechał się. Promiennie. Znowu zadowolony.

– Pamiętacie, jak mówiłem, że powinniśmy ściągnąć tu tego głupka z rady miasta? – mówił wesołym tonem. Zachichotał. – Już nie musimy. Sam przyszedł. I chce pogadać.

10

Leidseplein niewiele się zmieniło. Czterdzieści lat temu wykonywał tu czarną robotę. W ciemnych uliczkach rozciągających się za ruchliwym placem rozwijał się biznes alkoholowy, narkotykowy i erotyczny.

Postanowił posłuchać ostrzeżeń fryzjera. Trzymał się z daleka od De Wallen. Przesiadywał w kawiarniach, pijąc niekończące się kawy. Czekał, aż ktoś zadzwoni.

Za brzydką bryłą kasyna, szwendając się bez celu, natknął się na ślepy zaułek. Ciemny, brukowany, odchodził od ulicy. Jansen gapił się przed siebie, błędził myślami i próbował się skupić.

Wspomnienie. Gdzieś przy tej zatechłej uliczce robił za wykidajkę w pionierskim *privehuis*. Taniej i brzydkiej spelunce. Jednej z pierwszych, w których łączono prochy i kobiety, niedługo przed rozpoczęciem wojny gangów. Jansen odpowiadał za to, żeby o spelunce nie wiedział nikt niewłaściwy. Opłacał paru policjantów i ludzi w urzędzie miasta. Dbał, by interes się kręcił i by nikt nie przyglądał się zbyt uważnie klienteli.

Pewnej nocy pojawiła się tam wielka hollywoodzka gwiazda, mężczyzna powszechnie rozpoznawalny. Wymachiwał garściami guldenów. Nie miał oporów, by pokazać się w nielegalnym amsterdamskim burdelu. Taki był sens istnienia tego miasta. Jansen wziął zwitek guldenów, dopilnował, by nikt nie robił zdjęć ani nie prosił o autograf. Potem go zostawił z trzema nastoletnimi tajskimi dziwkami i z workiem zioła.

Kretyn wydawał się bardzo zadowolony.

Jansen wszedł kilka kroków w głąb zaułka, wspominając, jak niedługo później zobaczył tego samego aktora w filmie familijnym. Tam grał doskonałego ojca, a gazety pisały, że tę samą rolę odgrywa w prawdziwym życiu. Rosie miała wtedy pięć czy sześć lat i uwielbiała tamten film. Jansen oglądał go razem z nią, a przez większość czasu było mu niedobrze.

Czarna cegła w tym ciemnym zaułku wyglądała dokładnie tak jak kiedyś. Ten sam zapach ścieków.

Czy ten lokal należał teraz do niego? Czy też stanowił część majątku Menza, który obecnie kontrolowali Robles i jego bandziory?

Nie wiedział i nie był zainteresowany tą wiedzą. Po prostu wspomnienia

przykuły go do miejsca. Maarten miał rację. Ludzie się starzeli, robili się słabi i głupi. A miasto powoli turlało się dalej, po wieki wieków. Od miejsca, w którym stał, dzielił go krótki spacer do dzielnicy muzeów z jej Rembrandtami i van Goghami, do Concertgebouw, dokąd lubili czasami chodzić z Rosie, gdy grano tam muzykę dość lekką, by trafiała w gust klasy robotniczej. Ale to były inne miejsca. Jasne, eleganckie i wytworne. Nie chciano ich tam i wiedzieli o tym. Tu był ich dom, w otoczeniu wilgotnych cegieł, w codziennym ogarnianiu szemranych interesów. Tak wyglądało tu życie na długo przed jego narodzinami i będzie takie na długo po jego śmierci. W takie miejsca ludzie musieli się od czasu do czasu wyprawiać. Na ciemną stronę. Tam, gdzie mogli zrzucić krępującą powłokę poczucia przyzwoitości i spuścić na chwilę ze smyczy wewnętrzną bestię.

By potem pójść do domu, do żoneczek i miłego życia, do marzeń o następnym razie, gdy znowu się uwolnią.

On był ich sługą. Ich niewolnikiem. Dobrze opłacanym, ale niczym więcej.

Samotny, nie wiedząc, dokąd iść, co robić, Jansen stwierdził, że dopadła go nagła potrzeba, by zobaczyć miejsce, z którego wyruszył w tę drogę. Przeszedł kawałek wąskim zaułkiem. Fioletowe drzwi. Nazwa: Leniwy Słoń. To wszystko wracało.

Na końcu panowały niemal całkowite ciemności. Teraz drzwi były lśniąco czarne, świeżo pomalowane. Guziki dzwonek do każdego piętra osobno. Wpatrzył się w nie. Księgowy. Firma PR. Chiński import-eksport.

Mylił się. To miejsce się zmieniło. Może na gorsze. On nigdy nie był złodziejem. Ludzie, którzy przestępowali próg Leniwego Słonia, nie wydawali pieniędzy na darmo. Zastanawiał się, czy obecni najemcy mogą powiedzieć o sobie to samo.

Na ścianie obok ktoś nakleił ostrzeżenie przed kieszonkowcami i rozbojami.

Czyli się zdarzają, pomyślał Jansen.

Ponury, opuszczony zaułek. On był sam. Teraz stary i anonimowy. Tylko głupcy się tu szwendali.

Stali tam, gdy się odwrócił. Trzech młodych bandziorów, jeden Azjata, co do pozostałych nie miał pewności. Brzydki i chudzi z hardymi spojrzeniami

na poważnych twarzach. Najmniejszy stał na przedzie, pozostali za nim. Tak działają tchórze.

W ręku trzymał wąski nóż.

– Dawaj portfel, dziadku – rozkazał.

Machnął ostrzem.

Theo Jansen zastanowił się, od jak dawna nie musiał się rozprawiać z takimi szumowinami. W każdym razie robił to niedaleko stąd.

Pochylił się, przyłożył dłoń do ucha i spytał ochrypłym głosem:

– O co chodzi, synku? Nie słyszę za dobrze.

Deszcz przekleństw. Nóż błysnął mu przed nosem. Mały kretyn oparł dłoń na przedzie płaszcza Jansena.

– Dawaj, kurwa, pieniądze, facet. – Kolejny wymach. – Albo wiesz co.

Jansen kiwnął głową.

– Aha – powiedział.

Powoli rozpiął płaszcz, wsunął do środka rękę, poruszał nią, słuchając, jak smarkacz mówi coraz głośniejsze i coraz plugawiej, a bandziory coraz bardziej nerwowo rozglądają się, czy aby nikt ich nie widzi.

Miał długie, czarne, tłuste włosy. To było takie łatwe. Jansen zacisnął prawą dłoń na kolbie, wyciągnął ją. Gdy szczeniak się w nią wpatrywał, z oczyma szeroko otwartymi, ustami rozdziawionymi, Jansen lewą ręką chwycił go za włosy, szarpnął za głowę i walnął nią o mur.

Nóż zabrzączał na bruku. Tchórze czmychnęli w jednej chwili. Zostali tylko oni dwaj pod ścianą przy guzikach dzwonek. Mężczyzna dobiegający sześćdziesiątki. Młodzieniec najwyżej dwudziestoletni.

Theo Jansen wcisnął lufę pistoletu w jego ziemisty policzek. Słuchał potoku skamlanych błagań, wepchnął głębiej. Kazał mu się zamknąć.

– Jak brzmi lekcja na dziś? – spytał spokojnie.

– Ja nie chciałem, proszę pana – jęczał młody. – Nie...

– Jak brzmi lekcja na dziś?

Tym razem ryknął swoim najbardziej wściekłym głosem i to zrobiło wrażenie.

Cisza.

– Czasami trafiasz na niewłaściwą osobę – rzekł Jansen po chwili. – Tak

brzmi ta lekcja. Wyucz się jej na pamięć.

Lufa pistoletu nie drgnęła. Dzieciak nadal patrzył szeroko otwartymi oczami.

– Powtarzaj za mną... – zaczął Jansen.

– Czasami trafiasz na niewłaściwą osobę – powiedział szybko szczeniak.

Oblatany, pomyślał Jansen. Tak jak on kiedyś. Ale bez mięśni. I pewnie zabrakło porządnego rodzica. W pewien sposób ten dzieciak miał wymówkę, którą on sam nigdy nie dysponował.

– Znajdź sobie pracę, synu. Nie jesteś stworzony do takiej roboty. Posłuchaj mnie. Ja wiem.

Młody się roześmiał, w jego oczach pojawił się gniew.

– Pracę – prychnął. – Skąd się pan urwał?

– Z więzienia. I niedługo tam wrócę, tam albo gdzie indziej.

Odsunął pistolet od chudego młodziaka. Ten zerknął na ziemię, na nóż.

– Zapomnij – ostrzegł go Jansen.

Otworzyły się drzwi. Kobieta w średnim wieku, ubrana w elegancki kostium, popatrzyła na nich nieufnie.

– Coś się stało? – spytała.

– Szukaliśmy klubu Leniwy Słoń – odrzekł Jansen. – Ale chyba się spóźniliśmy.

Następnie trochę wypchnął, trochę wykopał szczeniaka na ulicę. Patrzył, jak oddala się biegiem. Przeklął się za tekst o pracy. To była wypowiedź godna starca. Też by go kiedyś uraziła.

Wrócił na plac i znalazł stragan ze śledziami. Spojrzał na ryby. Nieświeże. Mężczyzna za ladą burknął coś do niego. Zamówił *broodje*, patrzył, jak sprzedawca wsadza do bułki cienki biały filec, trochę cebuli i pikle.

Chodził po Leidseplein i jadł. Powinien był najpierw kupić sobie piwo. Albo jenevera. Dzięki temu może by nie zauważył, że *broodje* jest prawie bez smaku. To było jego miasto, a wydawało się, że się od niego odsuwa. Nikt na niego nie patrzył. Nikt nic nie robił, tylko wszyscy usuwali mu się z drogi.

Stary wariat jedzący *broodje haring*. Rozmyślający o umierającym bandziorze pochłanianym przez płomień na polu kwiatów. I o swojej córce, zamordowanej, porzuconej obok łodzi jedyne go gliniarza, któremu w swoim

życiu ufał Theo Jansen.

Może zabił ją Mulder. A wtedy co? Trudno się zemścić na trupie. Nie miał żadnych wiadomości od Maartena. Ani od Roblesa czy Suzi. Trzy, cztery godziny, tyle na to przeznaczył. Potem siadł w którymś barze na Jordaanie, zaleje się w trupa, zadzwoni i będzie czekał na Vosa.

Kilka minut później zabręczał telefon. Dzwoniła Suzi sprzed komisariatu na Marnixstraat.

– Nie musiałeś nasyłać tego człowieka – powiedziała. – Ani grozić mi. Wystarczyłoby, żebyś poprosił.

– Spowiedź zapewne przychodzi ci naturalnie.

– Jesteś zgorzkniałym, starym głupcem. Wiesz o tym?

– Tak. Ale wszyscy mamy coś na sumieniu. Tylko że ja cię nigdy nie okłamałem. Prawda?

Cisza. Przyszło mu do głowy, że przegiął.

– Mówią, że postawią mi zarzuty za ukrywanie ciebie. Kiedy znajdą na to czas. Mogę pójść do więzienia.

– Więzienie nie jest takie złe. Mają tam księdza i tym podobne.

– Theo! – krzyknęła. – Nie wiń mnie za wszystko! To był pomysł Rosie! Nie mój. Wściekała się, że nie chcesz mnie znać. A ja nie miałam grosza przy duszy...

– Mogłaś poprosić! – wrzasnął Jansen.

– Chyba błagać. I to na kolanach.

Może miała rację? Przez lata otoczył się murem. Nikt się nie zbliżał. Pewno nawet Rosie.

– Jeśli to był Mulder, mogę się sam zgłosić – dodał już ciszej. – O co chodzi?

Nie odpowiadała.

– Czy ja teraz gadam sam ze sobą?

– Vos nie uważa, że to Mulder – odezwała się. – Nie powiedział tego, ale to było widać.

Nawet po trzydziestu latach ciągle potrafił wyczuć ostrość w jej głosie.

– Więc kogo teraz ściga? – spytał.

– Kobietę. Nie chcieli mi tego pokazać, ale na ekranie pojawiło się jej

nazwisko.

– Znam ją?

– To Amerykanka. Barbara Jewell. Prowadzi jakiś Żółty Dom. Sprawdziłam adres. To za targiem kwiatowym. Zobaczyli ją na nagraniu monitoringu w pobliżu domu Rosie.

– Żółty Dom? Co to jest, do cholery?

– Nie wiem! Szybko mnie stamtąd wyrzucił. Mają córkę Prinsa. Vos chciał z nią rozmawiać o tym lokalu przy Prinsen. Ale ona jest chora czy coś. Nie może mówić. W kółko mnie pytali, co tam się stało.

– A co się stało?

– Nie wiem! – krzyknęła. – To prawda. Ale ta dziewczyna wie. Zdaje się, że są tego pewni.

– Dzięki.

Na piechotę do targu kwiatowego miał dziesięć minut. Tam mógł popytać o to miejsce.

– To wszystko? Dzięki?

– Przykro mi, że wysłałem Maartena. Nie chciałem się z tobą spotkać osobiście. Nie miałem siły.

– Czy ja cię przerażam, Theo? O to chodzi?

– Może – przyznał. – Większość rzeczy mnie przeraża, jak się nad nimi zastanowię.

11

Vos wysłał dwóch mundurowych, żeby doprowadzili Margriet Willemsen na Marnixstraat, i spotkał się z nią w recepcji. Wzięli trzy kubki kawy z najgorszego automatu na komendzie i ruszyli korytarzem. Rozmyślnie wybrał tę trasę. Nieco dalej, w innym pokoju Alex Hendriks siedział z Koemanem i młodym detektywem. Vos przystanął przy drzwiach i zajrzał przez szybę. Mały urzędnik podniósł głowę znad stołu. Widok Willemsen go przeraził.

– Jestem tu z powodu tego kretyna? – spytała. – Wiecie, że właśnie go zwolniłam? Powiedział to wam?

– Powiedział, że odesłała go pani do domu, a tam czekała na niego banda złoczyńców – odparła Bakker.

Willemsen wybuchnęła śmiechem. Pokręciła głową.

– O co chodzi? Alex Hendriks postradał zmysły. Podłożył kamerę w mojej sypialni. Próbował szantażować Prinsa. Potem jakaś stażystka wykradła jego porno domowej roboty i zaczął się ten absurd. To on jest przestępcą. Nie ja.

Bakker już miała chwycić przynętę. Vos ją uciszył. Weszli do sąsiedniego pokoju.

Hendriks się trząsł, przerażony, gdy mundurowi dowieźli go na Marnixstraat. Miał przy sobie swój iPad. I rejestr rozmów, który już widzieli. Dwa filmy wideo. Jakieś nieujawnione mejle pomiędzy Willemsen a Mulderem z zeszłego tygodnia.

A przede wszystkim czteromiesięczne wyciągi z konta bankowego ugrupowania politycznego Willemsen. Vos miał wydruki. Podał je przez stół, przy którym usiedli. Następnie położył kolejny przygotowany przez nocną zmianę zestaw wyciągów z jednego z kont zagranicznych Muldera.

– Musi pani na to zerknąć. – Postukał palcem w pierwszy wydruk.

Willemsen nawet nie mrugnęła okiem.

– Mulder co miesiąc dostawał osiem tysięcy euro, wpłacano je na jego konto w raju podatkowym – powiedziała Bakker. – Dotarliśmy do źródła. Menzo.

– Nieuczciwy gliniarz to wasza sprawa. Nie moja.

– I tu. – Vos postawił palec na drugim wyciągu. – Raz w miesiącu cztery

tysiące euro przekazywał pani.

Willemsen z całkowitym spokojem wzięła do ręki kartkę i przyjrzała się jej.

– Nie mnie. To konto partii. Ja go nie prowadzę. Nawet nie wiem, co na nim jest. – Ściągnęła brwi w zamyśleniu. – Z tego, co pamiętam, to konto bieżące, z niego pokrywamy koszty operacyjne. Mamy mnóstwo indywidualnych darowizn. Jak każda partia polityczna. Powinniście porozmawiać z naszym księgowym. On może wyjaśnić...

– Na miłość boską! – krzyknęła Bakker. – Największy bandzior w Amsterdamie wypłacał pani miesięczne uposażenie. Jakby była pani... operatorem telefonii czy coś. Co za to dostawał?

– Nie mam nic wspólnego z finansami Muldera – oznajmiła twardo Willemsen, przechylając głowę na bok, jakby była zdumiona, a nie zdenerwowana. – Sypiałam z nim od czasu do czasu. To był seks. Nie przyjaźń. Nie rozmawialiśmy dużo ze sobą.

– Dostawała pani łapówkę trzy dni po tym, jak Menzo płacił Mulderowi – powiedział Vos.

– Mnóstwo ludzi robi darowizny co miesiąc. Sama to robię ze swoich zarobków. – Uśmiechnęła się. – To wszystko?

– Jeszcze w ogóle nie zaczęliśmy – odparł Vos. – Hendriks zeznał, że zawarła pani układ z Menzem, by wykończyć De Nachtwacht od środka. Po to pani do niego dołączyła.

– On zmyśla. Ma urojenia.

– On uważa – wtrąciła się Bakker – że ci bandyci, których pani na niego nasłała, mieli go zabić.

Roześmiała się do nich obojga.

– Myślicie, że ja też jestem mordercą? Znaleźliście tych zmyślonych ludzi, których rzekomo tam posłałam? Macie cokolwiek na potwierdzenie jego słów?

Vos wysłał ekipę nad Amstel, ale wróciła z pustymi rękoma.

– Posłuchajcie – powiedziała Willemsen. – Będę mówić bardzo wolno, żebyście na pewno zrozumieli. Alex Hendriks jest obłąkany. Ma urojenia. Wściekł się, gdy go zwolniłam. Czuję się urażona, że w ogóle z nim

rozmawiacie. Ta sprawa trafi wyżej. Obiecuję.

Opadła na oparcie krzesła i patrzyła na nich.

– Wyciągacie mnie z pracy z powodu gwałtu niezadowolonego pracownika? Bo jeden z waszych oficerów robił dotację dla partii politycznej? Do czego miał swoją drogą prawo.

Sięgnęła po teczkę, zerknęła na zegarek, wstała od stołu.

– Postawicie Hendriksowi zarzuty za te nagrania? Mam nadzieję. Porozmawiam o tym z prawnikiem. O zniesławieniu. O niezasadnym aresztowaniu...

– Nie aresztowaliśmy pani – zauważył Vos. Popatrzył na trzy nietknięte kubki z kawą. – Zaprosiliśmy tylko panią na kawę.

Na to się uśmiechnęła.

– Pan jest zabawny. Mam nadzieję, że jutro nadal będzie się pan śmiał.

– Nie wyjdzie pani z tego cało, Margriet – powiedział.

– Nie mam z czego wychodzić cało. I nie jesteśmy po imieniu.

– Brudne pieniądze wpływają na fundusze pani kampanii. Nawet jeśli tego nie udowodnimy, to pani zaszkodzi. Możemy wykazać, że płynęły do pani partii. A te nagrania...

Usiadła z powrotem.

– Niech pan zapomni o pieniądzach, Vos. Nic pan nie ma.

– Te nagrania – powtórzyła Bakker. – Problem w tym... że w dzisiejszych czasach wszystko jest takie dostępne.

– One nie wyciekły – dodał Vos. – Zresztą chyba cudem, jeśli zważyć, że co najmniej jedno z nich znajdowało się w rękach dziennikarza. – Westchnął.

– Tylko trudno zagwarantować, że się w przyszłości nie wydostaną. Stąd. Z jakiegokolwiek miejsca, w którym mogą się znaleźć.

Laura Bakker ruchem głowy potwierdziła jego słowa.

– Nawet jeśli te pieniądze pani nie zaszkodzą – dodała – nie sądzę, żeby Amsterdamowi się podobało, że kieruje nim ktoś, kto pierdoli się na YouTube z dwoma nieżyjącymi już mężczyznami.

– Grozicie mi – powiedziała Willemsen, do Bakker, nie do Vosa. – Myślałam, że na to jesteście za mądrzy.

– Muszę wiedzieć więcej o Mulderze i o *privehuis* na Prinsen. Myślę, że

pani tam chodziła. Myślę...

– Raz – warknęła. – Byłam tam tylko raz, i to z Wimem. Nie z Mulderem. Kiedy tam przyszedliśmy, wasz człowiek już tam był. To się działo kilka lat temu, kiedy wchodziłam do polityki. To miało być niejako... sama nie wiem. Jakaś inicjacja. Miejsce spotkań dla podobnie myślących. Już?

– Z Prinsem? – powtórzyła Bakker.

– Tak właśnie powiedziałam. Myślę, że on też był tam nowy. Mulder to ustawił. – Wzruszyła ramionami i przez chwilę wyglądała, jakby żałowała. – Podstarzali mężczyźni w garniturach. Młode dziewczęta w sukniach balowych. Głównie siedziały im na kolanach. A Bóg raczy wiedzieć, co się działo na górze. Nie zostałam, żeby się dowiedzieć, Wim też nie. Gdybyście...

Margriet Willemsen zabrakło słów, a to chyba rzadko się jej zdarzało.

– Gdybyście porządnie wykonywali swoją robotę... gdybyście nie brali łapówek... nie doszłoby do tego wszystkiego.

– Pani nie przestała brać pieniędzy od Jimmy'ego Menza – zauważyła Laura Bakker z uśmiechem.

– Trzeba realnie oceniać swoje możliwości! – krzyknęła Willemsen. I dodała ciszej: – Wim tego nie pojmował. Myślał, że może wszystko rozwalić i zacząć od początku. A życie tak nie wygląda. Liczy się kompromis. Negocjacje. Każdy może zawrzeć pokój ze swoimi przyjaciółmi. To dobicie targu z wrogami się liczy. W ten sposób można coś zmienić. Z pomocą Muldera mogliśmy wymusić ustępstwa. Skończyć z epatowaniem burdelami. Z narkotykami w pobliżu szkół. Mogliśmy trochę przygasić czerwone latarnie.

Urwała. Powiedziała za dużo i zdawała sobie z tego sprawę.

– Próbowałam poprawić sytuację w sposób, który dawał realne szanse. Możecie w to nie wierzyć. A teraz wróciliśmy do punktu wyjścia. Menzo nie żyje, Jansen jest Bóg wie gdzie... Nie wiem, kto będzie dyktował warunki. Porozmawiam o tym z pańskimi przełożonymi, Vos. Oni nie są naiwni. Żyją w prawdziwym świecie. Nie w jakiejś bajce, z której wyście się urwali.

Nie zaprotestował, gdy ruszyła do drzwi. Bakker zaczęła się złościć, chciała wiedzieć dlaczego.

Vos siedział w milczeniu, przeczesując palcami długie, niesforne włosy. Potem przeprosił ją, ruszył korytarzem, wszedł do łazienki, do pierwszej pustej kabiny, odbył długą rozmowę przez telefon, przemyślał usłyszane odpowiedzi. Wydał polecenia.

Bakker czekała na niego pod drzwiami.

– Halo? – powiedziała. – Ziemia do Vosa.

– Byłem w toalecie.

– Coś szykujesz. Gdzie twój kolega Van der Berg?

– Til Stamm. Po co przypadkowa współlokatorka Katji Prins, ktoś, kto się z nią podobno nawet nie przyjaźnił, próbowała wykraść informację o jej ojcu?

– Ona nikogo nie zabiła – powiedziała Bakker. – Czemu się nią zajmujesz, gdy ta cholerna kobieta...

– Nie mam na to czasu – przerwał jej i szybkim krokiem przeszedł przez sąsiednie pomieszczenie, wyciągnął Koemana z przesłuchania. Nie wydobył nic nowego z Alexa Hendriksa. Rejestry, które urzędnik przyniósł, dowodziły, że Willemsen kontaktowała się z Mulderem. Że Mulder zasilął fundusze jej partii. I nic więcej.

Vos oparł się o ścianę przy oknie, patrzył na ulicę, słuchając terkotu młotów pneumatycznych.

– On chce ochrony? – spytał Koeman. – Dostanie ją?

Zdumiony grymas.

– Oczywiście, że nie. Chciałbym się napić porządnej kawy. Nie z automatu. W kryminalistyce mają nowy... – Zerknął na Bakker. – I jakieś ciasteczka. Jakie ostatnio się robi? Możesz mi zdobyć menu?

Wzięła głęboki, wściekły oddech.

– To było dobre – dodał szybko. – To o filmie. Teraz już na pewno wisi na telefonie, docierając do ludzi nad Frankiem. No ale co, do diabła? – Znowu przecesał za długie włosy. – Naprawdę muszę wiedzieć, dlaczego Til Stamm robiła takie rzeczy. Dobra kawa by pomogła...

– Nie jestem twoją kelnerką, Pieterze Vosie – oznajmiła Bakker.

Koeman wyrzucił ręce w powietrze.

– Na miłość boską, ja przyniosę kawę. Nie dostaniesz menu ciasteczek. Są

jakieś nowiny ze szpitala?

Vos zerknął na telefon. Odebrał wiadomość od policjantki, że Katja Prins niedługo będzie mogła opuścić szpital. Nadal milczy. Kiedy ją wypuszczą, zostanie z Liesbeth pod opieką lekarską.

– Dwa ciasteczka – zdecydował. – Bez czekolady. Nie cierpię ciasteczek w czekoladzie.

Koeman odszedł, głośno waląc butami. Bakker znowu zaczęła krzyczeć.

– Cicho – powiedział. – Ja próbuję myśleć.

– Dobrze by było, gdybyś mnie z tego nie wyłączał.

– Zależy, co akurat myślę.

– Gównu mnie obchodzi, czy mnie stąd wyrzucą w przyszłym tygodniu. Chętnie odejdę i znajdę pracę z normalnymi ludźmi...

– Normalni ludzie cię znudzą, Lauro. Na pewno.

W pobliżu otworzyły się drzwi. Pojawił się w nich Frank de Groot z poczerwieniałą twarzą, wściekły.

– Do mnie! – krzyknął. – Oboje!

– Ale ja czekam na kawę i ciasteczka – zaproponował Vos.

– Do mnie! – ryknął komisarz.

12

Nietrudno było znaleźć to miejsce. Żółte słoneczniki na ścianach. Jedna ulica za pachnącym, zatłoczonym targiem, na którym turyści płacili kupę pieniędzy za cebulki, z których nigdy niczego nie wyhodują. Jansen stał przed budynkiem, na zimnie, i zastanawiał się, co robić.

Nazwisko. Miał tylko nazwisko. Nic, co by łączyło Amerykankę z Rosie. Nawet nie rozumiał, czym jest ten Żółty Dom.

Nagle białe volvo kombi zaparkowało niezdarnie na ulicy i wysiadła z niego znajoma postać, która ciężkim krokiem ruszyła do budynku.

Przybysz nie spojrział na wielkiego mężczyznę z farbowanym zarostem, który rzucił się w cień.

Jansen próbował sobie przypomnieć jego nazwisko. Kiedyś był w tym dobry. Nigdy nie zapominał twarzy. Teraz zajęło mu to chwilę.

Van der Berg. Wielki, przyjazny ochlapus z policji. Kiedyś Jansen sądził, że da się go urobić. Ale on tylko takiego udawał. W rzeczywistości był niezłomnie uczciwy, tak jak jego szef Pieter Vos. Który go tu wysłał na pewno nie bez powodu.

13

De Groot zamknął drzwi i kazał im usiąść. Przywołał ich do porządku. Powiedział o wszystkich tych rzeczach, które zrobili źle. I że Margriet Willemsen ściągnie gniew dalekich bogów.

Vos słuchał cierpliwie. Laura Bakker wierciła się na krześle i zżymała.

– Macie z tym natychmiast skończyć – oznajmił de Groot. – Wiem, że nie wszystko się zgadza. Tak samo jak wy chcę usłyszeć, co ma do powiedzenia córka Prinsa. Ale to niczego nie zmieni. Mamy dwa nazwiska do akt. Mulder i Prins. Obaj nie żyją. To ma się skończyć. Jeśli chodzi o tę Willemsen...

– Ona łże jak pies – wtrącił Vos. – Wiesz o tym.

– Może i wiem! Ale ona nie porwała Katji Prins. Nie zamordowała reporterki ani Rosie Jansen. A przede wszystkim nie możemy jej nic udowodnić. Wy nie możecie...

Samochód Hendriksa z bandziorami w pobliżu Chudego Mostu dostrzeżono na nagraniach monitoringu. Miał fałszywe tablice, tożsamość pasażerów pozostawała nieznana. Wyglądało to podejrzanie, ale żaden ślad nie prowadził do ratusza.

– Gdybyśmy mieli ich zdjęcia – zaczęła Bakker.

– Co byśmy zrobili? – spytał de Groot. – Szukalibyśmy ich całymi dniami i co dalej? Oni nic nie zrobili. Nie macie cienia dowodu, żeby ją przyskrzynić w związku z Mulderem. Ani za korupcję.

Odwrócił się do Vosa.

– Mam rację? – spytał.

– Pewnie tak. Może zechcesz przekazać akta do wydziału walki z korupcją?

– Sam o tym zdecyduję – odpowiedział komisarz. – Bez was. Chcę zobaczyć dokumenty obciążające Prinsa i Muldera. Chcę mieć materiały, by wydać oświadczenie. Sprawa jest zamknięta.

Dwójka policjantów siedziała w milczeniu.

– Nie proszę o wiele – dodał de Groot. – Nie widzę sensu w ściganiu martwych ludzi. Zostawcie Margriet Willemsen mnie. I znajdźcie Thea Jansena. Jeśli go zgarniemy, wreszcie zasną spokojnie.

– Szczęściarz z pana – powiedziała Bakker. – My wciąż nie wiemy, co się

stało z Anneliese. Dlaczego Mulder podrzucił ciało Rosie pod nos Vosowi...

– Manipulował nami! – wrzasnął de Groot. – Nie mógł się pogodzić z powrotem Vosa. Może... nie wiem... może uznał, że to fajnie zadać mu jeszcze trochę bólu. Myślicie, że znajdziemy odpowiedź na wszystko? Życie tak nie wygląda. To nie jest...

– Dokkum? – spytała. – Już wiem, dzięki.

De Groot skrzyżował ramiona na piersi. Zamilkł.

– Mogę najpierw odwieźć do domu Katję Prins? – spytał Vos. – Ona wciąż nie mówi, ale lekarze orzekli, że może wyjść ze szpitala. Liesbeth się nią zajmie. Obie potrzebują wsparcia.

– Nie byłoby lepiej, gdybyś ruszył na poszukiwania Jansena? – spytał de Groot.

– Nie mamy zielonego pojęcia, gdzie on jest – odrzekł Vos. – Nikt nie ma. Nawet jego ludzie, jak sądzę. Może... – Chwila namysłu. – Może Theo znajdzie nas, kiedy będzie chciał. On uciekł z powodu Rosie. Jeśli wydamy oświadczenie, że to Mulder ją zastrzelił...

– Zagęszczaj – polecił de Groot. – Chcę, żeby to trafiło do wieczornych wiadomości.

Już na korytarzu Laura Bakker powiedziała:

– De Groot mnie nie lubi.

– Skąd ten wniosek?

– Nie lubi mnie.

– Frank stoi pod ścianą. Willemsen mu dokopała. – Włożył swoją starą granatową kurtkę. – Wiesz, czym się zajmuje Barbara Jewell i Żółty Dom?

– Leczą ludzi? Tak twierdziła.

– Terapia regresywna – wyjaśnił. – Słyszałaś o czymś takim?

Kiwnęła głową.

– Na takiej terapii rozprawiasz się ze swoimi demonami. A potem jesteś... świadomy i czysty.

– To działa?

– Ja nie mam demonów – odparła szybko. – To tylko wy, skomplikowane mieszcuchy...

Vos wybuchnął śmiechem.

– Co cię tak bawi? – spytała.

– Ty.

– Nie mogę uwierzyć, że Willemsen się z tego wywinie. Widziałeś ją. Oboje...

– Polityka, Lauro. Zdrowi psychicznie ludzie trzymają się od niej z daleka. Frank ma rację. Nic na nią nie mamy oprócz filmów z sypialni i kilku podejrzanych przelewów. Spróbujmy naprawiać świat po kawałku, dobra? Nie cały naraz. Najpierw te łatwiejsze rzeczy.

Kiwnęła głową i uśmiechnęła się blado.

– Więc teraz jedziemy do szpitala? Pójdę po samochód.

Wyjrzał za okno.

– Za ładnie na jeżdżenie samochodem. Chcę odetchnąć świeżym powietrzem.

Westchnęła rozdrażniona.

– Nie możemy jechać rowerami aż do Oosterpark, to za daleko. Jeśli mamy odebrać Katję...

Pomachał kluczykami do roweru i uśmiechnął się. Obejrzała się na gabinet de Groota. Drzwi były zamknięte.

– Więc dokąd tak naprawdę jedziemy?

– W nieznane – odrzekł Vos.

14

Tuż przed dwunastą Van der Berg wyszedł z Żółtego Domu, z telefonem w rękę, i przeprowadził rozmowę, która chyba mu się nie podobała. Było niemal gorąco. Na ulicy pojawiło się trochę turystów niosących kwiaty i durne suweniry: chodaki i spiczaste białe kapelusze.

Policjantowi towarzyszyła kobieta. Około czterdziestki, mocno zbudowana, z farbowanymi włosami. Miała na sobie męską czarną długą marynarkę i wydawała się skonsternowana. Nie chciała iść z Van der Bergiem. Ale nie miała wyboru. To było oczywiste.

Podczas gdy tych dwoje stało przed domem ze słonecznikami, detektyw cierpliwie kogoś przekonywał, zerkając na volvo, Jansen szybko wyjrzał z mroku i zerknął w głąb ulicy. Nadjeżdżała powoli taksówka, szukając zlecenia. Strzelił palcami, przywołał ją. Zanim kierowca się zatrzymał, Van der Berg stał już przy volvo i otwierał drzwi kobiecie, która zdaniem Jansena była Barbarą Jewell.

Jansen wskazał biały wóz policyjny.

– Za nimi – rzucił.

Kierowca się zawahał.

– To moi przyjaciele – skłamał Jansen, wsiadając.

– Więc dlaczego pana nie podwiozą?

Jansen rzucił na przednie siedzenie kilka banknotów pięćdziesięcioeurowych.

– Bo tak.

Volvo podjechało na koniec ulicy, szukając luki w sznurze samochodów. Taksówkarz ściągnął brwi i zebrał banknoty.

Podążyli za Van der Bergiem w odległości dwóch samochodów, pośród aut i tramwajów.

Dotarli do Prinsengracht i radiowóz zjechał w lewo.

Jedną ulicę od południowego brzegu, daleko od Marnixstraat. Długa, nieśpieszna przejażdżka. Po chwili w polu widzenia pojawił się przysadzisty, biały, podobny do stodoły budynek Amstelkerk, a za nim zielony park. Dzieci bawiły się na huśtawkach. Rosie przychodziła tu, kiedy była mała, a Jansen – samotny ojciec – starał się zachowywać jak najlepszy rodzic.

Kolejny biały wóz patrolowy podjechał i zaparkował przed wypalonym budynkiem naprzeciwko. Jansen popatrzył na drugą stronę kanału. Wiedział, dokąd jedzie. Do miejsca, które już dawno powinien odwiedzić.

15

Dwie policjantki w mundurach zabrały Katję i Liesbeth Prins ze szpitala do wypalonego budynku, w którym niegdyś działał Domek dla Lalek. Zgodnie z poleceniem Vosa wraz ze swoimi strażniczkami czekały na ulicy w samochodzie. Patrzyły, jak on i Bakker opierają rowery o okopcone balustrady, wyciągają klucze, które przywieźli z Marnixstraat, zdejmują kłódkę i łańcuch i otwierają nowe metalowe drzwi zabezpieczające.

Bakker weszła za nim do środka i rozejrzała się.

– De Groot cię zabije – orzekła.

– Nie robie tego dla Franka. Nie zauważyłaś?

– Ale ja też wylecę.

– Jeśli chcesz wrócić na Marnixstraat...

Lekko drwiący uśmiech. Nic więcej.

Podjechał kolejny radiowóz. Van der Berg z Jewell.

– Odeślij wszystkich na komendę – powiedział Vos. – Tu ma zostać tylko Katja, one dwie. I ty.

W środku było zimno i cuchnęło gryzącym dymem. Okopcone tapety, już mało różowe, zwisały jak na łuszczącym się pniu. Pod stopami trzeszczały i trzaskały kruche deski podłogowe. Vos powoli pokonał schody. Wszedł do pokoju od frontu na pierwszym piętrze, nie mógł się pozbyć z głowy obrazu z niebieskimi świetlówkami i plamami, które pojawiały się jak za sprawą czarodziejskiej różdżki.

Na chwilę zatracił się w myślach. Ktoś zakasłał. Odwrócił się i zobaczył Bakker opartą o ścianę. Przyglądała się wszystkiemu jak to ona. Liesbeth z dzikim wzrokiem, skonsternowaną. Jewell zdumioną, podejrzliwą. I dziewczynę...

Katja chuda, spięta, była ubrana w granatowy płaszcz i dżinsy. Włosy miała teraz czyste i uczesane. Wyglądała raczej na szesnaście niż dziewiętnaście lat. Patrzyła nieznośnie młodzieńczo – twarde spojrzenie opryskliwej nastolatki czekającej na nieuniknioną reprimendę.

Liesbeth nie patrzyła w jej uciekające na boki oczy. Barbara Jewell, owszem, wyglądała na wzburzoną.

Vos przedstawił Amerykankę i Liesbeth, po czym podszedł do ściany,

musnął palcami kółka oznaczeń techników. Wypatrzył je na podłodze. Wskazał i rzekł:

– Tutaj. – I: – Tutaj.

– O co chodzi, Pieter? – spytała Liesbeth. – Wszyscy jesteśmy wykończeni. Chcemy jechać do domu.

Wrócił do nich. Bakker po raz pierwszy siedziała cicho.

– Anneliese była w tym pokoju – rzekł. – Tu znaleźliśmy jej krew. Ktoś ją zaatakował. Myślę, że się broniła. Nie wyglądała na swój wiek. W każdym razie moim zdaniem. Ale nie poddałaby się łatwo. Wiem to na pewno.

Znowu zerknął na ścianę. Plamy nie wyglądały jak standardowe rozpryski krwi. Nie pasowały do walki.

– To się działo trzy lata temu, a myśmy nic nie wiedzieli. Nigdy byśmy się nie dowiedzieli, gdyby Menzo nie przejął tego miejsca, bo córka Thea Jansena nie chciała się już nim zajmować. Następnie wysłał tu swoich bandziorów, bo starał się ich wyprawić na tamten świat, a tego żalosego małego *privehuis* pozbyć się ze stanu.

Przemyślał już to. To musiało tak wyglądać, nie było innej możliwości. Menzo i Jansen zamieszkiwali mały świątek. Nic dziwnego, że różne jego części się zazębiały.

Vos próbował spojrzeć Liesbeth w oczy, ale nie udawało mu się to.

– Słyszałaś, co powiedziałem? Anneliese tu była. W burdelu. Nie chcesz wiedzieć...?

– Oczywiście, że chcę! – wrzasnęła. – Ale nie teraz. Katja jest chora. Daj jej trochę spokoju, na miłość boską. Nigdy za bardzo nie interesowałaś się własną córką. Musisz urządzać piekło cudzej córce, żeby tamto nadrobić?

Katja gwałtownym ruchem zasłoniła uszy, podeszła do łóżka, usiadła na brudnym materacu i wbiła wzrok w gruby brudny dywan.

Tak właśnie wyglądała poprzedniej nocy. Zagubiona w sobie. Niema i obojętna na wszelkie bodźce z zewnątrz. Proste, a on był pewien, że to gra.

Usiadł obok niej, zajrzał jej w twarz i zaczekał, aż zwróci na niego wzrok.

– Dlaczego nie mówisz? – spytał łagodnie.

– Przestań – warknęła Liesbeth. – Mam tu ściągnąć lekarzy? Ona jest chora. Zostaw ją w spokoju.

– Była chora wcześniej – powiedział, po czym zerknął na Barbarę Jewell. – Ale pani ją uleczyła. Odblokowała pani coś i kazała jej...

Zabrakło mu słów.

– Świadoma i czysta – wtrąciła Bakker.

– Świadoma i czysta – powtórzył Vos. – Bo na powierzchnię wypłynęło coś ukrytego, coś, co utkwilo w przeszłości. A wtedy...

– Nie może pan tego robić – odezwała się Amerykanka. – Nie pozwolę na to.

– Więc niech pani mi powie – rzekł. – Co pani odkryła?

– Już pan wie! – odparła. – Przerabialiśmy to. Jej ojciec... Wie pan, co się stało jej zdaniem. To nie jest miejsce, w którym bym mogła to powtarzać...

Vos wskazał upiorne plamy.

– Ale to jedyne miejsce. Tu się to zaczęło. – Znowu spojrzął na Katję. – Prawda?

Nic.

Laura Bakker podeszła do łóżka i usiadła po drugiej stronie dziewczyny.

– To bajecznie proste – zagadnęła. – Nie musimy wiedzieć, co się stało. – Długie, zdecydowane spojrzenie. – Gdzie byłaś?

Katja Prins ciasno objęła się w chudej talii i nadal patrzyła w podłogę.

– Dzwonię po de Groota. – Liesbeth wyciągnęła telefon. – Nie wierzę ani trochę, że on wie, że ty tu torturujesz to biedne dziecko...

Bakker zerwała się z łóżka i wyrwała jej telefon z ręki.

– Gdzie byłaś? – spytał Vos z większym naciskiem.

Dziewczyna coś wymamrotała. Nachylił się bliżej.

– Nie słyszę, Katju. Nie słyszę.

Cokolwiek powiedziała, powiedziała na próżno.

– Idziemy – warknęła Liesbeth do Vosa. – Wykończę cię za to, Pieter. Jak śmiesz...?

– Anneliese tu była – powtórzył Vos, wstając z łóżka. – Coś się tu stało trzy lata temu. Od tego się wszystko zaczęło. Wszystko, od śmierci Bei Prins po Rosie Jansen. Katja wie, co posłużyło za zapalnik...

Znowu do niej wrócił.

– Nie jesteś ograniczona, Katju. Ani nie jesteś idiotką. Nie sądzę. Ty

wiesz...

– Nie – wyszeptała dziewczyna niskim twardym głosem.

Jedno słowo i nie zabrzmiało to jak przełom.

– Gdzie byłaś, Katju? – spytała znowu Bakker. – Powiedz nam chociaż tyle. Ludzie giną z tego powodu. Liese...

Powoli, z urazą osaczonej nastolatki, wyrzuciła:

– Nie... nie wiem...

Twarz wykrzywiona w bólu i gniewie. Głos młody i łamiący się.

Vos wzruszył ramionami. Wyjął coś z kieszeni. Podsunął jej to.

Skarpetka. Czarna. Mała.

– Zeszłej nocy znalazłem to na pokładzie swojej łodzi. Po tym, jak ty się pojawiłaś w brudnej koszuli nocnej.

Wyraz jej twarzy się zmienił. Przeszedł od gniewu do strachu.

– To nie moje... – wyszeptała.

– Tylko że ty się nie pojawiłaś w brudnej koszuli nocnej – ciągnął Vos. – Przyjechałaś taksówką. Widział cię ktoś z baru. W normalnym ubraniu. Pewnie wrzuciłaś je do kanału. Pobrudziłaś się czymś na pokładzie czy coś podobnego.

Podniósł skarpetkę.

– A zapomniałaś o tym. Gra skończona. Gdzie byłaś?

Drżała, oczy wpatrzone prosto przed siebie, twarz nieruchoma. Znowu znalazła się tam, gdzie poprzedniej nocy.

– Możesz powiedzieć mi tutaj – dodał – albo na Marnixstraat. Twój wybór...

– Była ze mną! – krzyknęła Barbara Jewell.

Amerykanka podeszła do łóżka i usiadła obok dziewczyny. Objęła ręką jej napięte, zgarbione ramiona.

– Była ze mną – powtórzyła. – Myślałam, że to najbezpieczniejsze miejsce.

16

Theo Jansen patrzył, jak Van der Berg i dwie mundurowe odjeżdżają radiowozami. Spojrzał w okno na piętrze. Zobaczył tam Vosa. Młodą kobietę z aresztu sądowego. I jeszcze kogoś.

Poczuł się przytłoczony ciężarem dwóch pistoletów. Przytłoczony czymś jeszcze, czego nie mógł nazwać. Podeszedł do najbliższego śmietnika, wrzucił do środka broń i naboje od Maartena. Został mu jeden pistolet. Niczego więcej nie potrzebował. Beretta dziewięć tysięcy. Miał jeszcze cały magazynek, drugi z dwóch, które dostał od fryzjera.

Drzwi do *privehuis*, którego kiedyś był właścicielem, ale nigdy go nie odwiedził, zastał uchylone. Wyjął berettę, spojrzął na nią, wepchnął do prawej kieszeni marynarki, wszedł i po cichu wspiął się po schodach.

Mocne głosy. Słuchał. Rozejrzał się po brudnych, kiczowatych tapetach, po upiornych zdjęciach na ścianach. Nienawidził tego miejsca. Nienawidził siebie.

Wyjął niewielką broń, nie zaczepiając celownikiem o kieszeń.

– Co nas dręczy, to nas niszczy – powiedziała Barbara Jewell wyćwiczonym hipnotycznym głosem.

Obok niej na łóżku młoda głowa pochyliła się jakby w modlitwie, Katja Prins słuchała, oczy miała przymknięte. Niski i hipnotyzujący głos kobiety sam mógł być narkotykiem.

– Pani mądrości nie za bardzo nas w sumie interesują – przerwała Laura Bakker. – Niech nam pani po prostu powie, co się stało.

– Mądrości? – spytała Amerykanka. – My naprawiamy ludzi. Nie osądzamy ich. Nie oceniamy, czy są dobrzy, czy źli. Nie wrzucamy ich do więzienia. Pomagamy...

– Wypuściła pani tego dzina z butelki – powiedział Vos z całą delikatnością. – Pewnie w jak najlepszych intencjach. Ale to się nie do końca udało, prawda?

Spojrzała na Katję. Przybitą, zagubioną na łóżku. Zaczęła mówić. Vos słuchał, poniekąd wiedząc, co usłyszy.

Tamta sesja, o której mówiła w Żółtym Domu. Decydujący, oczyszczający przełom. Wyznanie Katji, która uważała, że jej ojciec zabił matkę. I jeszcze jedna tajemnica, przedstawiona powoli miarowymi, hipnotycznymi słowami Barbary Jewell.

Nie rozwodziła się. A gdy skończyła, on spytał:

– Więc to wszystko było udawane? To gra? Próbujecie nam wmówić, że Katja została porwana. Pozorujecie podobieństwo do sprawy Anneliese. I myślicie, że dzięki temu domyślimy się, co się z nią stało?

– Ja wiem, co się z nią stało! On ją zabrał – wychrypiła Katja Prins, patrząc mu teraz w oczy. – Mój tata. Nie rozumie pan tego?

Oparta o ścianę Liesbeth Prins zamknęła oczy i zakłęła półgłosem.

– Dokąd ją zabrał? – spytał Vos.

– Nie wiem! – Ton pełen goryczy i samooskarżenia. – Nie... – Oczy zamknięte. Znowu coś sobie przypominała. – Mama nas tu przyprowadziła. Nie wiem dlaczego. Powiedziała, że tata tu czasami przychodzi. Oni wszyscy przychodzili. Politycy. To był... ich sekret.

Spojrzała na niego, na Barbarę Jewell.

– Mama... mama czasami robiła różne rzeczy. Głupie. Złe. Ale Liese... – Popatrzyła na Liesbeth. – Chciała się na tobie odegrać. Nie pozwalałaś jej jeździć z nami na plażę. Nie pozwalałaś jej wychodzić. Robić, co chciała...

– Nieprawda – odezwała się Liesbeth. – Nie...

– Tak mówiła – upierała się dziewczyna. Jej twarz była nieruchoma, głos monotonny i smutny. – Mama spytała najpierw ją. Wiedziała, że ja nie będę chciała pójść. Ale ja bym nie puściła tu Liese samej. Raz. I to wszystko. Nic się nie stało. Potem się z tego śmiałyśmy.

Podniosła wzrok na Vosa.

– Miała tu nie wracać. Beze mnie. Ale Liese nikogo nie słuchała...

Wskazała palcem grubo dywan.

– Wtedy, gdy ja też przyszedłam, ten jeden raz zostałyśmy na dole. Herbata, ciasto i sprośne staruchy, które chciały nas sobie sadzać na kolanach i mówiły, że jesteśmy piękne. Ale ja wiedziałam, że tego wszystkiego nie chcę, to ja byłam ta głupia. Dlaczego ona...

Wywinęła się z objęć Barbary Jewell.

– Kiedy Liese zniknęła, mama o tym nie wspominała. Ale wiedziała. Ja to widziałam. Potem spotkałam taką Tajkę, która to prowadziła. Była przerażona. Wspomniała, że ktoś o Liese pytał. Ktoś wielki i ważny. Prawnik. Ktoś, kogo nikt się nie ośmielił tknąć.

– To nie był Wim – wyszeptała Liesbeth. – Niemożliwe...

– Mówię ci! – Oczy szeroko otwarte, głos drżący. – Po śmierci mamy widziałam to w jego twarzy. To nie moja wina. Ja nie wiedziałam. Nie chciałam...

– Nie chciałaś – potwierdziła Barbara Jewell. – To nie twoja wina.

– Łatwo ci...

Potem pełna poczucia winy cisza. Łzy złości.

Jewell wstała, stanęła obok Vosa.

– To był od początku mój pomysł – powiedziała. – Nie Katji. Ona nie chciała tego robić. Zmusiłam ją.

– Nie kłam, Barbaro – wymamrotała Katja. – Nie...

– Musiała pochować Beę. I pańską córkę. – Krótkie, pełne skruchy wzruszenie ramion. – Szczegóły znalazłyśmy bez problemu. W gazetach.

Lalki. To, co się działo później. Był pan własnością publiczną, panie Vos. Chciałyśmy to tak upozorować, żeby wyglądało tak samo. Żeby pan się temu znowu przyjrzał. Tylko tym razem uważniej. Zmusić waszych ludzi, żeby coś zauważyli i zadali kilka pytań, z którymi on nigdy się nie zmierzył. Bez tego... – zerknięcie na dziewczynę na łóżku – w życiu by jej pan nie uwierzył. Ćpunka. A po drugiej stronie tacy jak on. Ona na to nie zasługiwała. Jest niewinna. Bóg mi świadkiem, że to dziecko dość już wycierpiało...

Ręka na głowie Katji. Dziewczyna wpatrywała się w brudny dywan, z ponurą twarzą, milcząca.

– Zmusiłam ją, żeby została u mnie. Wysłałyśmy te lalki, te wiadomości. Załatwiłyśmy koleżance pracę w ratuszu, miała się rozejrzeć, czy da się tam coś znaleźć. Chciałam zamienić życie tego drania w piekło. Jakimkolwiek sposobem. Aż on pęknie. Albo ktoś inny coś powie. Aż wy w końcu coś zrobicie. Nigdy...

Spokojny, opanowany ton jakby ją na chwilę opuścił.

– Nigdy nie chciałyśmy nikogo skrzywdzić. Chciałyśmy tylko sprawiedliwości. Dla Bei. Dla pańskiej córki. I dla Katji. Ale pewnie... – teraz mówiła już szeptem. – Ja chciałam pomóc. Nie chciałam tego wszystkiego...

Coś ją powstrzymało.

– A Rosie Jansen? – spytał.

– Chciałyśmy tylko pogadać. Naprawdę nie zamierzałyśmy...

Barbara Jewell patrzyła gdzieś za nim.

– Pieter... – powiedziała cicho Laura Bakker i rzuciła się do przodu.

Za późno. Pistolet mocno uderzył w głowę Vosa. Ten padł jak długi na podłogę, słysząc tylko przerażone krzyki Katji.

18

Sekundy, minuty. Nie wiedział ile. Kiedy się ocknął, zobaczył nad sobą Jansena, który przyciskał łokciem Barbarę Jewell do ściany. W szyję wpychał jej lufę pistoletu.

– Theo... – powiedział Vos, wstając z podłogi.

Katja wrzeszczała jak wściekłe złajane dziecko.

– Chcesz pogadać?! – krzyknął Jansen do Amerykanki. – No to gadaj. Straciłem córkę. I też mam trumnę do pochowania.

Jewell, z głową opartą o nadpaloną tapetę, patrzyła na niego wściekła, nieustraszona.

– To należało do pana, prawda? Pan dopuścił do tego ohydztwa.

– Nie wiedziałem...

– To wszystko należało do pana! – krzyknęła. – Zalał pan to miasto narkotykami, kurwami i całym tym gównem, w którym próbowało się zatopić to dziecko. A teraz zgrywa pan niewinnego...

Pistolet podskoczył w górę. Wystrzelił w sufit. Spadł na nich różowy tynk i płatki farby.

– Nie wiedziałem! – krzyknął Jansen. – Rosie była moją córką.

Po chwili ciszy spokojny, powolny głos Barbary Jewell:

– Ona prowadziła Poppenhuis. Wiedziała, co się tu dzieje. Dlatego poszliśmy się z nią spotkać. Błagać. Prosić o pomoc. Ona wiedziała...

– To interes! Dajemy ludziom to, co chcą.

– To były dzieci – odparła spokojnie. – Niewinne dzieci obłapiane przez podstarzałych panów w garniturach. Którzy robili, co chcieli, a potem wracali do swoich gabinetów i żon...

Jansen wywijał jej pistoletem przed twarzą.

– Tak tu już jest. Zawsze tak było. Jak się pani nie podoba...

Vos przysunął się bliżej. Bakker też. W ręku trzymała telefon. Palce przesuwają się po klawiszach.

– Ale tobie też się to nie podoba, Theo – powiedział Vos. – Obaj to wiemy.

Stary gangster posłał mu wściekłe spojrzenie.

– Moja córka nie żyje, a ty nic nie zrobiłeś. Tak jak z własnym dzieckiem...

– Posiłki już jadą – przerwała Bakker, podsuwając telefon tak, żeby Jansen go widział. – Będą za dwie minuty.

Amerykanka prawie jej nie słuchała, patrzyła tylko w twarz Jansena.

– Chciałyśmy pogadać – mówiła. – To wszystko. Poprosić ją o pomoc. Nie wiedzieliśmy, że przed sądem doszło do jakiejś strzelaniny. Poszliśmy się z nią zobaczyć. A ona wpadła w szał. Zaczęła krzyczeć. Wyciągnęła broń. Bałam się, że jej użyje...

– I wtedy ją zastrzeliłaś? – spytał Jansen.

Długa chwila. Barbara Jewell się zawahała, zaczęła coś mówić. Wtem delikatna, smukła postać na łóżku poruszyła się i doskoczyła do nich, szarpnęła Jansena za ramię, usiłowała chwycić broń w jego dłoni.

Objęła ją palcami. Zaskoczyła Jansena tak bardzo, że rozpaczliwie drapiące paznokcie niemal mu ją wyrwały.

Wymachując rękoma, Jewell wyswobodziła się z uchwytu gangstera.

Na środku zostali wielki mężczyzna wymachujący pistoletem i chuda, drobna dziewczyna trzymająca go za rękę.

– To ja ją zastrzeliłam, proszę pana – syknęła Katja. – Ja. Nie Barbara. Ja to zrobiłam...

– Katja... – odezwała się Amerykanka.

Na zewnątrz syreny. Pisk opon.

Łzy i wściekłość na młodej twardej twarzy.

– Ja ją zastrzeliłam – powtórzyła Katja. – Ona na nas krzyczała. Wymachiwała bronią. Jeśli chce pan kogoś zabić, to mnie.

Jansen się cofnął, podniósł broń, wycelował prosto w nią.

Palec na spuście. Wzrok wbity w młodą i zniszczoną twarz.

Nie strzelił.

Kroki na schodach. Na czele biegli Van der Berg i Koeman z bronią w ręku. Gotową do strzału.

– Co byś powiedział, Theo? – spytał Vos, ciągle wyciągając rękę. – Gdybyś wiedział o tym domu?

– Gdyby nie należał do mnie, tylko do kogoś innego... – westchnął Jansen.

– Ale nie należał do ciebie. Tylko do Rosie. Ona wiedziała, że to by ci się nie podobało. Dlatego go zamknęła. Nas się nie bała. Mulder dopilnował,

żebyśmy o nim nie wiedzieli. Zamknęliśmy sprawę Liese. Rosie bała się ciebie, nikogo innego. Co by się stało, gdybyś się dowiedział?

– Mówisz jak desperat, Vos – szepnął Jansen.

– Też masz swoje granice. Tak jak my. Dokładnie tak samo...

Jego ręka, wyciągnięta po broń, nie zadrżała. Spojrzał Jansenowi w oczy. Kiwnął głową.

– Przykro mi, że nie poszliśmy na to piwo. Może któregoś dnia. Mamy dużo do obgadania. Dużo wspólnego.

Jansen patrzył na niego i na zdruzgotaną, przerażoną dziewczynę.

– Daj mi tę cholerną broń, Theo – powiedział Vos. – To koniec.

– Za dużo gadasz – burknął Theo Jansen i podał mu berettę.

– To prawda – przyznał Vos, po czym nakazał pozostałym schować broń.

I zawieźć wszystkich na Marnixstraat, tam na niego poczekać.

Stał z Bakker i odprowadzał ich wzrokiem.

– Tylko jeden prawnik przychodzi mi do głowy – powiedziała, gdy wszyscy wyszli.

Podniosła znowu telefon: adres już tam był. Niedaleko.

– Mogłeś mi powiedzieć o tej skarpetce.

Ściągnął brwi.

– O jakiej skarpetce?

Skrzyżowała ramiona na piersi.

– Katji?

– Ach, o tej. Zmyśliłem to. To była moja skarpetka.

Odezwała się po chwili:

– I ciągle masz broń Jansena.

– Wiem. – Wepchnął berettę do kieszeni kurtki. – Jedziemy rowerami.

19

Prawie czternasta, słońce zapowiadało lato. Miejscowi jechali rowerami prosto przed siebie ścieżką pomiędzy chodnikiem a jezdnią. Vos i Bakker zdążali na spokojną nieuczęszczaną uliczkę pośród pierścieni kanałów. Zbliżali się do Leidseplein. On pedałowwał szybko, równo. Ona cały czas go doganiała.

Gdy mijali róg, za którym znajdował się plac, Bakker powiedziała:

– Nie sądzę, żeby to była kwestia niedopatrzenia, Vos, ale czy nie powinniśmy aby zadzwonić po wsparcie?

– Myślałby kto.

Był pewien, że cmoka z dezaprobatą.

– No właśnie by myślał. Chodzi mi o to...

Vos zahamował, stanął obunóż na ziemi, mało nie najeżdżając na dwójkę turystów wlokącą się przed nimi. Bakker pojawiła się obok niego, wryła się ciężkimi butami w ziemię. Czekwała na odpowiedź.

– Miałaś lalkę? Jak byłaś mała?

Skrzywiła się. Niemal zarumieniła.

– Jedną. Lalki nie należały do moich ulubionych zabawek.

– Nie gadaj?

– Szczerze mówiąc, nienawidziłam lalek. Ale wujek mi jedną kupił. Co pokazuje, jak świetnie mnie znał. Naprawdę nie chciałam zrobić przykrości...

– Masz ją jeszcze? – przerwał.

Bakker roześmiała się na głos. Tak głośno, że dwójka turystów zatrzymała się i gapiła.

– Skoro nie chciałam lalki w Dokkum, to tu jej chyba tym bardziej nie potrzebuję, co?

Była gotowa ruszać dalej. Vos jeszcze nie skończył.

– I wyrzuciłaś ją?

Zastanawiała się chwilę.

– No... nie. Nie sądzę. Jest u...

– U cioci Maartje?

– Czy to nie ty jesteś ten bystry? Nie wyrzuciłabym lalki, prawda? Lalek...

Podniosła rękę do ust. Oczy miała szeroko otwarte.

- Już to kiedyś powiedziałaś, ale ja nie słuchałam. Lalek się nie wyrzuca.
 - Lalek się nie wyrzuca – powtórzył Vos.
- Ruszyli dalej.

Dom prawnika na spokojnej ulicy wychodzącej na spokojny odcinek nieruchomego kanału. Błada cegła, duże okna, wysoki na cztery piętra, na szczycie kołysał się hak. Przy lśniących drzwiach wejściowych różowe pelargonie.

Na pobliskim niskim moście działał stragan śledziowy. Jedyne klient gawędził ze sprzedawcą w białym fartuchu. Cichy, leniwy, zamożny zakątek Grachtengordel. Dom liczył sobie pewnie ze trzysta lat, mury miał grube i nieprzeniknione.

Przy schodach wejściowych stało kilka worków cementu, taca do mieszania i zeszkrobana szara zaprawa.

Vos dotarł pierwszy, rzucił rower na chodnik, szybkimi susami pokonał schody, przycisnął guzik dzwonka. I tak trzymał.

Bakker tuż za nim. Rozejrzała się. Zastanowiła się nad domem. Wielki jak na jednego człowieka.

I jeszcze zapach. Świeżej farby i tynku.

Vos ciągle trzymał palec na dzwonku. Wściekły głos za czarnymi malowanymi drzwiami. Klasa średnia, średni wiek.

Drzwi uchylły się powoli.

Michiel Lindeman nie wyglądał tak jak w godzinach pracy. Nie miał na sobie szarego garnituru. Nie miał ulizanych włosów. Ubrany był w brudny, poplamiony kombinezon, na ramionach białoszare bryzgi. Pachniał robotami budowlanymi.

– O co chodzi? – spytał.

Vos tylko stał i patrzył na niego. Bakker oparła się o lśniącą framugę. Uśmiechała się.

Jedna chwila i tylko tyle było trzeba. Twarz mężczyzny się zmieniła, wściekłość i urazę zastąpiło przerażenie. Próbował zatrzasnąć drzwi, ale łokieć Vosa zdążył to uniemożliwić. Lindeman zaczął wykrzykiwać coś o nakazach, gdy Vos podparł ramieniem drewno. Bakker do niego dołączyła i razem wepchnęli adwokata do środka.

Jasny hol, żyrandol, obrazy, gruby dywan. Worki piasku i cementu pod ścianą po prawej. Lindeman zatoczył się pod naporem ich siły. Przykucnął na

podłozie, groził, zaczął przekonywać i jęczeć.

– Zamknij drzwi – rozkazał Vos, więc Bakker je zamknęła.

Wtedy wyjął pistolet Thea Jansena.

21

Siedzi w ciemności, ręce na kolanach, palce bawią się tkaniną w różowobiałe kwadraciki.

Bardziej nie może się ruszyć. Tylko tyle miejsca jej zostawił.

„Moja mała laleczka...”.

Ile razy to powiedział? Ile razy walczyła?

Bawełniany fartuszek w różową kratkę. Miękkie bawełniane bufki. Wiązanie na szyi.

Czarne skórzane buty zniknęły. Sukienka jest postrzępiona, za mała na nią.

Nie jest już wyczekującą, niewinną uczennicą. Teraz wie. Teraz widzi, chociaż oczy ma zawiązane, usta zaklejone grubą czarną taśmą.

Ten pokój tonie w kurzu i ciemności.

„Żegnaj, moja laleczko”.

Żadnego światła, tylko chłód. Obrzydliwy plastik zasłania jej nozdrza, zakrywa usta. Szorstka tkanina drapie powieki.

„Uprzejmość”, powiedział.

Nic więcej nie mógł zrobić.

Coś na kształt miłości.

A potem była sama. Po raz pierwszy chyba, odkąd poszła w pojedynkę do tego domu przy Prinsengracht pewnego słonecznego dnia całe wieki temu. Myśląc, że to tylko głupi eksperyment zrodzony z nudy i urazy. Że niedługo przekona matkę, by puściła ją do Bloemendaal aan Zee, na imprezę i na plażę. Będzie z ludźmi w swoim wieku. Nie ze smutnymi i beznadziejnymi staruchami w wyświeconych garniturach.

Wspomnienia.

Herbata z jakimś dodatkiem. Miserne posiłki podawane na plastikowej tacy, podczas gdy ona słuchała jego historii, jego błagań, przeprosin. Gdy próbował opanować nagły wybuch wściekłości, potrzebę, agresję, gdy rzucał się na nią, szarpał ją rękoma, szarpał swoje własne ubranie.

Potem płakał. Mówił o miłości. Ale to nie była miłość do niej. Tylko do kostiumu. Ślicznej różowej tkaniny. Sukienki na halkach. Wspomnienia czegoś, co utracił, zanim się o to dopomniał. Ona nie istniała. Istniała tylko lalka. A to nie była istota ludzka.

Uwięziona w piwnicznej celi, którą dla niej zrobił, marzyła. Wspominała beztroską, pokrzepiającą nudę domu. Program telewizyjny, jakąś muzykę. Zgubioną zabawkę. Głupi domek dla lalek, który ojciec jej kupił, a potem odłożył do schowka, gdy ten domek wyśmiała. I gdy wyśmiała ojca.

Te wspomnienia, zarówno słodkie, jak i bolesne, wypełniały jej zmęczoną i udręczoną głowę. Rano ją czymś nafaszerował. Czymś innym. Innym niż podejrzenie smakująca herbata. Sok pomarańczowy, słodko-metaliczny. Upiła łyk, spojrzała na niego. Zobaczyła winę i smutek na jedynej twarzy, jaką ostatnio znała.

Różowe łóżko. Różowa kołdra. Różowe poduszki.

Jak długo tu jest?

Nie wiedziała. Głowa ją bolała, kręciło się w niej.

Sny.

Jeden właśnie napłynął, tak przemyślany i z żywymi szczegółami, jakby był rzeczywistością.

Unosiła się gdzieś pod sufitem, jak małe stworzenie ukrywające się w wysokim, bezpiecznym rogu. W dole widziała dziewczynę przywiązaną do krzesła, odurzoną, z zawiązanymi oczami, zaklejonymi ustami, zamkniętą w zapieczętowanym i dusznym pokoju przystrojonym w jednym kolorze. Nie bała się, gdy trucizna ruszyła z rykiem przez jej słabiutkie żyły. Koniec trosk. Tylko wdzięczność, że ta bezkresna noc dobiega końca.

Uświadamiała sobie, że gdzieś zbiera się burza, gdzieś nad nią, ani blisko, ani daleko.

Dźwięki, których jeszcze nie słyszała w swoim nowym, małym życiu. Inne głosy, wściekłe i rozpaczliwe.

Krzyki. Wrzaski.

Potem krótki i straszny ryk grzmotu.

Michiel Lindeman kulił się na podłodze w swoim brudnym kombinezonie, patrząc na nich przerażonym wściekłym wzrokiem.

– Gdzie macie nakaz?! – krzyknął. – Nie możecie tego robić...

– To jest nakaz – powiedział Vos, przysuwając się o krok i mierząc lufą czarnego pistoletu prosto w twarz adwokata, po czym poderwał ją i strzelił w pustkę. – Gdzie ona jest?

Bakker stała przy nim, rozglądając się, robiąc to, co on powinien: myślała, zastanawiała się, wyobrażała sobie.

Lindeman, bynajmniej nie głupiec, ukucnął, objął rękoma kolana i wykrzywił swoją cwaniacką twarz.

– Co? – spytał.

– Moja córka. Zabrałeś ją z *privehuis*. Gdzie ona jest?

– Postradał pan zmysły, Vos – wymamrotał adwokat i potrząsnął głową. – Tym razem pan za to zapłaci.

Znowu wymierzył do niego, teraz niemal przytknął do niego broń.

– Pieter – odezwała się cicho Laura Bakker. Wyciągnęła rękę i odsunęła pistolet. – Myślę, że...

– Gdzie ona jest?! – ryknął Vos. – To ty byłeś w Poppenhuis. Rosie Jansen o tym mówiła...

– Rosie Jansen nie żyje! – krzyknął Lindeman. – Tak ci się pomieszało w głowie, że gadasz z umarłymi?

Vos niemal stracił panowanie nad sobą. Straciłby, gdyby Bakker nie podniosła Lindemana z podłogi.

– Rozejrzemy się po domu, gościu – powiedziała zimnym, zdecydowanym głosem. – Zerkniemy w każdy zakamarek.

A potem kopnęła go i pchnęła korytarzem.

Salon, salonik. Kuchnia. Łazienka.

Na piętrze nad gabinetem małe kino domowe. Sypialnie, dodatkowe pokoje. Puste przestrzenie pełne śmieci.

Jeszcze trzy piętra. Dwadzieścia minut.

Ani śladu czegoś nie na miejscu. Kobięcych ubrań. Obrazków z lalką. W ogóle nic młodego. Tylko kolejne urządzone z przepychem pomieszczenia

w należącym do starzejącego się samotnego prawnika domu w Grachtengordel.

Z każdym kolejnym bezowocnym krokiem Lindeman nabierał pewności siebie.

Na koniec wrócili do holu. Prawnik rzucał coraz ostrzejsze groźby, domagał się ich wyjścia, zapowiadał, że zadzwoni do de Groota. Pistolet zwisał swobodnie w dłoni Vosa. Możliwości wyczerpane. Pomysłów brak. Można sobie wyobrazić tylko najgorsze: nie ma jej, zniknęła, nie żyje, a on nigdy się nie dowie, gdzie to się stało.

Laura Bakker szła za nimi. Zaczęła się przyglądać odsłoniętej świeżo otynkowanej ścianie. Dotknęła jej palcem.

– To jest jeszcze wilgotne – powiedziała. – Amatorszczyzna. Mój wujek jest budowlanem. Pan jest w tym kiepski, Lindeman.

– Jeśli będę chciał poznać pani zdanie... – zaczął prawnik.

– I tak je pan usłyszy. Dlaczego taki człowiek jak pan zajmuje się takimi rzeczami?

– Pieniądze – rzucił bez przekonania.

Vos podszedł i obejrzał ścianę. Nie miał pojęcia o pracach budowlanych. Nawet na własnej łodzi nic nie robił.

– Reszta ściany jest nieruszona – powiedziała Bakker, przesuwając się i opukując kolejne miejsca. – Dlaczego tylko ten kawałek? – Spojrzała na narzędzia i puste torby na podłodze. – I tyle ma pan tych rzeczy. To więcej niż na ten fragment ściany.

– Macie stąd wyjść – warknął Lindeman. – Jak porozmawiam z de Grootem...

– Och, nie, tylko nie z groźnym Frankiem. Boimy się Franka – powiedziała Bakker, a potem wzięła kilof z poplamionej cementem taczki pod ścianą.

– Co pani wyrabia, do cholery? – spytał prawnik.

Uśmiechnęła się, zamachnęła fachowo i wbiła ostry koniec w świeży tynk. Raz. Dwa.

Spojrzała na Vosa.

– Tu są drzwi – wskazała. – Pewnie ma na dole piwnicę i ją замуrował.

Lindeman rzucił się do wyjścia. Vos go przewrócił, chwycił za kołnierz,

wziął kilof, podał Bakker pistolet i kazał jej pilnować adwokata.

Tynk był wilgotny i miękki. Po kilku uderzeniach mógł go rozrywać rękoma, zdzierając pasy i zwitki, które zaścięły podłogę.

Odsłonięte drzwi były czarne, niedawno pomalowane. Brązowa klamka. Zamknięte na klucz.

Spojrzał na Lindemana, spytał o klucze.

– Poślę was do więzienia – powiedział adwokat. – Napaść. Nielegalne przeszukanie. To mój dom...

Bakker wsadziła pistolet do kieszeni, znalazła wśród narzędzi młot, przymierzyła się, zamachnęła, roztrzaskała zamek i otworzyła drzwi.

Za nimi włącznik światła. Vos chwycił Lindemana. Zabrał go ze sobą, włączył światło.

Światłówka w dole zamigotała i rozbłysła. Długie strome schody. Kamienne. Laura Bakker zbiegła po nich.

– To była piwniczka na wino – powiedział Lindeman zmęczonym głosem. – Już jej nie potrzebowałem. Wilgoć...

– Vos! – krzyknęła Bakker z dołu. – Tu jest następna zamurowana ściana. Wygląda na dzisiejszą robotę. – Powęszyła. – Wino też jest.

Wróciła do stóp schodów, młot zwisał jej z dłoni.

– Musiał się pan bardzo spieszyć, skoro zamurował pan to pomieszczenie, nie wynosząc swojej gorzały.

Vos chwycił kilof jedną ręką, prawnika drugą. Ruszył w dół, popychając Lindemana przed sobą. Długa gładka ściana. Pośrodku tynk, wysoki prostokąt wciąż na tyle świeży, że widać było wilgotne plamy. Przyłożył do ściany ucho, nic nie usłyszał.

– To wielki błąd – mówił Lindeman. – Nie wiecie...

– Zamknij się – warknęła Bakker i zamachnęła się młotem.

Młot odbił się bezwładnie. Vos puścił adwokata, zamachnął się kilofem. I uderzał tak cios za ciosem. Widział, że Laura zostawia młot i wdziera się w dziurę, wrywając grube brązowe strzępy rękami. I widział też, że Lindeman wymyka się chyłkiem.

– Złap go – rozkazał i wrócił do pracy.

Był w tym jakiś rytm. Miarowy puls, który wyłączał mu myślenie.

Usłyszał hałas. Krzyk. Wrzask. Obejrzał się, zobaczył Bakker i Lindemana na schodach. Ona kopnęła go swoim ciężkim buciosem prosto w goleń, a prawnik stoczył się na dół, krzycząc, na zimną, twardą podłogę.

– Jak mi przykro – powiedziała Bakker, gdy zbiegła. W ręku trzymała kawał kabla. Obwiązała nim nadgarstki Lindemana, koniec przywiązała do poręczy. Wróciła do Vosa i zamachnęła się młotem u jego boku.

Bezmyślna robota. Monotonna. Jedyna, jakiej w tej chwili pragnął.

Ona pierwsza się przebiła, niemal poleciała twarzą do przodu, gdy młot rozwalił kolejne drewniane drzwi ukryte za świeżym tynkiem. Jeszcze jeden zamek do rozbicia. Ostatnia przeszkoda do usunięcia.

Stali bez tchu, Lindeman skamlał gdzieś jakieś przeprosiny, wymówki. Bzdury o miłości i oddaniu i że nikt go nie rozumie.

Laura Bakker odłożyła młot.

– Problem w tym, stary... że owszem, rozumie.

Vos kopnął czarne drewno, wsunął rękę do środka, znalazł po lewej włącznik, pstryknął.

Róż. Zobaczył róż. Różowe ściany. Różowy dywan. Różowe krzesło. Różowe łóżko. I coś jeszcze.

Jakiś kształt na krześle, przywiązany sznurem. Głowa zwieszona na pierś. Blond włosy. Drobną figurą. Dziecięca sukienka w biało-różową kratkę.

– Anneliese – wyszeptał i wszedł do środka.

V

Dziewięć dni później

1

Lato przyszło wcześniej. Poranni rowerzyści nad Prinsengracht mieli na sobie koszulki, szorty lub spódniczki i okulary przeciwsłoneczne, gdy pokonując codzienną trasę, pedałowali pod zielonymi lipami.

Łódź Vosa wciąż była w rozsypce. Miał na głowie inne sprawy. Musiał sobie radzić z pokłosem najazdu na dom Michiela Lindemana i późniejszym aresztowaniem. Musiał odprowadzić zarówno adwokata, jak i Jansena do sądu i do więzienia, gdzie już zostali. To samo z Katją Prins i Barbarą Jewell. Wyszły za kaucją, oskarżone o zabójstwo i szantaż. W perspektywie miały wyrok w zawieszeniu wydany przez sąd, który już okazywał współczucie. I tak samo będzie z Suzi Mertens, która siedziała z Jansenem, gdy Vos przyszedł do więzienia, by go przesłuchać. Tłumaczyła go. Pewnie dokładniej, niż on by sobie życzył. Ale Vos się ucieszył, że ona tam jest.

Prasa oczywiście miała używanie. Skorumpowany policjant. Walczący gangsterzy. Martwy polityk, a jego partner, nieuczciwy prawnik, więził córkę detektywa odpowiedzialnego za przeciwstawienie się przestępczości zorganizowanej. A przede wszystkim odkrycie, że Anneliese wcale nie umarła. Istny cud. Tematy jakby stworzone na nagłówki.

Margriet Willemsen pozostała wiceburmistrzem, bezapelacyjnie i niemal bez problemów. Alex Hendriks uciekł ze swoją wielką odprawą do Londynu szukać innej pracy, innego życia.

Potem media zajęły się kolejnymi historiami. Więcej skandali Amsterdam by nie zniósł. Na zbrodniarzy najlepiej pasowali prawnicy czy nieżyjący policjanci, a nie twarda polityk, która wydawała się mieć odpowiedź na wszystko.

De Groot zaniechał śledztwa w sprawie nielegalnych płatności Muldera i Menza. Taka była cena za przymknięcie oka na nielegalne wtargnięcie do domu Lindemana.

Vos ani myślał się spierać. Anneliese była wolna, powoli dochodziła do siebie po latach uwięzienia i przyjmowania środków uspokajających, które podawał jej Lindeman. Ból i mijające niedowierzanie skrywały kogoś, kto wciąż był jego córką, taką jaką znał: bystrą, dociekliwą, zdecydowaną. Ale też inną pod pewnymi względami, które Vosowi trudno było zrozumieć.

Pomiędzy ojcem a córką istniała luka, jeszcze zanim doszło do ich nadzwyczajnego rozstania. Jej relacja z Liesbeth była bliższa, silniejsza, choć niekiedy złożona i trudna.

Dzieliły myśli, których on nigdy nie pozna. Nie martwiło go to ani się tym nie przejmował. Lekarze zapewnili, że Anneliese pewnego dnia dojdzie do siebie. Rany zadane przez chorą miłość Lindemana mogły się leczyć latami. Nawet z pomocą terapeuty niektóre mogły nigdy nie zniknąć. Ale nie chciał w tej chwili o tym myśleć. Najważniejsze, że żyła, a prawna strona tej historii mogła się toczyć bez jej udziału. Lindeman przyzna się do winy i powoła się na chorobę psychiczną, przekonując, że on sam stał się ofiarą obsesyjnej, bezinteresownej miłości. Nie trzeba było żadnych świadków, przesłuchań w sądzie. Chociaż to zostanie jej oszczędzone.

Usiadł na chwiejnym starym stołku na pokładzie łodzi, pomiędzy usychającymi różami a doniczkami ziół, z Samem u stóp. Mały piesek ekscytował się obecnością kogoś młodego, słuchając odgłosów kroków w kabinie na dole. Liese i Liesbeth rozmawiały przyciszonymi głosami. Szperając po łodzi, dziewczyna znalazła stary domek dla lalek i ku jego uldze zdołała się nad nim uśmieć. Rzuciła mu dawne oskarżenie: „Jak mogłeś? Czy ty mnie w ogóle nie znasz?”.

I wtedy zostawił ją z matką. Został na zewnątrz, patrząc na ruch na kanale, na ludzi spacerkiem zdążających do chwiejnych stolików wystawionych przed Drie Vaten.

– Tato? – powiedziała, wychodząc na pokład i zakładając ciemne okulary, które zawsze nosiła na dworze. Jej oczy ucierpiały przez lata uwięzienia w piwnicy Lindemana. Stawiała pierwsze nieśmiałe kroki. To potrwa.

Jej głos też się zmienił. Był teraz kilka tonów niższy. Dorosły i świadomy.

Przy trapie stały dwie walizki. Czekają ich pożegnanie, tymczasowe, ale i tak bolesne.

– Dlaczego tu mieszkasz? – spytała, przyciągając sobie liche krzesło, by usiąść obok niego. – Co ci się nie podoba w normalnym mieszkaniu?

– Lubię swoją łódź. Naprawiam ją. Skończę, zanim wrócisz. Spodoba ci się. Gdy idziesz spać, słyszysz wodę. Gdy się budzisz, słyszysz kaczkę. To piękne. Nigdy w życiu nie spałem tak dobrze. – Wzruszenie ramion. –

W każdym razie kilka ostatnich nocy.

Liesbeth też wyszła na pokład. Nie wyglądała ani trochę inaczej. Wciąż zboląła. Wciąż pewnie w żałobie po Prinsie.

– Nigdy jej nie naprawisz. – Rozejrzała się po długiej ulicy po obu stronach mostu. – Nie będziesz miał czasu. De Groot już o to zadba.

– Niewykluczone, że masz rację.

Dwa bilety na samolot, którym usiłował odlecieć Wim Prins, bezpośrednio na Arubę. Tam zostaną w ich willi, tej, którą Liesbeth potajemnie odwiedzała, będąc z Vosem. Anneliese nic o tym nie wiedziała, tak samo jak nie zdawała sobie sprawy, że Prins jest jej prawdziwym ojcem. Vos od początku zażądał od Liesbeth milczenia w tej sprawie. Nie spierała się.

– Znajdziesz czas, żeby nas odwiedzić? – spytała Anneliese. – Mama mówi – spojrzała niepewnie – że zostaniemy tam jakieś pół roku. Muszę się pozbierać. W jakimś innym miejscu...

– Skoro lekarze tak mówią, to dobry pomysł... jeśli ty też tak uważasz... – Dotknął jej ramienia. – Wróć, jak będziesz gotowa. Bez ciśnienia. Ja nigdzie się nie wybieram.

– Fajnie by było cię zobaczyć – powiedziała pewnie i zdecydowanie, tak jak mówiła od małości. – Wyglądasz, jakbyś potrzebował słońca.

– Nie martw się o mnie. Jeśli znajdę czas...

To było kłamstwo. Oboje o tym wiedzieli. Zerknął na zegarek. Taksówka mogła nadjechać w każdej chwili. Vos wstał, uśmiechnął się, gdy ona dołączyła do niego.

Objął swoją córkę, pocałował ją w miękki policzek. Była wysoka i piękna, w letniej koszuli i nowych džinsach. Włosy miała teraz krótko obcięte, zniknęły dziecięce loki, których wymagał Lindeman.

– Zawsze możesz mnie tu znaleźć – zapewnił Vos. – Zawsze będę cię kochał. Jeśli będziesz mnie potrzebować, wystarczy poprosić.

Zdjęła ciemne okulary. Zamrugnęła, by powstrzymać łzy. Może jakaś dziecięca część jej osoby myślała, że on i Liesbeth zabawią się w pojednanie. Podczas gdy dorośli wiedzieli, że wręcz przeciwnie, i zawsze przyjmowali bardziej ponurą wersję.

– Muszę zostać na chwilę z twoją mamą – powiedział. – Idź na kawę do

baru. Lepsza jest niż to, co ja robię.

– Jeszcze ci nie podziękowałam, prawda?

– Nie musiałaś. Przepraszam, że to tak długo trwało. Poddąłem się. Myślałem, że cię straciłem. Że już nic nie mogę zrobić.

– Co spowodowało zmianę?

– Nie co, tylko kto. Chyba Katja Prins. I bardzo uparta młoda dama z Dokkum.

– Co...?

– Innym razem. Nie teraz.

Objęła go za ramiona, wspięła się na palce i pocałowała raz jeszcze. W oba policzki. Miłość. Ciche, ale zacięte poświęcenie dla rodziny. Pieter Vos myślał już, że stracił to nieodwracalnie.

Potem ona odeszła w stronę Drie Vaten, usiadła przy stoliku wśród turystów, zamówiła kawę. Kilku młodych mężczyzn taksowało ją wzrokiem. W jego oczach nie była po prostu piękna. Dostrzegł w niej uroczą, poruszającą, może złudną niewinność. To przykuwało uwagę. Trzy lata temu zwróciło uwagę opętanego obsesją i samotnego Michiela Lindemana, który szukał własnej laleczki, by ją posiadać, kształtować, uwielbiać. Wcześniej czy później pojawi się inny mężczyzna. Tym razem dobry, miał nadzieję Vos. I miał nadzieję, że nie nastąpi to za wcześnie.

– Zapraszamy, Pieter. Przyjeżdżaj – powiedziała Liesbeth. Ręce splecione na piersi. Twarz bez emocji, nieprzenikniona. – Zrób sobie urlop od tej wilgoci.

Pies siedział na tylnych łapach, wpatrywał się w nią. Vos był pewien, że słyszy cichy warkot.

– Lubię tę wilgoć. Jordaan to mój dom.

Tego nie rozumiała.

– A teraz twoim będzie Aruba – dodał.

– Chcę być w miejscu, gdzie jest słonecznie i ciepło. Gdzie możemy być szczęśliwe. Liese potrzebuje tego tak samo jak ja.

– Najlepiej, żebyś tam została.

Przechyliła głowę zdumiona.

– Bardzo bym chciała. Tutaj trzeba uporządkować majątek Wima...

– Bank może się tym zająć. Powinnaś im to zostawić.

– Co z Beą? – spytała. – To też idzie na konto Wima?

– To dla ciebie ważne?

– Byłam jego żoną. Pamiętasz?

Zadała tak niewiele pytań. Czasem wolałby, żeby tak zostało.

– Ta kwestia na razie zostanie otwarta.

Pies wstał i przeszedł na dziób, usiadł tam, plecami do nich, pozując do obiektywów turystów z przepływającej po kanale łodzi.

– Dlaczego?

– Bo on nie zabił Bei. Ty ją zabiłaś.

Ta sama nieruchoma twarz. Liesbeth nawet nie mrugnęła okiem.

– A ja myślałam, że ci się polepsza – powiedziała beztrąsko.

– Nic mi nie dolega. Ktoś wytarł siedzenia jej samochodu. – Vos przeniósł wzrok na córkę. Sofia przysiadła się do niej, pewnie po to, by nie zrobił tego żaden z mężczyzn. Popijały kawę. Rozmawiały. – Technicy myśleli, że to się stało w serwisie kilka tygodni wcześniej. Van der Berg to sprawdził. W warsztacie nie używano chusteczek do tego modelu. Siedzenia były skórzane, czyszczono je pastą.

– Mam uwierzyć...?

– Chusteczki były wyjątkowe. Większe niż te, które kupuje się w sklepie. Dokładnie tej samej wielkości, co chusteczki, które mamy u nas w kryminalistyce. Gdzie ty pracowałaś w tym czasie.

– To wszystko? – spytała. – Najlepszy detektyw w Amsterdamie. Nic więcej nie masz?

– To początek. Albo będzie początek, jeśli wrócisz z Aruby. Ale nie chcę też, żeby Anneliese została tam dłużej niż pół roku. Chyba że przyjedzie tu i powie mi prosto w twarz, że tego chce.

– Ty nadęty dupku...

– Wim cały czas wiedział, prawda? – Vos wszystko przemyślał. Zachował to dla siebie. – De Nachtwacht częściowo narodziła się z jego poczucia winy, jak sądzę. Z idei, że może uprzątnąć miasto i odpokutować za coś, co miałaś na sumieniu. Myślę, że nie było mu trudno skoczyć z tego samolotu...

– On był tchórzem. Był słaby. Był tylko człowiekiem. Tamta suka ukradła

mi córkę. A ty się opieprzałeś, szalejąc na Marnixstraat, bezskutecznie. To ona zabrała Liese do tego *privehuis*. To była jej wina...

– Nie. To Lindeman ją uwięził. Nikt inny.

– Bea to zaczęła! Czy ty mnie słuchasz? Czy ciągle śpisz?

Za bardzo podniosła głos. Młoda, stroskana twarz patrzyła na nich od stolika przed Drie Vaten.

– Ja tylko chciałam wiedzieć – podjęła Liesbeth już ciszej. – Wim był u kresu wytrzymałości, żyjąc z tą kobietą. Nie poszłam jej zabić. Roześmiała mi się w twarz. Powiedziała, że od samego początku wie o mnie i o Wimie. To, co zrobiła z Liese, to była jej zemsta. Nie zemściła się na mnie. Tylko na mojej córce.

To mu nie przyszło do głowy. A zdał sobie sprawę, że powinno.

– I tak się złożyło, że miałś przy sobie broń. I kilka chusteczek z wydziału kryminalistyki, żeby potem posprzątać.

– Ja to rozpracowałam, Pieter. – Dźgnęła go w pierś. – Podczas gdy ty nie znalazłeś nic. Ja wiedziałam.

Biała taksówka zbliżała się Prinsengracht, kierowca kogoś szukał.

– Jeśli wrócisz, wznowię sprawę – zapowiedział Vos. – Wykorzystam wszystkie możliwości i wszystkie siły, żeby cię postawić przed sądem. Uwierz w to, nawet jeśli nie wierzysz w nic innego.

Uśmiechnęła się, pomachała Anneliese siedzącej przed kawiarnią.

– Gotowa? – zawołała spokojnym, przyjaznym tonem.

Spojrzała na niego, ciągle uśmiechnięta.

– I podwójnie złamiesz serce swojej córce? – spytała. – Nie sądzę. Gdybyś miał tak zrobić, już byś to zrobił. Nie pogrywaj ze mną. Nie jesteś do tego zdolny. Nigdy nie byłeś.

Wyciągnęła ramiona. Zapowiedź pożegnalnego uścisku.

– Zachowuj pozory. Dla niej. Nie dla mnie. Bea nie żyje, leży w grobie. Wim też. Liese żyje i nie pozwolę, by ktokolwiek ją skrzywdził. Możesz być tego pewien.

Króciutki uścisk, zimny całus w policzek. Potem on wyniósł ich torby na ulicę. Po raz ostatni przytulił córkę, wyszeptał jej do ucha czułe słowa, pocałował ją i patrzył, jak odjeżdżają.

Ciągle tam stał, zamyślony, pełen wątpliwości, gdy usłyszał dzwonek roweru.

2

Sam wybiegł po trapie, ujadając wściekle, doskoczył do roweru i wspiął się jej na nogę.

– Zapomniałeś, Vos. Nie do wiary.

Poczuł się ociężały i głupi. Wysoka młoda kobieta na nowoczesnym rowerze, z koszem na przedzie. Długie rude włosy rozpuściła na ramiona, starannie uczesane. Miała na sobie staromodną sukienkę we wzorki, sięgającą nad kolana. Jasnobrązowe skórzane sandały, a nie ciężkie czarne buty. I modne okulary przeciwsłoneczne, które przesunęła do góry. Vos walnął się dłonią w czoło.

– Laura?

– Powinnaś była się domyślić, prawda? Byliśmy umówieni. Pamiętasz?

– Wyglądasz... inaczej. Ubrania... Ciocia Maartje?

– Nie szyje wszystkiego, co noszę. Jestem po służbie. – Dwa ostatnie słowa powtórzyła powoli. – Ty w ogóle wiesz, co to znaczy?

Przypomniał sobie: zaproponowała, że zabierze Sama na przejażdżkę i na spacer. W tym czasie on próbował wymigać się od piwa z Van der Bergiem. W ogóle na to nie zwrócił uwagi.

– Vondelpark. – Oparła rower o poręcz i pogłaskała psa po łbie. – Jeśli ci pasuje...

Ogon małego teriera śmigał jak przepracowany metronom. Podniosła Sama, pocałowała w łeppek, w nagrodę została oblizana, wsadziła go do koszyka.

– Nowy. – Wskazała rower. – De Groot potwierdził, że zostaję. Wczoraj dostałam list. Zrobiłam sobie prezent.

– Dobre wieści – powiedział, kiwając mądrze głową.

– Jakbyś nie wiedział. Co prawda nie miał wielkiego wyboru. Gdyby mnie wyrzucił, narobiłabym straszego smrodu. Po wszystkich tych absurdach z Katją i Mulderem. Ach, nawet sobie nie wyobrażasz...

– Owszem, wyobrażam.

Pogłaskała psa.

– Nic ci nie jest? Jesteś jakiś zdenerwowany.

– Nic absolutnie – odrzekł, wiedząc, że ona wpatruje się w jego wytartą

koszulę, zniszczone dzinsy, stare adidas. Coś mu przyszło do głowy. Podciągnął dzinsy i pokazał. Dwie takie same skarpetki. Jasnoczerwone.

– Gratulacje – powiedziała. – Teraz kolej na suknię wieczorową.

– To na początek.

– Może też chcesz iść do parku? – spytała, wahając się przy każdym słowie jak dorośli rozmawiający z dzieckiem.

Vos wskazał na łódkę.

– Mam tu robotę. Całe mnóstwo.

– Będzie kiedyś skończona?

– Pewnie nie.

– A ty?

Zawahał się.

– A to w ogóle możliwe?

Kiwnął głową w stronę Drie Vaten.

– Poza tym czeka tam na mnie jakieś pranie.

– To już naprawdę żenujące.

Skruszony uśmiech.

– Wiem. Nie dawaj mu frytek. – Wyjął z kieszeni starą torebkę foliową. –

I posprzątaj...

Sięgnęła do psiego koszyka i pokazała mu paczkę zupełnie nowych torebek na odchody.

– Ostatnia szansa, Pieterze Vosie – powiedziała Laura Bakker, opuszczając okulary. – Nie spytam już więcej.

Wzruszył ramionami, uśmiechnął się blado. Patrzył, jak burczy coś pod nosem, a potem rusza wzdłuż kanału.

Sam zrobił coś, czego nie robił nigdy wcześniej. Zamiast wystawić pysk, żeby wiatr rozwiewał mu futro, odwrócił się i patrzył na kobietę wiozącą go do parku. Ona trajkotała do niego, pedałuując powoli wzdłuż Prinsengracht, a rude włosy powiewały nad jej ramionami, i świata nie widziała poza psem.

Vos zerknął na zniszczoną łódkę.

Potem na Drie Vaten podające pierwsze zimne piwo tego dnia.

Przegarnął zbyt długie włosy.

Podrapał się po policzku.

Przez chwilę czułem się rozdarty.